


2





Digitized by the Internet Archive
in 2025

<https://archive.org/details/popioly0000stef>

PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

- ARYMAN MŚCI SIĘ — GODZINA. Wydanie trzecie. 1923.
- BIAŁA RĘKAWICZKA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem i epilogiem. 1921.
- BICZE Z PIASKU. (Początek Świata Pracy. Organizacja inteligencji zawodowej. Drożyzna i Zamoyszczyzna. Nowa Warszawa). 1925.
- DLA MŁODZIEŻY. Książka pierwsza. 1921.
- DLA MŁODZIEŻY. Książka druga. 1921.
- DUMA O HETMANIE. Wydanie piąte. 1923.
- DZIEJE GRZECHU. Powieść w 2 tomach. Wydanie VI. 1924.
- ECHA LEŚNE. Warszawa 1920.
- INTER ARMA. Warszawa 1920.
- LUDZIE BEZDOMNI. Powieść w 2 tomach. Wydanie V. 1923.
- MIĘDZYMORZE. Warszawa 1923.
- MOGIŁA. Warszawa. 1923.
- OPOWIADANIA. (Doktor Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierzch. — Złe przeczucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela). Wydanie V. 1923.
- O PRZYSZŁOŚĆ RAPPERSWILU. Kraków 1912.
- ORGANIZACJA INTELIGENCJI ZAWODOWEJ. Warszawa 1919.
- POCZĄTEK ŚWIATA PRACY. Kraków 1919.
- POMYŁKI. Warszawa. 1923.
- PONAD ŚNIEG BIELSZYM SIĘ STANĘ. Warszawa. 1920.
- POPIOŁY. Powieść z końca XVIII. i początku XIX. w. w 3-ch tomach. Wydanie VI. 1925.
- POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU. Wydanie trzecie 1923.
- PROJEKT AKADEMII LITERATURY POLSKIEJ. Wyd. II. Warszawa 1925.
- PROMIEŃ. Powieść. Wydanie IV. 1923.
- PRZEDWIOŚNIE. Powieść. Warszawa. 1925.
- ROZDZIOBIA NAS KRUKI, WRONY. Wydanie IV. 1923.
- RÓŻA. Dramat niesceniczny. Wydanie czwarte. 1923
- SEN O SZPADZIE. Kraków. 1914.
- SEN O SZPADZIE I SEN O CHLEBIE. Warszawa 1923.
- SIŁACZKA. — NA POKŁADZIE. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
- SŁOWO O BANDOSIE. Wydanie nowe. 1920.
- SNOBIZM I POSTĘP. Warszawa. 1923.
- SULEKOWSKI. Tragedja. Wydanie IV. 1923.
- SZYFOWE PRACE. Powieść. Wydanie szóste 1924.
- TUROŃ. Dramat w 3-ch aktach. Warszawa. 1923.
- UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA... Komedja. Wydanie II. Warszawa 1925
- URODA ŻYCIA. Powieść w 2 tomach. Wydanie III. 1925.
- UTWORY POWIEŚCIOWE. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie V. 1923.
- WALKA Z SZATANEM. I. NAWRACANIE JUDASZA. Powieść. 1921.
- WALKA Z SZATANEM. II. ZAMIEĆ. Powieść. 1921.
- WALKA Z SZATANEM. III. CHARITAS. Powieść. 1921.
- WCZORAJ I DZIŚ. Serja Pierwsza. (Tabu. — Ananke. — Doktor Piotr. — Siłaczka. — Kara). 1925.
- WCZORAJ I DZIŚ. Serja Druga. (Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. — Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku). 1925.
- WIATR OD MURZA. Wydanie drugie. Warszawa. 1922.
- WIERNA RZĘKA. Klechda domowa. Wydanie IV. 1925.
- WISŁA. Wydanie II. Warszawa. 1920.
- WSZYSTKO I NIC. Wydanie drugie. Warszawa 1923.
- ZMIERZCH. — COKOLWIEK SIĘ ZDARZY. (B. U. L. Nr. 41). 1907.

PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE

POWIEŚCI HISTORYCZNE



WARSZAWA — MCMXXV — KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

STEFAN ŻEROMSKI

POPIOŁY

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

TOM TRZECI

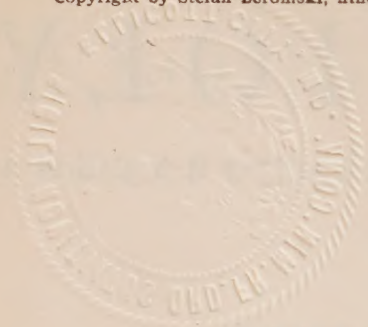
WYDANIE SZÓSTE



WARSZAWA — MCMXXV — KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Printed in Poland

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone
Copyright by Stefan Żeromski, nineteen hundred twenty five



3853 *

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

SZLAK CESARSKI.

Dywizya generała Zajączka, czyli tak zwana legia północna, podzielona została na trzy brygady. Pierwsza z nich, pod dowództwem generała Fiszera, składała się z regimentu piechoty, zapożyczonego z dywizyi trzeciej, z pierwszego regimentu kawaleryi krakowskiej i czterech sztuk armat sześciofuntowych. Część tej siły, pod bezpośrednią komendą generała Fiszera, udała się była w lutym na pomoc generałowi Dąbrowskiemu i wzięła udział w wyprawie na Tczew, później w marcu przeszła Wisłę i wróciła do swej komendy. Druga brygada legii północnej słuchała rozkazu generała Izydora Krasińskiego, poprzednio komendanta wszystkiej jazdy rycerstwa. Składały ją: regiment trzeci piechoty i pułk kawaleryi krakowskiej z dwiema armatami czterofuntowymi. Brygadą trzecią dowodził generał Wołodkiewicz, a miał pod sobą regiment czwarty piechoty, drugi kawaleryi i dwa działa czterofuntowe. Wszystka ogółem artylerya tej dywizyi zostawała pod dowództwem i sprawą szefa szwadronu Chopina.

Krzysztof Cedro nie wyszedł ze swego szeregu.

Po zaprowadzeniu nowej organizacyi znalazł się w drugiej brygadzie, generała Krasińskiego. Pułki te stały w Toruniu do 28 lutego 1807 roku. Wyruszywszy stamtąd, przeszły Wisłę i pociągnęły w marsz na Pokrzywno (Engelsburg) i Niborg (Neydenburg), gdzie generał Zajączek pozostał aż do dnia 26 maja, nieznaczny biorąc udział w akcji. W okolicy Niborga stały naokół wysunięte bataliony piechoty i kompanie jazdy. W Maldze stał batalion piechoty, 50 koni kawaleryjskich i jedna armata heska; Dębowca strzegł drugi batalion piechoty i 40 koni; w miejscowości zwanej Kot było 50 koni i druga armata heska; w Przysowie 20 koni, w Omulcu 10, wreszcie dwanaście koni rozmieszczono między Omulcem a Orłowem. Siła kawaleryjska tworzyła łańcuch, zakrywający posterunek główny i osłaniała wszystkie drogi.

Skoro tylko rozlokowano wojsko po chatach, budowlach i wogóle pod dachem, a dla koni urządzono w stodołach i wozowniach gródze, zaczęły się napaści lotnej konnicy nieprzyjaciela, oraz podjazdowania odwetowe ze strony polskiej. Krzysztof Cedro znalazł się w Kocie na początku marca. Gajkoś wyszykował tu dla konia dobre pomieszczenie a niezły siennik na pryczy w alkierzu wieśniaka. Zrazu wszystko szło po dawnemu: musztry, egzercerunki, ćwiczenia gimnastyczne. Ale już po upływie dwu tygodni zaczęły się czasy niespokojne. Konnica nieprzyjacielska wpadała do wsi w nocy, nad ranem, pod wieczór, w południe i przy śniadaniu, z wrzaskiem i gwizdaniem mknęła ulicami i gubiła się w zimowej szarudze. Gajkoś szczególnie lubił zabawy z tymi wojakami.

W dniu 25 marca, o zmierzchu, zdarzył się właśnie jeden z takich napadów. Co najmniej cztery se-ciny jeźdźców nieprzyjacielskich wpadły do wsi i usi-łowały ją podpalić z czterech rogów. Podpułkownik Skalski kazał trąbić gwałtownie »na koń«, w mgnieniu oka cała siła posterunku rzuciła się na napastników. Atak był odparty równie szybko, jak się zaczął. Krzysztof pędził za innymi w mroku padającego wieczora, widział nawet przed sobą konnego brodacza, ale po-mimo całej siły konia dopaść go nie mógł. Po zebraniu się sił obronnych uradziła starszyna wykonać nie-zwłocznie podjazd. Okrzyknięto w szeregach, że kto na ochotnika chce do wyprawy należeć, ma się zgłosić do pułku Dąbrowskiego. Gajkoś z Cedrą poszli wraz na ochotnika. Dowodził pułkownik Sienkiewicz. Szli podzieleni na partye, ciemną nocą, polami, w niezna-nym zgoła kierunku. Zdala pod leśnem wzgórzem ujrzeli ognie, to też obeszli je całe w promieniu kilku-wiorstowym, wertepem a moczarem. Napadli z boku z północnej strony. Oddziałem, w którym się Krzysztof znajdował, dowodził rotmistrz Zaborowski. Byli tu w ka-waleryi krakowskiej porucznicy: Gontkiewicz, Wychliń-ski, Szymański i Rzecziszewski. Cedro znał ich wszyst-kich jeszcze z Siewierza. Jechali w głuchem milczeniu aż do chwili stanowczej. Krzysztof nie mógł zrozumieć nic a nic z całej tej wyprawy. Najbardziej był zdu-miony, kiedy porucznik Wychliński spał nagle konia i rzucił się naprzód z takim wrzaskiem, zażywaniem pałasza i mocnych słów komendy, jakby go wściekły pies napadł. Natychmiast wszyscy uczynili to samo, nie wiedząc, o co chodzi. Jazda ochotnicza rzuciła się

naprzód z lancami i wpadła między tlejące ogniska na ludzi rozespanych, którzy się zrywali z ziemi i siadali na koni wśród wrzasków, przekleństw i strzałów. Zwycięstwo nad ową półsenną zgrają nie przyszło jednak z łatwością. Z głębokiego mroku wypadli sformowani w lotne oddziały. Wszczęła się walka na lance i piki, starcia mokrych koni i czarnych ludzi, bitwa w ciemności. Tam i sam, wśród ognisk gonili się jeźdźcy na oko i z wrzaskiem wysadzali z siodeł. Tam to oficer Zaleski, dowodzący kompanią jazdy kaliskiej, w oczach żołnierzy odrazu salwował się ucieczką i tak dalece zdecydowaną, że Gajkoś wstrzymał konia. Splunął za nim w ciemność raz, splunął drugi raz jeszcze dalej, i tego nie było mu dosyć. Trzeci raz splunął w garść, chwycił nią jedlca szabli i dopiero! W trakcie utarczki świt nastał. W błękitnym mroku zimowym rozległ się szybki szezęk i trzask lanc, wzmogły się śmiertelne krzyki, stękanie koni i tętent skoków ich po żelaznej grudzie. Podjazd został panem obozowiska, kilkunastu koni, czterech trupów i siedmiu rannych jeńców. Tamci, odrębując się i strzelając, ustąpili z pola i znikli za lasem.

Nie upłynął jeszcze tydzień od tego wypadku kiedy dywizya przeżyła nowe wzruszenie wojenne. Bardzki, szef szwadronu jazdy kalisko-sieradzko-wieluńskiej, stojącej na drodze ku Szymanowu, odebrał od marszałka Masseny nagły rozkaz maszerowania bez zwłoki, w kłus, pod Szczytno. Słysząc było stamtąd strzały i łoskot bitwy. Szwadron, uszykowany *en bataille*, ruszył z kopyta i zaraz, ustawiony obok dragonii francuskiej, rozwinął kolumnę i atakował z lewego.

Utarczki trwały przez całą noc bez odpoczynku, wytchnienia i popasu koni. Z rana, o godzinie siódmej, szef Bardzki atakował konnicę nieprzyjacielską dla zakrycia rejterady dywizyi francuskiej ze Szczytna. Przed południem nieprzyjaciel w sile blisko trzech tysięcy jazdy uderzył forsownie na Kaliszan. Cugi pierzchnęły odrazu i szwadron o mało nie był oskrzydłony. Dowódca dywizyi przysłał rozkaz rejterowania się, co też wykonano z szybkością, precyzją i, jak to mówią, z chwałą, a pod osłoną lasu i kilkudziesięciu piechurów francuskich w nim ukrytych. Wielu oficerów i żołnierzy w tej sprawie dzielnie się spisało. Kapral Kwiatkowski dostał postrzał w bok, sam sobie kulę kozikiem z pomiędzy żeber wydłubał, ranę opatrzył, a z pola bitwy nie zeszedł. To też zaraz następnego dnia fortragowany został na sierżanta. Kapitan Ostrowski świetnie odznaczył się zarówno w chwili awansowania w akcyi, jak i podczas rejterady, która poszła z chwałą. Porucznicy Zabłocki i Krasuski byli ciężko ranieni.

W tydzień później, stosownie do planu wypracowanego przez generała Fiszera, wykonano atak na obozy zimowe nieprzyjacielskie pod wodzą generałów Fiszera, Krasińskiego i Męcińskiego. W tej sprawie miała udział kawalerja krakowska i kaliska, Poznańczycy i Mazury. Pułkownik Godebski uprzątnął niebezpieczeństwa z boków postępującej konnicy i niepokoił nieprzyjaciela w sposób drażniący wysuwaniem oraz cofaniem jazdy. Skoro się przeciwnik rzucał gwałtownie do pościgu, Godebski usiłował okrążyć go piechotą. Kapitanowie Krzyżewski i Kreczmer przedarli się lasami aż pod Burdingen, a kiedy jazda polska wywabiła nieprzy-

jaciela i, świadomie umykając, skłoniła go, że się zapuścił za daleko, rozwinęli linię i rzucili się do walki na bagnety. Kapitanowie piechoty, Dobrogoyski i Tatarowicz, torowali drogę pod Czarnym Piecem, zmagając się bagnetem z nieprzyjacielem, który zagrażał dostęp do Jedwabny. Natarcie było silne i śmiałe, z trzech stron. Cedro pierwszy raz w biały dzień widział nieprzyjaciół. Rwał w szeregu z nastawioną lancą i jeden z pierwszych wpadł w uliczkę wiejską. Podpułkownik Skalski, dowodzący siłą, zdążającą od strony Kota, widział Krakowian, jak szli w ogień z kopyta, a strzelców, wdzierających się z nastawionym bagnetem pod konie nieprzyjacielskiej jazdy. Spotkał ich też wkrótce wielki zaszczyt: zostali przeznaczeni do kompanii wyborowych, które formował właśnie z jazdy krakowskiej i z piechurów generał Izydor Krasiński. Cedro dostał szlufy ponsowe ze srebrnymi brzegami i o jeden grosz więcej gaży na dzień, oraz obowiązek pozostawania zawsze w służbie sztabu generała. Wybrani zostali do kompanii wyborowej konnej za wzięcie Jedwabny kaprale — Gajkoś, Malczewski i Myśliński, żołnierze, prócz Cedry — Suryu, Modliński, Karpiński, dwaj bracia stryjeczni Kuleszyńscy, Krasuski, Bleszyński, Leśniewski, Grabowski i Stefan Szyńka. Furer Zwierkowski za okazane męstwo otrzymał, prócz wyboru, zapewnienie pierwszego awansu, jaki się okaże.

Aż do dwunastego maja dywizya nie otrzymała żadnego alarmującego rozkazu. To też żywot jej zewnętrzny ograniczał się drobnymi utarczkami i małymi podjazdami.

Dwunastego maja rozbiegła się po posterunkach

wieść-piorun, że pod Malgą załoga została w pień wycięta. Ludzie zerwali się do oręża, jak jeden, ale rozkaz trzymał ich w pętaczce na miejscu. Przyszła wreszcie dokładna wiadomość z oddziałem generała Fiszera, który chodził napadniętym na odsiecz. Okazało się tedy, że na młynek pod Malgą, gdzie konsystował oddziałek złożony ze trzydziestu piechoty, napadła znaczna wataha nieprzyjacielskiej konnicy. Podpułkownik Krukowiecki, komenderujący w samej Maldze, ruszył tamtym na pomoc z oddziałem 140 piechoty. Podchodzącego już do młynka nieprzyjaciel obkoczył ze wszech stron, w sile dwu tysięcy. Krukowiecki ścisnął swoją kolumnę, sformował czworobok, utworzył front z mężniejszych żołnierzy na wszystkie strony i zaciekle począł się bronić. Na wszelkie ataki i propozycje poddania się odpowiadał salwami wystrzałów i bagnetem. Walczył tym porządkiem przez półtrzeciej godziny.

Z rozpaczliwego położenia wybawił go generał Fiszer, którego konnica uderzyła na nieprzyjaciół i rozegnała.

Krukowiecki miał 25 żołnierzy poległych i 16 ciężko ranionych. Nieprzyjaciel utracił pułkownika, dwu oficerów i około stu ludzi zabitych. Prawdziwem męstwem, wytrwałością i rozsądkiem odznaczyli się młodzi oficerowie: kapitanowie Gras i Fontana, porucznik Cybulski; podporucznik Braun du Laurans, Jakóbski i Zalewski. Kapral Werbechowski i wołyżer Mamiński, obkoczeni przez tłum jeźdźców, wyrwali trzem z rąk piki i bronili się bagnetem ze stałością godną najstarszych i najdoświadczeńszych wojaków.

Chodziła w szeregach zazdrość i gorycz budząca wieść, że legia trzecia pod Giełgudem, który nią dowodził w zastępstwie wodza ranionego na rynku tczewskim, odznacza się świetnie pod Gdańskiem, że piechota pierwszego regimentu poszła aż nad morze pod Kołobrzeg... Wreszcie 26 maja przeczytano legii wiadomość o poddaniu Gdańska i o marszu, który legia Dąbrowskiego ma wykonać na wschód, w stronę Niemna, dla połączenia się z cesarzem.

Nareszcie i legia północna ruszyła się ze swego miejsca. Dziesiątego czerwca stała kwaterą w Ostradzie, stoczyła potyczkę pod Rudą i Wałami czyli Wallendorfem; następnego dnia ruszyła do Loken, 18 przyszła do Dobrego Miasta (Gutstadtu). Tutaj w marszu, między Gutstadtem a Oelsee odebrano od ministra wojny, majora wielkiej armii, księcia de Neufchâtel, jakąś niezwykłą wiadomość. Dzień to był upalny. Z kurzawy drożnej wynurzył się, pędząc naprzeciwko kolumn, oficer francuski z pocztowym. Obadwaj na nikogo nie zwracali uwagi. Szli wprost na generała dywizji i jemu dopiero zwierzyli sekretny papier.

Chwilę tylko jednak trwała tajemniczość. Wnet starsi oficerowie wjechali między szeregi i czytali depeszę o wielkiem zwycięstwie frydlandzkim. Wojska stały w milczeniu, jakoby zmartwiałe! Krzysztof Cedro słuchał tej wieści, nikiej baśni. Łudziło mu się, że słyszy na jawie opowiadanie starego żołnierza, Ojrzyńskiego Mieczyka. Tak wszystko, jak tamten zapowiedział prostą swą mową. Wszystko się spełniło co do joty. Zwierzył się z tem wrażeniem Gajkosiowi, a ten tylko wąsiska rozgarnął:

— A no i jakże! Toby żołnierz żołnierza nie rozumiał.. Kapral by nie rozumiał cesarza! Każdy go tak samo rozumie, jak własną duszę. Nasze go ręce pchają i niosą tam przecie, dokąd chcą, a jego dusza to nasza dusza.

Nadeszły wnet i ustne wieści. Głosiły o śmiałych czynach dywizyi trzeciej, o zdobyciu przez nią dwu armat, o brawurze konnicy i zimnej krwi piechoty, o tem wreszcie, że »generał porucznik« znowu na polu frydlandzkim odniósł ranę.

Teraz dywizya Zajączka ruszyła forsownym krokiem do Rastenburga dla pościgu za nieprzyjacielem i połączenia się z legią trzecią. Niedawna kawalerya krakowska i poznańska była nieustannie na linii strażów nieprzyjacielskich, w polu, w awangardzie. Krzysztof Cedro znalazł się w końcu czerwca w Olecku, 13 lipca stanął w Hołynce około Sopoćkiń, w pobliżu już Grodna. Tu z woli cesarza Francuzów, Męciński, dowódca siły zbrojnej krakowskiej, mianowany został pułkownikiem czwartego pułku jazdy, a powstanie krakowskie przyłączono do tegoż czwartego pułku. Około 10 lipca przeczytano wojskom wieść o pokoju tyłzycim. Dywizya Zajączka otrzymała rozkaz maszerowania ku Warszawie. Stanęła tam 15 sierpnia. Tegoż dnia wyszedł rozkaz generała dywizyi, oświadczający, że wszystka siła idzie na stały i długotrwały pobyt do Kalisza.

Pokój tedy i koniec awantury...

Tak myślał młody Cedro. Miał stanąć, a raczej zamieszkać w owym Kaliszu, jako żołnierz, czy wreszcie oficer bałagula w czasie pokoju. Przewidywał, że

dni upływać mu będą na grze w karcie, bilard czy domino, na próżniactwie, rozpuszcie i nudach w jakiejś resursie Pescarego, w towarzystwie kolegów, których widział tylu. Nie nęciło go to życie.

Dla takiego ideału porzucić starego ojca? Dla tego podeptać jego nadzieje i ułudy? Dla tego przeżyć ów dzień grudniowy? Nie. nigdy! Więc wrócić do domu? Wrócić, jako rycerz, który wahał już proch, ale bardzo z daleka? który odbył konno dość szeroko zakreśloną wycieczkę po kraju?... I to już niemożliwe.

Widział on już zdala wojnę, i wrosła weni, jak drzewo wrasta w ziemię niezmiernymi korzeniami, pasya do wielkiego a mocnego czynu. Wrócić do cichych, rolniczych prac z Trepką, do pracowitego snycerstwa wzorów kultury w twardym kłocu kamiennym, kiedy tuż obok, za lasami sąsiedniego powiatu tworzą się dzieje, łamia i roztrzaskują kamienne tablice praw pisanych, spychają z przyciesi owe budynki i nowych plany misterne, z szatańskim sprytem wysnute ze zdradzieckiego mózgu urzędników, które był w wiedeńskich poznał przedpokojach?

Z Warszawy, która za tych dni była jak pełny ul, gdy weni wyrojone pszczoły na pracę wracają. gdzie wszystkie siły ludu prężyły się, niby moc człowieka w jednej rozpiętej prawicy, w posępnym i gorzkim nastroju ducha wyruszył do Kalisza. Ciepłe były, łagodne, podjesienne noce. Gdy kolumny cicho i bezpiecznie ciągnęły od zmierzchu do rana gościńcem, a wyborowa kompania jazdy krakowskiej szła w tropy swego wodza, stary wachmistrz Gajkoś, dowodzący tą kompanią, wnet szlusował do młodego i mamrotał mu do ucha:

— Pokój podają na wieczny czas — i tyła.

— A no przecie czytali.

— Będziemy to w onym Kaliszu stoić?

— Taki rozkaz.

— Śliczności my wojnę zwojowali, ani słowa!

— Da Pan Bóg doczekać... Jeszcze, jeszcze... Dopieroć zuchelczek tyli, jak gniazdo skowronkowe.

— Do stu par dyabłów! To ja na musztrę mam jeźdźać pod Grodno? Ja musztry nauczny. Lepiej chyba Żydom gnój z pod kóz wyrzucać... Abo babę pojąć, żeby człowiekowi znaki obdarła i kopyścią go po łbie praskała.

— Cichajcie, wachmistrz!

— Paniczu! Widział ja się we Warszawie z jednym.

— No?

— To samo z pod Kniaziewicza jeszcze. Oba my z Neapolu przyśli, ino ja wcześniej, bom głupszy i na śmierć mię dockliwiło, a tamto szelma — jeden mur. Na Śląsko przyśli. Świdorski ich przyprowadził gros-major.

— Cóż to za broń?

— Z nadwiślańskiej legii. Kamraty jeszcze—chy—gdzie! Z pod starego jeszcze kochanka. Gdzie takie nie bywały! Wszystkie boje z Austryakiem, Hohenlinden, wielka droga bez Szwajcary ze Sokolnickim. A potem w służbach cyzalskich. Oni ta wreszcie pod króla Józefa pošli, a ja się do ziemie wydarł.

— No, a teraz cóż z nim?

— Pada mi ten kamrat: naszą starą neapolitańską legię od nowa sztyftują. Jakisi książę Hieronim w nich się pokochał.

— Co za ksiązę Hieronim?

— A dyabeł go ta rozezna, co on za jeden! Ksiązę Hieronim, powiedział, i tyła wiem. Pewnie cesarski abo brat, abo zgoła szwagier.

— A za cóż to ich tak sobie ulubił ten Hieronim?

— Zaco? A zato, co powiem. Wszystko mi kamrat porządkiem opowiedział, to i ja teraz paniczowi tym samym porządkiem wyłożę. Idą oni z ziemi Włoskiej moje ułany, do Polski i przysli na Śląsk ojczysty, do Lignicy. Idą se traktem w sześćset koni nocnymi porami, w maju... Dopiero im po tylu leciech zapachnie ziemia... Była, powiadał ten kamrat, góra znaczna w tych miejscach, to stamtąd pierwszy raz dojrzeli daleki kraj. Aże chłop gadać nie mógł, jak se wspomniął, choć ta i twardy w sobie na potęgę! No, dobrze. Jadą oni, jadą gościńcem, noga za nogą, cicha noc, a ma się na świtanie. Szedł na szpicu kapitana Fijałkowskiego oddział. Aliści traktem pędzi wprost na nich jakisi oficer wysoki ze sztabem. Wleciał obces między szeregi, patrzy po twarzach wielkiemi oczyma, gorąco od niego bije.— Coście są za jedni ludzie?—pyta się—skądęście się tu zjawili?

Kapitan Fijałkowski mówi mu spokojnie: tak i tak, że są, powiada, jeźdźce polskie, że idą wprost z Neapolu do Lignicy. Dopiero ten generał odkrywa mu się i powiada, że nie jest kto inny, tylko sam Lefebvre-Desnouettes.—Przez Wszechmocnego Boga jesteście mi, powiada, na ratunek zesłani. Ja przecie z Prusakami bitwę pod Kunt toczę. Samego mię tu, mówi, zostawili z Sasami, z Bawarami. Sasy mię podle zdradziły, nie chcą się bić z Prusakami, a Bawary, choć się i bronią,

ale rady dać nie mogą. A tu, powiada, Wrocławia mogą dobywać, a we Wrocławiu książę Hieronim ma kwartę. Brońcie mię, Polacy! Fijałkowski mu rzecze na to: Dobra! Prusaków łupać—o jej!

Pułk już się był rozkwaterował w Lignicy, więc i no skoczą, zatrąbią wsiadanego:— Na koń! Wiara myślała, że w mieście gore, czy ki dyabeł, bo o nieprzyjaciółach nie słyhać było w tej stronie. Ale w siedm minut pułk stanął w strzemionach, jak mocny, stary las dębowy. Wyszli w kłus traktem ku miejscu tak nazwanemu Jauer, a stamtąd na rozstajne drogi od Wrocławia i Lignice. Akuratnie nadciągną Prusacy do tego miejsca pościgiem, a w wielkiej sile. Mieli okrągłe pięć tysięcy doborowej piechoty, mieli armat sztuk dwanaście, a prócz tego huzarów swoich tabaczkowych szwadron, a prócz tego bośniackich pikinierów konnych to samo szwadron.

Dzień się robił. Generał Lefebvre stanął, w pierwszym szeregu ułańskim. Szedł przed nim kapitan Fortunat Skarżyński, a prócz tego byli tam starzy znajomi: był Hupet, był Szulc młodszy, a z poruczników—Rybałtowski, Błoński, Dziurkiewicz, Leńdóchowski, był brat wachmistrz, stary wyga, Pruski i drugi Skarżyński. Pierwszy i trzeci szwadron polski skrócił cugle. Broń do ataku! Runą w Prusactwo z kopyta, po polsku, co duchu w szkapach. Lancami psubratów—durch! Ich tam generał wystawił na pagórku dwanaście swoich armat i dawajże w drugi a czwarty szwadron, co im z boku, polem, zachodziły...

Ale gadki! W jednym momencie konnica pruska, dragony, huzary, bośniaki na łeb, na szyję, w drzazgi!

Wgnietli toto impetem jedno w drugie, że ich własne konie stłamsiły, skłuli piechotę lancami, wyłupali, jak oko, dwanaście armat ze środka szyku i odstawili w tył, poza swoją linię, dwanaście wozów kiesonowych to samo, cztery tysiące piechurów w niewolę i wszystkie, jakie ino były, bagaże. Dowódca tych Prusaków, jakisi ta Anhalt, na koniu w te pędy uciok. Dwóch pacierzyby nie zmówił, już ci było po całej batalii. Broń piechurów w kozły złożona, jeźdźcy na ziemi, łapy po boku. Nim się dzień wysoki podniósł, już ułani siadali na koń, żeby do Lignicy iść spać. Dopiero jak ze wszech piersiów buchnie nasza pieśń! Za to wszystko ich ten Hieronim tak pokochał. Pójdą tera gościńcami...

— Dokąd?

— Gościńcami, za cesarzem.

— Ale dokąd?

— Bić się i tyła.

— Gajkoś! Toć tu...

— K, mnie tu śmierdzi między onymi, z prze-proszeniem, kapitanami, porucznikami, a choćby też i pułkownikami. Panie odpuść! Pułkowniki... Nic ino pułkownik na pułkowniku, a za nim parobey od gnoju. Widziałem przecie na własne oczy jednego, jak wziął spychać kurek karabinowy garścią, z góry, a tak szczerze, aż go i urwał. Pyta go się starszy delikatnie, czemu nie strzyla: A jakże, pada tamten, bede strzyłoł, kiej mi się kurcoba urwała? Dopiero mu w batalii pokazują, że nie trza kurcoby z góry pchać, ino za cyngiel leciuszko pociągnąć, to samo strzeli galanto. To się przecie tak zdziwił i zamartwił, że mu aże gęba otworem stanęła. Takie to chytne wojsko.

— Nie obmawiaj, nie obmawiaj, stary włóczykiu!

— No, ja ta idę do wiary, do swoich. Co mi tu za niewola ziewać z nudów! Z nas każdemu sto bitew stoi w pamięci. Taki se Pawlikowski! W trzeciej jeich kompanii służy pod Fijałkowskim. Sam, jucha, na syn-gieltona wziął w niewolę 57 szwabów piechotnych. To przecie wojska się zadziwiły i od kraja do kraja trzęsły ze śmiechu. Chciał go Moreau generał dowodzący na-tychmiast oficerem na placu mianować. Natychmiast powiada mu, wdziwaj szlufy, przypasuj szablę oficer-ską. A na to Pawlikowski jeno ramionami wzruszył i powiada: *Ne se lir, ne se krir, ne pe ofisie...* Nagradzaj-że go! To mu dopiero karabin jakisi frymuśny przysłali z okuciami ze srebra i z napisami długimi we figlasach, jako że jest rycerz nad rycerze... A bo to jeden jedyny? Kuźden widział na cczy świat szeroki, ziemię Włoską, ziemię Francuską, Niemce, góry, morza, wielkich bohaterów i straszne dzieła wojenne. Cóż mnie po tem, żeby mi miał bele fątel przewodzić, co jeszcze od smrodu prochowego pocziwie nie kichnął!

— Taka to subordynacya!

— Jak jeno do Kalisza przyjdzie, zaraz idę do szefa i wykładam. Tam i oni w tym Kaliszu mieli mieć swoje depot. Dopóki my instruktorami — a no to uczyć toto ciaciastwo dzień dnia. A tera pokój! Wyborowa kompania—śmiej! Jabym im pokazał wyborową kom-panią, toby się w mysie dziury zmieścili ze wstydu. Niechże ich ta uczy, kto umie. A ja nie dyrektor. My są rycerze. Ja bez wojaczki, jak siodło bez konia. Jesz-czebym się rozpił, albo, czego Boże zachowaj, obabił...

Po chwili szeptał jeszcze ciszej:

— Paniczu! chodźwa se oba... Z was będzie rycerz. Przecież widział waszą jazdę i złożenie. Od małości woma noga stawiała w strzemieniu. Zmarnują waju te guwernery.

— Niema strachu.

— Jakem spojrział na ubiór tamtego kamrata, na moderunek, na pałasz — Marya!

— No?

— Takie same mają barwy, jakie my jeszcze w 1802 roku we Vigevano dostali, granat z żółtem. Czapka na łbie wysoka, granatowa, sukienna, pikowana. Przy niej białe kordony. Kita! Tyla! Na fronsie ma półsłońce z orłem.

— Z jakim?

— A dyabli go ta wiedzą z jakim!

— Z francuskim, bo to przecie nie polski pułk.

— Jużci pewno, że z francuskim, bo ze skarbu cesarskiego będą dzień dnia dziesięć su lenungu brali. Orzeł, mówię, a nad nim dwie lance skrzyżowane. Ten jeszcze mój komiliton był z kompanii grenadyerskiej, to miał przy czapie kitę czerwoną, jak ogień. Kurka na nim granatowa, Panie święty, jak ulał, a wyłogi, rabaty, wypustki i lampasy na paradnych spodniach precz wokół żółte. Guzików ma u kurty dziewięć okrągłych a wypukłych. Huzarskie im tera guziki dali, odmienne od naszych dawniejszych. Spodnie paradne ma do samych kostek, na buty wykładane z dwoma lampasami żółtymi, a na codzień ma ci znowu szare rajtuzy z jednym lampasem granatowym. Codzienne rajtuzy wdziewamy, powiada, zimowym czasem, na tamte paradne, a zapinają się z boku nogi na ośmnaście gu-

zików. W deszcz, w plutę jedziesz jak w futerale za-
pięty. Nie przemokniesz, choćbyś i chciał. Oficer ma
płaszcz granatowy, okrągły z białym kołnierzem, a żoł-
nierz ma płaszcz biały, obfity, bez rękawów. Róg prawy
zadasz na lewe ramię, toś jak w kołdrę zawinięty. Trzy
doby możesz na ulewnym deszczu stać! Strasznie to
piękny strój... Żołnierz ma ci akselbanty z lewego ra-
mienia, żeby mu w robocie lancą nie przeszkadzały,
oficer ma je z prawego ramienia. Pendenty z białej
skóry, klamry żółte. Na pendent ma jeszcze pas niciany
w pręgi białe z granatowem. Oficerski strój tenby do-
piero paniczowi śpiłował! Na paradę ma oficer szarfy
srebrne, ładownicę przez piersi. Czapraki na siodłach
mają ostro ścinane, z huzarska, granatowego koloru.
Wypustki na nich żółte, a galony znowu srebrne. Na
tylnych rogach cesarzowa litera z koroną.

— Gadaj-no: a lance jakież?

— Lance mają niewysokie. Nie włócznie ci to
nie dzida, nie pika, nie kopia husarska, ino broń ściągła,
prędka, do dłoni, do prawicy wraz. Letka! pięć łokci
będzie miała. Jak rosły chłop stanie w czapie, tylec na
ziemi postawi u nogi, to ma chorągiewkę tej lancy nad
samem denkiem czapy. Chorągiewki mają jako i my,
gładkie, białe z czerwonym. Od tylca ma lanca piękne
okucie. Pośrodku ma temlak z białego rzemienia do
zakładania na przedramię. Przy obu strzemionach stoi
otworem i czeka na tylec lancy tulejka, trokami do
puśliska przymocowana. Bije się w pałasze, to lancę
rzuci w lewą tulejkę. A pałasze mają sieczne, z żółtymi
jedlcami. Temlaki przy nich z białej skóry... Paniczu,
waby pasował okropnie ten lancyerski strój!

— Próżno mi pochlebiasz.

— Po sprawiedliwości mówię... Abom to nie widział? Na koniu siedzi, jakby go mutrami przykręcił sam towarzysza obrządzi, rozsiodła i okulbaczy, jak rąta, i jeszcze dotychczas nawet nie sierżant, jako że jest niedbający. Są w naszych szeregach takie niedbające chłopcy. Nie małym ich widział. Bije się na śmierć, kuźden trud śmiertelny zniesie, zginie bez jednego słowa. Choroba wie, co to za ludzie są takie! Nie jednemu już, mówię, napotkał we włoskich legiach, a dotychczas nie wiem, skąd się bierą.

A są i inne. Będzie ci jechał na szkapie, jak Żyd z obwarzankami, nie wie na żywy Bóg, co zganić, a co pochwalić w glicie, ale odrazu z niego kapitan, bo ma folwark w tej samej parafii, co grosmajor. A my między obcym narodem szewrony brali. Dopiero jakieś czterem, pięci nacyom pokazał sarmackie męstwo, a najstarszych wiarusów zdumiał, że japy rozdziawiali i szmer szedł między pułkami, dopiero jakieś dobre imię a honor całego legionu podwyższył walnym uczynkiem, dopiero ci ten galonik naszyć kazali. Nasze sztaboficery z prostej wiary wyrosły. Paniczu, chodźwa w lansyery!

— Cicho!

— Co náma! Abo nam to potrza złota-pieniędzy? Za ten grosz miedziany lenungu wszędzie kupi torbę obroku, wiązeczkę siana, skibę chleba. Wszędzie wedle białych gościńców studnię napotka. A nieraz, prosty jeździec cesarski takie wina pijesz dzbanem jakich królowie skąpią królom na ucztach...

— Ale dokądże to chcesz iść, stary waryacie?

— Dopokąd on, paniczu, świata jak się patrzy

nie oporządzi, wara nama ze strzemięcia nogę wywłóczyć! Gdzie on, tam i my. On zażywa wczasu-spokoju — i nasza wiara śpi. A skoro on na koń siada, będziemy to spać? Tak starzy powiadali. Nie bele kto, paniczu! Tacy, co już padli w krwawym boju twarzą na ziemię, a teraz w obcych ziemiach bez krzyża — pamięci i bez imienia leżą. Aboby to mogło tak być, żeby w tem żadnej sprawiedliwości nie było? Po obcych piachach one trupy rozwleczone na darmo? Abo my to nie przyszli do swych strzech, w te lasy, gdzie ino trza? Z końca świata my przyszli, bo słowem wodzowem poprzysiągł. Obejdziemy ziemię het — precz, porządek zrobimy i dopiero znówuj do ziemie, ale już wtedy ostatni raz na dobre. Tak starzy powiadali...

Natarczywe podszepty starego wachmistrza były dla Cedry ową wagą śróciny, która czułą szalę przechyla. Niezwyciężony wstręt do obłudy życia wiedeńskiego, gdzie zmiażdżona duma szarpała duszę na strzępy — popychał do kraju prostackich marzeń żołnierza.

W Kaliszu obadwaj z Gajkosiem podali się o uwolnienie z rycerstwa i prosili o translokację do lansyerów. Długo ich odwozono od tego kroku, wynikły różne korowody służbowe, ale koniec końców w październiku przedostali się do twierdzy w Koźlu, gdzie się szwadron lansyerów, złożony ze starych legionowych wiarusów, znajdował. Był to tłum wąsalów, ogorzałych wyjadaczów, mocarzów, cyników i poszukiwaczy wszelkiego rodzaju awantur. Cedro musiał się tego wkupić do glitu i najeść rozmaitych szykan, nim go przyjęto. Stare wygi niechętnie widziały między sobą młokosów, a osobliwie »cnotliwych«, entuzjastów. Za

to dla Gajkosa znalazło się miejsce otwarte i nadzieja prędkiego awansu.

W początkach zimy przyszedł rozkaz wyruszenia ze Śląska i maszerowania do Osnabrücku, gdzie była kwatera pułkownika tego regimentu — Jana Konopki. Stamtąd wymaszerowano do Westfalii. W Erfurcie kompanie, z różnych stron przybywające, otrzymały jednostajne umundurowanie i wszystkie w tem mieście przepełdziły zimę. Znaleźli się tam oficerowie wyżsi i niżsi, zgromadzeni z pod różnych znaków, starsi i młodszy, wywodzący się z dawnej kawaleryi, a nawet i z piechoty. Przybyli tedy — Ignacy Ferdynand Stokowski, Jaraczewski, Klicki, Telesfor Kostanek, Routier, Pruszek, Prendowski, Wincenty Konopka, Augustyn Przyszychowski, Adam Hupet, Wincenty Walewski, Szulc, Kajetan Stokowski, późniejszy plutnik pułkowy Gnatowski, Linkiewicz, Kazimierz Tański, Rybałtowski, Skarzyński, Porycki, Fijałkowski, Oyrzanowski, Trzebuchowski, Górecki, Niezabitowski, późniejszy adjutant pułku Moszyński, Leszczyński, Piotr Doliński, książę Woroniecki, Jagmiński, Kajetan Woyciechowski, Józef Bogusławski, Luzignan, Jan Nestorowicz, Topolczani, Jagielski, Szarski Antoni, Dziurkiewicz, Karłowicz, Ledóchowski, Ulewicz, Ambroży Borakowski, Rostkowski, Wojciech Dobiecki, Stawiarski, Korytowski i inni. Między prostymi żołnierzami wielu było posesyonatów i szlachty zagonowej. Między innymi zabłąkali się tutaj, idący w tropy Gajkosa i Cedry, dwaj Kuleszyńscy.

Na wiosnę roku 1808 zorganizowany pułk wyruszył w wielki marsz — aż do Bajenney. Szedł przez Gotha, Eisenach, Fuldę, Hanau, Moguncyę na Méziers,

Charleville, Paryż, Mans, Alençon, Bordeaux, Dax... Po przebyciu w końcu kwietnia szerokich łąk Garonny pod Langon, minawszy obszary piasków ziemi Guienne i Gaskonii, lasy dębu korkowego pod Roquefort, a kasztanowe dąbrowy pod Mont de Marsan, weszli w departament des Landes, w smutne i usypiające piaszczyste pola. Piechota płynęła na łodziach i tratwach rzeką l'Adour, toczącą swe fale po lewej ręce odwiecznego traktu na Tartas i Dax. Konnica szła zwolna owym gościńcem. Była to droga ponura, nie rozweselona ani jednym widokiem łaskawszym.

Krzysztof Cedro w ciągu tych długich, kawaleryjskich pochodów, od brzegów Niemna do brzegów Garonny, ogorzał, rozrósł się, przytył i zcherstwiał na duchu. Zginał, jako osoba, w szorstkim i grubiańskim tłumie żołnierskim, zamknął się w sobie i umilkł. Był wciąż bez troski, wesół, dobrej myśli, zajęty żołnierskimi sprawami. Ale w istocie rzeczy jechał w najzupełniejszej samotności. Pochody były nocne. Gdy przed zmierzchem rozlegało się trąbienie — »na koń« — gdy szwadrony ludzkie wrastały w kulbaki, a pułk się zbierał, formował w kolumnę i wolno puszczał w drogę, Krzysztof poczynął żyć. Oddziały, znużone za dnia czyszczeniem koni, rewizyami wachmistrzów, reparacyami rynsztunku, kuciem koni — spały twardo na siodle. Spali ludzie, od chłodu nocy wiosennej zawinięci w swe płaszcze, i spały wędrujące konie. Noga za nogą szedł senny pułk topolowemi alejami »słodkiej« Francyi. Szaro błękitne obszary pól zwolna, zwolna ginęły w łagodnem, kwietniowem zaśnieniu dnia, w uroczym zmierzchu. Odległe domostwa z szarego muru wieże kościelne, fermy i miasteczka, stare

zamki i lasy, chłoneła w siebie cicha, spływająca noc. Ziemia stawiała się zwolna jakoby rzecz niebyła, jakoby lata przeżyte, jak sen odegany przez rzeczywistość. Jeździe przestwór, napełniony powietrzem przeźroczystym, tętnący jeszcze ledwo umilkłym śpiewem skowronczym, jasnością dopiero co zgasała młodych ról — świadczył o tem, co było. Ostry i mokry wiatr polny, ciągnąc za sobą ku nozdrzom zwiwną i uśmiech nęcącą mgłę woni fijołków — nie dawał młodemu twardo zasypiać. Nieskończone aleje topoli, które już nowe na się listki oblekły i nowem zadrgały życiem — głosiły szelestnym szumem o wiecznej sławie. Szelest ten duszę przenikał. Zdawało się, że słysząc w nocy pogwary przedwiecznych, wędrujących hord, że to modlitwy wieczorne Gotów, idących w Ibery, słysząc o zmroku. Idą w pylnych polach Gaskonii na zachód, na zachód wiecznego słońca. Brną z ciemnych i wilgotnych puszczy, z ponurych płaszczyzn bez imienia, z za rzek tysięcy, z za gór Germanii w tę stronę, gdzie słońce z niebios w morze zstępuje. Ku wiekiystemu idą słońcu... Czyżże ich bież wygnał z leśnych legowisk, które mocnymi barkami wydarli byli zwierzętom? Czy ich wróg, od wilków i żubrów mocniejszy, wygryzł z dziedziny. Któż przed nimi niesie buńczuk grabieży, hasło gwałtu, zbójcecki miecz? Wstali z ciemności ziemskiej, jak wstaje ogromny bałwan na morzach, wydzwignęli się nad obszarem milczącym na obraz chmur szarańczy, ciągną z szelestem, jako chorągiew nieprzemierzona młodości i siły. Brną w piaskach, idą w bród przez rzeki, ciekną przez lasy. Zeżrą owoce cudzego posiewu u brzegu mórz ciepłych i niebieskich, porwą żony i córki nieznanych plemion i zasiadą na wzgórzach wonnych cyprysa, mirtu i pomarańczy.

— Idziemy szlakiem Karlomana Wielkiego — marzył Krzysztof. — Od Niemna za Ren, z dziedzin niemieckich w ziemie Celtyberów. Szlakiem Cesarza...

Nigdy Krzysztof cesarza na oczy nie widział, lecz teraz w nocach wędrowania zdawało mu się, że go zna dawno. Ów wielki cesarz, jak w pieśni, co tysiąc lat przespała — bardzo był stary — dobiegł już kresu — liczy na pewno z górą lat dwieście. Po tylu krajach włożył już stopy, tyle swą tarczą odparł pocisków, tylu już królów przywiódł do nędzy... Kiedyż go znużą te krwawe dzieła?...

— Przenigdy! — szepcą młode usta, odpowiadając szumowi drzew.

— Aż się ludowa wypełni wiara i spełni swoje...

Oto minęli już seciny rzek, szumny i zgiełkowy Paryż, sto miast, wyszli w płaszczyzny gaskońskie. Gdy nastawał poranek, widzieli przed sobą zrazu w mglistem niebie, a później coraz oczywiście, jakoby odległe chmury.

Lecz chmur owych wiatr nie rozwiewał. Stały i stały. Żłociste po nich snuły się szlaki, ciemne szły doły.

Senne zastępy żołnierzy wskazywały sobie nawzajem ów kraj daleki, wołając, że wreszcie widać Pireneje. Cedro wlepił w dal oczy i szukał w górach swej drogi.

— Roncevralles! — szeptał, uśmiechając się do jasnych widziadeł pieśni owej, co uszła cało, gdy ludy wraz ze swemi dziejami zginęły. Błękitne widziadło gór było piękne, jak sama pieśń o Rolandzie. Stało zamglone i niepewne, jak ona. Oko skwapliwie chwyciło

kszałty, z trwogą śledząc, czy się nie rozchwieją i nie rozejdą między chmury. Z onych to gór podniebieskich wylata gromowy głos rogu Rolanda:

— »Przyłożył Roland do ust róg złoty — potężnie z całej mocy uderzył. Zadrżały góry, trzęsą się skały, — dźwięki bojowe lecą wirchami. Z taką boleścią, z taką potęgą waleczny Roland zadał w róg złoty, że krew czerwona z ust mu buchnęła, że mózg rozsadził żyły na skroniach. Lecz huk przeleciał za góry, lasy...«

Serce drżało w Krzysztofie. Żądza czynów, czynów Rolanda i Turpina, które się śmiercią własną wyważyła z nicości, czynów, co się w nich rozkochują pieśni wiecznotrwałe i piękne wiecznie, czynów, oplecionych przez bluszcze legend, a przez westchnienia pokoleń zmienionych w baśnie — płuęła w jego duszy. Jechał na koniu, śniąc na jawie. Śniły mu się słowa dawno zapomniane, z kraju niewiadomego płynące:

--- »Kiedy Karloman szuka Rolanda, widzi na łące kwiatów kielichy, sperlone w krople rosy czerwonej. Serce mu ściska boleść straszliwa, lecz łzy nie ujmą piersiom żałoby. Pod cień król sosny przyszedł zielonej, podnosi oczy, patrzy: na górze mieczem rąbane szczyty w marmurze. Wtem na murawie postrzega ciało! Serce królewskie z bólu truchleje. Biegnie i dłońmi, jak liść drżącemu głowę Rolanda podnosi z ziemi, a sam przy zmarłym bez zmysłów pada...«

Duma, w której mrokach knują się, kłębią i przewalają olbrzymie a jeszcze mgliste zamiary, wypełniła mu piersi. Uczucie męstwa przejęło i skrzepiło wszystkie niezwalczone żądze, duchowe porywy, podobnie, jak czyste i żyzne powietrze gór umacnia ciało.

W pierwszych dniach maja konnica legii nadwiślańskiej stanęła w Bajonnie. Cesarz mieszkał tutaj w zamku Marrac i trzymał przy sobie królów hiszpańskich: Karola IV, oraz Ferdynanda VII. Masa tu było wojska, a kraj pusty. Zuchwałe Gaskony nawet pod okiem cesarza skąpiły dostaw. Osobliwie paszy dla koni nie było w okolicy, ani nad rzeką Nive, ani nad Adurem.

To też, gdy weszło do miasta blisko tysiąc koni lansyerów, które tu miały dłużej popasać, intendenci potracili głowy. Zaraz następnego rana wysłano kompanię ułańską dla furazowania i dostawy paszy aż za Saint-Jean de Luz, na podgórze, w departament des Basses Pyrénées, pod samą granicę hiszpańską. Miały tam już być bujne trawy. Krzysztof Cedro, jako żołnierz, władający doskonale językiem francuskim, przeznaczony został do tej dostawczej kompanii.

Wyszli, ledwo, ledwo z kurzu obmyci, nie obejrzawszy miasta. Ruszyli starą drogą w kierunku na Irun. Po prawej ręce mieli wciąż jeszcze diuny, wzgórze piasków, zasłaniające świat, posępne półokrągłe zwały i fale, które gdzieniegdzie słabo przesłaniała krzewina tamaryszku. Idącemu w znużeniu oddziałowi przypomniął się jałowiec rodzinny. Za Saint-Jean de Luz już łańcuchy górskie zabiegały z lewej strony, sięgając aż do Ustaritz. Zmierzch się zbliżał, gdy oddziałek wyjechał na pierwszy wyniosły zakręt drogi. Chłód blizkich gór powiał.

W blasku zorzy wieczornej ujrzeni całkowity łańcuch śnieżnych Pirenejów. Stała przed nimi na południu niezmierzona ściana, stromemi przepaściami waląca

się w dół, jakby ją piorun na poły rozłupał. Na zachodzie wlokła się nieskończona linia gór Kantabryjskich, stawała się smugą, modrem zamgleniem błękitu nieba, jakoby snem patrzącego oka, aż wreszcie wymykała się z niego, ginąc w nicestwie oddalenia. Blżej ciągnęły się ciemne, granatowe regle, niezmiernymi lasami sosny nadmorskiej okryte, kraju Guipuzcoa.

Przed oczyma sterczał na skalnem zboczu zamek i chropawe mury twierdzy Fuenterrabia. Ciemna, czerwona, okrągła wieża zamku porwała wzrok Krzysztofa. Była dziwnie straszna owa samotna wieża na wysokości. Stanął na miejscu i patrzył w nią, zaczarowany przez milczące jej dzieje, przez dziką a tak niewymownie piękną zuchwałość. Słońce zachodu uwydatniało ją całą, starą twierdzę, której mury krew tylekroć zboczyła.

Krzysztof stał na koniu. Olśniony od majestatu gór, nie mógł się ruszyć. Przytłukła go myśl-uczucie, myśl-cześć.

— Jakże wielkim, silnym i potężnym jest człowiek! — myślał namiętnie. — Ileż uczynił na ziemi! Te niezmierzone skrzydła gór, których prędkimi oczyma objąć nie sposób, wziął krótką ręką swoją w posiadanie, zamknął je w jedną ojczyznę. Nad niezgłębioną przepaścią i ponad najwyższym szczytem rozsiadła się jego wola. Fuenterrabia, rozparta w milczeniu na podścielisku gór, była, jak znak orła łomignata, czy sępa lwa, czy wilka, wykuty w niezmiernej tarczy herbowej.

— Ileż on znaczy! Ile w sobie mieści! Ibery... Celty... Gotowie... Rzymianie... Maury...

Niezmyślony zachwyt wynosi z głębi duszy imię ukochane: Viriates!

Mężowie, niewiasty i dzieci miasta zgłodzonego Numancyi, po którem nie masz nawet miejsca, nawet okolicy, nic, prócz imienia i wiekuistej w ludzkich plemionach sławy... Wielki, płomienny siłacz—Diaz Campeador Cyd... Cristobal Kolumb... Ferdynand Korteż i straszliwy Pizarro...

Zmierzch wolno padał na góry. Cedro spał konia ostrogami i popędził za oddziałem. Wyjechał zygakiem na jedno jeszcze załamanie drogi. Stała tam wioska, złożona z kilkudziesięciu murowanych domostw. Żołnierze zsiadli już byli z koni i niecili ognisko, nosząc na nie ze wszech stron drwa i suchą mierzwę oślą. Krzysztof umieścił swego konia przy żłobie w jakiejś pustej stajence i poszedł za wioskę, żeby się jeszcze lepiej przypatrzeć. Zbliżył się do skał, ograniczających półko zasiane, i stanął nagle w zdumieniu. Od jego piersi spadała pionowa ściana, a od jej podnóża ciągnął się w nieskończoność—ocean.

Krwawy puklerz słońca zapadał prędko za wzdętą i wyniosłą pręgę. Tam daleko, tam nieskończenie, tam za oczyma — to także ocean... Olbrzymie granatowe lechy, poradlone szaremi skibami, stały się na całej długości, ciągnęły się wszcz. Znikała szybko barwa ciesząca oczy i pozostawał z falami jednolity zwiastun nocy. Stamtąd, gdzie tonęło słońce i płonęły jeszcze jego krwawe zorze, szedł po wierzchu zebrania wód białawy półbłysk o metalicznej, bez lśnienia, zimnej i odpychającej barwie cyny. Fale, wynurzające się stamtąd, nie miały już cieniów i barw w sobie złamanych

Były ciężkie i jednostajne, niby z jałowego metalu. Nurzały się w sobie coraz szybciej te skiby i brózdy wodne, jedne w drugie wchodziły i pożerały się wzajem, bez końca. W szerokim ujściu rzeki pogranicznej Bidassoa, zamkniętem między przylądkiem św. Anny, od skał najeżonym i śliskim, a hiszpańskim już Cap du Figuiet—zwolna wlewały się fale na ławice niskich piachów, dążąc bez ustanku a niepostrzeżenie aż pod same mury Fuenterrabii. W oczach żółte niziny i brzegi rzeźbione stawały się niczem, topniały i ginęły. Wnet przemieniły się w morze. Twierdza francuska Hendaye na tej stronie zatoki ukazała się na brzegu morza, kiedy niedawno stała wśród rozległej płaszczyzny ziemskiej. Nad zielonkowatym obrusem wodnym unosiły się teraz z piskiem rybitwy. W skalnych zatokach, w żółtych ostojach, między wapiennymi nogami skał nadbrzeżnych, w przesmykach najeżonych wypróchniałymi zębami, rozszerzał się tuman nieruchomy. Nigdzie wesołego żagla, ani trwożliwej pracy wiosła...

Skały tylko naokół trupio szare, złupione przez czas i plutę, wyssane przez wody, z dziurami, jak w zeschłej gąbce. W płowej ich masie, w chropawej odrażliwości lśniły się pod zorzą białe żyły marmuru, kryształu, czy soli, wypukłe, jakoby sieć spleciona badyłów i kłaczów dawno uschłych i zaginionych porostów morza. W szczelinach, przepęknięciach, dziurach i niedostępnych lochach dogorywała ostatnim połyskiem, barwna jeszcze od zorzy, a w rzeczy stęchła, gęsta i gnijąca woda, karmicielka mchów żółtych i szarych pnączów. Z daleka od brzegu i calca skały tkwiły w morzu odosobnione pnie kamienne, zębate szkopały i wy-

datne bryły. Zdało się w zmierzchu, że to chropawe skorupy olbrzymich żółwiów, że to krokodyle uśpione, że to kadłuby zabitych i zwalonych słoniów, hipopotamów, czy nosorożców z wyciągniętymi członki, ze skłębionymi zwojami trąb, łbów i karków. Bliżej lądu dźwigały się z brzegów jak gdyby zwalone baszty zamczysk, posępne ruiny kościołów, które zburzyło najście barbarzyńców. Sterczały, zamierzając się na morze, spiżyste urwiska i zręby rozwalone — ni to siekiery, ni to młoty i piły poczwarne koczujących w zaraniu świata plemion ziemi, ni to groty spis, dęta, widły, osęki...

Wypłynął z głębi gór biały, jasnośliczny, ostro zarysowany wietek księżyca na pierwocinach nowiu i brzask swój pylny, sypki a nikły z mroku począł wywijać i siać na topiele oceanu, na szerokowładne przestwory wodnej równiny. Wygaśł powoli ostatni przebłysk dnia...

Ciemna schodziła noc. Niewidzialne w niej zgonne odmęty poczęły szumieć. Na rozłogi bez granic zstąpiło srebrzyste światło, tworząc jak gdyby szlak i drogę prostą do tajemniczej a niezgłębionej ciemnicy oceanu. Poszła tą drogą za oczyma uniesiona myśl człowiecza, sama jak błędny, mistyczny pył blasku księżyca. Poszła w śródmorze, w samotnie zjednoczenia wód. Stała przerażona między otchłanią nieba a przepaścią chłonącą oceanu—otoczy świata. Głębia pod nią wody, sześć wiorst licząca od powierzchni do dna. Noc nad nią ciężka.

Lecz oto jedno słabe a pożądliwe lśnienie księżyca... Wzruszą się wtedy wody! Dźwignie się z ciszy powierzchni, nieruchomo nad bezgruntem leżącej, ol

brzymi wał. Powstał z odumętu żywy balwan. Skrzekami trzepie w topieliska, pluszcze ogonem. Łeb jego ostry uśmiecha się w pięknym blasku wiecznej Seleny. Schyla się gruby kark, a grzbiet kudłami pian porasta. Wydarł się z wód, wyciągnął w górę aż do granicy ostatniej, kiedy ciężar jego ślizkiej bryły stał się równy sile ciągnącej nikłych promieni. Wówczas olbrzymie cielsko zachwiała się w swojej posadzie: potworne łapy, wielkie pletwy brzuchowe rzuciły się naprzód i cały kadłub skoczy i popędzi w ślad za białym rogiem miesięcznym.

Powtóre, a stokroć głębiej, rozpadnie się na dwoje ciemne odchlisko na obraz kłębu źródła, któreby było z gruntu mórz. Rozwali się płaszczyzna i wstanie z niej balwan. Wyciągnie posłuszne barki w stronę słońca, co w morza Zachodu zstąpiło, a którego droga ku ziemi zeszła się teraz na nowiu, w jedno z drogą księżyca. Te dwa węłny morskie wychyną jeden za drugimi: otworzeliska przepaści, roztrąca płynne łoże swe i pociągną szereg następców nieprzeliczony. Staną się wszystkie, jako lotne wydmy i biegnące pagórki: poczną ścigać się po okręgu ziemi, biegnąc ze wschodu na zachód za blaskiem zwiewnym księżyca. Z kolebki oceanu wypadną między szumne rozcieki mórz na północ i południe, na wschód i zachód. Popędzą w swoją drogę nad przepaściami, szybciej od zbieganych koni, gdy skoczą galopem, na przekór biegowi ziemi z zachodu na wschód: lot jej wieczny otamują i zwolnią zdyszanymi pierściami. Wyniosłe czuby i grzebienie ich łbów, grzywy ich karków rozbiegną się po rozdołach mórz i ocean stanie w pianach, siwy wszystek. Ten jest

dzień syzygiów na nowiu, doba wód zzieleniałych. Dwakroć dziennie zalew wychodzi z upustów swych i nosi wody spienione, tłukąc się i kołając po brzegach ziemi suchej. Taka sama nastanie pora czasu pełni, gdy słońce i księżyc zjawia się na przeciwległych biegunach i gdy pociągną nurty mórz we dwie strony, każde ku sobie. Trzykroć większy wstanie wał słońca, niż wał księżyca. Dwutygodniowa praca mórz skończy się wówczas, gdy rozejdą się drogi ciał niebieskich i księżyc zaświeci w kwadrze. Wtedy rozdzielają się wielkie ruchy fal, w różne się strony rozchodzą i cichnie żywioł. Fala, dźwignięta z oceanu przez księżyc, strącona zostaje ze swej podstawy i powściągniona w siłę przez władzę kierowniczą słońca, stokroć możniejszą od księżycowej. Gdy nadejdzie doba porównania dnia z nocą w porze wiosennej i druga w porze jesiennej — wzruszą się i zbełtają fale dwakroć wyżej. Zahuczą wełny, sieczone basiorami tego samego wichru, które ich skoki z nicości i ciszy wywiodły. Pienistym i głuchym szumem ubielą się skały. Ryczące prądy runą w wąwozy między nadbrzeżnemi wantami, rozszarpią piersi swe o kły samotnych szkopułów, po całych nocach szlifować będą opoki najeżające dno zatok. Pianą i jękiem napełnią się skalne pieczary. Powstaną wiry, zakręty wodne i prądy śmiertelne w kotłach skalistych między pionowymi łańcuchami zatopionych gór. Wyjdą wreszcie rzeki morskie najwyżej, stworzą sobie wyłomy, przez które wali się zdradziecka napaść odwiecznych sił i klęska. Rozszerzy się najwyżej szlak możnego morza, rozniesie ciemność, strach i jęki po krańcach portów i ujściach rzek,

Krzysztof Cedro stał sam jeden w ciemności i nie mógł odejść, zaczarowany przez gwałtowne sprawy morza. Widział z bliska fale wód żywych, o których śnił na jawie, rozuzdane i rozpasane z popręgów. Huczały przed nim, idąc z daleka. Coś, jakby szybki ryk grzmotu, dzwoniło w ich piersiach i trzewiach, gdy uderzyły o podwodne pnie. Oto bałwan jeszcze widoczny w zmierzchu nocy.

Grzbiet mu się w pałąk wygiął i porasta skłębionymi klakami, jakoby królewskiemu zwierzęciu, kiedy się w sobie do skoku zbiera. Leciał straszliwy i piękny, a wiekuiście młody od nadmiaru sił. Skoczył przez krokodyle i słonie, przez hipopotamy i nosorożce, przez podobieństwa wielbłądów i żółwiów; ścigłym podrzutem wtargnął aż na wysoki i cały ląd. Bryły wodne runęły w skalne czeluście, ćpając w nich i mlaszcząc. Zamieć wdzięcznych, śnieżnobiałych pian srebrnymi batami i niemi wycięła w najwyższy kres, a za chwilę wydała przeciągły syk, musując się na obeschłych stolnicach pochyłości, w wyssanych dziurach wapienia...

Im natarczywsza zstępowała ciemność, tem przestworniejszy stawał się głos mórz. Z dzikiego huku, ze zgiełkliwego chaosu, ze zbiorowiska krzyków rozszarpanej fali, z szelestów i pluszczeń coraz wyżej wydobył się głos goły, ni to solo dalekie, ni to wieszczba o sprawach przyszłych, ni to pienie o dziejach przeszłych. Otchłań wodna wznosiła ten psalm w przyciemnej i szarej poświacie miesięcznej. Martwej twarzy księżycy, której druga połowa nigdy się nie ukazała i nie ukaze ziemi, głosiła otchłań powieść, jak to w wie-

czności pracują fale. W tej pieśni-czynie była wiadomość, jak się co dnia wszystkie powierzchnie mórz ukazują z kolei przed martwemi oczyma Seleny. Jak posłusznie wstają z siedlisk okręgi oceanu, jak wędrują a biją w wysoki ląd, i znowu, zawróciwszy się na czo-pach swych, uciekają na głębie szeregiem opieszających i martwiejących strumieni. Brzmiała wieść-sprawa, jak morze jedne skały wyniszcza, a inne przez wieki kształtuje i ozdobi; jak jedne brzegi sępimi szpony rozdziera, a inne daleko tworzy i hoduje; jak pracowicie zamula istniejące porty, a do innych oskardami kuje wrota w rozszarpanej ziemi...

Wzmogła się pieśń. Grzmi w niej wieszczący głos o dziejach mórz i lądów. Cóż jest susza, na której człowiek rozpostarł swoje dziedzictwo i herb swojej potęgi wyrył?

W łonie się oceanu poczęła, jako płód i jednego dnia przez ocean może być zniszczoną. W łonie oceanu tworzył się jej piasek, zsiadała glina warstwami, rodziły się margle i głazy opok, gotowały wapienne skały, zrastał w tafle granit, leżący na szczytach Alp i Pirenejów. Ciałem swem okrywał ocean najwyższe wierzchołki gór. Przed zupełnością czasów wydał ze siebie ląd, jak rodzic wydaje na świat ojcowica. Rzucił go nago pod słońce, księżyc i gwiazdy, wydał słabego na hodowanie powietrzu...

ZA GÓRAMI.

W końcu maja, po trzytygodniowym spoczynku w Bajonnie, pułk lansyerów Konopki sam ruszył w góry. Szedł nie drogą na Irun, lecz krótszą, prowadzącą wprost do Aragonii, prastarym szlakiem Karola Wielkiego, na wąwozy Ronsewalskie.

Tysiąc koni pod pułkownikiem Konopką, a pod szefami szwadronów: Kostaneckim, Klickim i Routier'em. Zaraz za Bajonną wziął się na lewo idącą doliną. Ciągnęli między dwoma łańcuchami reglów na południowy wschód, przez miejscowość zwaną Macaye aż do Jaxu. Tam spoczęli na noc.

Droga stamtąd zawracała się stromo i szła na zachód w górę do Saint-Jean Pied-de Port. Już następnego dnia weszli w zawrotne wyżyny kamiennych Pirenejów przez Valcarlos. Drogi były tak wąskie, spadziste, rano ślizkie od tających śniegów, że całe to przejście musieli odbyć piechotą, konie prowadząc u pysków.

Zimno było takie, że ułani powciągali na się wszelkie odzienie, co tylko kto miał. Więc każdy żołnierz

kładł codzienne ubranie na paradny strój, a jeszcze na to wciągał lejebik stajenny z drelichu, spodnie robocze, używane w czasie czyszczenia koni, i zapinał je na ośmnaście guzików z boku nogi. Na czapki ułańskie żołnierze powciągali czarne ceratowe futerały i, odwinąwszy ich klapy, zawiązywali je pod brodę, żeby osłonić uszy i szyję od wściekłych wiatrów i przeciągów górskich. Na wierzch dopiero kładli płaszcze i owijali się nimi. Oficerowie, którym moda i junactwo nie pozwalało nakładać na czapki żółtych futerałów z ceraty, marzli okropnie. To też często rozkładano ogniska.

Żołnierz szedł od strony przepaści i pchał do skały chrapiącego bieguna z Mazowsza, który miotał się w rękę, drżał z zimna i przerażenia na widok otchłani. Kilkakroć ukazali się na załamaniach górale aragońscy, uzbrojeni we ilinty. Strzelali z daleka i, nie czekając starcia, ginęli w szczelinach czarnych, jak oni. Szef Kostanecki, idący ze swym szwadronem na czele, posyłał im salwę kul z karabinów, które oficerowie, podoficerowie i flankierzy dostali byli w Bajonnie — i na tem kończyły się starcia.

Bardziej, niż te epizody, zajmował przybyszów z Północy sam świat górski. Piorunem spadające w przepaść boki krzesanic, strumienie, co się trzepią po nagich tarczach skał, jodły i pinie na zboczach niższych, wreszcie olbrzymimi zagajami rozrosły krzew dzikiego rozmarynu, który całe doliny jak gdyby kobiercem wyściela, wszystko na cokolwiek zwrócili oczy, w zdumienie ich wprowadzało. Często nad rozległą doliną, w którą przybyli, przebywszy najwyższy przesmyk, ukazywał się orzeł i zakreślał olbrzymie koła lotem, któ-

rego szybkości oko pochwycić nie mogło. Otworzył się przed oczyma, gdy tylko wyszli ze stromych przejść, kraj garbaty od skał okrągłych, zbałwaniony od gór, kraj pochyły, stargany, leśny, idący w stronę południową na przestrzeni blisko sześciu mil.

Cedro, peregrynujący obok swego konia, dzwonił zębami z zimna, ale zarazem palił się z zachwytu. Dawało mu szczęście to przeświadczenie, że mija wąwóz Roncevalles. Zdawało mu się, że w tej chwili zdobywa ostrogi rycerskie.

W ciągu dwu następnych dni pułk lansyerów szedł leniwo i ostrożnie w dół drogami górskimi. Mijali z rzadka leżące pasterskie siedliska, w których najczęściej drzwi były pozamykane, a obozy pustką stojące. Spoczęli dopiero w Pampelunie, fortecy, zajętej już przez garnizon francuski, zostający pod dowództwem generała Lefebvre-Desnouettes'a, starego przyjaciela Polaków. Wyszedszy z Pompejuszowskiej Pampeluny w przedniej straży małego korpusu generała Lefebvre'a na południe, pułk ułański dnia 6 czerwca pierwszy raz spotkał gromadę uzbrojonego ludu. Zbiorowisko to za zbliżeniem się jeźdźców rozpierzchło się. Szli tedy dalej na Taffala, Olite, Caparoso w stronę Valtierra, miejscowości, leżącej nad brzegiem rzeki Ebro. Stamtąd droga zwracała się na wschód ku Tudeli, idąc wciąż nad samym brzegiem rzeki w jej dolinie. Dopiero w Tudeli miał być most, a z tej strony rzeki za Tudelą już ani śladu drogi. W tych to miejscach trafiono na wioskę opustoszałą. Wiara była zgłodniała, konie zmordowane, więc po rozstawieniu placówek, ludzie rozbiegli się po wsi w poszukiwaniu obroku i jadła.

Któryś z plądrujących znalazł w kościele, za wielkim ołtarzem, ukrytą pszenicę. Sypnięto jej obficie w puste żłoby. Kiedy ludzie zajęli się gotowaniem dla siebie posiłku, zgrzane konie chciwie chrupały hiszpańską pszenicę. Nazajutrz dały się słyszeć strzały placówek. Pułk zerwał się na nogi. Gdy zaczęto siodłać konie, spostrzegli wszyscy, że wierzchowce wstawać nie mogą. Jedne z nich, podźwignięte, stały z trudnością i nie były w możności utrzymać się na przodach kopyt. Kopyta ich były gorące, jakby pełne ognia. Dzielne rumaki wysuwały teraz obrzydliwie przednie nogi naprzód, tylne podsuwały pod brzuch dla utrzymania ciężaru ciała. Łby ich zwisały, a wreszcie cielska waliły się bezwładnie na ziemię.

Pomimo wszelkich środków, jak usilne wycierania, puszczenie krwi, struganie kopyt, tegoż jeszcze dnia około dwunastu koni padło na miejscu. Inne ledwo się mogły ruszyć z owej wioski. Mała armia Le-febvre'a, która szła w tropy przedniej straży, wyścignęła teraz ułanów, zdążając chyżo na wschód, lewym brzegiem Ebru, dla zajęcia Tudeli. Krzysztof musiał prowadzić swego konia za uzdę i iść obok niego piechotą. Zrazu miał kilkunastu towarzyszków, z których jedni wyprzedzili go, jadąc konno noga za nogą, inni tak samo jak on wędrując obok wierzchowców. Około południa puścił się deszcz gęsty, dokuczliwy, nie ustający ani na chwilę. Konie jeszcze bardziej słabły i sła- niały się na schorzałych nogach. Pod wieczór strapiony Cedro spostrzegł, że jest sam jeden na drodze. Nie widział koło siebie nikogo. Jedne z koni jego towarzy- szów pozdychały, inne legły bezwładnie z wyciągnię-

temi nogami. Idąc wciąż pilnie przy pysku towarzysza, spotykał te konie padłe, leżące bez siodła i uzd. Tem staranniej i prawie z rozpaczą pilnował swego. Szedł coraz wolniej, byleby go nie utracił na drodze. Koń trząsł się z gorączki, stawał na piętach kopyt, słał się i rżał głucho. Jeździec poszarpał swoją koszulę, podarł na pasy i użył ich na bandaż, którymi obwiązywał mokrą glinę na kopytach. Miało się ku zachodowi, gdy rumak zachwiał się i runął bezwładnie nad rowem drogi. Zębami gryzł ziemię, nozdrzami miotał płonący oddech. Szarpnął się raz, drugi, trzeci. Dreszcz głęboki przebiegł go, piękna głowa głucho runęła w miękką ziemię. Ustał płomienisty oddech...

Pelen głębokiego żalu stał nad nim jeździec z oczyma utkwionemi w zmierzchłych źrenicach, w dziwnym, jak gdyby szyderczym a nieskończenie bolesnym uśmiechu pyska.

Pchnęła go w piersi ta niespodziana przeszkoda i obudziła z dumnych zamyśleń rycerskich. Przyniósł go tutaj ten wierny, kochany towarzysz z ojczystej ziemi, przeprowadził przez tyle krain na jawie i przez taki ogrom widzeń, miał zanieść go do miejsca sławy... Teraz śmiał się z tego wszystkiego gorzkim śmiechem śmierci.

Spostrzegłszy, że nigdzie na drodze niema towarzyszków, a noc się zbliża, Krzysztof odpiął obergort czapraka, popręg siodła, ściągnął uzdę, podpiersie... Gdy wyczuwał rękoma gorąco we wzdętym brzuchu i krążenie w żyłach krwionośnych łba, trząsł się sam i słał. Zrzucił derę, siodło z czaprakiem i trenzlę na kark własny, lancę ujął w garść i ruszył naprzód go

ścińcem. Szedł teraz co tchu, żeby dogonić pułk. Rozglądał się na wszystkie strony, a nie dostrzegając nigdzie żywej duszy, począł równo, miarowo biedz z góry. Deszcz bił coraz rzęśściej. Okolice wciąż była ta sama: garbata na północy i zjeżona od stromych gór na południu, przerznięta doliną Ebru. W pewnej chwili Krzysztof zjadł kromkę chleba, którą miał być jeszcze z dnia poprzedniego w torbie skórzanej obok olstrów pistoletowych. Ale kromeczka była mała, stanowiła pierwsze śniadanie i obiad, to też nie zaspokoiliła głodu. Napił się wody ze źródła, które zdybał wędrując, i przepatrywał wciąż okolicę. Stojąc na niewysokiem wzniesieniu, widział przed sobą na pewnej przestrzeni gościniec, wijący się jak wstęga w dolinie rzeki. Z miejsca, na którem stał, zbaczała na lewo ku rzece węższa okoliczna droga, która jak cięciwa przecinać się zdawała na ukos cały rozdół rzeki. Wydało się Krzysztofowi, że tędy będzie daleko bliżej do szlaku gościńca, który był widział w oddali. Bez wahania puścił się tą boczną drogą. Wyjął w biegu z olstrów obadwa pistolety, wpakował je za pendent, lancę do boku przycisnął, pałasz przytroczył wysoko — i dalej, bez trwogi! Płaszcz nasiąkł od dżdżu i silnie ociężał. Czaprak z białych baranów, przykrywający siodło z wierzchu, namókł także. Z granatowych obszyć czapraka, idących w zęby, kapłała za kołnierz jakaś zębata woda. Mantelzak, po wyjęciu pistoletów z olstrów, przeważał teraz ciężar na prawą stronę i uwierał ramię. Tybinki kłapały, rzemienie podogonia, podpiersia, uzdy, puśliszka i popręgi rozpełzały się z rąk co chwila i plątały dokoła nóg. Ubiegł tak już z dziesięć stajañ pola, za-

rosłego drzewem oliwnem, kiedy ostatnie brzaski słońca, przesączaając się przez strugi deszczowe, ukazały mu dziwny w pobliżu widok. Zrazu myślał, że ktoś modli się pod krzyżem, nabożnie złożywszy dłonie. Gdy podszedł bliżej, zatrząsł się i ścierpł ze strachu. Stały tu między drzewami naprędce wkopane w ziemię słupy parkanu z poprzeczną żerdzią. Do tej przecznicy właśnie były przywiązane ręce wołyżera francuskiego w tornistrze i mundurze. Dłonie miał związane w tył postronkiem, wykręcone do góry w ramionach i zadzierzgnięte na poprzeczną żerdź w taki sposób, jak się wiesza na hakach śpiżarni zabite sarny i dziki. Cedro zawołał na niego z odległości kilku kroków. Żadnej odpowiedzi.

Zbliżył się powoli i wtedy dopiero szczegółowo rozpoznał wszystko. Te ręce związane kręcono widać, włożywszy kołek w miejscu ich złączenia, gdyż ramiona wylażyły z rozpękłego munduru, jak nagie kolana wylażą z podartych spodni. Usta były zakneblowane gałązkiem zwiniętym w kołek, nos oberżnięty, uszy wyrwane ze łba, w obnażonych piersiach ze trzydzieści czarnych ran. Kiszki wywleczone z brzucha leżały na ziemi. Do pasa trup owinięty był czymś, co jeszcze dymiło się czarnym kopciem, choć ognisko, pod stopami rozłożone, zgasiło już, przez deszcz zalane. Cedro pomacał wystające ramię. Było już chłodne.

Jęknął na widok czarnych, straszliwie rozpuchłych od palenia ogniem gnatów nożnych, okręconych słomą, maczaną w oliwie. Zdjął trupa co tchu z owej żerdzi, położył na murawie. Gdy tak stanął nad nim rozkraczony i patrzył na leżącego jakoby z grubym cygarem

w gębie, rozdętego w szyi, z oczyma wywalonemi na wierzch przez straszliwy ból, że były, jak dwie gały z czerwonego kamienia, bez uszu, i z brzuchem rozwalonym a z kupą kiszek, które zwisały, jak obfita dewiza z brelokami, ogarnął go szczególny rodzaj wewnętrznego śmiechu. Nie myśląc o tem, czuł, że śmieje się, jak jego wierny koń, zdychający na pampeluńskiej drodze. Pomyślenie błędne, obce duszy, jakieś niby to sformułowanie tego widoku nikle i prędko wypsnęło się w mózgu wpośród wzdrygnięć niezdrowego śmiechu: do dyabła! nie zawsze cierpienie jest piękne, nie zawsze, nie zawsze...

Chwycił lancę upuszczoną na ziemię, siodło na barki, otoczył sobie szyję rzemieniami, żeby mu nie zawadzały, i jelenimi skoki pomknął w swoją drogę. Już się walił na ziemię mrok szybkiej nocy. Wyteżał piechur ułomne oczy, żeby objąć całą drogę i nie zabłądzić w ciemnościach. Otoczyły go po przejściu zmierzchu w noc szept, szmery, szelesty drzew, szelesty oliw i platanów obce uchu. Nigdy ich w życiu nie słyszał... Daleki plusk rzeki Ebro... Polne koniki sykały w otaczającej nawale ciemności. Dźwięknie, z nie-nacka uderzywszy się o żelazo wędzidła, rozetka napierśnicy w kształcie serca, spajająca rzemienie... Zadzwoń nagle strzemię o strzemię, zaskrzeczą sprzężki popręgów — i w mgnieniu oka włosy stają na głowie. Idą! Nadbiegają... Serce bije... Banda chłopów bieży, czając się po zapłociu... Wargi ich zagryzione, oczy od wściekłości przymknięte, w rękach — żegadła. Gdyby przynajmniej można było widzieć! Gdyby tylko można było dojrzeć miejsce i tych ludzi! Zmierzyć oczyma

ich liczbę! Bronić się do stu piorunów! Przecież potrafi bronić się i umrzeć, jak się należy! Ale ginąć podle, wśród podłej zgrai, wśród rozżartych zwierząt, tłumem na jednego napadających. Jak tamten... mieć w ciągu godzin wykręcane ręce, a nogi palone wolnym ogniem!

Szedł w tem miejscu obcem na palcach, bez wiedzy, że to czyni, coraz ciszej, jakby na nogach już spalonych. Czuł kiszki wydarte niejako ze siebie i oczy wyłupane...

— Tchórze, tchórze! -- mamrotał z cicha, przyspieszając kroku. Skutkował taki okrzyk przez chwilę, ale wnet odprężała się zasłona, ukazywał się spalony trup woltyżera, i zgięta ohyda waliła się w serce. Kroki Krzysztofa stały się ciche, lisie, hyenie. Wlepione oczy przebijały deszcz i mrok. Chwilami migały w nich ogniste widziadła, jak gdyby od nagłej błyskawicy odślonione, to znowu kładły się kształty płaskie, kwadratowe, czarne. W pewnych miejscach słyszał swe kroki z łoskotem powtórzone dziesięćkroć, jak gdyby stado ludzkie już go dopędzało. Krzyk wydzierał się z piersi, ale go wola dusiła w gardle. Stawał wtedy i z odwiezionym pistoletem w ręce nasłuchiwał.

Cisza wokół nieugięta.

Drożyna owa, którą szedł, kamienista i poryta przez deszcze, była z obudwu stron wygradzona niewysokimi płotami z surowych głazów. Te właśnie kamionki chroniły wędrowca od zboczenia. Kilkakroć wlaź już to na prawą, to na lewą. Poczuł, że idzie pod górę, w wodzie zlatującej po kamieniach i stopniach z szelestem. Był już spocony, zdyszany od ciężaru siodła. Stanął na pewnej wyżynie. Po ostrości

przeciągu wietrznego domyślił się, że jest na samym wierzchołku wzniesienia. Uczynił jeszcze kilka kroków — i oto w niewielkiej odległości rzuciły mu się w oczy światła. Wymacawszy ręką przykopę kamienną, przysiadł na niej i po stokroć zadawał sobie pytanie: kto też to może palić te ognie? Wróg, czy swój? Słychać było naszczekiwanie psa... Francuzi, ani Polacy nie mają ze sobą psa... Daleko zarżał koń... Czyj też to koń? Znowu cisza. Przerwało ją coś rozkosznego, jakby echo gry na organach — i znowu milczenie.

Krzysztof wypoczął już i nabrał tchu. Ruszył ku owemu światłu cichymi krokami zmory nocnej. Zstępując wolno ze wzgórza, usłyszał dalekie, w innej stronie wołanie placówek: *Qui vive!*

Serce zabiło, jak młot. Droga rozchodziła się tutaj w rozmaite strony. Przecinały ją szerokie kamienne schody. Na jednym z załamania zobaczył nagle z boku ogromny ogień tak blisko, że stanął w osłupieniu. Nie mógł się ruszyć z miejsca. Nie było to wcale okno płonące od światła, nie drzwi otwarte, lecz jakby szeroka czeluść kwadratowa, prowadząca do ognistego wnętrza.

Słyszał gwar ludzki.

Natężywszy ucho, ku najwyższej radości swojej, posłyszał mowę francuską, piosenki lekkomyślne, obżowe, krzyki, kłótnie... Pobiegnął tam, skacząc przez mokre krzaki winne, przełaząc przez mury ogrodzeń i zapadając w rowy pełne wody. Wkrótce szyldwach przyłożył mu karabin do piersi. Sam ledwie mógł wykrztusić pytanie, tak był przerażony, gdy nań z mroku naskoczyło siodło, kryjące głowę ułana. Przybysz ledwie

mógł wykrztusić *mot d'ordre*, tak był strudzony. Obejrzano go ze wszech stron przy blasku latarni i puszczo no ociekającego wodą do ognia razem z jego siodłem i dzidą. Tak dobrodusznie zdecydował przywołany kapral Krzysztof zbiegł po kilkunastu stopniach i stanął na progu głębokiej nawy wielkiego kościoła. Kilka nąście ognisk buchało pod jego środkowem sklepieniem i w bocznych kaplicach, filarami oddzielonych od głównego wnętrza. Na ołtarzach płonęły zapalone świece. Mnóstwo ich również jarzyło się w rozmaitych kątach pod chórem i na chórze, na ambonie i w kruchtach. Ze dwa tysiące żołnierzy biwakowało tam z wrzaskiem i śpiewem. Jedni chrapali już, leżąc pokotem na kościelnych dywanach pod chórem, między filarami, dokoła ołtarzów, a nawet na ołtarzach. Inni piekli na ogniu polcie mięsa, prosięta, indyki, koguty, inni zarzynali drób i odzierali go z pierza. Cedro doświadczał uczucia niewymownej radości. Nie grozi mu już napaść z tyłu i straszliwa śmierć wołyżera, nie otacza go samotność w czarnych polach, nie leje się po plecach zaciek deszczu. Ogień, światło, suche płyty! Krzyk ludzki!

Naokół siła i wesele ludzi zdrowych!

W pierwszych minutach nie mógł się zorientować, co się to tutaj robi, czem się zabawiają jowialni kamraci. Wyszukał oczyma wolne miejsce pod boczną ścianą i zajął je prawem kaduka, z rozkoszą wyciągając zdrętwiałe nogi. Zaraz utworzyła się dokoła jego figury kałuża z ociekającego płaszcza i odzienia. Dym ognisk zapchał głębie sklepień i ciągnął ku drzwiom. Deszcz pryskał przez wybite witraże. Ze dworu po ziemi szedł mokry chłód.

W kłębach owego dymu, w blasku kilkunastu świec, przytwierdzonych do gzymsu ambony, ukazywał się co chwila grenadyer francuski, który, wdziawszy na mundur komżę i założywszy na kark stułę, głosił kazanie o najsprośniejszych objawach życia, o najohydniejszych przestępstwach, jakie tylko zgromadzić może w szczupłe ramy anegdoty kawalerska imaginacja. Mowę swoją ilustrował najzabawniej w świecie, skubiąc dużego koguta i co chwila z giestami krasomówczymi rozsypując na słuchaczów obdarte pierze. Umiął przytem pisać i udawać gdakanie spłoszonych kokoszek w sposób iście zabawny. Cedro śmiał się do rozpuku mechanicznym, martwym śmiechem, bokami i gardłem, aczkolwiek doświadczał jednocześnie uczucia przykrości. Wciąż dokoła niego łamano konfesjonały, rąbano rzeźbione stałe i ławki, katafalki, schody, drabiny i lichtarze, sprzęty kruchciane, starodawne naczynia z drewna, bardziej już przez swą starość symbole wieczności, niż przedmioty rzeczywiste. Rzucano je wraz z chorągwiami, z mszałami w wielowiecznych oprawach, wraz z poczerniałymi obrazami w grubych ramach na stosy, i ognie pełgały coraz żywiej. Krzysztof ociężałymi oczyma patrzył na białe place po zerwanych ze ścian obrazach, gdzie nagle pajęczyny chwiały się od przeciągu... Ziewał, kurcząc się w sobie żałośnie. Na marmurowej posadzce stały pośrodku rozlane kałuże juchy prosiąt, cieląt, kogutów i indyków. Za nogami chodzących włóczyły się istne korowody puchu i pierza. Słysząc było gwar przeważnie francuski, ale przebijały się dźwięki niemieckie, polskie, hiszpańskie, a nawet holenderskie.

— Holendrzy w Hiszpanii, jako zdobywcy... —
pomyślał leniwie Krzysztof, ziewając z całego serca.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek u drzwi prowadzących do zakrystyi, tak znany uchu katolickiemu, a zwiastujący wyjście sumy. Wszyscy porzucili swe zajęcia i zwrócili głowy w tamtą stronę. Istotnie wychodził z zakrystyi tłum poprzebieranych żołnierzy. Naprzód szedł szereg jakoby chłopców, mających służyć do mszy w komżach i ponsowych pelerynkach. Każdy z nich niósł dużą butlę omszałą z minką skromną i pokornie spuszczonei oczkami. Ustawili butle na wielkim ołtarzu szeregiem i, złożywszy rączki, pośpiesznie zbiegli ku stopniom. Za nimi dopiero wylazł z zakrystyi piechur z wąsiskami, jak dwa lisie ogony, w lśniącej kapie i berecie, drugi za nim w ornacie, trzeci tylko w albie, którą podnosił w sposób damski, zwany *incroyable* czasu wielkiej rewolucyi. Każdy z nich dźwigał olbrzymi gąsior z winem.

Tłum żołdacki ryczał z zachwytu i klaskał w ręce. Tamci, błaznujący, poustawiali przyniesione gąsiory na ołtarzu. Przydźwiganą przez kilku beczułkę z winem wtoczyli na ołtarz i ustawili na szczycie cyboryum. Piechur w kapie wziął z rąk kolegi kadzielnicę i niespodzianie zaczął wykonywać nieprzyzwoity taniec i odprawiać jakieś potworne nabożeństwo. Gdy wśród podrygów wyrzucał nogi, odgięta się kapa i wykazała, że celebrans jest wprawdzie w mundurze, ale bez innych, niezbędnych części uniformu, które właśnie suszyły się przy jednym z ognisk. W trakcie tych profanacyi pobierani w komeżki wypchnęli przed ołtarz siwego człeczynę w nocnej koszuli i krótkich majtkach. Ubrany

w kapę wciągnął go na stopnie ołtarza i przedstawił widzom, jako księdza proboszcza.

— Hiszpan, — wołał głosem błazeńskim — ale ksiądz proboszcz! Zdawałoby się, że tak niewiele, a przecież jest to właściciel i twórca tej całej piwniczki winnej. Szanujcie, barbarzyńcy, tego właściciela! Nic nie wypito potajemnie. Nie chciał nam czcigodny ojciec dobrowolnie pokazać skarbu, który przez tyle lat pielęgnował, więc go cokolwiek zaznajomiliśmy, z grzecznością. Teraz już jest grzeczny i sfrancuział do gruntu. Pięćdziesięcioletnia malaga w tym oto antałku...

Wrzask radości rozległ się w całym kościele. Cedro cieszył się na równi ze wszystkimi przemokłymi i zziębłymi kamratami, wbrew istotnym swoim uczuciom. Ceremonia wnoszenia butelek i gąsiorów zajmowała go prawdziwie i szczerze. Gdyby wiarusy wyprawiały stokroć bezpieczniejsze orgie, uznałby je na przekór głosowi duszy za ciekawe, godne uwagi i w szczególny sposób właściwe. Pić mu się chciało tak okropnie, że zda się kilka lat życia oddałby za jeden z owych pękatych i omszałych gąsiorów wina. Po wielkiem zmęczeniu, po trudzie drożnym aż do siódmego potu, po wykonaniu pracy ostatniej, która daje możliwość poznania forsy i trudu jucznego konia, jego znojów i niemal uczuć — było mu teraz na kamieniach odwiecznej posadzki zimno i obmierzłe. Woda wlażyła w kości.

Włóczył spracowane oczy po płytach okolicznych. Sam leżał obok marmurowej tablicy, wielkością przewyższającej wzrost człowieka. Wykute na niej było

niezgrabne wyobrażenie rycerza w zbroi, z mieczem w dłoniach splecionych. Twarz z płaskim nosem, pancerz i stopy — wszystko to dawno już było starte podszwami i obcasami wiernych parafian, wyniesione prochem przez niezliczone szeregi nóg, które w ciągu wieków deptały dumnego rycerza. Teraz był z niego tylko ślad, istne zwłoki, znak świadczący o znikomości pamięci ziemskiej. Dalej leżały tablice, których litery, podobnie jak wojownik, zstąpiły w kraj nicości. Obok napisów były okrągłe, żelazne antaby do podnoszenia tych drzwi grobowych. Z pod nich to wiał ów przejmujący, zwilgły, trapi chłód. Krzysztof nie mógł wytrzymać. Złożył swe siodło, lancę, powiesił przy ołtarzu płaszcz i uzdę. Wszedł między tłum. Trudno było przejść koło ognisk, gdyż wszędzie tam ludzie leżeli na rozciągniętych płaszcach, dywanach, ornatkach, kapach kościelnych, na suknie do paradnego katafalku... W stronie prezbiterium utworzyła się zbita masa »przystępujących« do antałka z winem. Wiarus w kapie rozdzielał kielichy między pijących. Krzysztof grzał się i suszył, zdala stojąc przy jednym z ognisk, i rozglądał się naokoło. Drażniło go rozkosznie skwierczenie prosiaka, pieczonego na bagnecie. Wstyd go palił na myśl, żeby poprosić o kasek, ale głód kiszki skręcał. Kamraci przypatrywali mu się z podełba. Zaczęli między sobą mamrotać z niechęcią i zsunęli się koło ognia w taki sposób, żeby mu zagrozić dostęp. Cedro spojrział na nich wyniośle i odszedł z głową zadartą do góry, w towarzystwie coraz donioślejszej symfonii kiszkowej. Zahuczały organy, na których wygrywano skoczno sztajerka. W jednej z kaplic utworzył się pewier

rodzaj sali balowej. Tańczono tam z nadzwyczajnemżywieniem i ruchami. Szczególnie odznaczał się w tym kierunku jeden z grenadyerów. Tańczył, trzymając w objęciach z pieczołowitą i subtelną elegancją sporego prosiaka. Udawał, że w zapamiętałym szale wiruje w tańcu styryjskim, unosząc w objęciach nadobną i wiotką dziewczę. Ponieważ prawą ręką kręcił prosięciu ogon i szczypał je paznogciami, prosię kwiczało obrzydliwie, uśmierzał więc jego boleść namiętymi szepty. Żołdactwo ryczało.

Przedzierając się ku ołtarzowi przez zwarty tłum, spostrzegł Krzysztof owego starego proboszcza. Księżyna łypał oczyma, stojąc w ciemnym kąciku pomiędzy nagrobkami i wolniuteńko kwapił się w pewnym kierunku, widocznie z tym zamiarem, że się niepostrzeżenie zdoła wymknąć, gdy motłoch na dobre podpije sobie. Zgłodniały lansyer przystąpił do księdza i zagadnął go ostro, w twardym tonie, czy rozumie po francusku. Proboszcz skrzywił się zarazem boleśnie i chytrze; kiwając głową, niby potwierdzał, a niby zaprzeczał. Po wyrazie twarzy Krzysztof poznał, że został zrozumiany. Zażądał wtedy, dobitnie wymawiając wyrazy, żeby mu ksiądz przyniósł cokolwiek do jedzenia, gdyż jest głodny najokropniej, po prostu jak pies. Pleban wytrzeszczył oczy i prawie z płaczem jął bić się w piersi, przysięgać na świętości i wskazywać z jękiem, że już nic a nic nie ma, że jego oto prosięta, cielęta, krowę, kury, indyki — i wino — dodał, bokiem, ze zgrozą i okropnym uśmiechem zwracając się ku ołtarzowi, zajada i zapija sławne po wsze czasy wojsko cesarskie. Cedro był tak zgłodniały, znużony i bezsilny

z czczości, że namyślał się tylko nad tem, jakby z tym klechą począć sobie najskuteczniej.

Ujął go za kołnierz od koszuli i popchnął przed siebie, między tłum. Ksiądz pomknął żywo, schylając głowę, jakby się chronił od ciosu. Dotarli do zakrystyi. Tam wszystko było powywalane razem z szufladami. Szafka ze świętem naczyniem była rozbita, szuflady jej wyrwane, a samych przedmiotów oczywiście nie było śladu. Naokół tarzały się po ziemi ornaty, kapy i bieżna kościelna. Ujrzawszy dużą, żalobną kapę z czarnego aksamitu, Krzysztof narzucił ją co tchu na ramiona z myślą, że będzie mu służyła za kołdrę. Zamierzał teraz na dobre zabrać się do księdza. Obejrzał się na niego... Zobaczył płaczącego pod ścianą, z twarzą ukrytą w dłoniach. Śmiesznie wydatny, a doskonale okrągły brzuch księdza między naiwnie pierwotnymi szelkami wstrząsał się w krótkich i obcisłych majtkach od głębokich szlochów. Całe ciało targało się konwulsyjnym dreszczem.

Krzysztofa ogarnęła przelotna, krótka litość. Zbliżył się do starca i dotknął jego ramienia. Gdy tamten podniósł głowę, spojrzał mu w oczy z serca. Pokiwał głową, pokiwał głową... Później pocałował go w ramię i rzekł mu do ucha:

— Wielebny ojcze, dawaj mi, co masz jeszcze do zjedzenia, bo zdycham z głodu.

Ksiądz podniósł na niego zapłakane oczy i z załamanemi rękoma wskazywał owo zniszczenie sprzętów, szat kościelnych, naczyń... Byli ku sobie wzajem pochyleni, i właśnie Cedro miał zamiar wytłómaczyć staremu kanonikowi dobrotliwie, z wyrozumiałością, że

to sam Bóg karze go zapewne za ów kult wina, oraz cieląt widokiem świętego kadzenia przed wypielegnowaną beczułką malagi, kiedy ksiądz schylił się, zaczął podnosić alby, komże, składać je sekretnie, pośpieszenie, ze czcią w szufladach. Krzysztof mu nie przeszkadzał. Sam rozglądał się po kątach, czy nie znajdzie jeszcze czegoś sprofanowanego, albo czegoś do jedzenia... W trakcie tych swoich zabiegów usłyszał sześć kłamki w najciemniejszym kąciku zakrystyi. Rzucił okiem i posunął się w tamtym kierunku, ale ujrzał już tylko plecy i pięty proboszcza. Drzwi zatrzasnęły się i klucz w nich szybko z tamtej strony zgrzytnął. Cedro wzburzony skoczył, żeby ścigać księżynę, ale za naciśnięciem kłamki przekonał się, że drzwi zostały z tamtej strony istotnie zamknięte.

Kanonik niewątpliwie czmychnął.

Nie pozostało nic innego, tylko wrócić do prezbiterium i szukać tam pożywienia. Stał za innymi przed ołtarzem. Tłum rozgrzany wciąż za kolejną kłęką na stopniach i chleptał malagę i andaluzyjskie wino Alikante, porządkiem otrzymując złoty kielich z rąk żołnierza w kapie. Już Krzysztof zbliżył się do ołtarza, żeby na stopniu klęknąć i pić za innymi, gdy na niego kolejka przyjdzie. Odchodził od przytomności z głodu, a głównie z pragnienia. Nagle pogarda buchnęła z niego, jak womity. Wypchnęła go duma z tego szeregu. Poszedł precz wprost na swe miejsce, klął głośno i bardzo brzydko. Zawinął się szczelnie w aksamitną kapę z taką wściekłością, jakby za chwilę miał głowę położyć na nożu gilotyny, narzucił na suchą kapę mokry, biały płaszcz ułański, siódło ustawił, jak

wezgłowie. Miał pod ręką lancę i rzemienie siodła, pistolety za pasem. Wydobył jeszcze furazerkę, podłożył ją pod policzek, żeby choć głowa leżała na suchem. Głodny, jak pies bezpański, zamknął oczy i wrzepił głowę między kule siodła, żeby spać i nie patrzeć na świat.

»SIEMPRE EROICA«.

Blizko sześć tygodni Cedro spędził na siodle z rzeniem lancy na ręku, z ostrogą wpartą w bok bieguną. Miał teraz iberyjczyka, konia szybkiego, jak wiatr. Otrzymał go jeszcze w Tudeli, dokąd na piechotę przybył ze swem siodłem. Od chwili wtargnięcia z pułkiem jazdy na prawy brzeg Ebra i w radosną po górskich pustkowiach dolinę tej rzeki, nie zaznał już jednej chwili spokoju. Brał tedy udział w niezrównanych szarżach lansyerów pierwszego pułku pod Mallen i czternastego czerwca pod Alagon nad Xalonem, cudnym, bystrym, dzikim dopływem Ebra ze strony południowej. Szedł w przedniej straży całego wojska, kiedy 16 czerwca zbliżano się do Saragosa. Jeden z pierwszych przebiegł we wszelkich kierunkach ów ogród pracowicie uprawny, zroszony licznymi kanałami, zajrzał do każdego domu w podmiejskich wioskach — la Joyosa, Marlofa, Las Casetas, Utebo, Monzalbarba, pierwszy wreszcie dotarł do klasztoru Sam Lamberto w Molviedro. Stąd już nie było trzech wiorst do aragońskiej stolicy. Molviedro stało się od tej chwili niejako domem pułku. Tu po trudach wypraw odpoczywano w zimnych korytarzach

klasztoru, tu nieraz można się było ukryć przed natarczywością dziennych upałów i zimna nocnego, stąd wreszcie wyruszano na setne i tysięczne ekspedycye, z których każda była zatraceniem. Zapomniał już był Krzysztof liczby starć, bójek, pościgów na gładkich szosach wapiennych, wysadzanych drzewem eukaliptusa i platanu w rozdole rzeki Ebro. Wiódł teraz życie na spalonych od słońca wyżynach szosy madryckiej, wijącej się przez la Muela, przez Calatayud — i w dolinie Huerby na drogach przez Daroca, ponad kanałem królewskim i za rzeką, za Ebrem, na lewym, bagnistym brzegu w dolinie Gallego i na górach jałowych, solnych, kruchych od zwietrzałego kamienia i sypkich od gipsu. Ponieważ szczupła armia generała Verdier'a, której zadaniem miało być opanowanie Saragosa, nie posiadała wcale magazynów, więc ułani nadwiślańscy musieli dostarczać dla całego wojska zapasów żywności i furazu. To też dzień w dzień, podzieleni na oddziały, od wczesnego rana pomykali w góry. Bogata, mlekiem i miodem płynąca dolina Ebra była zupełnie pusta. Jedna część mieszkańców uszła do Saragosa, inna w góry, zabrawszy ze sobą dobytek. Trzeba było szukać stad owczych, krów i kóz w ich niedostępnych kryjówkach. W ciągu tych sześciu tygodni ułani wyćwiczyli w sobie instynkty tropicieli i zbójów. Cedro odnalazł w sobie duszę jakiegoś przodka z czasów Maćka Borkowica. Zobojętniał już na przykrości tego zawodu. Owszem, odszukał w nim pewien szczególny urok, beczelną dumę, rozkosz tyranii, śmiech zdrowy z ludzkich jęków. Każda teraz chwila jego życia upływała pod ruchomą skalą grozy.

Człowiek w górach napotkany, to był wróg, go-

dzący nożem w serce. Z za każdego krzaka czyhała lufa strzelby, strzał padał i kula świstała z za każdego kamienia, a każdy cień przelatujący zwiastował śmierć. Ale w tem właśnie młoda dusza znalazła dla siebie żywioł. Była to rozkosz — wyjść w kilkanaście koni wczesnym, modrym, zimnym rankiem w lipcu, nim słońce wstanie z za gór ziemi Monnegros, co koń skoczy przebież chłodne, mroczne aleje drogi pampeluńskiej, wyjechać z obrębu oliw i winnic, zawrócić na południe ku Placencyi, a stamtąd cichaczem rzucić się w bok, w zgorzałe, sypkie, spadziste rumowia dolin. Wyjść z obszaru cyprysa w rzadkie gaje pinii. Stamtąd widać jak gdyby step zburzony, strzaskany, gdzie cisza i głusza, gdzie suchy, bezmglisty cień poranka leży nad dolinami, jako wieko. Nagle wichrowym skokiem, wpadną do jakichś kamiennych zagród, zastaną tam ludzi, złapią stada. Przystawią ze śmiechem lufy pistoletów między czarne oczy tym chłopom ponurym i zmuszą ich, żeby jak niewinne baranki pędzili swe stada na szosę i aż do samych bram oblężonej Saragosi. Nie zawsze jednak udawało się tak łatwo. Trafiały się dni, w których ciągu napróżno plądrowali góry i wąwozy aż pod sam szczyt Puig Cervero za Huerbą w kierunku na Belchite i ponurego w górach zamku Daroca, że darmo rzucali się w płone płaskowyzę ku Fuentes, nie spotykając na drodze żywej duszy. Ileż to razy, tropiąc bydło, wpadli na zaczajoną bandę gerylasów, która rzucała się na nich z krzykiem i nożami. Były to chłopcy prości i dzikie, przyzwyczajone do żywota w ziemi pustej i do wędrówek w Pirenejach z kontrabandą. Przeszywani bez miłosierdzia grotami lanc, wieszali się u szyi końskich,

ostrzem noża rznęli kłęby rumaka i godzili w serce jeźdźca. Wówczas to Cedro poznał, czym jest lanca i jak mądre są maksymy towarzysza Gajkosia. Nim wróg zdecyduje się na skok — pęd konia i nastawiony grot! Struga krwi i jęk śmiertelny stratowanego — oto wszystko. Zawsze niezwyciężony pułk lansyerski tratował już wielokroć tłumy. Nieraz już Krzysztof prał w falach Ebra płótno swej chorągiewki, gdy się stało twarde i jednej barwy od zeschniętej aragońskiej krwi. Nieraz już wpływ przebył płytkie, letnie fale rzeki. Wielokroć śmigał po równinach lewego brzegu w uroczej dolinie rzeki Gallego, płynącej z Pirenejów, żeby wody swe połączyć z wodami Ebra tuż za murami Saragosi.

W tych wyprawach sześciotygodniowych już wielokroć okrążył starą *Caesaraugustę* ze wszech stron. Widział ją od strony wyniosłości Castellar z wyżyn płaskowzgórza Placencyi, od strony południowej z la Torecilla i ze wschodu, z płaszczyzny Val de Osera. Rysowały się przed oczyma niezliczone wieże: wyniosły szczyt katedry Del Seo; olbrzymie kadłuby klasztorów — franciszkańskiego w środku miasta, za bramą zwaną Quemada, na prawym brzegu Huerby — świętego Józefa, na południu — czworokąt zamku inkwizycyi Castel Aljaferia, na zachodzie — Kapucynów przed bramą Carmen; okrągłe kopuły i strzeliste wieże Nuostra Seniora del Pilar nad samym brzegiem rzeki.

Widzieli dobrze most, łączący przedmieście Arcabal z głównymi przecznicami grodu, które sięgały aż do placu Engracia i bramy tegoż imienia na południu; szerokie zagłębienie między czarnymi gmachami w kształcie litery C — to jest Calle de Cosso, którego grube, środ-

kowe brzuśce pod Franciszkanami i szpitalem obłąkanych stanowiło wydłużony plac, dolne wyjście kieruje się za gmachem uniwersytetu ku Puerta del Sol, a górne przechodzi w plac targowy i za klasztorem S. Juan de las Panales dosięga wąską uliczką rzeki Ebro.

Mamiło ich i czarowało to miasto posępne. Nie było fortecą, bo je otaczał jeno niski, dziesięciostopowy mur i liche bramy. Widzieli pierwsze targnięcie się na Saragosę dnia 15 czerwca i atak w dniu 2 lipca, zdobycie wyniosłości podmiejskiej Monte-Torrero, opanowanie klasztoru Kapucynów. Byli przy zaciekłym szturmie, obronie i spaleniu klasztoru świętego Józefa.

Poznali tu męstwo jeszcze niewidziane, upór stolarowy. Rozumieli to już, że mają przed sobą nie oficerów i żołnierzy, nie lud burzliwy i lecący w rozsypkę, gdy natrze ćwiczony batalion, lecz lud potęgą fanatyzmu przeistoczony w armię. Dowódca w tej olbrzymiej gromadzie nie był mianowany z góry. »Góry« nie było.

Wodzem stawał się najtęższy, najdzielniejszy i najzacieklejszy przez jednomyślny i jednogłośny rozkaz masy. Jeśli źle obmyślił, nieskutecznie rzecz poprowadził, słabo wykonał, nędznie zarządził, za słabo i miękko natarł, nie walczył, słowem, na śmierć, jak tego chciała wola powszechna, wydawano nań wyrok gorącym prawem, stawiano pod murem i jego własna podkomendna gromada kulami przeszywała mu serce. Tak zginął pułkownik artylerii Pesino, tak zginął dowódca zamku Cinco - Villas — i inni. Gromady walczące nie były wcale podzielone na regularne oddziały. Były to kohorty, które przyciągnął i skupił geniusz wodza. Im wydatniejsza była siła tego geniuszu, tem oddział liczniejszy.

Wódz danego oddziału nie zależał właściwie od naczelnego dowódcy: spełniał rozkazy wydane z góry o tyle, o ile je uznał za zmierzające do celu. A jednak wszyscy, jak jeden, byli w danym razie posłuszni wodzowi, na jakiego z woli ludu wyrósł Don José Palafox.

Ułani polscy, stojąc na górach i patrząc na posępne miasto, myśleli o niem, jako o duszy znajomej i czującej. Lubili tak stanąć oddziałem, patrzeć w nie długo... Nieraz Krzysztof Cedro zatrzymał konia i zapamiętał się w dumaniu. Serce łamało się w nim od tych rozmyśłów, ręce się trzęsły. Z duszy jego wybuchała zaciekleść, a z ust rwał się mściwy okrzyk: — Musisz i ty zginąć, maro! Nie będziesz nam stała przed oczyma, zmoro przeklęta! Przeciw karnym, przeciw regularnym, przeciw ćwiczoným czworobokom stawiasz dumę swej woli, potęgę swojej wyniosłej anarchii! Cha-cha! Musisz zginąć!

Gdy przedsięwzięto sprowadzenie z Pampeluny czterdziestu sześciu dział wałowych, haubic i moździerzy w celu rozpoczęcia regularnego oblężenia, pułk ułański bronił tego transportu od napaści gerylasów w czasie spławiania go kanałem Aragońskim. W tej dobie nie było spoczynku ani dniem ani nocą. Szli ciągle wpław raz na tę, drugi raz na drugą stronę kanału. Zachodzili drogę bandom, zstępującym z gór, siepali się z niemi w zasadzkach, po wyłomach skalnych i w dołach górskich. Nareszcie transport ściągnięto pod Saragosę i oblężenie zarządzono w ten sposób, że opasano część miasta z zachodu i południa, czyli od rzeki Ebro do fortu Monte Torrero. Część wschodnia z całym przedmieściem i zarzeczem była wolna.

Pod koniec lipca Krzysztof, jako znający język francuski, wybrany został z szeregu do kompanii inżynierskiej i artyleryjskiej, którą ze zdolniejszych ułanów i piechurów składał i formował kapitan lansyerów, Hupet. Liczba wykwalifikowanych artylerzystów była tak w armii nieznaczna, że generał-inżynier Lacoste, który miał kierować robotami oblężniczymi, rozporządzał kilku zaledwie oficerami. Bateria, powierzona kapitanowi Huwetowi, stała pod Monte Torrero. Artylerzyści mieli teraz za zadanie kierować sypaniem baterii. Ułatwiała te prace wielka obfitość rowów irygacyjnych, wykopanych jeszcze przez pracowitych Morysków, oraz naturalnych fos, przez które szluzы z kanału Królewskiego wyprowadzały wodę do ogrodów. Przechodziło tędy również wysoko obwałowane łożysko rzeki Huerby. Drzewa oliwne rozciągały się aż do samych murów miasta. To też mieszkańcy dniem cięli kulami wypiełgnowane gaje, rwali ogrody, burzyli w nich domki letnie, żeby odsłonić roboty Francuzów i kulami spędzać zatrudnionych chłopów.

Krzysztof porzucił konia i wyprawy, aczkolwiek nie zmienił uniformu ani nie przestał należeć do swego pułku. Siedział teraz w kanałach i dyrygował powierzonym mu oddziałem chłopów aragońskich, którzy pod karą śmierci musieli budować narzędzia śmierci dla swych współrodaków. Co chwila z bagnetem w ręku odpierał wycieczki mieszkańców miasta napastujących, albo uśmierzał wybuchłe w rowach na podobieństwo prochowych min bunt robotników. Z murów i wież klasztornych bez przerwy sypały się kule, wypadały brandkugle, kawały żelaza i kamienie. Nocami uczył

się sztuki stawiania działobitni, sypania przedpiersiów, rznienia strzelnic, ich policzzków i pokolanków, układania podłoża armat, stawiania sworzniów i łuków wkopanych. Oblężeni otrzymali w tym czasie posiłki w liczbie dwu tysięcy ludzi gwardyi hiszpańskiej, ale i Francuzi wzmocnieni zostali przez dwa pułki liniowe, które z Francyi nadeszły. Baterye zostały ustawione na legarach, ostatnie wbito gwoździe pomostowe, przedpiersia wyłożono faszynami. Na żądanie poddania miasta Palafox odpowiedział wyrazami: »Walka na noże!«

Trzeciego sierpnia ryknęły wszystkie armaty. Czwartego bito od świtu w zamek Aljaferia, odwieczne więzienia inkwizycyi, w bramę Carmen i w bramę Engracia. Zarazem strzelcy polscy ruszyli po drugiej stronie rzeki Ebro na przedmieście Arcabal. Krzysztof Cedro stał w bateryi naprzeciwko klasztoru Engracia. Ponieważ przewidywano, że brama tego dnia musi być zatarasowana wańtuchami z piaskiem, bito wyłomy obok niej z prawej i lewej strony, w murach należących do klasztoru. Ogromne zabudowania jego stały na nieznacznem wzniesieniu i tworzyły całość odosobnioną. Batalion pułku siedmdziesiątego i cały pułk pierwszy piechoty polskiej stały w przykopach, czekając na dany znak. Cedro z towarzyszami artylerzystami otrzymał rozkaz wzięcia udziału w szturmie z karabinem w ręku, gdy szwadron konny nadszedł do asekuracyi armat.

Ludzie byli spragnieni walki, kobiet, rabunku. Drżeli do bitwy. Około godziny jedynastej z rana poczęły się walić i w słupy kurzu obracać mury klasztorne. Na prawo od bramy, w pierwszy wyłom, rzucił się natychmiast kapitan Bal. Za nim przez most na rzece

Huerba ruszyła garść ułanów artylerzystów. Wśród wściekłego upału, w ogniu strzałów, buchających, jak gromy i pioruny, ze strzelnic kutyh w murze klasztoru, przypadli do wyłomu. Ujrzeni tutaj oko w oko obrońców. Rzucili się jedni na drugich, jak rozjuszony zwierzęta. Rzygnęła z przebitych piersi krew. Wał trupów zagroził wejście. Mury klasztorne z trzaskiem padały. Waliły się sufity i z pięter leciały zastępy chłopów w głąb piwnic. Belki miażdżyły ich, oberwane piece i ściany zasypywały odrazu. Krzysztof znalazł się nad brzegiem jednej z tych jam. Oniemiał. W dymie i słupach ceglanego pyłu, w ruchomych gruzach pod swemi stopami widział gmeranie się tej konającej miazgi. Głowy obwiązane czerwonymi chustkami w sposób świąteczny na obraz dużej obręczy; długie włosy wysmarowane tłuszczem, wełniane płaszcze w białe i niebieskie pasy, a sięgające do samej ziemi, jak togi rzymskie... Wierzyły i roiły się nogi w białych pończochach i czarnych, aksamitnych spodniach, trepy drewniane z czarnemi wstążkami, związanemi w tyle nogi. Wyciągały się jeszcze ręce, ściskające długie noże.

Z rozwartych jam w rozpękłych ścianach wypadały coraz to nowe szeregi wystrojonych świątecznie; rzucały się na napastników ze ślepem męstwem. Zamordowano ich bagnetem i zepchnięto do wspólnego z tamtymi grobu. Piechota polska wtargnęła w wyłomy klasztoru. Depcąc ranionych i konających, biegnąc po gzymśach, obok piwnic pełnych konania, zbroczeni krwią, w poszarpanych ubraniach, z lufami lepkiemi i ociekającemi, chyżo wypadli wreszcie na pierwszy plac.

Engracia!

Nareszcie włamali się do tego wściekłego miasta!

Plac był pusty. Gdy weszli na jego środek, jak grad sypnęły się na nich strzały, runęły z góry kamienie. W ślepych murach, martwych, tylnych ścianach domów powybijane były oddawna oskardem wąskie otwory. Z każdego z nich błękitny dym wybuchał. Wąskie ulice, wiodące w miasto, istne szpary między rzędami wysokich kamienic, były świeżo zamurowane, albo zawalone worami piasku. Okna dolne w mieszkaniach, drzwi sklepów, wejścia do sieni były również zamurowane i pełne niedostrzegalnych strzelnic. Nigdzie drzwi! Ani jednego żywego człowieka! Nieprzyjaciela jak gdyby nie było!

Druga straszliwa salwa strzałów... Dym buchnął z jednolitych murów i sęczył się smugami... Kilkadziesiąt trupów padło na bruk. Oficerowie sformowali plutony i popod murami dążyli co tchu nazad, ku bramie Engracia. Tu się ukryło wojsko za zrębami poszarpanego klasztoru. Znaleźli bramę zawaloną niezmierną masą worków ziemnych, które tworzyły za wierzejami górę, równą ich wysokości. Kazano batalionowi drugiego pułku piechoty polskiej odciągnąć owewory z pod bramy. Rzucili się do roboty, radzi, że nie idą choć chwilę na ślepe, dyumiące mury. Między innymi pracował tam i Cedro. Gdy już z dobrą godzinę nosił ogromne *sacs à terre*, omdlewał prawie z trudu. Cały był zlany potem, brudny i niemal ślepy od dymu i kurzu. Dysząc ciężko, usiadł na worku i wyciągnął nogi. Ani jednej myśli... Gdzie to on jest i co robi? Co to za wory i do czego? Huk straszliwy armat grzmota raz w raz w czoło, w ciemną głowę. Przerazliwe jęki umierania... Gdzie to on tu jest?

Tuż obok pod murem, w jego fioletowym cieniu chodził tam i z powrotem niski oficer, szczupły, chudy brunet z pięknymi oczyma. Szpadę obnażoną trzymał w ręce. Cedro rzucił na niego przekrwawionem okiem i nie był pewny, czy rzeczywiście widzi tego człowieka, czy to może mu się przypomina jakiś wypadek z takim człowiekiem. Oficer stanął nad nim i z uśmiechem ironii coś mówił. Wśród buchania strzałów, wśród owych galopem pędzonych fal powietrza, wśród walenia w mury pobliskie oskardów saperskich, wpośród ryków na pomoc, wrzasków konania i przesmutnych jęków a wołań — nie mógł dosłyszeć.

Zerwał się na równe nogi i wyprostował.

— Skąd się tu wziąłeś, ułanie z wciętą talią? — wrzyczał mn kapitan w ucho.

— Odkomenderowany do armat Hupeta kapitana...

— Rozumiem. Spracowałeś się waćpan?

Cedro spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Znam waści z widzenia, z wieści, ze słuchu, panie Cedro.

Krzysztof uklonił się po wojskowemu.

— Jesteśmy w dalekiem powinowactwie. Nazywam się Wyganowski.

Rotowe salwy strzałów i nowy huk armat z pod Aljaferii przerwał rozmowę. Za chwilę Krzysztof siedział znowu na swym worku, a oficer chodził wzdłuż muru.

— A nazywaj się jak chcesz, dyable czubaty... — rozmyślał Cedro. — Powinowactwo...

Rzucił mimowoli wzrokiem w stronę ruin klasztoru i znowu dojrzał zawałone piwnice. Z rumowia wyłazili

ludzie. Gałgany na nich krwawe, obdarte. Gęby straszliwe, oczy w niego z daleka patrzą. Cóż za oczy!

— Wyganowski... — szepcą usta — w dalekiem powinowactwie... Cedro... Cha-cha! Cedro! Niema już, bracie, Krzysztofa Cedry. Poszedł, braciszku, i niema... Och, niema...

Niedługo pozwolono mu melancholizować w tym sposobie. Wezwany ponownie do noszenia worków, musiał z kolegami chwycić za pierwszy ciężar z brzegu i dźwigać go wśród niewysłowionej spiekoty. Na placu Engracia rozwiązywano wory i wywalano piasek na kupę.

— Ciekawym, — myślał Cedro ze śmiechem, biegając tam i z powrotem, jak koń w kieracie — jakie też to chłopczyki będą znowu nasypywały ten piasek w worki? Czy może my sami?

Skoro barykada z za bramy została usunięta, skruszono młotami jej olbrzymie wrzeciędzie i rozwarto wrotnie na ścieżaj. Pułk czterdziesty czwarty wwalił się teraz w ulicę, na plac i w dziedzińce klasztorne. Co jeszcze nie zginęło pod gruzami murów, to teraz konało pod bagnetem. Opuszczono zabudowania klasztoru świętej Engracyi wówczas dopiero, gdy już nie zawierały w sobie żywego obrońcy.

Wówczas cała siła francuska zebrała się w kolumnę, żeby wtargnąć do środka miasta i dojść do mostu. Z placu Engracia trzy wyjścia prowadziły w trzy strony. Pierwsze na zachód do placu i bramy Carmen obok klasztoru św. Józefa Del Calzas. Na północ szła główna arterya miasta — ulica Engracia, otwierająca się na Calle del Cosso i wraz z ulicą św. Giliusza (od Cosso do mostu), przecinająca gród na dwie, prawie równe części.

Trzecie wyjście wiodło na wschód, w ogrody i bocznicę ku bramie Quemada.

Wojska musiały iść wprost, w ulicę Engracia. Wezwano saperów, odzianych w zbroje oblężnicze, zaopatrzonych w oskardy, i ruszono gromadnie na mur, zagradzający wąską szczelinę. Kiedy narzędzia z dźwiękiem uderzyły w kamienie barykady, istne piekło runęło na napastników. Z dachów, z facyat, z nielicznych okien i strzelnic, z każdego piętra i z każdego niemal kamienia runęły głązy, bryły żelaza, chlusnęły kądzie wrzącego oleju i wody. Dym karabinowy buchał zewsząd, nawet z ziemi, z okien piwnicznych.

Francuzi i oddziały polskie biły w mur bagnetem. Rypali w nim szczyby, wszczepiali weń paznogie i końce stóp, darli się na szczyt po wbitych karabinach, jak po szczeblach. Skoro ruszono mur przecznicy z wierzchu, rzucili się na pojedyncze kamienie i rwali je gołą garścią w ogniu i dymie, wśród walących się gruzów.

Nim Hiszpanie zdołali wymordować pierwsze szeregi, już ta barykada była roztrzęsiona bagnetami i zamieniła się na osypisko cegły i wapna. Oszalały zastęp zdobywców wleciał w wąską czeluść ulicy, jak wybuch, jak pocisk ludzki wyrzucony przez siłę piekielną. Zemsta rzuciła ich naprzód. Rozjuszony, ślepy gniew żelaznym kańczugiem gnał do biegu. Ale skoro tylko wychynęli z dołu na wyżynę gruzów zasłony i pokazali się w ulicy, z głębi tego przejścia runęły w nich strzały armatnie. Zatrzęsły się i stokroć oddały huk olbrzymie, czarne, bezokienne gmachy, mury klasztorów, dzwonnice i wieże kościołów. Kartacze porwały w sztuki pierwsze głowy i piersi. Jasna krew strugą ściekała po

cegłach w płaskie rynsztoki ulicy. Cała ona jak długa była poprzegradzana przedpiersiami. Wywalony bruk, płyty marmuru i porfiru, wywalona z głębin ziemia tworzyły jakoby schody olbrzymie, wiodące w dół.

Miejsca niezajęte pod barykady podarte były przez rowy. Za pierwszą baterią widać było niżej drugą, dalej trzecią. Cztery bliższe bocznice z lewej strony ulicy Engracia i trzy dalsze z prawej były zabarykadowane nagim murem powyżej pierwszego piętra. Wszystkie drzwi i okna zabite głazami. Entuzyastyczne, obłąkane zdumienie włosy napastującemu tłumowi zjeżyło. Mieli iść w tę czeluść wąską i sięgającą obłoków. Ulica ta wyglądała jak nieznaczące pęknięcie między niebotycznymi murami. Wstążeczkę ognistego błękitu ledwo było widać między gzymsem a gzymsem dachu. Tego jeszcze zdobywcy Napoleońscy nie widzieli na szerokiej ziemi. Ścięli zęby, ścisnęli w rękach lufy karabinów i czekali na znak komendy. Jednym susem skoczyli ku ziejącym paszczom armat na wzniesieniu. Dopadli. Ujrzeni oczyma żywych ludzi w tych murach żywych. Ujrzeni zimnych, spokojnych kanonierów, ładujących strzał nowy. Tamci nie uszli przed lecącym tłumem. Z milczącą, bladą, nieustraszoną pogardą bronili się wyciorami. Na rozkaz poddania się odpowiadali mamrotaniem modlitwy śmiertelnej i śmiertelnymi ciosami. Powaleni na ziemię, bronili się nożem, wyrwanym z za pasa. Konając od stu w jedne piersi pchnięć bagneta, szarpali zębami ręce i twarze żywych i umarłych, jak psy oszalałe z dzikiej miłości swojej, gdy nie dają napadniętego domostwa. Skłute i roztrzęsione na bagnetach krwawe ich trupy po przejściu zwycięskiej kohorty Francuzów

zwisły na wznak, z rozkrzyżowanymi rękoma, na łożach, kołach i osiach armat, jak potargane strzępy sztandaru.

Pierwszy pułk piechoty nadwiślańskiej i batalion pułku siedmdziesiątego pod wodzą generałów Verdier'a i Lacoste'a przeszły przez pierwszy wał i rzuciły się na drugą baterię. Zaledwie, trupami zawalając ulicę, wymięli jedną z przecznic, rzucił się na nich z za barykady tłum Hiszpanów. Musieli teraz walczyć na wsze strony, rażeni z góry bez jednej chwili wytchnienia.

Krzysztof Cedro znalazł się w ulicy Engracia pod bezpośrednią komendą generała - inżyniera Lacoste'a. Wkrótce jednak koleje walki rzuciły go między inne grupy. Oszołomiony, ogłuchły od huk, jak w twardym śnie pędził naprzód z innymi, przyciskając figurę swoją do murów niezmiernych kamienic. Przebrnął rowy i żywe wały pierwszej baterii i z nagłą trafił w wyłamane wejście trzeciej uliczki, skręcającej od Engracia na lewą stronę. Wołyżerowie pierwszego pułku zmagali się tu jeszcze z Hiszpanami. Rzucił się i on w tłum. Obrońcy, wymordowani w samym wyłomie, poranieni i skłuci, rozpierzchli się, i tylko z górnych okien wciąż jeszcze padały strzały. Ktoś ze starych wiarusów doradzał, żeby się kryć po pod murami i posuwać niepostrzeżenie za wyłom, ku zakrętowi uliczki. Krzysztof uczynił za innymi, co kazano. Przylepiony plecami do muru, posuwał się krok za krokiem z palcem na cynglu, łypiąc jeno oczyma, z której też strony pocisk go trafi. Okna w tem całym przejściu były na dole pozamurowywane do połowy, to też tam i sam można było przewidzieć strzał, gdy ukazywała się czapka, koniec fuzyi, gdy mignęły płomieniste czarne oczy.

Przyszli nareszcie do rogu ulicy. Ich droga była prostopadła do kierunku głównej drogi ataku. Z miejsca, gdzie się znaleźli, szła wązka bocznicą pod kątem prostym, a równoległe do ulicy Sant' Engracia w kierunku klasztoru Franciszkanów. Nastawiwszy ucha, słyszeli gwałtowną wrzawę przy końcu trzeciej linii tego kwadratu, która to linia musiała znowu łączyć się z ulicą Engracia. Tam pędzili jeszcze pojedynczo ranni Hiszpanie, wlekli się upadający

Siedmiu przypadkowo zgromadzonych piechurów, a między nimi wspaniały piechur Cedro — puściło się na oślep w te zaułki. Przeczuwali, że trafią na barykadę i zajmą jej tyły. Było tam mroczno i zupełnie pusto. Szli cichaczem, niepostrzeżeni przez nikogo. Skradali się na palcach, jak lisy po obudwu stronach przesmyka, plecami szorując po murach. Bez straty i przeszkody dotarli do rogu.

W uliczce, która była czwartą przecznicą arteryi Sant' Engracia, a pierwszą od strony klasztoru Franciszkanów, wyrzawszy z za węgła, ujrzeni garść Hiszpanów, walczącą na murze. Trwała i wysoka podmurówka z cegły zamykała tę uliczkę i dzieliła ją od głównej krwawej arteryi. Za murem leżały na kupie klawikordy, kanapy, szafy, wozy, stosy wyrzuconych mebli i kupy worów z piaskiem. Na nich to czyhali ludzie pokrwawieni, przeważnie ranni, i bez przerwy strzelali. Kobiety nabijały broń, dzieci podawały ją obrońcom. Na samym szczycie stało kilku młodych i zdrowych żołnierzy. Ci bronili przystępu do tego miejsca karabinem. Wołyżerowie porachowali ów tłumek oczyma... Za chwilę wypadli z za węglów ulicy i z krzykiem rzucili się na

barykadę. Spostrzegli ich obrońcy i przywitali strzałami, nim do podnóża barykady przypaść zdołano. Zarazem ocknęła się ulica. We wszystkich oknach na górze i dole, przed nimi ukazały się głowy i lufy. Huknęły strzały i dym zaciągnął ulicę. Obrońcy barykady zeskoczyli z niej kilku susami i zwarli się z wołtyżerami. Przez górne otwory okien zaczęli wyłazić ludzie starzy, baby z siekierami, z tasakami, ukazywały się pięście, błyszczące od sztyletów, i białe wyszczerzone zęby. Żołnierze polscy utworzyli maleńki czworobok, najeżony bagnetami. Wołtyżer, stojący w środku, pchnął drzwi, przy których stał. Otworzył się z trzaskiem przymknięte połowy. Ujrzeli za sobą wąską sień i ceglane schody, prowadzące w górę. W mgnieniu oka wśliznęli się czworobokiem do tej sieni i zwrócili wszystkie bagnety w ulicę. Dwu nabijało broń, pięciu wołtyżerów i szósty Cedro nie odejmowali kolb od szczęki.

Utworzył się za chwilę dokoła tej sieni zator ludzki z obudwu stron. Cedro był na froncie czworoboku, stał na progu i osłaniał kolumnę. Tuż za progiem od strony wschodniej, więc od strony ulicy Engracia i niezdobytej jeszcze barykady, wysoki, czarny dom występował w uliczkę grubą skarpą na jakie półtora łokcia. W tym to występie były na wszystkich piętrach okienka jedno nad drugim. Było także okno na dole, zamurowane do połowy. W górnym otworze, który Cedro mógł widzieć, bo znajdował się w linii jego strzałów, a na odległości co najwyżej dwu łuf karabinowych ukazywała się raz po raz głowa. Dym stamtąd buchał. Wziąwszy w ręce nabity przez kamrata karabin, Krzysztof uważnie zmierzył w to okno. W tej samej

chwili znowu mignęła tam biała twarz. Złożył się lepiej do strzału... Tak oto z kolbą przy szczęce zniechęconiał pod kulami nieprzyjaciół. Nie mógł ściągnąć cyn-gła. Prosto w jego oczy z mroków owego otworu pa-trzały oczy jakby natchnionego anioła, straszne i cu-downe, szeroko od uniesienia rozwarte. Czarna burza włosów nad białą twarzą, którą w maskę zgrozy ścią-gnęło męstwo i zdziczenie bojowe.

— Jakże jesteś piękna... — marzył Cedro, pełen płomienistego wesela i zachwytu, mierząc między te oczy, surowo w niego wlepione.

Runął jego strzał. Pocisk dymu osmalił mu twarz i na chwilę oślepił oczy. Gdy dym się rozpadł, bez-władnemi oczyma patrzył ułan w jamę okna. Oto z za-futryny wysuwa się cichaczem białe czoło i oczy widma ogarną napastnika. Szczęście owiało mu twarz. Uśmiech owładnął jego oczyma i ustami. Stali przez mgnienie żrenicy, trwające dłużej niż setki lat, naprzeciwko siebie z oczyma w oczy zatopionemi. Chwila ta trwała krócej, niż zajmie czasu podanie z rąk do rąk nabitego kara-bina...

Biegł ku uwięzionym w bramie zastęp coraz większy. Ujrzawszy istny przed sobą tłum, piechury, rzuciły też jeszcze jedną salwę strzałów, a potem, nie myśląc wcale, co będzie dalej, zatrzasnęły drzwi owej sieni za sobą, założyły ogromną sztangę żelazną od wewnątrz. Nie wiedzieli, gdzie są. Ciemność ich teraz ogarnęła zupełna. Nie mając nic do stracenia, skierowali się w głąb sieni. Trafili tam na owe schody ceglane. Kiedy Krzysztof wbiegł pierwszy na wąskie, kręte, wydeptane stopnie z cegły, rozwarły się przed nim w ciemności jakieś

drzwiczki. Ktoś krzyknął o kilka kroków przed nim. Żołnierz pchnął w to miejsce bagnetem, ale uderzył w szczyry mur. Czając się i wszystkie zmysły posyłając na wzwiady, szedł w górę za szelestem kroków, które przed nim w mroku zniknęły. Cicho skradali się towarzysze. Słyszać było tylko ich gorące, spracowane, złowieszcze oddechy. Zbójeckie oczy przenikały ciemność. Byli jak jednoosobowe widmo śmierci, nawiedzające cichy dom. Rękoma wiedli po ciemnych i chłodnych ścianach, szukając drzwi do mieszkań. Komin krętych schodów otworzył się na pierwszym piętrze w niewielką platformę. Drzwi prowadziły na zamknięte podwórze, dookoła którego biegła galerya drewniana. Chyłkiem wyjrzeli na dziedzińczyk. Nikogo.

Trzy kury najspokojniej spacerowały w dole, na słońcu, pokrakując i dziobiąc niewidzialne ziarenka. Na balkonie papuga zielona bujała się w wysokiej klatce okrągłej z czerwonych prętów. Światło słoneczne ognistym, prawie żółtym płatem leżało na jednej ze ścian i częście maleńkiego dziedzińca.

Nie wydało się rzeczą bezpieczną wkroczenie z obrębu murów na ów balkon drewniany. Posunęli się wyżej, na drugie piętro, schodami tak samo krętymi po wydeptanych schodach z cegły. Gdy byli w połowie wysokości tego drugiego komina, posłyszeli na jego szczycie lekki szmer. Stanęli.

Była cisza. Ale skoro pierwszy z idących znalazł się w sferze światła, zezem padającego z góry, buchnął w nich strzał. Przodownik stęknął i bez słowa, jak wór piachu, bezwładnie siadł na miejscu. Natychmiast przeskoczył go następny i wypadł na wierzch. Za nim inni

koleją. Rozległ się drugi strzał. Po nim trzeci prawie jednocześnie. Ujrzeni przed sobą kilku mężczyzn uzbrojonych. Byli to księża. Pistolety dymiły się jeszcze w rękę tych sług ołtarza. W mgnieniu oka trzech starcy legli we własnej krwi, charcząc i pazurami szarpiąc nogi żołnierzy. Czwarty i piąty uciekał we drzwi na prawo. Jednego dopadł Cedro. Ksiądz nagle odwrócił się i jednym susem stanął przy ułanie. Był to człowiek w siłę wieku, z twarzą szarobłękitną, z siwymi włosami, krótko, przy samej skórze ostrzyżonymi. Po lufie karabina zgrzytnął i ześliznął się siny promień sztyletu. Gdy tak raptem w przerażeniu i napastliwym szale znaleźli się pierś przy piersi, z rękoma wzniesionemi do ciosu, Cedro zobaczył jego straszne, czarne oczy, rozdarte od zemsty i nieruchome, jego zęby białe, jak ser, i rozdęte przez furję nozdrza. Zdzielił go karabinem z dołu w brzuch, od jednego zamachu ramion. Ksiądz zgiął się w pół i zwolna padł w tył. Wtedy, nie wiedząc wcale co czyni, Krzysztof w mgnieniu oka dźwignął karabin, obrócił go młyncem kolbą do sufitu i zadał uderzenie w jęczące piersi. Bagnet przebił wszystko i uwiązał w podłodze. Wyrwał go ułan z trudem i poszedł za innymi we drzwi napotkane, otrząsając buty i spodnie zbroczone od krwi, która wytrysła i pierzchła na wsze strony.

— Kokoszki! — wrzasnął wołytyżer, idący na przedzie.

Kiedy zajrzeli do pokoju, dostrzegli tam ze dwadzieścia kobiet różnego wieku, starych i młodych.

Stały skupione, zbite, jakby zlepione między sobą w jednolitą masę w ciemnym kącie dużego salonu. Martwemi oczyma patrzyły we drzwi. Nim słowo rzec,

gromada ta została rozerwana, rozbita na sztuki, rozpatrzona w świetle okna. Stare i starzejące się wyrzucano za łby, kolbami i kolaniem za drzwi, do następnego pokoju. Zostawiono siedm sztuk co najmłodszych. Między ostatnimi Cedro ujrzał twarz z okna na dole tej kamienicy. Domyślił się, że ona to biegła przed nim w mroku po schodach. Ona dała znać księżom.

Przypadł do niej skokiem. Porwał w ramiona. Zawarł je z żelazną siłą. Nikt mu jej nie bronił. Teraz wśród strasznego milczenia, które tę ciemną salę nappełniło, dawały się słyszeć tylko jęki, wzdychania i płacz konających. Żołnierze zawarli drzwi jedne i drugie. Z rozwścieczonym pośpiechem zabarykadowali je stołami, stołkami, wszystkim, co było pod ręką. Na chwilę przerwały ciszę błagania, skamlące szept o miłosierdzie, o zmiłowanie, zaklęcia i szlochy. Wszystko to ucichło, gdy mazowieckie garście ścisnęły delikatne gardziółki Aragonek. Słabe, wypiełęgnowane ciała nie mogły się oprzeć powaleniu pięścią na ziemię, nogi ugięły się. Zdarte zostały w mig suknie...

Cedro stał przed swoją wybranką i patrzył na nią błądy, jak trup. Oczy jego latały błyskawicami naokół, badając, czy już wszyscy towarzysze obezwładnieni. Wtedy znowu bez trwogi mógł spojrzeć na nią. Te same ujrzał samoświejące oczy, czarne a przeźroczyste, jak jasna, niezgruntowana woda. Nie miała więcej nad szesnaście lat. Była wysmukła, widzialna prawie w swej sukni przejrzystej. Oczy jej skamieniały od strasznego widoku, który się przed nimi roztoczył. Walka i szamotanie się jej siostr czy krewniaczek — zmiażdżyły ją na proch. Usta rozpadły się, chwytając szybki dech.

Jakieś dźwięki w wiotkich wargach... Cedro postrzegł, że mózg w jej głowie wywraca się, żyły się wiją, a czaszka pęka. Zatrzęsa się, załopotała, wygięła ramiona. Nogi zaplotła jedną na drugą, ścisnęła ze wszystkich sił dygocące kolana. Rękoma, jak ptak konający grabieżcami szponami, szukała koło siebie. Oto zaczęły te ręce obciskać suknię na lędźwiach, obciskać z całej mocy, obciskać... Zdawało się, że ze wstydu wlezie w mur, że się wwierci w ziemię.

Krzysztof co prędzej chwycił ją za ramię i pociągnął przemocą. Włókł ją, jak szczenię, kłusującą mu ręce, aż do drzwi. Rozwarł je uderzeniem nogi. Zatrzasnął za sobą po przestąpieniu progu. Tam uwolnił jej ramię. Stał się z niego w mgnieniu oka wiedeński salonowiec. Złożył jej skromny, a najpiękniejszy ze swoich ex-ukłonów i giestem uprzejmym wskazał, że jeśli taka jest jej wola, może się oddalić z tego miejsca, dokąd chce. Tchu mu brakło w piersiach. Ledwie zdołał wykaszlać:

— *Mademoiselle...*

Stała przed nim blada, zbieła, jak śnieg. Jej oczy, co własny swój blask miały, jak słońce, tkwiły w jego twarzy. Drżały usta. Nie mówiąc słowa, złożyła mu ukłon panieński, dyg salonowy. Odwróciła się i odeszła wolno w głąb pokoju. Znikła za drzwiami. On szedł za nią o kilka kroków, nieświadom tego, co się z nim dzieje. Był w owej chwili nie jak człowiek, lecz jak bezcielesne pożądanie widoku piękności. Szedł, nie wiedząc o tem, że idzie.

Doświadczał błogiego olśnienia, że się oddała w zaświaty za duszą swoją, która go wiedzie w błogosła-

wione dziedziny. Było szczęście dotykalne, żywe, całe w każdym z tych jego kroków. Znikła już, a on ją jeszcze widział przed sobą oddalającą się szeregiem ruchów, których piękności pamięć nie może w sobie zamknąć, oko nie może zmieścić w swem polu, a słowo nie jest zdolne wyrazić. Każda z chwil, upływająca między jednym jej poruszeniem a drugim, trwała jeszcze, jako wcielenie najwyższej rozkoszy. Piękna *doncella* nie obróciła się, wchodząc we drzwi napotkane. Zostawiła je otworem.

Zapomniał, że broni nie ma w ręku, że karabin zostawił w pokoju sześciu ujarzmionych dam. Raz spojrzy, dokąd też poszła. Raz rzuci okiem. Może jeszcze załsnia przed nim te oczy wieczne, oczy żywota...

Wszedł we drzwi i postąpił kilka jeszcze kroków. Nagle zdało mu się, że mdleje, że stracił przytomność. Zaćmiło mu się w oczach. Usłyszał za sobą łoskot drzwi zatrzaśniętych. Palce-szpony, palce-pazury wpiły się w jego gardziel. Ze dwadzieścia rąk czepiło się ramion, nóg bioder, kolan. Podbito mu nogi, chwycono go za kołnierz i akselbanty. Szarpnięty niespodziewanie, stracił równowagę i runął na wznak, jak długi.

Z nim razem zwaliła się na ziemię i przydusiła go kupa starych i podstarzałych bab, wyrzucona za drzwi. Zdradziecko go napadły. Leżał teraz pod istną stertą zwalisk, usiłując przez chwilę złapać cały oddech i pierwszą z brzegu myśl. Tymczasem wszystkie te wyschłe łapy, kościste, poskrzywane knykcie wbijały się weń, jak gwoździe, jak haki stalowe, szarpały go, jak obcęgi.

— Nic to innego, tylko odwet za tamte damy... —

myślał sobie ociężale, trzęsąc się ze śmiechu. — Ależ matrony... Nie jestem w stanie...

Pantofle zatupały... Baby-truposze szepcą, jedna przez drugą, szepcą, szepcą... Jeden wyraz jakiś syczy, świszczę, rzegocze w ich spróchniałych zębach. Coraz natarczywiej, prędzej namiętniej bełkocą to słowo...

Spróbował poruszyć się z jednego boku, z drugiego... Ani mowy! Ręce rozkrzyżowane i, zda się, bretnalami do ziemi przybite. Każdą z nich dziesięć ciotek trzyma ze wszech sił.

— Jakto? — począł mamrotać do nich po polsku — więc ja jeden... Mam-że dać zadośćuczynienie, o sympatyczne staruszki... Biada mi!

Zgromadził w sobie siły, długo nabierał pełne płuca tchu, a wreszcie porwał się z miejsca. Ruszył z posad kopic babski. Kilka spadło z wierzchołka. Poczęły jeszcze zacieklej biegać, szeptać i znowu kłaść się na wierzch stosu. Nagle jakaś straszliwa łapa, sucha z żelaznymi stawami, które kłuły jak trzpienie, chwyciła go za gardziel. Wymacała krtani i zdusiła. Płaty krwi załopotwały mu w żrenicach, a ogień buchnął w czerep. Ostatnim wysiłkiem zgiał kark, huknął naprzód głową dla złapania tchu i trafił zębami na żyły i ścięgna tej łapy, co go dusiła. Chwycił z całej siły i ciął szczękami. Szarpnął. Rozległ się krzyk. Łapa puściła. Wtedy co tchu w piersi począł wołać:

— Ratunku! Na pomoc! Na pomoc!

Dokoła jego piersi, głowy, szyi — ruch rąk, szepty, gwar.

Szarpią go, siepią, drą pazurami. Coś sobie wzajem z ręki do ręki podają, jedna drugiej z chargotem wydziera.

Zobaczył sztylet. Chwila ciszy. Sapia na nim wszystkie świstem. Oto jakaś jedna ręka sunie się od dołu po jego piersiach. Szuka, medytuje... Wstrzymała się nad sercem.

Ostrze skierowane wpiera się z lekka w mundur, badając pulsujące tętno. Rozwarł przerażone oczy... Krew lodem się ścina. Cudowne nad nim oczy... Żrenica patrzy w żrenicę. Półotwarte usta ciężko, śmiertelnie dyszą. Teraz ją dopiero poznał... Onaż to na nim leży?

— Jakże cię kocham... — szepnął, chwytając dech w piersi.

W tej samej chwili, nie myśląc o niczem, udźwignął głowę, wyteżył wszystkie siły i przysunął usta do gorejących warg. Sztylet w ręku cudnej dziewczyny zachwiał się, zakolysał, zawałał. Cedro szarpnął w owej chwili prawą rękę. Wydarł ją z pazurów babskich, wywłókł palce z pomiędzy śrub i haków, zgiął łokieć nadmiernym wysiłkiem i dłoń przyciągnął ku sobie. Chwilę gotował cios. Zadał go z dołu we wszystkie pokład babskiego próchna, które na nim leżało. Za chwilę wsunął dłoń między swe ciało i ciało dziewczyny, żeby jej z ręki wydrzeć niebezpieczny sztylet. Ale nie sztylet napotkała ręka. Zapomniał o śmierci wiszącej, o nożu na sercu. Cudna Aragonka rzuciła się do góry najgwałtowniejszym z ruchów dziewiczych. Jakaś inna, doświadczeńsza dłoń porwała w tejże chwili rękojeść puginału.

Ale oto rozległ się trzask wywalonych drzwi. Tupot nóg! Krzyk przeraźliwy... W mgnieniu oka na dywany posadzki rzygnęła krew. Woltyżerowie wpadali kolejną. Widząc towarzysza na ziemi i sądząc, że jest

zamordowany, nie przepuszczali babom. By się długo nie bawić, chwyтали stare wiedźmy, nim zdołały wstać z ziemi, jedną po drugiej we dwu za łeb, za nogi — i wprost z progu drzwi ciskali za poręcz balkonu na podwórze, z drugiego piętra.

Cedro leżał dość jeszcze długo. Nareszcie dźwignął się z ziemi, jak ciężko pijany. We łbie mu się mąciło, w żrenicach biegały płomyki. Z mozołem zbierał się, prostował, wyciągał ręce, kładł czapkę. Skoro stanął na nogach i rozejrzał się wokoło, co tchu pobiegł po karabin, który był w sąsiednich pokojach zostawił. Wracając z bronią w ręku do towarzyszków, ujrzał śliczną swoją panienkę w ręku jednego z piechurów.

Zbliżył się wraz do tego wiarusa o krok i rzekł z całej duszy:

— Bracie, zaklinam cię. — puść ją!

Tamten ani myślał puszczać. Mrugnął tylko chytrze na kolegów, żeby ulana odciągnęli i zabrali ze sobą. Ale Cedro położył mu rękę na ramieniu i rzekł prosto w ślepie:

— Mówię do ciebie drugi raz — puść ją!

— A żebyś wiedział, ty czapo, że nie puszczę! Żebyś wiedział! »Bracie, zaklinam cię...« Komediant z teatru... Miałeś czas... A teraz moja kolejka! Krzos, weź ino na bok tego draba!

Cedro wyrwał z za pasa pistolet i w mgnieniu oka postawił mu lufę między oczyma, mówiąc od jednego tchu:

— No!

— To ja ciebie, ślepage, od haniebnej śmierci wybawił, babów za ciebie ze sześć sztuk bagnetem rozdarł, a ty mi dzieuchy bronisz!

— Bronię!

— Chyba ja w pułku jednego kamrata nie mam, jeśli ty dzisiejszego wieczora doczekasz...

— Puścisz, psubracie?!

— Chybaby na świecie żadnej sprawiedliwości nie było, żeby tobie to na sucho uszło! A i cóż wy, koledzy?

Hiszpanka wyśliznęła się z rąk wołyżera. Czepiając się drżącymi dłońmi sprzętów, okien, drzwi, szła dokądś. Piechury spojrzeli po sobie straszniemi oczyma. Milczeli.

— To już chyba chodźmy... — rzekł wreszcie jeden.

— Chodźmy... — rzekł drugi.

Krzysztof obciągał na sobie kurtkę i zabierał się do wyjścia.

— Słuchaj-no, panie jeździec, a tobie z nami wara! Ty idziesz z tela osobno...

— Osobno, osobno...

— No, żeby zaś... My są piechota, a ty co tu robisz?

— Dobrze, dobrze...

— Za rabunkiem z karabinem piechotnym chadzasz po domach? Rycerz!

— Idę z rozkazu, jako i wy.

— Czego chcesz z nami łązić?

— Takiemu, co sam bez komendy łązi — kula w łeb.

— A bo i pewnie: kula w łeb! — wrzasnął drugi.

— To strzelaj, gałganie! — zawołał Cedro.

— No, żebyś tylko drugi raz nie komenderował...

— Chodźmy koledzy.

— A tobie wara z nami!

— Mójże, kawaler...

— Jeździec!

— Francuski pudel!

— Galant!

— Hrabia!

— Tkliwy kokiet!

— Czekaj, szepnie się między lansyery, jak cię to stuletnie baby na podłodze koziorem żgały po żebrach, a tyś im radeczki dać nie mógł...

— Byłyby cię ładnie oporządziły, żeby nie ja...

— Kto wie, co one z nim zrobiły?

— Trzech groszybym nie dał...

— Cha-cha... jak mamę kocham!...

— Jakże on teraz, towarzysze, przed obliczem swej bogdanki stanie?

— Konik polny...

— A jakiego to tonu ze siebie dobył, słyszeliście?

Ruszyli w tę stronę skąd przyszli. Cedro rzeczywiście nie myślał iść z nimi. Siadł we framudze okna i bezmyślnie patrzył na stygnące trupy starych niewiast, na kałuże krwi i połamane sprzęty.

Zdawało mu się, że rozważa w tej chwili, co czynić dalej. W gruncie rzeczy drzemał, był w stanie pół snu, pół jawy. Widział i słyszał coraz niedokładniej... Zbudził go łoskot. Pękały gdzieś daleko drzwi, waliły się stoły i szafy zatarasowujące. Wołyżerowie szli na-
zad z pośpiechem, wołając do Krzysztofa:

— Tłum na nas idzie!

— Wyłamały drzwi na dole!

— Banda!

— Idą...

Pobiegli wszyscy na ów balkon, okalający podwórze. Obszedłszy go do połowy, z drugiej strony dziedzińca napotkali schody szersze od tych, którei wdarli się do tego domu. Zaczęli ostrożnie, bacząc na wszystko, schodzić tamtędy w dół. Gdy zstąpili na wysokość pierwszego piętra i przechylili się przez balustradę schodów, ujrzeni wąską sień sklepioną. W końcu tej sieni były kute drzwi, zamknięte na sztabę i zabarykadowane głucho workami wełny, wańtuchami piasku, kamieniami, zelastwem i wszelkiem rupieciem. Z tamtej strony, za tą bramą, wrzała bitwa. Słuchali chwilę w milczeniu jej obłąkanych odgłosów... Zrozumieli, że te drzwi prowadzą wprost na ulicę Engracia. Co tchu zaczęli odkładać na bok kamienie, odciągać worki za zawitki, odwalać graty. Już mieli oderwać żelazną sztabę i rozewrzeć bramę, kiedy Krzos rzekł szeptem:

— No, wiecie chłopcy, że teraz albo nasza nagła śmierć, albo nasza głośna chwała! To wam trza wiedzieć, że za temi drzwiami jest główna siła spaniolów. Tak miarkuję, że wyjdziemy w sam środeczek, między dwie barykady... Ale już niema nam kaj iść. Za nami idą i za moment tu będą. A jak zobaczą, jakiego to my im piwa nawarzyli, co my zrobili jeich ciociom, a jakie *kuku* kuzynkom...

— Odwalać!

— Czekajcie, czekajcie, jeszcze moment! — zawołał Cedro, zstępując za nimi z góry.

Gdy szedł po schodach ostatni i zdala od grupy, zobaczył na prawej ręce niewielkie drzwi, prowadzące do izby na piętrze. Otworzył je i co tchu przywołał towarzyszków.

— Czego tam? — wołali.

— O co mu idzie?

— Jucha, Scypion Afrykański Młodszy...

— Stąd dopiero będziecie mogli prażyć!... — wołał Krzysztof.

— Co ty tam możesz wiedzieć, skąd prażyć...

— Blondyn!...

Pobiegli jednak ku niemu. W niewielkim pokoju, do którego weszli, znaleźli kilkunastu zabitych żołnierzy hiszpańskich. Leżeli na ziemi i na sprzętach. Znoszono tu, widać, z ulicy i rzucono w popłochu ciężko rannych w bitwie ulicznej, a potem w zapale walki zapomniano o nich. Leżeli, rzućni na wznak i na twarz. Pełzali, widać, w przedśmiertnej agonii na wsze strony, jak snące raki, a wreszcie wygaśli kolejno w dusznej, kamiennej izbie. Teraz, po wypuszczeniu z siebie kałuży skrzepłej krwi, spali bladzi ze straszliwym natchnieniem w zwiedzionych brwiach, w rozwartych ustach, z których krzyk zemsty jeszcze zdawał się lecieć... Jednemu wywaliło się z nozdrzy rozbitego nosa tyle krwi, że z niej powstała na ustach i brodzie skorupa, nikiel larwa opuszczona z zadumanego czoła, z oczu we łzach. Drugi miał głowę rozwaloną czerepem granatu, a usta skrzywione takim bólem, że widok ich dźwigał z piersi przemocą westchnienie.

Wołyżerowie odgarnęli ich z drogi uderzeniem nóg i przedarli się do dwu wązkich okien, zasłoniętych od wewnątrz drewnianymi okiennicami. Okna te, ze dworu opatrzone w żelazne kosze ze sztab kutych ozdobię, wychodziły na ulicę Engracia, w miejscu jeszcze niezdołym przez następujące szeregi. Tuż

w ulicy była barykada, na której walczyła banda obrońców. Naprzeciwko wznosiły się mury klasztoru Panien Jerozolimskich. Za tymi gmachami, które tworzyły całą dzielnicę, prawie kwadrat, opasany czterema przecznicami, widać było prześliczne ogrody klasztoru, pełne cienników cyprysowych, czarnych mirtowych kwadratów, podobnych z oddalenia do tkaniny precudnej z bezcennego aksamitu, pełne rozpieczętych palm i magnoliowych alei. W głębi czerniały budynki gospodarskie i sam konwent, frontem zwrócony do poprzecznej uliczki.

Od strony głównej arteryi Engracia wznosił się posępny czarny kościół z wyniosłą wieżą. Z tej to wieży waliły w szturmujących Francuzów małe armatki, padały ręczne granaty, spadały cegły i lała się wrząca woda.

Wołyżerowie nabili starannie broń, zawarli za sobą drzwi. Raptem, otwarłszy obadwa okna, wydali gromki okrzyk.

Zarazem, wytknąwszy lufy karabinów, zaczęli strzelać w Hiszpanów, jak do celu, niechybnie. Dostrzeżono ich zaraz na wieży Panien Jerozolimskich, na barykadzie i w szeregach francusko-polskich. Wzmógł się atak. Zaczęły koło głów trzaskać kule i rypać kamienne obramowania okien. Jedna z nich trafiła żołnierza Zielińskiego w skroń. Runął na wznak, trzepnął rękoma. Gwałtownie, przez kilka chwil nogi jego kopały mur. Potem westchnął i ucichł.

Cedro nie miał dostępu do okna. Zaczął chodzić między trupami, nie unikając bynajmniej ich widoku, ale ich prawie nie dostrzegając. Był już obojętny na barwę krwi, kształt rany i obraz śmierci. Zadawał sobie

wciąż pewne pytanie. Nieprzewyciężona nuda wlekła się za nim, oplątywała stopy, jak kajdany, ściskała ręce.

Zadawał sobie pytanie, gdzie też jest w danej chwili *doncella*? W którym jest miejscu? Nie marzył wcale o tem, żeby do niej mówić, ani o tem, żeby ją widzieć... Tylko tę posiąść wiadomość, że jest. Nie zdając sobie wcale z tego sprawy, ciągnął chceniem do tego tylko, ażeby wszystko raz skończyć, ażeby nareszcie do licha usnąć. Runąć na twarz między takich oto — i spoczywać na wieki wieczne. Przeczuwał przecie, że się w pamięci pod żelaznem jej wiekiem palą wszystkie widziane sprawy, że się bez przerwy w miękkich zwojach mózgu, jakby pod nieubłagany rylcem sztycharza w twardej miedzi, żłobią wszystkie obrazy. Tyle tylko szczęścia, że niema czasu, więc ich nie widno. Paść na twarz i zgnić, jako i ci, którzy leżą. Zgnić tak, żeby razem zgasty i wygniły żyjące potajemnie, zdradzieckie myśli, myśli tchórzliwe i zropaczone, nie żołnierskie, lecz zaiste babskie, dziewczynskie, chłopięce. Możeby ustał ów chytrze niemy kierat mózgu! Czemuż nie pchnęła wtedy sztyletem do dna, do gruntu, po rękojeści poprzecznice? Czemuż nie pchnęła i nie zabiła po męsku, jako on starego księdza? Żeby głuchoniema podłoga zmuszona była oddać głos: — Dokonałeś!

Wzdrygnął się i rozejrzał.

— Ach, umrzeć, trzymając w ramionach tę siostrę duszy swej, drżącą i kruchą, jak żółty motyl w rubaszną garść złapany! Umrzec przy tak czujnem sercu, nie uczyniwszy mu krzywdy... Czuć jedną młodą duszę, płomieniste zarzewie życia we dwu innych ciałach...

Tchnąć własną duszę, umierając, w te usta... Czemuż ci się, siostró, zatrzęsła miękka rączyna?... — mamrotało głośno, słaniając się ze szlochaniem wewnętrznym z kąta w kąt, z kąta w kąt...

— Trzymaj, te — ułan! — wrzasnął mu nad uchem woltyżer.

— Czego?

— Pójdę ja patrzeć, co się dzieje od onego podwórza, bo nas tu zejda i wyduszą, jak gniazdo myszów. A pał celnie, bo ostatnie ładunki náma wychodzą.

Krzysztof chwycił z jego rąk nabity karabin i z furją zaczął strzelać w tłum. Dało mu to zapomnienie o chwilach poprzednich. Głowę miał pełną piachu i dymu, w ustach smak jakby centuryi. Odrobina, ochłap głupiej umiejętności, jak broń nabijać, jak się składać, celować i ciągnąć za cyngiel, stanowiła wszystek jego rozum. Mierzył celnie i nad wyraz skutecznie.

Tymczasem woltyżer Krzos wysunął się na schody i znikł w ich mroku. Cedro nie dał jeszcze pięciu strzałów, kiedy tamten wleciał na palcach z wiadomością, że na podwórzu stoją Hiszpany.

— Na dole... — mówił, chwytając karabin zabitego towarzysza.

— Lećmy.

Wyszli wszyscy na paluszkach i wrócili na balkon drugiego piętra. W istocie na dnie podwórza kłapały *abarki*, drewniane trepy aragońskie. Krążyło tam kilku mężczyzn z karabinkami w ręku. Oglądali z krzykiem trupy kobiet, wyrzucone za poręcz górnego balkonu. Natychmiast trzech z nich legło na tem miejscu

od celnych strzałów polskich, reszta w milczeniu pędziła na górę. Słychać było łoskot drewnianych postoiów po schodach. Ukazali się we drzwiach, na balkonie drugiego piętra w swych krwawych szmatach na rozczochranych łbach. W skok, tygrysimi susami, oblecieli drewniany balkon drugiego piętra. Wyjąc i gwizdząc, gnali ku wołyżerom. We drzwiach na główne schody zawrzało. Bratobójczo, pierś w pierś się zwarli. Odpadły karabiny. Nagą garścią! Cedro ujrzał błysk sztyletu toledańskiego. W tej samej chwili Krzos padł jak rążony gromem. Tyłem głowy wyrznął w kamienny próg i nie drgnął ani razu. Hiszpanów było trzech. Zginęli prędzej, niż tu przybiegli. Dwaj wyrzuceni zostali za poręcz tak samo, jak ich rodaczki, a trzeci, zmiażdżony ciosami karabina w łeb, zmienił się po upływie kilku chwil w kupę krwawego mięsa. Wiarusów było teraz tylko pięciu. Ładunków już nie mieli. Na podwórcz wchodzili Hiszpanie.

— No, teraz, bracia, niema co!

— Do dzieła!

— Drzwi naościę!

Wielkimi krokami, z pieśnią na ustach rozszalała zeszli na dół. Poprawili na sobie ładownice, pasy, lederwerki. Przekrzywili czapy. Mocno pod brodą złączyli podpinki. Jeden drugiemu wyprostował czarną kite na czapce.

— Ułan! chodź we środek.

— Dajcie mi pokój! Ja idę osobno, sam!

— Chodź we środek! Ja ci kazuję, ja tu teraz wódz! — rzekł pierwszy z brzegu.

— Karabina niezwyczajny i jeszcze, widzisz go, sam!

— Broń do ataku!

— Marsz!

Zerwali ze drzwi wejściowych od ulicy Engracia żelazną sztabę. Dźwiękła, jak miecz katowski, żelazna sztaba, padając na kamienie. Z trzaskiem rozwarli podwoje.

— Niech żyje cesarz! — wrzasnęli, jak jeden, żelaznym krokiem wychodząc w ludzki tłum.

— Na bagnety!

Padli w obrońców barykady i rozwalili tłuszczę, jak pękająca bomba. Gdy żółte rabaty zajaśniały na tyłach barykady, wrzask rozpaczy rozległ się na niej. Dosięgli pierwszych worków i sprzętów, tworzących stopnie ulicznego szańca. W skokach, wśród piorunowych czynów bagneta i kolby, wstępowali na górę. Chyżo przysiadając, skacząc, koląc naprzód i w tył, w górę i na dół, młyńcem i sztychem czynili sobie ulicę. Teraz każdy walczył za siebie i za wszystkich pięciu i za całe wojsko.

Nim Hiszpanie zdążyli zliczyć ich, wtargnęli pręmo na wierzchołek pozycyi. Strącali stamtąd obrońców, lecąc w podskokach, grzbietem szańca, po kołach i łożach armat, jak żółty piorun po zrębach skał. Krzyk podjudzonego męstwa na ich widok buchnął z kolumn szturmujących. Bataliony nadwiślańskie, ujrzawszy swoich u mety, rzuciły się na barykadę i wpadły na nią wśród zapasów, trając wrogów na śmierć. Tysiąc łuf nabili tymczasem Hiszpanie i tysiąc zmrużonych oczu mierzyło we łby tych pięciu. Runął też na twarz jeden, zachłysnął się krwią i rzygnął nią w biegu drugi, przyklął trzeci, jak kosą podcięty. Cedro, zimnym stra-

chem gnany, z urwaną połową czapki, skrwawiony w dziesięciu miejscach od kontuzyi, ślepy od prochu i uniesienia, zląził z barykady wielkimi kroki po worach, trupach, gratach, razem już ze zdobywcami. Pieśń koło niego straszliwa... Widziała go była na czubie niezdobytej poprzecznicy cała kolumna, Lacoste i Chłopicki... Wskazywali go szpadami, prąc, gniotąc i goniąc Hiszpanów ku następnej baterii u wylotu ulicy Engracia, gdzie się już zaczynał biały od słońca, wydłużony plac Cosso.

W miejscu zdobytym ulica Engracia stanowiła wąską szczelinę. Z prawej strony wznosiły się mury szpitala, z lewej olbrzymie czarne mury klasztoru Franciszkanów. Wieża zdawała się zwisać nad ciemnym przesmykiem. Zastęp hiszpański, który bronił barykady nie cofnął się jeszcze w to przejście, lecz podzielony na dwa oddziały, zajął w mgnieniu oka klasztory Panien Jerozolimskich i Franciszkański. Cedro wraz z tłumem towarzyszków uderzył na pierwszy z tych konwentów. Furty i bramy były zawalone, ale je wnet wyłamano. Hiszpanie zostali wytępieni bagnetem u wejścia do kościoła, w jego kruchtach i nawach, w przedsionku i korytarzach klasztornych. Gdy Krzysztof wszedł do głównego budynku, który stanowił mieszkanie zakonnic, już te miejsca były zupełnie opanowane. Długie, niezmierne, kręte korytarze, skąd na prawo i na lewo wchodziło się do cel, były zupełnie już puste. Panowała tam ciemność i nieprzyjemna cisza. Łoskot kroku rozbijał się, jakgdyby w studni. Krzysztof był śmiertelnie strudzony.

Za jakąbądź cenę pragnął zasnąć przynajmniej na

moment czasu. Myślał właśnie, żeby w jednym z tych lochów położyć się pod murem i udawać zabitego, gdy wtem, o parę kroków od siebie, na załamaniu przejścia na wyższe piętro, usłyszał okrzyk:

— *Qui vive?*

Dał hasło. Z głębokiego mroku pod światło półokrągłego okna ze starych przepalonych szyb wyszedł oficer z obnażoną szpadą. Cedro pochylił się ku niemu i poznał go odrazu.

— Ach, to znowu ten jakiś Wyganowski... Kuzyn... — myślał z niesmakiem.

Kapitan przypatrywał mu się z uśmieszkiem ironii, oglądał go od stóp do głowy. Rzekł wreszcie:

— Widziałem waćpana na barykadzie.

— Bardzo być może.

— Brawo!

— Znalazłem się tam przypadkiem, właściwie wbrew woli.

— Coraz lepiej.

— Zginęli ci, którzy ją zdobyli. Chwała im wieczna! Oni to mię wciągnęli...

— Co do chwały... No tak. Skromność, godna za-zdrości! Ale mówią głośniej od słów, napisów na papierze, pergaminie i, dajmy na to, piaskowcu — te chlubne czerwone plamy na portkach i butach. Odnaczasz się waćpan, mości Cedro, niepomału. Bijesz Celtyberów, aż trzeszczy. Daj tylko jeszcze na tysiąc mszy u mnichów w Burgos, i będzie z ciebie Cyd, jak sto tysięcy dyabłów! Podobasz mi się.

— Tak, zamordowałem dzisiaj niejednego człowieka... — rzekł Krzysztof, tępo patrząc mu w żywe oczy.

— Bardzo pięknie, młodzieńcze.

— Szczególnie jeden, którego zatłukłem własnymi rękoma.

— Cha-cha... Od tego jest wojna, żeby każdy prawdziwy człowiek miał sposobność mordowania wrogów, ile dusza zapagnie. Nie minie cię nagroda, ja w tem. Strzeż się tylko losu Hamilkara pod Saguntem, bo i to się na wojnie przytrafia.

Cedro grubiańsko milczał.

— Czemuż dalej nie odznaczasz się na arenie walki? Strzeż się, jak śmierci, wypuszczenia raz z ręki gałęzi wawrzynu! Inny ją schwyci, a sława nie czeka na opieszających. Musisz jej w biegu dotrzymywać kroku. Czy może do kokoszek? Co? Powiedz szczerze... Żołnierz żołnierza rozumie, jak baletnica baletnicę. Jest tu, powiem ci na ucho, mniszek wybór arcy godny. Są tak apetyczne, że klękaj, kto żyje! Bo to, widzisz, ascetki. Zakaz śmiertelny, marzenie i tęsknota... rozumiesz mię? Panny Jerozolimskie... Widziałem na własne oczy. Chodźno, pokażę ci cały bukiet. Wybierz, co ci serce podyktuje. Jedna tylko przykrość: blondynki ani jednej. No, żeby na lekarstwo!

Wstępowali po schodach z płaskich i ogromnych płyt. Szli długo korytarzem zupełnie ciemnym po drewnianej podłodze, zawrócili w drugi. Doszedł do uszu Krzysztofa gwałtowny łoskot bębna, bijący w nieznany mu takt. Wkrótce stanęli przed dębowymi drzwiami wielkiego refektarza. Tu stało kilku grenadyerów na warcie. Otwarli drzwi przed kapitanem, śmiejąc się szelmosko. Wyganowski szedł pierwszy, torując ułanowi drogę. Gdy się przez tłum, tworzący koło, naprzód

przedarli, Krzysztof zobaczył kilkadziesiąt nagich kobiet, tańczących do taktu walenia pogrzebaczem w mosiężne rondle i miednice. Pod razami kolby i bagneta skakały dosyć sprawnie.

— Mniszeczki... — szepnął Wyganowski, mlaszcząc ustami. — Nie wszystkie, ale przeważna większość. Nie powiem, żeby to im nie sprawiało przykrości, iż w danej chwili nie potrzebują habitów, ale z drugiej strony nie widzę w nich śmiesznego uporu dziewic numantyńskich. Wprawdzie są wyjątki, ale o tem później...

W oczach jego, gdy to mówił, siedziało ponure szyderstwo. Dolna szczeka była wysadzona naprzód, a nozdrza drgały.

— Zostaniesz tu waćpan zapewne? — rzekł pieszczotliwie, zaglądając Krzysztofowi w oczy. — Bo ja, uważasz, jestem na służbie: komenderuję, *sit venia verbo*, tym... klasztorem. Chciałem powiedzieć inny wyraz, ale boję się obrazić twoje ucho.

— Nie zostanę tutaj — rzekł Cedro z przesadną wyniosłością.

— Czy podobna? — Ale cóż za przyczyna, jeśli godzien jestem?...

— Pragnąłbym przespać się, panie kapitanie.

— Przespać... taką uroczystość! *Oh, c'est triste...*

— Już bardzo dawno nie spałem.

— Ależ to doprawdy rzecz smutna... Więc śpij waćpan!

— Czy mogę tu gdziekolwiek, na korytarzu?

— Możesz.

Cedro oddał mu ukłon wojskowy.

— Czekaaj, przeprowadzę cię i dam miejsce. Sły-

szaleś, że jestem tutaj z polecenia zdobywców komendantem klasztoru i jego okolic, korytarzów, cel, refektarza.

Wyszli z hucznej sali i wlekli się ociężałymi krokami starych zgrzybiałych po tych samych, płaskich schodach.

Znowu się ciemny nastręczył korytarz.

— Tu są cele... — rzekł Wyganowski. — Mógłbyś w którejkolwiek spocząć wygodnie, gdyby nie to, że są chwilowo zajęte. Mniszki goszczą u siebie nieznanomych rycerzy. Dawno im się to nie zdarzyło na tym padole.

— Są to żołnierze pana kapitana? — spytał Krzysztof.

— Są moi, są Francuzi.

— Gdyby to ode mnie zależało... — począł z trudem bełkotać Cedro, dysząc i nie mogąc słów znaleźć — gdybym to ja... Kazałbym strzelać we łby tym gałganom, kazałbym!... Na miły Bóg... przecież to... wiesz, jak kundłów!

— Mów, młodzieńcze, mów śmiało. Zwrócę jednak na jeden szczegół twoją uwagę: to jest, proszę cię, wojna, nie manewry na placu Marsowym, pod okiem narzeczonej w błękitnej przepasce. Jesteś, pochlebiam sobie, pierwszy raz przy zdobyciu miasta...

— Tak.

— Właśnie i ja tak przypuszczałem...

— Z czegoż to można przypuszczać? — zapytał Cedro wyniosłe i z lodowatym uśmiechem na ustach.

— Przeżyłem już wiele szturmów forsownych, choć nigdy, wyznam, podobnie waryackiego. Bo to ani w kam-

paniach włoskich od samego początku, ani w austriackich pochodach. Mogę cię na podstawie długoletniej praktyki zapewnić, że gwałcenie masowe przyspiesza kapitulację daleko bardziej skutecznie, niż bombardowanie działobitniami, a ma zarazem tę dobrą stronę, że oszczędza wiele żywotów ludzkich obudwu stronom walczącym. Wytrąca oręż z ręki cichaczem, a nieodwołalnie ojcom, mężom, braciom i narzeczonym, kryje żołnierzy przed kartaczami, a zapewnia kapitulację. Przytem, cóż chcesz? Tym, którzy idą na niewątpliwie maryl, na podłą śmierć żołnierską w ryszotku, na gnojowisku, w piwnicach i wspólnych dołach, coś się u pioruna zato należy od tych, którzy żyją! Należy im się ta chwila przed śmiercią... To też wolę, gdy tu moje maćki są po celach, niż żeby ich darły kartacze, a oni łsami mordowali bez pardonu. Ręczę ci, że następny dom podda się nam dobrowolnie, gdy wieść gruchnie między jego dziewoje, cośmy to tutaj czynili. Ale najważniejsze to to, że znaczna część ofiar przyjęła tę karę Boską z pokorą i poddaniem się, rzekłbym nawet, że chętnem a ochotnem sercem...

Cedro już prawie spał, ramieniem wsparty o mur. Ledwie słyszał, co prawi wymowny oficer. Tymczasem tamten stanął przed celą bez drzwi, zajrzał do środka i pociągnął towarzysza za rękaw. Mówił zmienionym głosem:

— A tu mam coś specjalnie dla twego serduszka. Wejdź-no! Chodź-no, chodź!

Odsunął drzwi wyrwane z muru wraz z zawiasami, przystawione do wejścia. Wkroczyli do maleńkiej celki, do niskiej jakoby krypty z ceglana podłogą. Na wązkim

tapczaniku leżała młoda zakonnica. Ręce jej były złożone pobożnie na piersiach, dłoń z dłonią, jak to wyobrażali średniowieczni rzeźbiarze na pomnikach zgasyłych królewien. Głowa okryta była kornetem. Habit na ciele potargany w strzępy, szmaty... Ale jego łachmanami ktoś tak starannie okrył ciało, że nagość nie przeświecała nigdzie. Wyganowski zbliżył się do śpiącej z potwornie bolesnym uśmiechem, nachylił się nad nią i rzekł do Cedry:

— Patrz!

Podniósł lewą rękę umarłej. Krzysztof nachylił się...

Zobaczył rękojęść sztyietu, tkwiącą pod piersią dziewczicą między żebrami. Bujna fala krwi oblała tę rękojęść, dokoła niej skrzepła i czarną lawą zastygła.

Ciało już było zimnem truchłem, nogi i ręce już zeszytywniały, ale twarz spokojowi grobu i władowaniu śmierci jeszcze się nie poddała. Jeszcze wszystka należała do ziemi. Jeszcze z pomiędzy zwartych brwi, ze straszliwego skrzywienia ust zionęły dwa płomienie: duma i boleść. Wyganowski złożył ze czcią ostygłą rękę na dawnem miejscu. Splótł palce lewej dłoni umarłej z palcami prawej. Czynił to pobożnie, ze spokojem i ostrożnością, jak gdyby wykonywał przepis obrządku. Usta jego były skrzywione zupełnie tak samo, jak u zakonnic...

Po chwili wyprostował się, odstaąpił dwa kroki w tył, stanął w pozycyi, wydobył szpadę i sprezentował przed umarłą broń.

Wyszli stamtąd.

Wyganowski maszerował przed siebie dużymi krokami, mówiąc prędko i obojętnie:

— Napadli ją w pięciu czy w sześciu. Tam, w tamtem załamaniu korytarza. Widziałem...

— Nie obroniłeś, co? — cisnął mu Cedro w twarz słowo, jak rękawicę.

Tamten zaprzeczył ruchem głowy. Rzekł po chwili:

— Uciekła do swej celki. Zatrzasnęła drzwi. Dość długo je wyważali... Nareszcie wyrwali zawiasy wraz z drzwiami. Rzucili się na nią i zdarli suknie. Aliści nagła przeszkoda... Do dyaska! Cha-cha — pod śliczną piersią nagła przeszkoda! Wszystko przewyciężone z wyjątkiem tego jednego drobiazgu! Zupełnie jak Zazagoza: już zdobyta, już wzięta, już na niej łyka. Teraz cię, krzyczymy, niewolnico, pożyczem! Cha-cha... Naści! Cha-cha... Naści — trupa. Szarpaj go, podły lisie, i pożywaj na zdrowiel

Stanął wśród korytarza, sam blady, jak trup, i szeptał w zapamiętaniu:

— O, zakonnico, zakonnico! Gdybym był pierwszym władcą plemienia, które cię wydało, imieniem twojem nazwałbym miasto, kraj mój, ziemię całą! Z osoby twej uczyniłbym herb narodu i pieczęć państwa. Kazałbym swoim armiom defilować przed twoim trupem z rozwiniętymi sztandarami...

Cedro, którego nudziły słowa tego oficera, patrzył na niego sennemi, zgasłemi oczyma i ledwie go w półmroku widział.

— Czy mogę się tu położyć? — rzekł, przerywając potok szczodroblivej wymowy kapitana.

Wyganowski ocknął się i powiódł oczyma. Pchnął ręką drzwi na lewo i wszedł do celki pustej zupełnie i tak samo maleńkiej, jak tamta, w której leżała samobójczyni.

— Kładź się, gnojku, i śpij!... — rzekł, wskazując tapczan.

— Pan kapitan nie ma w sobie, ile wnosić mogę, nic z nieprzyjemnej twardości Scypiona Afrykańskiego... — rzekł Krzysztof z łagodną ironią, zmierzając do legowiska.

W tej samej chwili przypomniał sobie, że to jego ktoś dziś przezywał Scypionem Młodszym.

Miał zamiar rzucić Wyganowskiemu prosto w nos inne przezwiska, jak: pudel, jeździec, blondyn — ale już nie był pewny, czy rzeczywiście widzi przed sobą kapitana, czy tylko o nim śni.

— Ja nie mam w sobie nic ze Scypiona żadnego... Jestem proch i popiół...

— To śpij... — mruknął Cedro.

— Nie, ja tu sobie posiedzę. Poczekam na ciebie. Obudzę cię za kwadrans, gdy będę z moją kompanią z tego domu wychodził.

Krzysztof, dopadłszy głową posłania, w tej chwili zachrapał na cały klasztor. Zdawało mu się, że tylko co zamknął powieki, kiedy już zaczęto burzyć we drzwi, kołatać kolbami i słowem wzywać kapitana Wyganowskiego do dzieła. Cedro obudził się tak samo nagle, jak zasnął. Słuchał przez chwilę huku wystrzałów, wrzasków bitewnych... Kapitan siedział na krześle w tej samej pozycji, twarzą do okna zwrócony. Zdawał się wcale nie słyszeć krzyków, wzywających do boju. Zdjął był czapkę i jeszcze jej nie wdział. Twarz jego teraz wydawała się daleko mizerniejszą. Był bardzo piękny.

Suche, kościste czoło, ściągły nos, starannie utrzy-

many zarost mimowoli pociągnęły wzrok Krzysztofa. Nieruchome oczy kapitana zasłane były tumanem..

Cedro otrząsał się i wstał z tapczana silniejszy i zdrowszy na duszy.

— Masz dosyć? — spytał Wyganowski, nie odwracając głowy.

— Mam dosyć.

— To idziemy.

— Jestem gotów.

Przed klasztorem, w jego zdeptanych wirydarzach stały kolumny, gotowe do dzieł nowych. Rozwarto bramę. Wojsko żelaznym krokiem weszło w ulicę Engracia.

Pod narożnym, z prawej strony budynkiem ujrzeni towarzyszków, wywalających drzwi. Nikt nie wiedział, co to za gmach. Bramy miał potężne, zamczone, okute, ze strasznymi ryglami, mury grube, kraty niezłomne w oknach. Nowoprzybyli z klasztoru wsparli oblegających potężnem ramieniem. Przyciągnięto jedną ze zdobytych armat, postawiono paszczę jej o kilkanaście kroków od wejściowych drzwi. Grzmotnęła kula we wrótnie raz, drugi, trzeci. Kamienne obramowania wieżów spękały się, wgięły do wewnątrz i wywaliły wreszcie pospołu z wrótniami. Szturmujący rzucili się ciałem swem na pochylnię wrót, wpełzli przez górny otwór do ciemnego wnętrza. Ujrzeni przed sobą ogromną sień z szerokimi w głębi stopniami z marmuru. Połowa sieni zawałona była workami ziemi. Weisnęli się tam po jednemu i zaczęli uprzątać z drogi szykanę. Nikt im w tej pracy nie przeszkadzał wcale. Sądzili zrazu, że dom ten nie będzie wcale broniony. Ale skoro

większy tłum wołyżerów dostał się do przedsionka i postąpił ku schodom, padły między nich ręczne granaty, rzućane z za balustrady schodów drugiego piętra, trzasnęły o krawędzie schodów bomby puszczone z wysoka. Przerażliwy ich błysk rozłamał półciemność, trzask czerepów rozbitych o nagie ściany zagłuszył jęki rozszarpanych. Huk wszystko pochłonał w siebie. Na białych stopniach z kararyjskiego marmuru miotały się ciała, drgające w spazmach śmiertelnych. Krew strugą, jak ponsowy wąż wijąc się po stopniach, w dół spływała.

Idący ze dwora mieli w oczach ten widok. Włocili też zaraz na schody wściekłym skokiem, sadząc przez rannych. Dopadli piętra. Tam już na nich z długiego korytarza czekał wysunięty rząd luf. Huk strzałów, dym, błyskające w nim ognie... Korytarz pierwszego piętra został zdobyty. Został zdobyty, ale zapłacono za niego drogo. Żołnierze zaszli schody i podłogę, ranni konali pod deptającymi obcasami. W ciemnych kątach, we framugach zakratowanych okien ludzie dusili się rękoma, zarzynali nożem. Nareszcie rozjuszeni napastnicy dosięgli drzwi cel, wychodzących na prawo i lewo. Obrońcy uciekli na drugie piętro. Sądzone, że to jest klasztor. Otwarto młotami i wyłamano zapomocą sztab żelaza kilkadziesiąt cel. W mgnieniu oka wypadli na korytarz zamknięci tam ludzie. Straszliwy wrzask nappełnił wnętrze tego gmachu.

Jedni z wypuszczonych byli nadzy, inni mieli na ręku kajdany, jeszcze inni odziani byli w gałgany, prześcieradła, szmatki. Wszyscy mieli ogolone łby.

Gdy Wyganowski z Cedrą wchodził na schody pierwszego piętra, ujrzał przed sobą w zwojach i kłę-

bach dymu prochowego dwu ludzi w gałganach, z białymi czaszkami, którzy wzajem pochwycili cię za gardła i wżarli w siebie zębami. Runęli właśnie na ziemię. To jeden, to drugi był na wierzchu. Szarpali się paszczkami, jak rozjuszony psy. Nagie ich ręce, kolana, lędźwie, brzuchy, łopatki, ramiona, szyje latały, dygocąc, z miejsca na miejsce. Wyrwali ze siebie nawzajem zębami żywą krew, dusili się kolanami, darli ostrzem pazurów, zczepiali się razem tak straszliwie, że zdali się być jednym człowiekiem o dwu głowach, o wielu rękach i nogach. Podwajały się, potrajały, stokroć mnożyły ciosy pięści. Katowali się, bijąc czaszką w czaszkę z chichotem zawziętości. Dawał się słyszeć trzask kości i rżenie, trzask i rżenie... Nareszcie jeden z nich został na wierzchu dłużej. Drugi charczał pod nim. Tylko jego głowa wciąż się jeszcze dzwigała, szyja przeżyła do ciosu. Ale oprawca już się nie dał zdusić. Krwawa jego wściekłość nie ustała ani na chwilę, nawet wówczas, gdy biała, posiniała czaszka zwyciężonego zwisała bezwładnie w kałużę krwi. Ssał jego broczące rany, podnosił powieki oczu i patrzył w nie, zaglądał do dna; czał się dłonią na każdy z ostatnich oddechów i chwycił je w lot, kiedy jeszcze były w tchawicy. Nareszcie wymierzył zabitemu ostatni policzek. Ostatni raz plunął w bezwładne usta. Wstał. Powiódł dziwnem mięsem swych oczu, piekłem swego uśmiechu po szeregu zadumanych żołnierzy. Ujrzał ich teraz. Zaśmiał się, zaskowyczał, załkał, zachichotał... Dzwignął ramiona i jak radosny lew skoczył z góry w środek tłumu. Oficera, idącego w trzecim szeregu, chwycił za brodę, żołnierza sąsiedniego za gardziel i, rycząc z uszczęśliwienia,

z pianą radości w wyszczerzonych zębach, skonał na bagnietach.

Z korytarza wypadli teraz jak wichrem pędzone liście, tańczący, deklamatorowie, śpiewacy, mówcy, zamysleni, obojętni, ślepi z szału, podobizny psów czających się i podobizny drzew ściętych, które jakoby grzyb obojętności porósł i zeżał, ludzie bez twarzy a z rozszałami oczyma, inni z mordami, w których niema oczu, przeraźliwe chimery w kształtach kobiet, okropne twory ze spojrzeniami wilków i trytonów, z kajdanami na rękę i w kaftanach, związanych rękawami w tyle. Tłum ten wyszedł na żołnierzy i zagroził drogę. Ryk zwierząt, głosy burzy, jęk wiatru w puszczy leśnej i pieśń zbieganego morza w nocy, na nowiu, krzyk najgłębszej ptasiej boleści i śmiech szczęścia, wydobyty z nicości przez narzędzia muzyczne, płacz nad opustoszałą kołyską i euforyczna pieśń duszy, patrzącej w rozchylone niebiosy — wszystko to buchnęło w przychodniów z tego tłumu. Ze środka jego wyszedł wielki starzec w krwawej płachcie, głową przerastający wszystkich, nagi z olbrzymią na głowie wiechą z jednej gałęzi cyprysa, z wyciągnionymi rękoma. Nie widział nikogo. Śpiewał rozpaczliwie jakąś pieśń głuchą, której słowa ginęły doszczętnie w chaosie dymu, w huku strzałów i głosach konania. Zstępował na dół, jak geniusz, władca, czy prorok ze swym krzykiem na ustach...

W tej samej chwili czarny, mały, zwinny małpocząłowiek, w zgrzebnych porteczętach, a bez koszuli, przełaził chyłkiem przez balustradę, mrugnął na wszystkich i z rzegotem śmiechu takiej chytrości, takiego szczęścia, jakby w tej chwili oszukał nareszcie ród ludzki, gwizd-

nał przeciągle i skoczył goloną czaszką na dół. Nim zdołano dojrzeć, jak się tam roztrzaskał i rozprysnął w krwawą fontannę u drzwi wejściowych, już inny zajął uwagę idących widzów. Oto człowiek muskularny i napózór zupełnie zdrowy, czając się pod ścianą, dopadł żołnierza, zabitego przed chwilą, chwycił lewą ręką karabin i w mgnieniu oka rzucił się w kupę obłąkanych. Począł ich przebijać piorunowymi ciosami, miażdżyć kolbą golone łby. Na dany znak żołnierze wzięli go na cel. Gdy zgiął, podarty kulami, roztrącili waryatów i pomknęli na drugie piętro — w pościgu za zdrowymi. Byli na platformie załamania się schodów z marmuru, kiedy z korytarza drugiego piętra dał się słyszeć chór stokroć bardziej, niż na pierwszym, żywy. Żołnierze stanęli.

Hiszpanie, chcąc, widocznie, między sobą a zdobywcami utworzyć nową przeszkodę, otwarli na drugim piętrze separatki obłąkanych kobiet. Ukazał się z czarnej czeluści skłębiony wał potworów. Na przedzie szła megiera z siwymi i starganymi kudłami łba, z wywalonemi na wierzch oczyma, z zakrzepłym w gardzieli krzykiem na widok młodych żołnierzy. Skrzywione palce jej koślawych rąk lały po murze. Bezzębna gęba była otwarta, wstrętne nagie piersi szybko dychały. Wał, toczący się za nią, kipiał. Szept w nim, klaskanie w ręce, podrygi, rżenie, poszczekiwanie, jakoby psie, kwik, jakoby kobył zhasanych w błonię, śpiew radości, krzyk, przeszywający stu naraz słów. Śmiech w tłumie tym, śmiech co włosy najeża, straszniejszy, niż widzenie śmierci.

Żołnierze zlekli się i umknęli. Zająwszy pozycję

obronną na pierwszym piętrze, czekali. Kobiety pełżyły na dół chyłkiem, cichaczem. Jedne z nich, wrzeszcząc, skoczyły, jak hyeny, ku wyjściu ze szpitala, inne rzuciły się w korytarz pierwszego piętra. Odtrącone bagnetem przez żołnierski szyk, zażywały rozkoszy z waryatami.

Kapitan Wyganowski skorzystał z chwili ustąpienia tego hufca z górnych schodów, rzucił się powtórnie ze swoją kompanią na górę. W korytarzu drugiego piętra straszliwa zawrzała walka. Hiszpanie zamknęli się w celkach kobiecych, w szalówkach furyatek, dopiero co wypuszczonych na wolność. Przez okienka we drzwiach kutych i zaopatrzonych w zamki doskonałe, razili napastników niechybnymi strzałami. Siedzieli, jak w fortecy. Żołnierze francuscy, którzy przyszedli z dołu na pomoc Polakom, z wściekłości bezsilnej, zdawało się, mur gryźć poczną zębami. Nadaremnie strzelali przez okienka we drzwiach: żołnierz hiszpański krył się tuż pode drzwiami. Nabijał spokojnie karabin, wychylał lufę i celował niewidzialny. Przydźwigano z dołu żelazne sztaby, legary, wyciory od armat, belki i drągi. Zaczęto bić koleją w niezdobyte drzwi taranami. Żołnierze przemienili się w oszalałe katapulty. Drzwi jęczały, szły w drzazgi i wióry, a padał z za nich nieubłagany strzał. Oblężeni Hiszpanie zdobyci zostali wreszcie jeden po drugim, żywcem. Wyrywano ich sobie i podawano z rąk do rąk. Wyklóci zostali, zatłuczeni kolbami, wytraceni w tych norach co do nogi.

Trupy ich rozszarpano bagnetami, twarze zmiażdżono, piersi złamano obcasami. Wiązani byli we własne pasy za gardła. Zaczepiano pasy u krat okiennych i du-

szono, tłumem ciągnąc za nogi w kierunku drzwi. Twardych w karku, opornych, dumnych, wrzeszczących swoje: »Niech żyje Ferdynand siódmy!« — dodławiano nagiemi dłońmi.

Reszta obrońców trwożliwszej natury przebiegła była bocznymi schodami na strychy szpitala. Tam położono ogień. Kupy słomy zapalono na schodach, prowadzących na poddasze. Kiedy ogień zaczął się szerzyć, reszta Hiszpanów wyskakiwała z płomieni na bagnety, albo znalazła śmierć w ogniu.

Opanowawszy w ten sposób górną część gmachu, stłumiono ogień, i wojsko szło ku wyjściu. Waryatów i waryatki co posłuszniejsze zganiano na kupę, żeby ich wypędzić z miasta i zamknąć w gmachach Monte-Torrero. Ów tłum rozpiezchał się na wsze strony. Jedni nie chcieli opuszczać swych szalówek, inni walczyli z żołnierzami, jak najlepsi, najmężniejsi żołnierze. Potworna walka ze wściekłymi babami do rozpacz doprowadziła eskortujących żołnierzy. Wśród tego zgiełku, wśród potwornych scen, wśród mordów i bezceństwa, między rozszalałą tłuszcą przesunął się Cedro, zstępując ze schodów. Stanął wreszcie u drzwi na dole i spojrzał w górę. Szukał oczyma kapitana Wyganowskiego.

W owej chwili za bandą mężczyzn i kobiet, pędzonych bagnetem, szedł wysoki człowiek w ogromnym wieńcu z cyprysowej gałęzi. Oczy jego, wzniesione do góry, i teraz nie widziały nic zgoła. Ani jednego zjawiska... Bose nogi brodziły do kostek we krwi skrzepłej na schodach, ślizgając się, deptały ciała zabite i zimne. Gołe ręce z pod płachty, krwią utłuszczoną, wyciągały

się do góry. W twarzy okrutnej i tak dalekiej od ludzkiego wyrazu, jak daleką jest fizyognomia kamienia, w straszliwej, zimnej masce odbijała się tylko jedna jedyna, niezmierna, wewnętrzna żądza. Krzywda żłobiła ją latami, a tak pracowicie, jak bezsenna praca wulkanu urabia formę krateru. Śpiewał, a raczej wzywał z głębi ducha, ze wszechwładzy serca, z całej piersi, wołał w przestwór słowami psalmu:

»Quis dabit mihi pennas, sicut columbae?... Et volabo et requiescam...«

Był to krzyk tak wymowny, że słuchającemu zdało się być niepodobieństwem, by na to wołanie nie odezwała się natychmiast odpowiedź. Znowu ten głos:

»Quis dabit mihi pennas, sicut columbae?...«

Przeszedł. Nie widząc drogi, murów, ulicy, świata, ludzi, którzy go kłóli, popędzając bagnetami i kijami, poszedł wyniosły starzec w czeluść ulicy Engracia i znikł pospołu z towarzyszami. Zdala, z ciemności zawalonej trupami i zawleczonej dymem prochowym, dolatywał jego nadludzki śpiew: — *»Et volabo et requiescam...«*

Zeszedł wreszcie na dół Wyganowski. Kiedy spotkali się u drzwi, Cedro wziął go za rękę. Przycisnął ją do piersi, nie wiedząc, że to uczynił. Kapitan spojrzał na niego z pod oka, nieufnie, półszydlerczo, jak to było w jego zwyczaju. Nagle zaszlochał bez uronienia łzy, krótko skrycie. Pokrył to sztucznym, a głośnym i forsownym kaszlem. Zdarzało mu się to, widać, często, gdyż natychmiast się opanował. Powiedział coś pieprznie kawalerskiego...

Zniesiono trupy i rannych na wirydarz klasztorny i kolumna odeszła ze szpitala. Skierowała się teraz ku

wylotowi ulicy Engracia, na Calle del Cosso. Zdala już widać było, że to miejsce pełne jest szykan. Ale ludzie odetchnęli. Bić się na powietrzu! Iść przed siebie i walczyć z żołnierzem! Za rowami i przed przedpiersniem z bruku, ziemi i worków czatowali obrońcy. Migwały tam ich okrągłe, czerwone czapki, z kształtu podobne do uciętego stożka. Na środku placu widać było baterię z dział wałowych, wzniesioną wysoko, paszczami zwróconą w czarny wylot ulicy.

Pierwszy pułk polski pod Chłopickim utworzył kolumnę zbitą, niby lity tłok, i niezdobytym krokiem wyruszył. W jego tropy szedł czternasty pułk francuski pod pułkownikiem Henriot'em. Obadwa te tarany wbiły się w Cosso masą swoją, jak dwa drągi katapulty. Uderzyły we wzniesioną baterię i zmiażdżyły jej kanonierów. Bateria zamilkła. Ale wówczas ze wszystkich stron, ze wszystkich okien i niedostrzegalnych dziur w olbrzymich domach wydłużonego placu sypnęły się na nich pociski. Stały tu posępne wielkościenne gmachy, jak teatr, urzędy municypalne a nadewszystko sąd i mieszkanie niegdyś, od czternastego wieku, najwyższego sędziego *justizy*, stróża swobód unii narodowej Kastylian i Aragonów przeciwko władzy Piotrów Okrutnych. Naprzeciwko ulicy Engracia, wylot w wylot, znajdowała się ślepa i wązka uliczka *Arco de Cineja*. O kilkanaście kroków na prawo szła główna arterya miejska po drugiej stronie Cosso — ulica świętego Giliusza. Prowadziła ona obok kościoła tegoż imienia, obok klasztoru świętego Piotra, zostawiała na prawej ręce katedrę *del Seo*, na lewej kościół *Nuotra Señora del Pilar* i wylot w wylot trafiała na most.

Pułkownik Chłopicki sfurmował swoją poszarpaną kolumnę pod strzałami całego Cosso i, złudzony położeniem ulicy *Arco de Cingia*, rzucił się w nią, zamiast w ulicę świętego Giliusza. I w tym zaułku, tak samo jak w całym mieście, domy zamienione były na niezdo-
byte warownie. Żołnierze ginęli na rozdrożu Cosso, u wej-
ścia w uliczkę i w jej ślepej głębinie. Walili się na nich
ściany, umyślnie z góry wyważone i strącone z czwartego
piętra, belki opalone, dymiące się, jak główne, forte-
piany i szafarnie, skrzynie i ręczne granaty. Sam Chło-
picki, ciężko raniony, padł na placu. Wynieśli go żoł-
nierze z pobojowiska.

Noc wtedy spadała na wrzące miasto.

Klasztor Franciszkanów, zdobyty szturmem przez oddział polski, z wyjątkiem wieży, gdzie usadowieni Hiszpanie razili wciąż granatami przechodzące wojsko, służyć miał za punkt zborny, za szpital i miejsce spo-
czynku. Na zdobytej ulicy Sant' Engracia palono ogień przy ogniu od samego zmierzchu. Warty stanęły gęsto i opasywały wszystkie punkty zdobyte. Cedro znalazł się pod kolumnadą klasztoru, która wychodziła na ogrrody. Stały tu pod ścianami długie i szerokie ławy z ciosa-
nego kamienia. Żołnierze powyciągali się na tych miej-
scach siesty mniszej...

Miasto kipiało wciąż jeszcze. W dzielnicy nad-
rzecznej, za placem Cosso, we wschodniej części około uniwersytetu i na zachodzie w okolicach pałacu inkwi-
zycji świętej, słyszać było łomot pracy, szcęk młotów, szarpanie ziemi i odwiecznych murów. Ale żołnierze francuscy i polscy, słysząc ten nocny rozgwar zbroje-
nia się miasta Fenicyan — Salduby, miasta Rzymian —

Caesar-Augusty, miasta Arabów — Zaragózy, miasta Aragonów i wreszcie zjednoczonych we wspólną ojczyznę Hiszpanów — nie zwracali już uwagi. Byli pewni, że wcześniej czy później zdepcą i stratują, cokolwiekby stworzyła zrozpaczona praca.

Teraz pożąдали snu i spoczynku.

W starym tumie Franciszkanów płonęły ognie. Skwarzyło się mięso na roznach. Stare, rumiane wino, rozkosz mnichów, krążyło w złotych, kościelnych kielichach. Pieśń, sławiąca siłę i przemoc, pieśń, nakazująca popchnąć i zdeptać to, co upada bez sił, rozlegała się w ciemnych korytarzach, pustych celach i pod kopułą kościoła.

Około północy ostatnie echo rozmowy ucichło w klasztorze. Żołnierze, otuleni w płaszcze, spali, leżąc wpoprzek galeryi portyku, pokotem. Był to sen twardy i zaiste kamienny. Cedro leżał między innymi w szeregu, ale nie spał wcale.

Na końcu galeryi, u wejścia do ogrodu, paliło się duże ognisko. Długie smugi ruchliwego ognia rzucały w ogród niepewne blaski. Chrapanie cielsk w całej galeryi, w przestrzeni kilkudziesięciu kroków było nie do zniesienia. Zdawało się Krzysztofowi, skoro tylko oddalał się myślami od tego miejsca, że trupy niedorznięte koło niego charczą. Wzdrygał się i z wściekłym gniewem zawijał w płaszc. Ale, chociaż zasłonił oczy, nie mógł zasłonić płynących myśli. Dźwigną się jutro z tego potwornego snu do dzieła mordowania, albo na wieki legną po kanałach i rynsztokach miasta. Jaki też sen śni się temu leżącemu motłochowi? I oto ujrzał sen tłuszczy, sen idący nad nimi w ciemnych załama-

niach sufitu. Widział trzeźwemi oczyma ogniste, krę e
zwoje boleści, wlokące się po wązkich schodach, któ-
rędy ścieka krew...

Wszczepił mu we włosy koślawe ręce swoje krzyk,
odbijający się o ponure mury zaklętych dziedzińców,
korytarzów, cel... Starzec, starzec w krwawym łachma-
nie! Oczy jego, oczy patrzą, wznosi się uschła ręka...
Wskazuje, wskazuje... Boże, miłosierny! — wskazuje
ręką... Ogarnął go nieprzełamany wstręt. Ciała spitych
morderców, staplanych we krwi, śmierzących potem
pracy od całodziennych siepań, owa bezwładność
i nicość silnych gnatów, które się teraz podle wiły
i kurczyły pod ciężarem widziadeł sennych, ohydne pro-
file pysków, rozwarte usta, porozrzucane ręce i nogi,
w trwodze i męczarni charczące gardziele i nosy —
wzdrygnięciem go zimnem smagały. Nie był zdolny po-
zostać teraz na chwilę sam ze sobą. Wnet jego myśli
pędził i ścigał przestrach. Korpus cielesny wciąż musiał
być w ruchu, w trudzie, w pierwszorzędnem zmaganiu
się, wciąż musiał cośkolwiek ścigać forsownie. W każdej
chwili spokoju zaczynały płynąć wpoprzek logicznych
myśli — wichry spłoszonych obrazów, haniebnych wi-
doków, czynów spełnionych.

I teraz oto uczuł się zmuszonym do ruchu.

— Pogadam z szyldwachem... — myślał, wyłażąc
z szeregu leżących.

Ale zanim stanął na nogach, już zmienił projekt.
Czuł, że rozmowa go nie zaspokoји. Wiedział, że musi
szukać niebezpieczeństwa, jeśli chce w sobie zagłuszyć
paroksyzmy dawnej duszy.

— Cóż ja mam ze sobą teraz robić? — myślał

bezradnie, siedząc w kucki na miejscu i wodząc oczyma po ogrodzie i murach.

Wieszał mu się na ramionach płaszcz bezsennego sumieria. Obojętne widzenie dawało znać, że wypadnie chyba przesadzić mur ogrodowy i pójść samemu między szanice hiszpańskie na niedostępne zaułki Calle del Cosso...

Forsy, mocy, wytężenia sił! Walki z przemagającą liczbą! Oczy, badające, którędy mur przeskoczyć, zabrnęły w pomrok zarośli bluszczu, między zaciszne uliczki strzyżonego bukszpanu, w kąty, gdzie gaje wyniosłych kamelii dokoła siebie rozpraszały białe i czerwone kwiaty. Z głębin ciemnej wytrysnął przed oczyma ponad szarzejący mur — czarny strzelisty kształt wonnego cyprysa. Bliżej nikło białe, przerywając nieugiętość mroku, krzaki różane. Żarzyły się w ciemnych wnękach czarnej nocy, jakoby światła żałosne, zwisłe girlandy przedziwnych róż indyjskich, wiecznie kwitnących róż z Bengalu, kwiatów rodzącej się Afrodyty i kwiatów królowej Flandryi. Przewyciężały tam noc barwy ich śnieżnobiałe i bladożółte, koloru ciała kobiety i koloru porannej zorzy. Zwartym kuszczem stały nad wydrążeniem starej cysterny, zawsze szemrzącej. Zapach ich dźwigał się z ciemności, powstawał ze smutku szmerów lecącej wody. Krzysztof uczuł go niespodzianie.

Usłyszał mowę wieczną szmeru strumienia. Ze szczęśliwym zdumieniem westchnął, wciągając nozdrzami błędny zapach.

W owej chwili, jakby z pomiędzy kapiących w ciemność polśnięć kęp różanych, z pomiędzy białych, jak śnieg, skupień, wyjawiała się twarz blada, z oczyma rozwartemi szeroko od dumy, od pogardy, od strasznego

uniesienia. Usta półotwarte i włosy wzburzone, niby chmura burzy wiosennej nad białem czołem... Widać w chropawej ramie okna ze zczerniałego marmuru tę głowę niewysłowionej piękności, oblicze boskie, kształt córki Diosa, Pallady Ateny. Ale wraz uwydatni się z ciemności inny kształt i wyraz, gdy zbieła i martwa na obraz śniegu zamyka oczy przed ohydny widokiem. Kropli krwi niema w jej ustach. Światło uciekło ze źrenic. Padają powieki na zranione oczy, jak drzwi bez zawias...

Krzysztof nie mógł już teraz przypomnieć sobie tego oblicza. Stała się, jak gdyby widmo we śnie widziane. Stała się czemś tak niedokładnem, jak wspomnienie starca, i tak wątpliwego istnienia, jak widziadlany obraz cielistych róż w mroku nocnym...

Żołnierz wstał ze swego miejsca po cichu. Wysoko przytoczył szablę. Ręce miał wyciągnięte, żeby zwiewny obraz zatrzymać... Na palcach zeszedł ku cysternie. Oto miał przed sobą uśpione krzaki różane. Wiotki zapach wzdychał ku niemu z ciemności. Zdało się idącemu, że to głowa niewidzialna spoczęła na jego piersiach, że wonne ręce oplatają mu szyję. Łkały przed nim w nocy te bezsennne białe róże. Same jego ręce zanurzyły się w krzew mokry, między pręty kolczaste, we włosy zimnych liści. Kalecząc sobie, drąc i przebijając palce, łamał gałązki, obarczone kwiatami. Zerwał ich bukiet tak duży, że ledwo go dłonią skrwawioną mógł objąć. Wolno kryjąc za sobą pęk zerwany, poszedł ku ognisku. Szyldwach nastawił ku niemu bagniet i mruknął, jak niedźwiedź, o hasło. Krzysztof rzucił mu je, nie patrząc, i wyszedł na ulicę. Cała teraz pełgała od ogniów strażniczych, rozpalonych co kilkanaście kroków pośród ulicy Sant'

Engracia. Szyldwachy kołatały się między jednym a drugim ogniskiem, jak wahadła. Żołnierze, pilnujący ogniów, znosili z domów meble i sprzęty drewniane. Ciskali je bez przerwy w płomienie. Buchały jasnym ogniem poręcze, boki i gzymsy mebli rzeźbionych z drzewa mahoni, hebanu i czarnego dębu, może w czasach szarów i gwałtu na lądach i morzu zdobyte... Trzeszczały, przyskaję iskrami, bezcenne szkatułki, pełne papierów, pamiętek, świętości rodzinnych. Tliły się smrodliwie stare palimpsesty, pergaminy i foliały bibliotek klasztornych. Drzwi wejściowe od ulicy były powyrywane z zawias, czarne sienie stały otworem i broczyły głębią ciemności, jak rany świeżo zadane

Idąc od ogniska do ogniska, Krzysztof wypowiadał jednym głosem hasło i przeciskał się co prędzej, co tchu za mury klasztoru franciszkańskiego. Minął wylot bocznej uliczki, dwie czy trzy sienie, i oto stanął u wejścia do domu, który poprzedniego dnia zdobywał w gronie woltyżerów. I tu brama była wyrwana z zawias. Dawno już spłonęła w ogniu ulicznym. W sieni jakiś piechur pracowicie rąbał siekierą szafy, stoły i stołki. Cedro wyminął go szybko i wbiegł na piętro po znajomych, szerokich schodach.

Znalazł się tam w zupełnej ciemności. Łoskot siekiery słysząc było, jako głuchy, natrętny stuk w ścianę. Wyciągnięte ręce dotykały murów ślizkich, jak lód. Oto drzwi, prowadzące na wewnętrzny, podwórzowy ganek drugiego piętra. Znalazł je omackiem. Wyszukawszy ręką rygiel starego zamka, podważył go końcem pochwy pałasza i wnet stanął na balkonie. Chlusnęło mu w oczy światło w oknach... Światło w tamtych oknach! Jacyś tam ludzie...

Cicho, jak zmora, siedł dookoła po deskach ganku, a zanim którą nadepnął, sto razy próbował stopą, czy nie zaskrzypi.

Siedział nieskończenie długo... Sądził, że nie dowlecze się nigdy do świetlistych okien... Ale nie skrzypnęła pod jego nogą podłoga, nie zaszeleścił pałasz. Przywłókł się nareszcie. Pierwsze, półotwarte okno założone było na hak środkowy. Zajrzał przez szeroką szczelinę do wnętrza.

Znał dobrze tę salę. Na dywanie pod szafą leżeli zamordowani. Starcy... Oto jego własny ksiądz... Siwa czupryna, niebieskawy podbródek. Sutanna nowa. Do pioruna! sutanna nowa... Ani śladu... Zmiażdżone trupy bab obok niego.

Wielka, woskowa gromnica w rogu pokoju. Dwie żywe przy trupach istoty. Zakonnik, Franciszkanin, stary jak grzyb, z łysą, żółtkłą czaszką, nagą, jak kolano, tyłem do okna zwrócony, klęczał przed zmarłymi i półgłosem mamrotał modlitwy.

Bliżej okna, w głębokiem starem krześle z szerokiemi poręczami, spała doncella. Zasnęła, widać, niedawno. Głowa jej opadła bez sił na tylną poręcz. Włosy rozpięchły się, rozwiły i klinem, na podobieństwo czarnego cyprysa, wierzchołkiem zwróconego ku ziemi, zwisły ze spracowanej głowy. Bezwładne ręce leżały na kolanach. Można było mniemać, że i ta kobieta nie należy już do świata żywych. Tylko jeszcze tchnienie uroczych piersi pod czarną szatą świadczyło o życiu.

Krzysztof wsunął dłoń między połowy okienne i odrzucił zamknięcie tak cicho, że nie wywołał najlżejszego szelestu.

Roztworzył połowice okienne.

Ujrzał teraz w całej prawdzie i pełni tę salę, którą miał w mózgu, jak widziało. Ogarnął wzrokiem wszystko. Nie umiałby wyznać, jak długo tam stał pogrążony w dumanie. Najlżejszy szelest nie przerwał ciszy. Prysnał kiedy niekiedy knot gromnicy... Zadrzemał, widać, stary zakonnik, zwiesiwszy głowę na ręce wsparte o klęcznik

Ocknął się Krzysztof z głębokiego zachwyty. Wydobyła się jego dusza z wiązań całunów, z pęt zamyślenia. Wziął przed się bukiet róż, rozdzielał troskliwie gałązki, zczepione liśćmi i kolcami. Rzucił na kolana śpiącej pierwszy kwiat tak wyśmienicie, że korona upadła między dłonie splecione palcami.

Rzucił potem drugą gałązkę, osypaną nierozwiniętymi jeszcze kłobuczkami, trzecią, cudnie rozkwitłą, czwartą i piątą. Wszystkie aż do ostatniej. Wtedy przymknął okno tak samo, jak było. Sam został na swem miejscu.

Oczy miał utkwione w twarzy śpiącej. Dusza jego spływała na powieki zawarte, na usta, na lica białe, na włosy czarnym płomieniem zwisające.

Ostry chłód nocy aragońskiej ścisnął mu ramiona i żebra. Pierwszy brzask przerzedzał już ciemność. Widać było występujące z mroków posępne mury, studzienną czelusć podwórza, czarne okna i drzwi. Jakże to wszystko okrutnym przemówiło teraz wyrazem! Te straszne nieme sienie, te straszne okna i drzwi wychodziły na spotkanie oczu, jak kształt piekła duszy widzialny z bliska.

Wtem, jak piorun, rozległ się łoskot armatniego strzału.

Jakoby wrzask tysiąca odpowiedziała mu salwa karabinów. Cedro uczuł taki ból, jakby to jego te wszystkie

strzały przeszły. Śpiąca dźwignęła głowę, otwarła szeroko oczy.

Powiodła niemi po trupach.

Chwilę słuchała strzałów z głową wtuloną w ramiona, blada i struchlała. Ręka jej dotknęła się mokrych i kolących róż. Bezmierne zdumienie rozchyliło usta do krzyku.

Zniżyła głowę gwałtownym ruchem nad tymi kwiatami. Zatopiła w nich oczy i siedziała tak nieruchoma, jakby w tej chwili i ją strzały armat o śmierć duszy przyprawiły. Zatrzęsły się wątle okna od ponownego huk. Głucho zadrgały mury, jęły sienie i izby, korytarze i klatki schodowe...

Zawahały się ramiona dziewczęce.

Białe, liliane dłonie trwożliwie a namiętnym ruchem zgarnęły, objęły, schwyciły róże wszystkie bez wyboru, przycisnęły do łona, wstrząśniętego od łkań. Wstała dziewczeczka ze swego miejsca, jak gdyby z tym zamiarem, że dokąds pójdzie. Ale nie postąpiła ani kroku. Znieruchomiła na miejscu.

Z zamkniętymi oczyma, z ustami pełnymi żalonych słów, cisnęła coraz bardziej do serca kwiaty. Rozdzierała białe palce o ostre kolki, raniła miękkie dłonie...

Krzysztof na palcach pobiegł balkonem dokoła podwórza, zdążając na swoje miejsce między walczącymi.

POTYCZKA.

W nocy z 14 na 15 sierpnia generał Verdier odstąpił od oblężenia Saragossy. Nie było sposobu zdobyć jej wstępnym bojem.

Krzysztof Cedro już od dnia 6 sierpnia znajdował się w Monte Torrero. W dniu 5 sierpnia został na ulicy Cosso raniony w udo odłamkiem granatu, wskutek czego nie mógł uczestniczyć w dalszych działaniach. Leżał w baraku szpitalnym aż do chwili wymarszu wojsk francuskich w górę rzeki Ebro, a w stronę Tudeli. Pod koniec tygodnia swego wypoczynku należał zresztą do lżejszych robót minierów przy zakładaniu prochów.

Trzeci szwadron lansyerów polskich wyszedł ostatni z Monte Torrero z improwizowaną artyleryą Hupeta. Nie dochodząc do rzeki Xalon, wojska francuskie zatrzymały się w oczekiwaniu na wybuch min. Cedro był jeszcze znużony chorobą. Szczególna w tym czasie zaszła w nim zmiana: uspokoił się i wzmocnił. Stał się jak gdyby dojrzały, stały i nieprzebiegany i nieugięty w swej obojętności. Znalazł bezwiednie w tym

nastroju duszy wyjście z labiryntu moralnych drgań i niepokojów.

Oto nadeszła chwila długiej niepewności, naprężonego oczekiwania w milczeniu. Słysać było tylko huk rzeki Xalon. Kapitan minierów, który był prochy zakładał i zapaleniem lontów kierował, wydobył z olstrów pistolet, żeby w łeb sobie strzelić, jeśli wybuch wcale nie nastąpi. Dla Cedry była ta chwila daleko bardziej obojętna, niż dla starych wyjadaczów, dla wytrawnych łazęgów włoskich i młodych wisusów a zbójców z temperamentu. Taką ciszę i spokojność wewnętrzną przeżywał we Francyi, czasu wielkich marszów pułkowych. Cekał teraz na wybuch, jak w teatrze oczekuje się na oświetlenie ogniem bengalskim efektownej grupy dziewic. Jeżeli doświadczał jakiej przykrości, to było nią zwątpienie o tym wybuchu.

Ale oto, na szczęście dla kapitana minierów, głucho jęknęła i zatrzęsła się ziemia, a łoskot oddały góry Aragonii. Słupy ognia, fontanny dymu, gejzery kamienia i chmury gruzu buchnęły w niebo. W nich ludzie magali kozły w powietrzu, jak zastrzelone w lot ptaki.

Ruszono w marsz dawną drogą przez Alagon, Mallen ku Tudeli wśród nieustających napastowań chłopów, zorganizowanych w bandy powstańcze, zwane *guerillas*. Wojska regularne Don José Palafoxa y Melcy szły w te tropy. Pułk lansyerów stanął wreszcie obozem w budach drewnianych, kleconych na prędcie, nad samą rzeką Ebro. Był wysunięty w drodze nieprzyjaciela i nie miał chwili spoczynku. Konie stały w błocie i glinie rozmięklej, to też dostawały grudy i ochwatu.

Szczury wodne nie dawały żołnierzom spać po nocach. A noce były już nadzwyczajnie zimne. Zaczęły bić deszcze jesienne. To też rozkoszą niemal była dla żołnierza każda wyprawa. Krzysztof uwolnił się z artylerii, wrócił do szwadronu i lancy. Robił nią już od dawna i świetnie wszystkie *maniements*, wolty i piruety. Wykazał w potyczkach sprawność zupełną. Kiedy poprzednio w górach, otaczających Saragosę, wyuczył się przedewszystkiem przebijać ordynarnych chłopów w ognistym natarciu, teraz ćwiczył się w sposobach walki z regularną konnicą. Był tedy już niezwalczony w zwykłym, wysadzającym z siodła »broń do ataku!« — w szarżach *en-avant-pointez!* — w parowaniu w lewo, czy w prawo, w zdradzieckich, wściekłych, a niezwalczonych ciosach w tył i bok. Uczył się tylko jeszcze pod Tudelą od mistrza Gajkosia najtrudniejszych napści *par le moulinet*, zadawanych z wysoka, z ponad głowy, kiedy się lancę trzyma lekko między palcami, a cała moc cielesna i siła ciosu spoczywa w palcu wskazującym. Były to piorunowe a lekkie pociski w twarz, między oczy, w gardło wroga, a raczej wrogów. Gajkoś miał możność codziennie pokazywać uczniowi, jak te »prztyki« rozdawać w obskoczeniu. Rzucali się tedy dla nauki, praktyki i przykładu w gęstwinę hiszpańskiej konnicy, *gerilleros*, lub regularnej piechoty samowtór, czy samotrzeć w moment po salwie strzałów, zanim tamci mogli broń nabić. Skokiem, co siły w bachmacie, wpadli w tłum. Byli niedosięgli ani dla bagnetu, ani dla szabli. Sztuka walki z przełamującym stokroć tłumem polegała na tem, że groź lancy niweczył opór nieprzyjaciela w odległości sze-

ściu łokci od piersi ułana. Żołnierz hiszpański, pragnącios zadać, musiał zbliżyć się o dwa i trzy kroki. Furkot chorągiewki i błysk ostrza tworzył wnet wolne koła. Wokół trzech jeźdźców na koniach powstawały trzy place, a pierwsza luka stanowiła dla nich jakoby wyłom w murze fortecy. Widziano teraz nieraz pod Tudelą iście fenomenalne zjawiska. Bataliony piechoty i szwadrony jazdy hiszpańskiej rozsypywały się i pierzchały w pole, jak zgraja dzieci, przed byle garsteczką ułańską, pędzącą z kopyta.

Długo trwały te codzienne lekcye i korepetycye nad rzeką Ebro, bo aż do wielkiej i sławnej bitwy pod Tudelą w dniu 23 listopada. W tej bitwie, oba bataliony piesze legii, pierwszy pułkownika Kąsinowskiego i drugi, w którym walczył kapitan Wyganowski — wstawily się męstwem nieustraszonem, zlały krwią ziemię i przyczynily się przeważnie do wielkiego pogromu Hiszpanów. Krzysztof Cedro po szarzy w tej bitwie został oficerem. Zaliczono mu służbę w przykopach pod Hupetem, jako pierwsze awanse na brygadyera i na stopień *maréchal de logis*. Zakwitł teraz w swoim szwadronie, jako pan *lieutenant en seconde*. Musiał się wkupić do koła, nabyć od kolegów okucie srebrne do daszka, łańcuszek do podpinania, szlify i hafty munduru, czapraka, akselbanty przerzucić na prawe ramię, rzemienie wszystkie safianem podszyć.

Sprawiło mu to niemałą radość, że nareszcie dosłużył się stopnia. Oficerowie powitali go życzliwie, znali go już bowiem dobrze, wiedzieli, co zacz jest na koniu, w ręce, w polu i pod dachem. Nie jednemu z prostszej sfery pochlebiało nawet koleżeństwo z tym

austryackim »hrabią«. Ujrzał się też »hrabia« otoczony przyjaciółmi co się nazywa. Duszę gotowi byli za niego położyć... Wina nie brakowało w tych miejscach — można się było niem na śmierć zapić, wyznając sobie wzajem braterskie uczucia. Były jeszcze i uboczne powody tak serdecznego przyjęcia nowego porucznika. Oto z pułku szwoleżerów gwardyi przysłano w tym czasie do zajęcia miejsc oficerskich sześciu jeźdźców. Byli to panowie: Stadnicki, Dominik Runowski, Sawicki, Adam Radłowski, Józefat Kadłubiński i Teofil Mikułowski. Sztab ułański, a nade wszystko młodzież bez stopnia, czyhająca na odznaczenie, z wielką niechęcią przyjęła gwardyaków. Ci przybysze zagradzali drogę do awansu istotnie zasłużonym, a nadto, przybывая od boku cesarza i z wielkiego świata, mieli na obliczach marsa wyniosłości i protekcyjnalne uśmieszki. Cedro, którego widziano, jak pracowicie dostawiał do obozu ciołki i owce, jak harował w rowach pod Saragosą i darł się z karabinem na barykadę, zyskiwał tem większą, na złość frantom szwoleżerskim okazywaną sympatyę.

W przeciwieństwie do szyku żołnierskiego, w którym żył dotychczas, składającego się ze starych wilków, lwów, hyen i dzików-pojedynków, w przeciwieństwie do surowych służalców, do nieubłaganych kondotyerów i srogich a ślepych żołdaków — znalazł się teraz w otoczeniu delikatniejszym, młodszym i bardziej ludzkim. Czuł to, że sam przewyższa kompanię oficerską zimną czerstwością, którą był nasiąkł w tłumie wiary. Męstwo w gronie, które powiększył, nie było jeszcze ową kamienną dzikością, sława tu świeciła na

ostrzach szabel, honor był dźwignią i miłość dalekiej ziemi zakonem dusz. Nie wszystkich zresztą... Cedro stał się oficerem całą gębą, przyjął ryczałtem wszystkie zalety i wady tego stanu z pokorą a bez zastrzeżeń, jak prozelita świeżo nawrócony przyjmuje nie tylko rytuał, ale i związany z nim w życiu całkowity *modus vivendi*. Już po upływie kilku dni w stanie nowego dostojęstwa spostrzegł, że przewyższa wielu kolegów wiedzą wojskową i doświadczeniem. Rzadko który z młodszych był tak długo, jak on właśnie prostym żołnierzem. Rzadko który walczył tak, jak on w Saragocie i pod Tudelą...

Z pod Tudeli, w ślad za cofającym się w popłochu dowódcą Hiszpanów, Peña, który zajął miejsce Castaños, marszałek Ney pociągnął do Tarazona, a stamtąd górami, drogą równoległą do doliny rzeki Ebro aż do Plasencyi. Z Plasencyi wzdłuż rzeki Xalon ciągniono ku południowi na Muela, El Almunia, Morata — starorzyskim szlakiem wojennym, odwieczną drogą z Caesaraugusty do Mantui Carpetanorum, czyli Madrytu, na Bilbilis...

Wiedziano już w wojsku, że Napoleon jest na ziemi hiszpańskiej i że równolegle zdąża do Madrytu na Burgos. Sto koni jazdy polskiej pod grosmajorem Klickim poszło z marszałkami Moncey i Lannes'em znowu pod Saragosę, w ślad za Palafox'em, który szedł zamknąć się w straszliwym mieście, ażeby wypełnić nieśmiertelne dzieło drugiej obrony...

Generał Lefebvre Desnouttes dowodził jazdą korpusu szóstego, który szedł przodem dla połączenia się z główną armią. Pierwszy raz na własne oczy ujrzaw-

szy tak olbrzymią porażkę ośmdziesięciu tysięcy hiszpańskiego ludu pod Tudelą przez armie marszałków Lannes'a, Ney'a i Victor'a, Cedro nabrał pewności siebie i ślepej wiary w szablę ułańską.

Były ciągle deszcze i srożyły się wichry, gdy armia francuska szła górskimi drogami Aragonii w stronę Calatayud. Żołnierz polski odznaczał się czerstwością zdrowia i wytrzymałością na zimno. Więc kiedy Francuzów tłumy wleczono w furgonach, kawaleria nadwiślańska szła wciąż zdrowa, jak rydz, w przednim szyku. We dwa dni po pogromie tudelskim podjazdy ułańów zbliżały się do Calatayud. Armia była dosyć daleko. Wśród deszczu i przelatujących chamer śnieżycy widziano przednie strażę jazdy hiszpańskiej. Kiedy szwadron trzeci zbliżył się do tawerny, zwanej Burviedro i wstąpił na górską płaszczyznę, otaczającą to miejsce, dały się słyszeć z gór otaczających strzały armatnie. Szwadron stanął na drodze i sformował się w kolumnę w oczekiwaniu na nadejście siły głównej. Deszcz bił ulewny. Gdy nieco ścichła nawałnica, ruszono kolumną w kierunku, gdzie widziano siły nieprzyjacielskie.

Cedro miał na sobie granatowy płaszcz z białym kołnierzem, ale go nie zapinał pod szyję i nie otulał nim ciała. Zuchowi między lansyery nie mogło być zimno. Na czapkę włożył przejrzysty, ceratowy futerał, żeby ją od deszczu uchronić, ale końców nie zawiązywał pod brodą. Nie używał również srebrnej podpinki. Czyniąc zadość kanonowi mody, ustalonemu wśród oficerskiej tężyzny, utrzymywał czapkę, zsuniętą na prawe ucho bez niczego, »sposobem głowy«. Giał wiatr

czapłą kitę, ale czapka nie drgnęła. Oczy ułana, przezroczyste, jak jasne morze, nurzały się we mgłę, opar i zawieję. Konie, wolno idące, dymiły się i grzały pod czaprakami i oponami z płaszców, rzuconych poza siodła. Wtem, jak pistoletowy strzał, rozległ się głos komendy:

— Za broń!

Jak jedno machnęły prawe skrzydła płaszców na ramię odrzuconych. We mgle ukazała się jakoby gęsta, czarna, po ziemi idąca chmura.

— Broń do ataku!

Krzysztof wyrwał szablę. Wziął konia we władzę kolanami, lewą dłonią, spięciem ostróg. Furknął młyniec chorągiewek, podobny do przeszywającego pisku jastrzębia...

— Flankiery naprzód!

— Szwadron do ataku!

— Plutonami — marsz!

— Marsz!

Zrazu wolno, miarowym klusem, szedł szwadron równiną, dopóki na oko nie dojrzał nieprzyjacielskich jeźdźców. Wtedy Cedro za innymi krzyknął w uniesieniu:

— Skróć cugle!

Grenadyerski pluton flankierów na spiętych koniach ruszył cwałem. Jazda Hiszpanów zbliżała się miarowo. Przypuściwszy pędzący hufiec flankierów na strzał, dała ognia z karabinków. W mig po strzale, rozdzielwszy się we dwa skrzydła, pierzchnęła równiną w prawo i lewo.

Konie pod Polakami szły już chyżo. Cedro, wi-

dząc przed sobą umykających na prawo, zakomenderował:

— Pędem!

W tej samej chwili jeźdźcy ujrzeli jasny piorun, lecący po ziemi. Był to strzał linii piechoty, ukrytej w rowach, w tyle za jazdą. Tam i sam w cugu Krzysztofa, obok niego i za nim jęknął człowiek. Dzwoniąc zbroją, z krzykiem walił się na ziemię. Chrapały straszliwie osierociałe konie. Jedne bez kawalerzystów pędziły w skok, nie wychodząc z szeregów ani o cal, inne samotne w polu, latały, rżąc po kamienistej równinie.

— Bij, zabij! — wołał szef szwadronu, pewny, że teraz, po strzale, roztrąci piechotę i zmasakruje, ilekolwiekby jej było.

Puszczono bieguny w przecwał ścigania.

— Bij, zabij! — krzyknął Krzysztof uszczęśliwiony, że idzie na czele. Czuł w dłoni pałasz, pałasz swój złoty, ukochany, potężny, mocniejszy od błysku tysiąca zdradzieckich karabinów. Leciał coraz dla siebie wspanialszy, ogromniejszy, niezmierny, jak anioł gromy ciskający.

Znowu złoto-żółty błysk. Błysk długi, migotliwy, pędzący falą zygzakowatą... Ze szczęścia, z uczuć mocy — tchu aż brak... Już, już — karabinierowie! O sto kroków! Widać ich twarze namarszczone, czapy... Nabijają co tchu broń... Tchu brak! W oczach płaty... Płaty krwawe i czarne. Dymy... Krzyże, migotliwe koła, szkarłat i błękit... Ognie koliste buzują się wszędzie, bijąc fontannami czerwonych iskieł. Mocny Boże! Gdzie pałasz? gdzie pałasz? Spada jasny pałasz z bezwładnej

ręki w ciepły dół... Głowa dokądś leci, jak góra kamienna... Cóż to tak w piersiach zawadza? Co się w piersiach złamało i klekoce?... Tchu brak!

Mocny Boże, co się to dzieje? Ziemia przed oczyma w ogniach, ziemia kamienista, ziemia zryta kopytami, skopana od skoków, zdeptana... Ziemia w ustach, pełna gęba krwi. Ziemia ucieka...

Głowa trzaska w kamienie i w mokre bryły... Z garści konwulsją ściśniętych uciekają kolczaste kaktusy i niskie tarniny... Aż oto pierwsza, przeraźliwa myśl:

— Noga mi została w strzemieniu. Trupa mojego zbiegany włóczy koń...

Wtem cisza, spokojność, błogość. Mokra ziemia naokół. Mrok gęsty. Konie skądś lecą. Rżą i kwiczą. Brzuchy końskie w płatach piany, wierzgające ponad ziemią kopyta. Tętent! Grzmiący tętent dudni po ziemi... Jakież to konie rżą? Stadnina w Stokłosach, czy co? Któż to mi spłoszył żrebce?

— Paniczu! — ryczy Gajkoś. Łka. Dźwiga ostrożnie z ziemi grubemi rękami omdlałą głowę. Niesie, niesie na szlochających piersiach, na sercu rozhukanem.

— Panicza nama zabili! — ryczy na cały szwadron. — Panicza zabili! Naści, psiokrew, zwycięstwo! Bodaj was jasne pierony zapaliły...

Zwiotczałe poszeptują wargi:

— Pałasz mój, złoty mój pałasz...

WIDZIADŁA.

Noc była zimna.

Przejmujący powiew ciągnął równinami od strony sterczących skał Guadarramy i Romosierry, które jak posępny ciemny pas zostały na północy horyzontu. Armaty, furgony, wozy z prochem, tocząc się po gościńcu, huczały i dudniły. Krzysztof leżał na wznak z oczyma utkwionemi w chmurne niebo. Słyszał wciąż trzaskanie bata, dziwaczne krzyki i pogwizdy mulnika, monotonny klangor dzwonków, chrzęst żelastwa, w zaprzęgu furgonu, łoskot miarowy kół... Materac, zawieszony na żelaznych hakach, chwierutał się do taktu zgrzytliwie, a przecie melodyjnie, tak samo zgoła, jak pewna okiennica w narożniku dworskim w Stokłosach. O okiennicy tej krążyła blisko i daleko wieść, że przepowiada niepogodę. Jeżeli tylko w najcięższe susze czerwca, w najcięższe czasy lipcowe zaczynała pozgrzytywać, jakby pokasływać od niechcenia, stękać na strzykanie w zawiasach i chrzypieć na łamanie w zasuwach, ludzie przyśpieszali roboty, na łeb na szyję grabili w kopki siano, schnące na pokosach, rozwaloną koni-

czynę, czy wiązali w snopy zboże i żywo zwozili ku stertom. Z odległej nieraz wioski zachodził, bywało, pode dwór karbowy albo włódarz posłuchać na odwieczarz, czy okiennica złego nie wróży.

Krzysztof słyszał teraz zgrzytanie haków, ale nie bardzo wiedział, gdzie jest. Ciemność nieprzyjazna, ciemność - klęska, ciemność - krzywda leżała na nim. Otaczał go lodowy obwód z szaremi wyrwami, skąd wypęły ciągle korowody figur. Całkowite ich kształty, które myśl, czy oko chwycić usiłuje, wydostają się z szarości nie jak obrazy malowane na płótnie, nie jak rzeźby z marmuru, lecz tak, jakoby maskary sztucznie ożywione... Jedne są z chropawego filcu, o włókienkach lśniących pod sennem, smutnem, gorzkim światłem... Rzęsy mają z włóczki przedzonej, z grubej frendzli, brwi na dwa palce wystające, włosy druciane. Oczy ich nieruchome prosto w płonący mózg zadają cios sukiennego spojrzenia i giną w tajemnicy i znikomości, w otchłani szlochów... Zaledwie jedna zniknie, wypływa inna i czuwa nad znużonymi myślami. Żadna nie da się odpędzić aktami woli... Głowa jest, jako puste, rozległe, bezgraniczne niebo, po którem wloką się wielokształtne obłoki, niesione od skrytych wiatrów.

A jak wysokie chmury przypomną nieraz kształt ziemi i dumają nad nim niejako, tak samo myśli nieszczęsne niekiedy wspomną rzeczywistą ziemię. Widzą z daleka te myśli samowładne i bujne niby w dalekiej przeszłości, jak to w piersi tworzy się nagle a niespodziewanie przepaść rany. Ruchoma stamtąd bije, pie-nista fala na obraz źródła wyrwanego z pod gliny. Serce szalonymi ciosy, serce-młot bije raz w raz głą-

bie miękkich, klekocących fal! Płuca zrywają się, siepią i mocują w nadmiernym trudzie. Miecą ze siebie ogromne, galaretowate skrzepy i strugi cichej, słonej, płynnej krwi.

Senne, znużone, splakane widzenia zmierzchają, cichną i topią się zwolna w ciszy. Szare opony rozpręły się, znicestwiały i pierzchły. Nie słyszeć nic, nie słyszeć nawet krzyku poganiacza mułów, ani dzwonek, ani zgrzytu haków. Wszystko jest ciszą. Ciało zmartwiało, serce zamiera i bezwładnie leży na obraz skrzypiec rzuconych. Nędzneż to deski! Struny żywe, struny wszystkogrające nie zabrzmią już! Skonała na zawsze melodia wasza, skrzypki lipowe... Dym ciężki błądzi przed oczyma, wlece się po piasku, gdzie w zamysleniu błądziła stopa, po ile czerwonym, po siwych opoczystych caliznach... Sprzymierza się i łączy dym ze skibami i wnętrzem brył, dotyka ze drżeniem ostrych kantów, ziarnistych wydęć kamienia...

— Tyżeś to jest przeznaczenie moje? — skarżą się wargi. — Przyjacielu, przyjacielu... Tyż to obejmiesz piersi moje, kamieniu? Tyż to ostatnia ucałujesz me usta, żółta bryło?

Nareszcie głębokie westchnienie.

Cóż to jest wokoło?

Zeszły się dokoła głowy, obległy nozdrza, napłynęły ku piersiom dymy z kwietnika przed domem w Olszynie.

O, błogosławione a niewypowiedziane szczęście obcowania z kwiatami w dniu uścisku śmierci!

— Tyżeś to jest ze mną — szeptają usta — siostrzyczko-rezedo? Tyżeś to przyszła na martwe ugory

mej śmierci? Bóg-że ci zapłaci... Jesteś zapach mojej młodości... Tak jak ty pachnie szczęście dzieciństwa. Zapachu mój, otocz mnie i przygarnij do życia... Weź mnie z uścisku gliny i kamieni...

Otwiera się przed oczyma cudne dziwactwo, widziane jakoby pierwszy raz, wypukłych, całobrzegich, strzępiastych goździków. Fiołkowemi powłóczękami całują przekrwienia oczu bratki jesienne... Białofioletowa lewkonia leży na piersiach, na płucach dziurawych, a dobrotliwy jej zapach chłodnem a częstotliwem chuchaniem sący się w jaskinię rany.

Wtem słyszać, słyszać...

Słyszać, co się dzieje w uszach i głowie. Biją tam w dźwięczne kowadła małe, pracowite, zawzięte kowaliki. Małe to musi być, jak polne świerszcze... Szybko, szybko, z ramienia łupią młotami majsterkowie: raz raz — raz raz!

A potem jeden przed drugim, na wyprzódki! Aż tchu brak. Tworzy się z ciosów ciągły szum, unosi się w pustynię głowy huk, jak w głębokim, starodrzewnym boru, lesie...

Dech zamiera. Serce się zrywa i łomocze skrzydłami w gałęzie, niby złapany siecią dziki orzeł-zyz. Głowa bezwładna chwieje się w prawo i w lewo po ruchomym materacu, palce rąk błędzą, chodzą, wędrują. Nogi coś ciska w różne strony, jak drwał w złości ciska bierwionami...

Mózg się żywym płomieniem pali. W nim płoną pióra myśli. Spalone na węgiel wargi szeptają:

— Trepka... Szczepan... daj-że mi pić, daj-że mi pić... Już my dzisiaj z tego strasznego lasu nie wyje-

dziemy... Święty jelen z krzyżem między rogami spotkał nas w lesie... Rafał do niego strzelił... Szczepan... daj-że mi pić, daj-że mi pić...

Wolno nasuwa się, sztorcem nastawia, jak grot lancy, złowrogie pytanie:

— Skądże tu, u Boga, ma być Trepka? Gdzie?

Wracają trzeźwe i spokojne myśli, przypływa jasna świadomość:

— Śniło mi się, widać, o Trepce...

I znowu, niby ogromy chmur, pędzą myśli innego porządku, wychodzą skądinąd sylogizmy namiętne, pytania natarczywe, odpowiedzi raczej i dowcipne całe komplety genialnych widzeń, odkryć istotnych, wynalazków w dziedzinie myśli ludzkiej. Śmiech dobrotliwy otacza je niby mgła...

— Nie jesteś tak znowu głupi, Szczepanku, jak sądziłem... Nie, doprawdy, nie! Jest w tem sens pewien, jest treść w twoich głędzeniach. Więcej znaczy nowy rów, przerznięty w odwiecznych bajorach nad Wisłoką, niż wygrana potyczka... Czy tak? Niż potyczka pod Burwiedro, pod Calatayud? Więcej znaczy jeden przytułek, jeden szpital w twojej, praw, dziedzinie, niż zdobycie sztandaru... Czy tak? To rzeczy zgoła różne, braciśzku miły... Toż przecie jasno widać...

Głowa się pali, głowa kipi i wre. Jako snopy ognia latają w niej zdarzenia, obrazy, dowody, przykłady. Snują się łańcuchy myśli:

— Zabawnyś ty, stary, zabawnyś ty ze swoją przyziemną, chlebożerną filozofią! Poczciwa jest twoja głęboka, wymyślona głupota, łyż mi gorzkie wyciska z oczu. Wyrzekłeś się bohaterstwa nie tylko za siebie,

ale za syny i wnuki, odpinasz na zawsze pióra od przyłbicy i miecz rzucasz rycerski. Pracy się nędznej poślubiłeś, żeby odkupić pradziady i prawnuki... Zabawnyś ty, stary, zabawny...

Mówisz, że nam to sądziły dzieje... Nie to nam sądziły dzieje, co gorsze, albo lepsze, jeno to, co najpodlejsze, co nogami zdeptane, co na samem dnie leży. Sądziły nam dzieje uciekać, jak psom zerzniętym batami z pod Krupczyc, z pod Kobyłki, a po bohatersku wchodzić na Calle del Cosso... Tak nam sądzono...

— Alboż to prawda?... — śmieje się w ucho Trepka, czy dyabeł z obrazu w bocznej nawie kościoła świętego Jakóba w Saragosie. — Alboż to prawda? Nikomu nie nie sądzono. Każdy czyni, co chce, wola jego i rozkazanie. Chce żyć, to żyje, a chce umierać, tak jak ty głupio i po zwierzęcemu, to umiera...

W piersiach wyważa się coś, jak stawidło, trzymające przemocą wody zdławione.

A wywala się i bucha nie woda, lecz ogień. Huczy krew.

Lodowaty strach błądzi po piersiach. Nogi ma z sopłów, lekkie, jak zimny dech. Gdzie stanie, tam przeraźliwy dreszcz lata. Schyla się i szepce:

— Siadłbyś rankiem w saneczki, w jednego konia... Kopna, nieprzeparta droga. Pierwszy śnieg. Skoczyłbyś cwałem zobaczyć, co też tam w Olszynie słychać. Czy też zdrowi, czy ojciec... czy Mery...

Biją w swe kowadełka kowaliki: raz raz, raz raz...

Wszystko urwało się i zapadło w ziemię. Szum i trzask...

Wstręt... Ktoś pozywa na sąd za owo wino w świę-

tym kielichu... Smak w ustach wina i goryczy centuryi.
Piasku i rozpalonego popiołu pełne oczy.

Wtem natarczywy głos poruszy półmartwe ciało:

— Panie podporuczniku, panie podporuczniku!...

— Któż tam? — odpowie z trudem.

— Ady ja...

— Kto taki?

— Ja... adjutant podoficer, Pruski.

— Nie wiem.

— Nie poznajecie mię to, panie podporuczniku?

— O niczem nie wiem.

— Przecie na mnie patrzycie?

— Patrzę.

-- No, my razem pod Burviedro zranieni. Mnie
łapę oberwało, a was durch przeszło. Razem nas wieżą.
Gajkosa pamiętacie?

— Pewnie, pewnie.

— Zaprzysiągłem mu, że was odchowam. Wiecie?...

— A co to za miejsce?

— Napijcież się tego bulonu, napijcież się dusz-
kiem. Sam Hupka go warzył. Pijcież całą gębą, bo dobry!

— A gdzie to my jesteśmy?

— Już my minęli miasto.

— A jak się nazywało?

-- Nazywało się Alkala de Henarez. Droga się
nam wykręciła na zachód. Wiatr ustał. Powiadają, że
wielką stolicę Madryt będzie zaraz widać, jak się tylko
dzień dobry zrobi. Trzy mile niespełna do tej stolicy.
Tam nas złożą w szpitalu, jak cesarz stolicę zdobę-
dzie... Ziąb szelma podły... Krupy z deszczem biły, a te-
raz jakoś nacichło.

— A skąd to my jedziemy?

— O, la Boga świętego!... Przecie już tydzień czasu jedziemy od Burviedro.

— Już tydzień...

— Nic to nie pamiętacie?

— Może i pamiętam, ale opowiedz...

— W Calatayud przełożyli nas na ten wóz z materacami. Pamiętacie? Jeszczeście, panie podporuczniku, gadali ze mną, jakeśmy jechali przez Ateca, przez Alhama, przez Sisamon, przez Medinaceli. W Medinaceli rozdzieliły się drogi. Prawa poszła na jakąś Siguenzę, a lewa wprost na południe do Guadalexara. Z Guadalexara jedziemy już całe południe i całą noc do Alcala...

Cedro przechylił do ust garnuszek, zanurzył wargi w płyn i pił cheiwie, nienasyconie. Potem zaraz w moment usnął, nim mu Pruski lewą ręką zdołał wyjąć zgięte palce z ucha garnuszka.

Nie ocknął się aż późno w dzień. Świeciło wielkie, złotolite, oślepiające słońce. Uczuł, że go ludzie na ruchomym materacu niosą dokądś w pole, w równą, bezdrzewną przestrzeń. Kołysał się na swem posłaniu, nie mogąc pochwycić taktu ich kroków. Mrużył powieki przed olśniewającym światłem i ledwie, ledwie myślał:

— Co też ze mną myślą zrobić? Dokąd mię też zanosą?

Wtem postawiono ruchome łóżko na ziemi. Krzysztof rozejrzał się na wsze strony i zrozumiał, że jest w szeregach rannych, którzy leżeli na ziemi pokotem, jedni na materacach, inni na łóżkach polowych, na

płaszczach i derach wełnianych. Wodził po nich sen-
nym, obojętnym wzrokiem. Ziewając, myślał ospale, że
pewnie tu wszyscy pomrą z zimna na tej wyziewającej
chłód i wilgoć, na przemokłej i ohydnej ziemi. Bez
przykrości zagłębiał się w życzenie, wwiadywał w po-
żądanie, żeby już spocząć na zawsze. Byle głęboko!
Nie będzie się ruszał, trząsał, drżał... Spać tego, bez
łajdackiego budzenia przez byle durnia... Tylko, żeby
choć samemu! Wśród trupów obcych żołdaków gnić
we wspólnym dole i śmierdzieć pospołu z motłochem...
Wnet cicha, daleka muzyka onych skrzypiec... Anielski
ich głos przepływa w duszę, jako struga wonności...

Wtem krzyk potężny, łoskot jednolity z męskich,
zdrowych, żołnierskich piersi grzmi, niby dźwięczny
strzał stu armat:

— Vive l'Empereur!

Za chwilę drugi:

— Wiwat cesarz!

Chwila cicho... Oto znowu bucha ten szalejący
orkan radości, ten uniesiony hymn, w jedno słowo za-
warte atlantyckie morze:

— Wiwat cesarz!

Dreszcz odmienny przebiegł ciało. Znikł, a z nim
razem myśl o tem, co znaczyć może ten wszechpotężny
okrzyk.

Cisza nastała.

Zjawił się w uliczce między rannymi, ułożonymi
szeregiem, oficer wielkiego wzrostu i czytał manifest
cesarski głosem donośnym, wyraźnym, potężnym. Ma-
nifest głosił wszem wobec — zdrowym i konającym
żołnierzom, pracowitemu ludowi i bogaczom, księżom

i świeckim, Francuzom i Hiszpanom, wszystkim zgoła, kto oddycha na półwyspie Iberyjskim, że w chwili tej cesarz Francuzów na wieki wieczne znosi i niweczy inkwizycję świętą, wypuszcza jej więźniów, umarza sprawy, że liczbę zakonów i klasztorów zmniejsza o dwie trzecie, że na zawsze odmienia i kasuje odwieczne prawa feudalne panów, że znosi i niweczy wszelkie przywileje...

Cedro słyszał wszystko dokładnie i wszystko rozumiał.

— Teraz już wiesz, Szczepanku, — mamrotał, śmiejąc się i ziewając — dlaczego łamaliśmy starą Saragosę, kastel Aljaferią z jej więźniami, czemuśmy broczyli lance pod Tudelą we krwi ciemnego motłochu. Naszą to krwią pisana twoja konstytucya, więźniu hiszpański!...

Przechylił głowę na bok i patrzył w słoneczną przestrzeń. Patrzył na kamienisty grunt około swego posłania, na zmokłą w nocy i obsychającą dopiero glinę, rozciapaną od licznych butów. Czuł, że klei mu oczy prędkie, gorączkowy sen, powieki chodzą, jak po piasku, jak po pacynach zeschnięgo wapna. Jeszcze jedno senne wokół spojrzenie...

Któż to się zbliża? Któż to idzie ku niemu? Zna przecież tego człowieka... Widział go, na żywy Bóg! Twarz blada i tajemnicza, nikiej księżyc ukryty w chmurach. Oczy w niej zagmatwane latają, latają, to znowu w cieniu swe cofną się, żeby czyhać, jak lwy w zasadzce...

Z barłogów, sienników, materaców, der, z nagiej ziemi dźwigają się porwane szczątki, potrzaskane

głowy, wspierają się na łokciach przeszyte, bezsilne tułowia i zeschłe gardła, uszczęśliwione usta miotają krzyk:

— Wiwat cesarz!

Krzysztof podniósł się z legowiska. Coś w nim od tego ruchu złamało się, jak gdyby chrupnęło bez dźwięku. Siadł na posłaniu straszliwie blady, zlany potem, z gębą pełną krwi. Oczy jego, jak kły, wernęły się w nadchodzącego. Zatrzymały go w miejscu. Staął.

— *Sire!* — wymówił Cedro.

Ciemne, wojenne oczy wodza uderzyły w spojrzenie Krzysztofa.

Spokojna twarz, jakby wykuta z niewiadomego metalu, była ku niemu wyczekująco i groźnie zwrócona.

— Jakie jest twoje życzenie? — spytał głuchym i zimnym głosem.

— Jeśli umrę... — począł mówić Cedro w języku francuskim, spokojnie i groźnie, z dumą i odwagą patrząc mu w oczy.

— Jakiej jesteś broni? — przerwał.

— Lansyer polski.

— Z pod Tudeli?

— Tak.

— Nazwisko?

— Poszedłem z domu mego ojca... Wierzyłem, za moją ziemię... A teraz... na obcej... Wyrzecz, że nie nadaremnie, że dla mojej ziemi... Cesarzu, cesarzu!

Nieme i głuche oczy zagłębiły się i weszły w oszalałe ze śmiertelnej miłości spojrzenie rannego. Nieruchomy, zadumany stał Napoleon. Któż wie? Może w tych

natchnionych oczach ujrzał duszę swą młodą. Może rumiane śniegi skał Monte Oro, pinie na cyplach Monte Rotondo, może kamienisty brzeg wyspy w pianach rozhukanego morza zobaczył. Może swoją korsykańską miłość wolności ważył przez chwilę na szali z koroną władcy nad obcymi mu ludami i berłem Karola Wielkiego. Może wzdychał w utrapieniu za tem, co już w duszy jego uschło, skruszyło się i od wiatrów rozwiane zostało, jak badył umarłego kwiatu, za pochłonięciem młodą, sprawiedliwą i dumną duszą niedoli ojczyzny.

— *Vive la Pologne!* — usiłował krzyknąć Cedro, padając bez sił w swój barłóg. Ale nie krzyknął już, tylko te wyrazy wyjęczał przez fale krwi, broczącej z ust.

Cesarz stał jeszcze nad nim długą chwilę. Kamiennym wzrokiem patrzył w jego twarz. Wreszcie podniósł rękę do kapelusza i rzekł:

— *Soit.*

Oddalił się wolnym, miarowym, zimnym krokiem. Za nim gromada generałów. Znikł między kolumnami wojsk pieszych, w tłumach konnicy...

VAL DE PEÑAS.

Wieczór się robił, kiedy Krzysztof docierał nareszcie do wsi Val de Peñas, gdzie mu przepowiadano obecność pułku. W oczach miał jeszcze otaczające tę wieś faliste łąny winnic o srebrnoszarym liściu, porysowane w nieskończone linie od białych palików. Gaśły w łagodnem zamgleniu wiosennem wzgórza i szczyty Sierra-Moreny. W Ciudad-Real, Infantes, Almagro, Mansenares, Toboso i innych zakątkach Manszy stały siły francuskie, to też Cedro czuł bezpieczeństwo dokoła siebie i towarzyszków, z którymi ze szpitala w Madrycie wyruszył po przyjsciu do zdrowia na poszukiwanie macierzystego pułku. Cieszyła go ziemia sucha i widok wiosennego nieba. Jakże się radował obrazem piaszczystych osypisk, w których brzeg urwisty pinie wszczepiają krzywe korzenie swoje, a poczwarne łopaty kaktusa, najeżone kolcami, kołącą od wiatru.

Gwizdał i pośpiewywał, witając olbrzymie szare krzewiny ostu, co tworzą bezpańskie, a nawet bezpta-sie gaje. Nareszcie wjechał w ulicę wiejską. Witał się oczyma z niewysokimi domami, twardo ubitymi z mułu

i chrustu. Dziwne wrażenie sprawiał obok tych niemal polskich chat ze słomianemi strzechy widok dziedzińców, zasadzonych pomarańczami, sadów, wygrodzonych żywopłotem z kamelii, róż i bukszpanu. Okna domostw były zakratowane i puszczane w nich zasłony. Zaraz w jednym z pierwszych siedlisk Cedro zobaczył stojącego pode drzwiami lansyera. Ujrzawszy oficerka, o którym sądzono, że dawno ziemię gryzie, wiarus wyjął z ust fajkę i przypadł do strzeżenia.

Na krzyk jego z sąsiednich domów wybiegli koledzy, i wnet Krzysztof jechał, jak tryumfator wśród pieszego tłumu.

— Witajcie *los infernos!* — wołał.

— Pan podporucznik niech żyje!

— Teraz dopiero będziemy brygantów łupać!

— Na oficerski dwór...

Setki pytań, opowieści i setki odpowiedzi zasypały Krzysztofa. To o jakichś haniebnych przejściach w górach Juvenes, to o zgubieniu sztandarów, o marszu nad rzeką Gwadyana, o bezprzykładnym boju pod Ciudad-Real, o pościgu na Miguelturra, Almagro, Santa-Cruz...

— A pan pułkownik tu z wami? — zdołał dopytać się Cedro.

— Pan pułkownik Konopka? Gdzie! Już we Francyi nasz pan pułkownik.

— Patrzajcież! A szefowie?

— Pan szef Rutie do francuskich strzelców konnych na pułkownika fortragowany...

— To któż wami dowodzi?

— Sam jeno pan Hupet został nad nami.

— Do jego idziem kwatery...

W jednym z największych domostw wsi Val de Peñas mieściła się kwatera pana Hupeta. Był już zmierzch, kiedy gromada, eskortująca Krzysztofa, wwała się w podwórze domu. Na jej spotkanie wychyliły się ze drzwi i okien figury wiarusów w porozpinanych mundurach i koszulach.

— Kto idzie? — wołano.

— Daj hasło!

— Moje hasło: Saragosa i Burviedro...

Wnet wciągnięty do wnętrza obszernego domu z wrzaskliwymi oznakami czci, Krzysztof posadzony został przy długim stole. Z początku wodził po tłumie oczyma nieprzyzwyczajonemi do blasku. Spostrzegał dokoła siebie znajome twarze, srogie zęby lansyerskie z wąsem do góry zadartym, albo posępnie zwieszonym, oczy wilcze i sępie. Pośrodku siedział w koszuli tylko i hajdawerach Niezabitowski z głową przez pół obwiązaną chustką. Obok niego ponury Prendowski, dalej Górecki, Jan Nestorowicz, Szarski. Na widok przybyśa Niezabitowski krzyknął:

— Widzieliście, przecie ten świszczypała żyje! Galicyjski hrabio, bywaj!

Siedzący za stołem zerwali się z miejsc swoich.

— Witajże, witaj! — wołali.

— Wina!

— Oto gość!... Jakby z pod ziemi wylazł...

— Wódki mu dawajcie na otrzeźwienie!

— Gorzałą go częstujcie ojczystą!

— Nie wiesz nawet, bracie, nie przeczuwasz, jaką

tu gorzałkę Majewski z wina pędzi. Gorzelnię, mówię ci, założył..

Podoficerowie, a nawet żołnierze, napełnili izbę. Cedro witał się z nimi radośnie. Rozglądając się wkoło, spostrzegł w rogu izby wysoko na gwoździach zawieszane dwa mundury oficerskie z czarnymi na plastronach znakami.

— Co to jest? — krzyknął.

— To jest mundur Pęczkowskiego, z czwartego pułku piechoty. Zamordowany w Consuegra, a tamto, bracie, mundur Czyńskiego, porucznika z dziewiątego pułku. Książd go w Herencia zdradą zabił.

— Chowacie je na pamiątkę?

— Chowamy je na pamiątkę. Muzeum tu nasze fundujemy w tym przybytku. W Mansanares piechury śpią, a my tu za nich na szpicu czuwamy dzień i noc.

— Te kandelabry to także muzealne? — pytał Cedro, ciekawie oglądając srebrnolite, wieloramienne świeczniki, których kilka w różnych miejscach długi stół obciążało.

Wielkie, żółte świece kościelne z wyciskanemi ozdobami rozmaitych kolorów płonęły, pryskając iskrami. Cienkie obrusy haftowane, ściągnięte z ołtarzów, okrywały stół. Ściana, oddzielająca tę dużą izbę od następnej, była napół wywalona i przez okrągły w niej wyłom ciągnął się stół do drugiej izby. Stamtąd zawracał pod kątem i biegł dalej w głąb domu. Cały zawalony był srebrem najkosztowniejszem. Rostruchany do wina wszelkiego kształtu i rozmiarów, kute i cyzelowane przez mistrzów, pyszne złote kielichy, dzbany i nalewki z drążonego kryształu w kształcie łabędziów,

pawie i krogulców, w kształcie dziwnych kwiatowych kielichów, albo gryfów, rarogów i chimer; wielkie paterki na owoce z malachitu i żółtego marmuru Sienny, bezcenne talerze porcelanowe z Limoges i czary półgarnce do wina ze rżniętymi w czeskim szkłe herbami grandów hiszpańskich; pamiątkowe kubki i kielichy z kokosowego orzecha, rogu bizona i żółwiej szkarłupiny, dokonane przed wiekami przez nieznaną artystów Ameryki, wydarte przez konkwistadorów, zdobyły teraz, na nowo zrabowane, biesiadniczy stół lamsyerów. Czarne, ciężkie, szumiące wino *Val de Peñas* napełniało konwie, rostruchany i kielichy. Setki butelek stały pod ścianami w koszach. Na srebrnych półmiskach i drogocennych talerzach dymiły się ogromne porce kielbasy ze słodkim sosem, po polsku przyrządzonej; w dziwacznych naczyniach starożytnych żołnierze roznosili kiskę podgarlaną na gorąco, tłuste salcesony na zimno, pekeflejsze i szynki z chrzanem.

— Ależ to wy tu Wielkanocne święta, widzę, obchodzicie! — wołał zachwycony Cedro.

— A ty coś myślał! Wprawdzie bab niema żadnych, ani takich, ani owakich, ale zato kielbasy Skarzyński takie porobił, że cały pułk drugi już tydzień smakuje i nie może się odjeść.

— Skądżeście świń nabrali?

— A to się tam Skarzyńskiego pytaj...

— Myślisz, że to już wszystko. Pełne ma chlewy świń, karmi je tak, że się ani jedna ruszyć nie może, a rżnie tylko najtłuściejsze.

— Jedno ma tylko zmartwienie — pokpiwał stary Szulc — że, mili bracia, choć części tego świństwa nie

może pognać na jarmark do Wąwolnicy, albo Baranowa... Toby zbił kabzę!

— Dalejże, dławikufle! Pijmy zdrowie młokosa Cedry!... — zawołał Prendowski.

— Skoroś się, wiesz, z tego postrzału wylizał, toś chwat. Kozła magnąłeś, jak pajac w cyrku, a farbowaleś. bracie, jak rogacz, trafiony pod piąte zebro... — mruczał Niezabitowski.

— Chociażes z nami w podłych górach Juvenes nie był, aleś lansyer chrzczony. Pijmy za niego!

— Kołem za niego pijmy! — krzyknęli.

Wstał cały półpijany stół. Cedro powiódł po nich okiem i zakipiał cały od żołnierskiego wzruszenia. Gotówby był umrzeć za tych ludzi, dałby się w sztuki porąbać za honor, jaki mu wyświadczyli, pijąc zań i zowiąc go lansyerem. Chciał powiedzieć, że widział Napoleona. Podniósł kielich...

— Wołać tu Dysa! — krzyknął Prendowski — niech jucha śpiewa, bo markotno... śmierć w oczy zagłada...

— Dysa wołać!...

Wszedł zaraz żołnierz stary, niewielkiego wzrostu, z włosami bielusińkami, jak śnieg, i z białym przyszczyżonym wąsikiem, ale czerstwy i czerwony jak ćwik.

— Sary! Śpiewaj!... — wołano.

— Tylko nie z tych nowych pieśni...

— Stare nam śpiewaj! co najstarsze!

— Według rozkazu... — rzekł wyprostowany Dys.

Usunął się zaraz pod ścianę, odkaszlnął i powiódł ręką po wąsach. Za chwilę wzniósł dłoń uroczyście,

jakby dyrygował orkiestrą, i niespodziewanie zaczął śpiewać głosem tak szczerym, silnym i cudnym, że w całej kompanii nastała grobowa cisza:

— »Ocknij się, Lechu, przerwij sen twardy,
Czuwa na twój kark bisurman hardy...
Czas przetrzeć źrenice, a toczyć krynice
łez gorzkich!«

W głosie tym brzmiała najszczerza prawda, tryskały krynice łez gorzkich.

— »Już pod armatą ziemia przyklęka,
Już Ukraina pod Turkiem stęka,
Już braniec spętany, już brzęka kajdany,
A ty śpisz?«

Cały tłum oficerów chórem, w uniesieniu, powtarzał ostatnie wyrazy. Prendowski nappełnił sobie kielich i dolewał do niego łez gorzkich.

— »Orle Sarmacki! Gdzie są pierony,
Gdzie są ogniste grady Bellony?
Gdzie dziarska ochota? gdzie pradziadów cnota?
Gdzie męstwo?«

Jeszcze brzmiała ta pieśń, kiedy dał się słyszeć gwałtowny tętent, zgiełk i krzyki. Tłum żołnierzy rozstąpił się we drzwiach i do biesiadnej izby wwaliło się kilku olbrzymich lansyerów w czapach i pełnem uzbrojeniu, dźwigających kogoś na rękach. Wszyscy byli pokrwawieni, w potarganem odzieniu, z twarzami zdziczałemi i czarnemi od prochu.

— Kto to? — krzyczał Niezabitowski.
— Pana Stokowskiego niesiemy...
— Kapitan! — wołali oficerowie.

— Żyje?

— Zrąbany, ale tchnie.

— Na górę z nim, do pokoiku.

— Chirurga!

— Stokowskiego zdrowie!

Tuż za żołnierzami wkroczył do izby porucznik Mikułowski.

— Widzieliście go! — zawołał Szulc.

— Całość wyszedł?

— Bogu dziękować.

— Jakże to było? Gadaj-że, nie stój!

— Boisz się, żeby we mnie przypadkiem słowa nie pogniły, jak w nieboszczyku Sanszo-Panszy... Jeść mi się chce.

Siadł do stołu i przygarnął ku sobie pierwszy z brzega półmisek.

— Gdzież to było?

Mikułowski ruchem pełnym niewinności przyjął z rąk kaprała kopiastą paterę wieprzowego mięsiwa, popchnął kęsy kielichem *Val de Peñas* i rzekł między jednym haustem a drugim:

— A no w Mora.

— Cóż to za Mora? — zapytał Cedro.

Mikułowski spojrzał na niego z ukosa i rzekł:

— To acan żyjesz? Mora to taki zamek, jak w Chęcinach, abo i większy. Postawili nas tam ze Stokowskim na straconą pocztę. Straszy, do dyabła, w tem zameczysku... Okopaliśmy się, odgrzebaliśmy fosy, co je podobno Maurowie z Andaluzyi przeciw królom Kastylii w skale pokopali...

— Co ty bredzisz o Kastyliach? Gadaj o rzeczy!

— No, tak. Napadli na nas jeszcze wczoraj, o północy, ze wszystkich stron. Było tego bydła z tysiąc ludzi, a nas pięćdziesięciu, zamkniętych w starych basztach. Broniliśmy się strzelaniną, póki nam prochu starczyło. Potem kamieniami. Ale i oni rozebrali mur, wybili dziurę w baszcie narożnej i podpalili schody.

— Jakżeście wyszli?

— Czy ja wiem? Szliśmy przez ogień. Pałaszami... Stokowski, jucha, wojował! Bodaj to!

— Któż zginął?— po długim milczeniu, w czasie którego Mikułowski jadł zawzięcie, zapytano z tłumy.

— Czy ja wiem? Poginęli... Nie jeden zleciał na łeb w ogień. Jak my dopadli koni, to się tam jeszcze kotłowało. No, ja się już najadł — jadę.

— My z tobą! — wrzasnęli oficerowie.

Cedro roztrącił tłum, biegnąc do swego konia. Gdy się znalazł na siodle przed domem, płonęły już smolne pochodnie, oficerom podprowadzano konie, w stajniach słychać było rzenie i wrzawę. Za chwilę trąbiono wsiadanego.

— Chłopcy! dziś nie dawać brygantom pardonu!— słychać było w ciemności głos Niezabitowskiego.

NAD BRZEGIEM RAWKI.

Druga kompania pierwszego szwadronu ułanów pułku Dziewanowskiego wczesnym rankiem wyruszyła na patrol główny. Deszcz lał przez całą noc. Nade dniem dopiero ustał. Obwisłe chmury dźwigały się z równin mazowieckich, ukazując w oddali leśny widnokrąg.

Kompania miała rozkaz przebyć błota rzeczki Rawki poniżej trzech stawów w Michałowicach i od pierwszego skrzydła, z miejsca, gdzie stała ostatnia wedeta, wejść w lasy, w różnych kierunkach je przejrzeć i złączyć się ze swym szóstym pułkiem, oraz z brygadą konnicy Biegańskiego. Stu siedmdziesięciu jeźdźców z kapitanem, porucznikiem i dwoma podporucznikami, żwawo oddalało się od warszawskiego traktu. Zrazu co kilkaset kroków próbowali miejsca dobrego do przebycia, ale wszędzie napróżno.

Po roztopie wiosennym i po deszczach nizina Rawki stała pod płytkiem zalewiskiem, które podchodziło aż pod suche pola. Zaraz pod Puchałami zaczynały się torfowiska, w których koń od samego brzegu

po tybinki zapadał. Jedyne miejsce twardsze, z mostem, pod ogrodami folwarku w Michałowicach mieli rozkaz ominąć. Szli tedy dalej. Pomiedzy ich szlakiem a Pęcicami stało bagno-głębia, bezgruncie paskudne, zawleczone wodą i szerokie blisko na wiorstę. Długie rudawiska ciągnęły się stamtąd aż po wieś Tworki i Pruszków. Ogromny park, drzewa dzikie, rozrosłe w las nad stawami Pęcic, ginęły jeszcze w śniadych tumanach. Kiedy niekiedy wynurzały się z nich wielkie zastępy drzew i kryły znowu w tajemnicze półmroki. Tylko aleje starych lip na piaszczystych wzniesieniach, prowadzące w stronę Komorowa, stały już w błękitnem przestworzu.

Już świeża trawka puszczała się wszędy, gdzie tylko grunt zetknął się z falami, a jasne pędy tataraku tryskały szeregim, od spodu, jak zarzewie ognia, buchające z głębin ziemi.

Olchy po nadrzeczu, w błotach rozrosłe w kępy i laski, czarne były jeszcze, jakby wśród młodocianego świata schorzałe i opuchłe, ale już i na nich żółtawe baze tam i sam omglały wierzchołek. Rowami i głębią skib z szelestem i szemraniem waliła w nizinę wiosenna i świeżo spadła woda. Nad długimi szyjami i gardzielami torfowia, które warzyło się w ciepłe wstającego dnia i kurzyło od oparów, śmigały wciąż wesole pokrzyki i radosne loty czajek.

Żołnierze z cicha naśladowali ich głosy rodzime, niektórzy tak wybornie, że kompania śmiała się, jak jeden człowiek. Nawet marsowaty i straszny kapitan, Franciszek Katerla, szybko awansujący, jako najlepszy jeździec w armii, nie mógł skryć pod bujnym wąsem

uśmiechu. Srogo chrząkał i oglądał się, jak zwierz, gotowy do skoku, lecz ludzie dobrze wiedzieli, że wiosenkę ma taką samą w sercu, jako i wszyscy.

Podporucznik Rafał Olbromski wesoły był tego ranka. Koń pod nim zdrowiem paraskał i niósł go miłościwie. Każde czajki zawołanie przypominało coś miłego, jakowąś dawną, a już, widziało się, na zawsze obcą i zapomnianą radość.

Na płaskich wyniesieniach gruntu, po prawej stronie Rawki, kret wyrył kilkadziesiąt świeżych, czarnych kretowisk.

— Będzie pogoda... — szeptali żołnierze.

— Ten saper nie będzie ci wywalał ziemi przed deszczami, dopiero jak wiosny pewny, cabas za łopatę i sypie.

— Takiego wziąć, zarazby za kościołem, pod Opaczą okop wywalił na sto łokci.

— Będzie ta i bez niego, nie bój się...

Ziemia już na tych przypiaskowych góreczkach pachniała ostrym, przenikliwym czadem wiosny. Jeszcze, prawda, pańskie role nietknięte szarzały daleko, w stronę Warszawy, a piaski po drugiej stronie rzeczki szczyrzyły się nagimi splechciami, ale już ozime żyta płonęły gdzieś zieleńią.

Zbliżywszy się do wioski Reguł, żołnierze spotkali chłopów, orzących swe niwy. Mokre skiby, świeżo odwrócone, lśniły, jak wypolerowane żelazo. Chwilami powiew wiatru z południowej strony przyniósł odór nawozu, odór, co uderzał i natychmiast ginął w czystości powietrza.

Kompania wyszła na twardszy grunt i sadziła

ugorami. Kopyta końskie zapadały się jeszcze po pę-
ciny i, wyrwane z tężejącej ziemi, pojękiwały do taktu.
Pod wsią Pruszkowem przebyto w bród Utratę, pia-
chami ruszono na południe w lasy Komorowskie i He-
lenowskie. Zaraz za rzeczką kapitan Katerla zatrzymał
oddział i uformował go do patrolowania. Dwadzieścia
pięć koni dał na awangardę z porucznikiem na czele.
Z tych dziesięciu miało patrolować, a piętnastu iść
w kupie o dwa tysiące kroków przed oddziałem głów-
nym. Dwudziestu jeźdźców z pierwszym podporuczni-
kiem zostawił w aryergardzie o dwa tysiące kroków
za oddziałem głównym. W takim tedy porządku wszedł
w lasy.

Suche, napół liściaste bory ciche były i nieme.

Podszewka leśna — grabina, dębczaki, kuszcze le-
szczynowe — ledwie, ledwie dawała znak życia. Zeschły
i truchlejący liść pod końskimi kopytami szeleścił...

Wązką dróżką od Nowej Wsi, w stronę Nada-
rzyna, przeciskała się straż przednia. Oddział środkowy
szedł kupą, mając po boku wachmistrza starszego, czte-
rech wachmistrzów, furyera, kaprałów i trębaczów. Sze-
regowi ciągnęli równo lasem. Milczeli głucho i dawali
baczenie.

Słońce już weszło i nagi las tak jakby przeciągał
się i dźwigał ze snu. Tu i owdzie otwierało się pole,
jak zatoka werznięta w las, i oko biegło w pustą, mi-
lową, mazowiecką równinę. W jednej z takich ostoi
bydliła samotna wioska. Kilkanaście bielonych chałup
pod słomianymi strzechami. Siedliska mieściły się po
obudwu stronach piaszczystej drogi. Nad strzechami
górowały nagie lipy i rosochate wierzby. Pustka i cisza...

Na szczycie najwyższego z drzew bociek klekotał. Pierwszego spotkanego chłopą, tak jak stał wzięto między konie i kazano prowadzić oddział najbliższą drogą pod Nadarzyn. Kupa dzieci w koszulinach wybiegła patrzeć na jasne wojsko i szła za niem długo, długo z wlepionymi oczyma. Psy czekały bez końca, gdy już oddział dawno w lesie utonął.

Rafał wywiódł konia z koleiny i puścił go lasem na skraju szeregu żołnierzy. Słuchał z lubością, jak podkowy końskie rozmiatają brunatne, zgorzałe zwłoki zeszłorocznych liści bukowych i łamią zeschłe gałązki. Myśli biegły w dal, podobne do spojrzenia przebijającego gęsty las.

Niby na jawie, niby trzeźwemi oczyma ujrzał ojca... Nigdy prawie o nim nie myślał, ani razu chyba w życiu nie wspominał go sobie z tęsknotą. Skądże teraz?... Idzie staruszek zgarbiony, jakoby pleśnią żółtawą obrosły, kijkiem przed sobą śnieżycę maca. Czapczysko na nim, bekiesza, buty wytarte, jak zawsze. Stary sknera Olbromski z Tarnin. Cóż za dziwny, coś za cudaczny, niezgruntowany żal!

Ach, bił go ten ojciec zawsze, od najpierwszego dzieciństwa, znieważał zawsze, nękał, dokuczał, ponieważ, zdradzał. Z domu, z pod dachu, na deszcz i słotę wygnał. A brata, brata! Na wieki wypędził z dziedziny... Na wieki, na wieki wieków... Serce mu nie zabiło, nie drgnęło, gdy się brat teraź po świecie, w marszach, po leżach, w obozowiskach. Nie przeczuło, gdy zestrzelany kulami na polu leżał półumarły, nie pękło z żalu, gdy umarł nie zjednany, bez uścisku. Gnije teraz, daleko, daleko...

Skądże to ten dziwaczny, niezgruntowany żal?

Zda mu się, że to nie on myśli o ojcu, lecz że sam jest starcem zgrzybiałym z Tarnin, że wszystkie myśli tamtego, najgłębsze korzenie myśli, najcieńsze nitki wiedzy, uczuć ma w sobie. Czuje, jak drżą, jak się roją i cierpią. To nie jemu żal, och, nie! To starca nęka ów ciemny, niepowrotny, niezgłębiony ruch czucia.

Wiosna nowa nadeszła, nowy jar trącił i ze snu obudził każdą grudkę ziemi, ciepły wiatr powiał z za Wisły na sandomierską równinę. Wszędy, jak oczy daleko zasięgną, życie się rodzi. Tyle już lat to samo życie się rodzi... Tylko już Piotr nie wróci.

Już go niema. Stał się oto skibą gliny, kopką nawozu, szczyptą popiołu. Kość ta już jedna z niego nie została. Żeby choć to wiedzieć, ile z niego jeszcze tego próchna ocalało! żeby to choć ręką pomacać! Gdyby był leżał na cmentarzu, co go w polu widać, poszedłby teraz ku niemu, jak nikt nie widzi, i gadałby mu w mogiłę ojcowską swoją wolę i rozkaz. A tak... Jakaż to straszna rzecz przeżyć dziecko! Serce starca kurczy się, zwija i ściska w sobie, ale już ani jednej łzy wydać nie może.

Powiódł oczyma po polach. Naokół... Przystanął. Patrzy w dal. Niema i drugiego. Któż wie, czy i ten wróci? Kiedyż wróci? Zimne i twarde myśli odtrącają te trwogi. Wiatr wiosenny osuszył samotną kroplę na obwisłej dolnej powiece. Twarda wola weгнаła w kluby wzruszenie. Idzie znów starzec szybko, szybko kijkiem swym się podpira. Zaczyna ważyć w głowie pospolite, codzienne, folwarczne myśli. Co będzie siał na tej ni-

wie? co na tamtej? czy jeszcze zawlec tę podorywkę?
czy orać tamte uwrocia?

I oto znowu wypełza z niepostrzeżonej szczelinki dawna wola, zawzięta na śmierć i rozcinająca na dwoje, jakoby płytka, damasceńska stal. Nie, nie daruje, nigdy nie przebaczy! Niech ginie! niech przepada! Choćby, jak kundel wygnany, przyszedł i przyszwę buta lizał, nie pogłaszcze go ręką. Szpadkę z pochwy na ojca dobywać? Cha-cha!... Niechże na wieki przepada, kiedy tak!

Skiby ziemi sztorcem się nasuwają przed ogniste, czerwone oczy. Zgadnij, w którą też zmienił się teraz... Zgaduj, zgadula...

Coś w Rafale rozciąga stawy duszy i głęboki ból, zakłęty ból, leżący między ojcem a synem, ból, któremu równego na świecie niema, wykrzywił mu twarz. Żal mu tego starca, cierpi za niego i w nim, a żal ów rznie się wśród poczucia krzywdy, zniewagi, wskrósł wstrętu i gniewu.

Zdumionem okiem powiódł dokoła.

Słońce jaśniało. Złotobiałe połyski szły w zabłąkaniu po lesie. Spoczęły na brzozech nagich i żałośnie uroczych, jakoby prześliczne niewiasty zhańbione i obdarte z szat przez brutalną moc... Spoczęły, zmierzchły, odleciały. Weszły między zielone gaje sosen i pod zgniłymi liśćmi, pod uschłymi igłami szukały pracowicie zdyszanych od trudu kłów ziół wiosennych.

Wtem przed oczyma zamglonemi dumaniem błękit szeroki zajaśniał. Otworło się pole, idące milami w południową stronę. Daleko w piaskach szarzały stodoły Nadarzyna i połyskiwał duży, miedziany dach kościoła, oraz niewysoka jego wieżyczka.

Rafał obojętnie patrzył w piaszczyste ugory, śledząc ledwie widoczne koleiny suchej już drogi, gdy raptem usłyszał chrapliwy przyduszony głos kapitana:
— Stój!

Konie na ten głos, nim ręka jeźdźców przykróciła cugli, stanęły, jak wryte. Złotogniade pokryły się ciemnymi łatami. Dymiły parą wszystkie. Na niektórych piana się już zamydliła.

— Bacznosc — do zsiadania!

Olbromski z zadowoleniem cielesnem przerzucił cugle na prawą stronę, okręcił grzywę około palców lewej ręki i zlekka wysunął prawą stopę ze strzemiesienia. Wsparłszy lewą rękę na kuli, marzył jeszcze:

— U nas się tam już zazieleniły niwy. Rankiem po parowach mgły buzują...

— Z koni! wyrzucił kapitan.

Sam, jako niedościgły wzór, przeniósł genialnie prawą nogę, palcami w dół, ostrogą do góry przez swego cudnego wałacha.

Jak jeden człowiek stanęła kompania na ziemi w pozyturze aż do komendy:

— W miejscu — spocznij.

Rafał zostawił swego tresowanego *Bratka* samopas, z zarzuconemi na siodło wodzami, i wyszedł z szeregu, żeby rozprostować kolana. Ale kapitan nie dla samego wypoczynku tu stanął. Przeszedł przed awangardą, mamrocząc do siebie niezupełnie salonowe wyrazy, wybrał jednego z żołnierzy, Mazura, jak świeca, i skinął nań, żeby wyszedł. Wybrał drugiego i skinął znowu. Kazał im odpiąć pałasze, złożyć na ziemi lance.

zdejść czapki i włożyć ostrożnie na najwyższe dwie sosny, stojące na skraju leśnym.

Obaj poskoczyli i, jak wiewiórki, idąc według rozkazu z północnej strony pniów od sęka do sęka, dostali się na wierzchołki.

— Co widać? — pytał kapitan zcicha.

Milczeli.

— Patrz jeden z drugim, gawronie! Wielki gości-niec widzisz, jak z lasu idzie do Nadarzyna?

— Widzę, panie kapitanie!

— Za Nadarzynem trakt widać jeszcze, czy nie?

— Widać, panie kapitanie.

— Pola wszystkie oglądaj, dokoła... Patrzysz?

— Patrę, panie kapitanie.

— Puste?

— Pu...

Nagle obadwaj żołnierze, jak na komendę, zaczęli zsuwać się z drzew, dzwoniąc ostrogami, śpiesznie od-czepiając z sęków akselbanty.

— Czego? — zgrzytnął na nich kapitan.

Obadwaj skoczyli na ziemię z wysoka. Biegli do koni, chwytając swe czapki i lance z szeptem:

— Konnica, konnica!

Kapitan rzucił się w kierunku, który wskazywali. Nic z początku nie dojrzał. Pola porzniete były kępami brzozowych i sosnowych gajów. Od strony wielkiego lasu, zwanego Dębakiem, przez środek pól szedł miarowy, chrzęstliwy, dzwonny pogłos. Serce Rafałowe zabiło gwałtownie i zwolna się uciszało.

— Duch-duch, duch-duch...

Płynęły rozpierzchłe myśli:

— Sarny z Łysicy idą, czy co?

— Baczność — do wsiadania! — zakomenderował kapitan cicho, sekretnie.

— Na koń!

Rafał bezwiednie, z oczyma utkwionemi w dał, przeniósł nogę przez grzbiet koński, wsunął stopę w strzemię do kostki wielkiego palca, rzucił końce cugłów na lewą stronę. Poprawił się w siedzeniu, zmocował w sobie, wrósł w siodło i stanął, jak wryty.

Bratek pochrapywał nozdrzami i strzygł uszyna.

Daleka muzyka kopyt końskich po mokrej, miękkiej ziemi głucho, głucho przepływała polami. Oczy oficerów, wachmistrzów, kapralów, trębaczów, żołnierzy, jak cięciwa do ostatniego krańca naciągnięta, wytężyły się w tę stronę, skąd szedł daleki takt. I oto w odległości co najmniej wiorsty, z za lasku, zwolna, płynnie, powabnie grając w słońcu kolorami, wysunął się hufiec cesarskich huzarów. Kapitan stał na swym koniu zupełnie skamieniały. Twarz jego była jak gdyby z marmuru wykuta. Wszystek był w oczach.

Patrol austriacki szedł w stronę nadarzyńskiego traktu, wracając widocznie z rekonesansu. Ukośnie miał przeciąć pole przed frontem polskiego oddziału. Gdy cały wyszedł na plac i widać było całą jego siłę, daleko od polskiej znaczniejszą, z ust kapitana padła, jak strzał, komenda:

— Lance do ataku!

Prędzej, niż słowo rzec, prawe ręce zsunęły się po drzewcach kopii aż do miejsca, którego mogły dosięgnąć bez pochylenia korpusu ciała. Tam je chwyciły sękaty garście mazurskie. Tylca lanc wyjęli z rze-

miennych u strzemięcia tulejek. Pierwszy szereg schylił lance grotem w piersi wroga, drzewca na pół łokcia od końca wziął pod pachę, przycisnął do żeber. Drugi szereg ujął drzewca — i czekał.

Kapitan się zasiadł mocno, rękę położył na główni pałasza. Toż oficerowie. Wielki dech w piersi...

Świsnęły oficerskie szable, wyrwane z pochew jak jedna.

— Przykróć cugle!

Powiodł po ludziach okiem żelaznem.

— Naprzód!

— Marsz, marsz!

Ostrogi worały się w boki końskie. Hufiec drgnął i wypadł z pomiędzy drzew. Zrazu szedł nierównymi skokami, jak gdyby szukał swego taktu, wspólnego dla wszystkiej siły. W jednym momencie go schwycił. Wtedy ludzie i konie stali się jak masa jednolita, jak zlepienie w bryłę olbrzymią, jak skała oderwana z czuba łańcucha gór i lecąca w doły przepaści. Żołnierze pierwszego cugu schylali się ku szyjom końskim w miarę wzrastania przecwału. Zafurczały chorągiewki. Bryły miękkiej roli, frygnięte końskimi kopyty, grały w powietrzu.

— Nacieraj!

Rafał czuł wściekłą rozkosz w tym wichrowym pędzie.

W zmrużonych oczach miał błękitną i błyszczącą smugę. Usłyszawszy ostatni krzyk kapitana, rozwarł oczy. Był o jakie osiemdziesiąt kroków od linii nieprzyjaciół.

W półszwadronie kajzer-huzarów, jednym z sze-

ściu w przedniej straży generała feldmarszałka von Schauroth idących, oddawna spostrzeżono podjazd. Sformowany patrol leciał na spotkanie co koń skoczy. Oficerowie gnali z krzykiem na skrzydłach jeźdźców, wyciągniętymi szablami dając kierunek napaści. Gdy pierwsze dwa szeregi polskiej kompanii naciśnięte zostały przez następne tak, że łby końskie wrzynały się między jeźdźców, a piersi rumaków naparły w galopie na kłęby i wciskały się między uda koni pierwszoregowych, szyk huzarski, lecący pod kątem, stracił się z polskim. Ułani werznęli się w półszwadron, jak pocisk. Na wsze strony rozpierzchnął się pierwszy zbity cug. Kilkunastu zepchniętych z kulbak lancami wrzeszczało wśród kopyt końskich.

Ale drugie i trzecie linie natarły w mig z żelazną siłą i rąbały się szablą, z konia. Podporucznik Olbromski wcieszał się w ten zwarty, żołnierski tłum. Miał szablę i wśród świstu szabel począł w nie sieć z furją i rozkoszą. Oczy wkoło niego przywarły, brwi zwiedzone, nozdrza dyszą. Białe zęby połyskują. Świszcze i praska w brzeszczot. Strzały się rozlegają i dziki wokoło wrzask.

Przemógłszy skutki pierwszej, lancami, napaści, siła huzarska rzuciła się teraz wszystka z szablami. Rafał czuł to doskonale, jak roztrącone przed chwilą skrzydła Austryaków wciąż się zestępują i łączą, jak stary, ćwiczony i zwinny żołnierz palatyński dosięga nowozaciężnego ułana kordem, na brusie toczonym, i ścina go z wprawą i zemstą. To też, ujrzawszy przed sobą miejsce i starego rębacza w boju, rzucił się na niego co duchu. Ciął, stojąc w strzemionach, raz i drugi,

z błyskawiczną prędkością. Żołnierz ów odparował ciosy i pozornie umknął. Drugi najechał na jego miejsce, jak sobowtór tamtego. Zwarli się końmi pierś w pierś, wrębali w siebie nawzajem, aż stał z trzaskiem zgrzytała. Rafał pochwycił moment, wparł stopy w strzemie, stanął i płątnął na amen. Nagle tamten drugi, pozornie dezertujący, zdarłszy konia wędzidłem tak wysoko, że z rozwartym pyskiem stanął dęba i rzucił się naprzód — z impetem runął w junaka.

— Wawrek! A bij-że! A bijże tę psiokrew! — wrzasnął gdzieś z boku skrzydłowy wachmistrz.

Rafał czuł się na siłach i odwalił wszystkie cięcia z pewnością siebie. Pałasz jego miotał się błyskawicą, strzelał wokoło i krzesał ogień. W pewnej chwili zgiał się na bok pod strasznym ciężarem.

— Przetrącił mi ramię... — tyle zdążył pomyśleć.

Pałasz wylatywał mu z garści, z pomiędzy zmarzłych palców... Chwycił go jeszcze raz z całej mocy, z całej siły, z całej duszy i wzniosł zdrętwiałą i ciężką rękę, ale nie mógł już zadać ciosu. Mrówki, mrowisko w dłoni, w łokciu, w ramieniu.

Huzar odsadził się na siodle i pchnął go wtedy sztychem w piersi. Ostrze zaorało po kości i ognistym jęzorem wżarło się w bok. Jeździec austriacki szarpnął się w tył i zleciał z siodła na bok, zajechany szabliskiem przez skrzydłowego wachmistrza. Za chwilę siedział w kucki na zagonie, obiema rękami trzymając rozwaloną szczękę. Straszne jego, siwe oczy patrzyły w próżnię, z gardła wydobywał się bydłęcy ryk. Olbromski sekretnym ruchem wyciągnął z olstrów pistolet i strzelił mu w łeb z góry, prosto w te obłąkane

ślepie. Uczyniwszy to, rzucił okiem na swe spodnie i ze zdumieniem i złością zobaczył, że lewa noga, kolano, but aż do stopy zalane są krwią.

— Któż to u stu dyabłów tak mię spaprał? — myślał, jak przez sen.

Spostrzegł, że pole całe żółknie i że płomyki zielonawe wypadają z niego rzędami. Puścił wodze i lewą ręką zaczął przecierać sobie oczy.

Z krzykiem i tętentem robiąc lancami, strzelając i tnąc się w szable, otoczyła go kupa bezładna ułanów i zagarnęła w środek. Słyszał w tym tłumie nieustający krzyk kapitana, porucznika i kolegi podporucznika: — Stój! równaj się! Jak oszalały, wywrzaskiwał to samo wachmistrz starszy. Cofali się ku lasowi, odpychając ze wszech sił nacisk huzarski. Pojedynczo jeźdźcy ganiłi się jeszcze tam i sam, w polu. Patrol, który wreszcie zaczął *raliować* się pod lasem, uprowadzał ze sobą kilkunastu wziętych w niewolę.

Rafał nie rozumiał teraz dokładnie tego, co się dzieje. Było mu nieprzyjemnie, mdło i głupio. Dał się, jak tchórz, porąbać... Gdy wrzawa bitwy, szczęk szabel i okrzyki ucichać poczęły, rozproszeni ułani dopadali co chwila w skok do tego miejsca. Byli zgrzani, na obłąkanych i spienionych koniach. Ten i ów prowadził rumaka węgierskiego, ten i ów włókł rannego czy potłuczonego huzara. Spostrzeżono wreszcie, że podporucznik Olbromski jest coś zanadto krwią obłany.

Bronił się i udawał zucha. Ale ściągnięto go z konia. Gdy mu starszy wachmistrz na rozkaz kapitana odpiął rozwalony mundur, krew bujną falą broczyć za-

częła z zanadrza. Bielizna we krwi, mundur przemókł nią do cna. Położono wojaka na ziemi, ściągnięto garderobę i opatrzono ranę na prędcę. Była w piersi i w boku. Szła z dołu pod pachę. Sam kapitan zaczął ją wymacywać szorstkimi palcami, szukając kuli. Gdy go ranny zapewnił, że to rana nie z postrzału, przemyto rozdarcie gorzałką i zawiązano szmatami. Obandażowany tak mocno, jakby był wtłoczony w gorset, podsadzony na koń, zasiadł w kulbace, nikiem w krześle. Kompania, mając pośrodku swych rannych i jeńców, zwolna posuwała się brzegiem Komorowskich lasów w stronę traktu. W dali, pod Nadarzynem, tłumnie pieniały się wojska austriackie. Konnica wysuwała się naprzód. Dolatywał daleki gwar i śpiżowy dźwięk.

Szmat jeszcze drogi zostawał do gościńca, kiedy w kierunku lasu wysunęła się równa, szeroka linia kawaleryi austriackiej i ostrym a wzmagającym się kłusem szła wzdłuż drogi. Ujrawszy ten ruch, kapitan wciągnął swoją kompanijkę w lasy, a sam z oficerami przypatrywał się z otwartego miejsca.

Koń Rafała stał w płytkiej wodzie leśnej i niecierpliwie kopytem rozpryskiwał ją wkoło. Oczy jeźdźca z przelotnym smutkiem taczały się po wybrzeżach wiosennego smugowia. Dusza wspominała sobie wiosenny swój sen: drogę do Wygnanki. Tak żywe było widzenie tamtejszej chwili, tak oczywisty był przed okiem tamten kraj, że teraźniejszość prawie znikła. Jak przeszkoda w uczuwaniu swych własnych rzeczy nastrezczały się okrzyki i mimowiedny, wbrew zakazowi, szczęk szabel, ostróg, lanc, uprząży. Tłum drgnął i podał się ku leśnemu wybrzeżu.

I Rafał podniósł oczy.

Na spotkanie huzarów oddawna wypadł był z lasu drugi pułk ułanów, pod komendą Tadeusza Tyszkiewicza. Po deszczach nie było w powietrzu jednej drobinki. Zrazu szedł równo, sporą rysią. Ale oto w oczach począł się zrastać, skupiać, jakby się w siebie wciągał. Konie zlały się z końmi, ludzie z ludźmi. Barwa jeno została, lecąca w polu. Oto poszli co pary w koniach...

Kapitan Katerla nie wytrzymał. Zdarł konia, nawrócił nim w miejscu i, stanąwszy przed swym oddziałkiem, prędkie wydał rozkazy. Starszy wachmistrz z trzema dziesiątkami szeregowych poprowadzi jeńców i rannych wpoprzek lasu, wprost do placówek pod Sękocinem i do kwatery głównej. Reszta w pole.

W moment wydzielono konwój, a zmniejszony półszwadron wyszedł z lasu. Uszykował się na roli i z kopyta poleciał w bój. Te sto kilkanaście koni, lecąc z ukosa do drogi, wsparły znakomicie szarżę główną i przyczyniły się do złamania austriackiego szeregu, oraz uprowadzenia dwu setek niewcłnika. Rafał już tego sukcesu nie widział. Otoczony przez swych żołnierzy jechał leśną drogą. Ułani szeptali, z nadzwyczajną ciekawością przypatrując się jeńcom, oglądając i taksując pojmane konie i zdobycz. Starszy wachmistrz śmiał się pod wąsem, ale wobec Rafała nie ważył ust otworzyć. Wreszcie, licząc oczywiście na niemoc podporucznika, nie wytrzymał i zagadał do najbliższego Niemca:

— A nie masz znowu czego tak *hergotać*, bo cię tu na rożnie nie pieką. Szable toście sobie potoczyli na brusach, żeby nas ścinać bez miłosierdzia, psubraty!

Huzar podniósł na niego oczy przekrwione i pokazał swą rozpaloną głowę. W istocie skorupa krwi zwiększała się ciągle na skudłanych włosach.

— A to tak gadaj! — rzekł wachmistrz. — Boli cię?

Żołnierz coś wymamrotał po węgiersku, czy po rumuńsku.

Rafał domyślał się, o co chodzi żołnierzowi, ale milczał. Widok krwi tego chłopca budził w nim zimny, niezłomny gniew. Żeby się odczepić od błagalnych spojrzeń, rzekł oschle:

— Wachmistrz, zawiązać mu ranę i wziąć go w tył, żeby mi na oczy nie laźł.

— Według rozkazu!

Zsiadł wachmistrz z konia i zwrócił się do huzara:

— Masz jaką chustkę? Hy?

Ranny wzruszeniem ramion pokazywał, że nie rozumie.

— Nawet gadać żadną gwarą nie umiesz, kapcanie! *Gibnij* chustkę, to ci łąb zdrutuję, *fersztanden*! *Odgibam* ci tę szmatę, nie bój się, jak łąb naprawię.

Żołnierz powtórnie wskazywał, jako nie wie, czego chcą od niego. Wtedy jeden z ułanów wydobył z mantelzaka czystą szmatę i uroczyście podał ją wachmistrzowi. Ten wprędce, nie zatrzymując pochodu, obmył wódką i zawiązał głowę Austriaka. Gwarzył mu wciąż w oczy:

— Szable sobie wyostrzyli, jak brzytwy! A ja ci bez toczenia na brusie łąb od zamachu zetnę, wiesz ty o tem? Jak cię ułan w pazury weźmie, mów pacierz i to prędko! Tylko że ty i o pacierzu pierwszy raz pewno słyszysz, niemiecki sługo. O, juchy! Na Po-

taków idziecie, psu braty jedne? Cóż wam to zawinili? Skrzywdzili was kiedy? Dyabli cię wiedzą, coś za jeden, a możeś i Węgier... Ja zaś ci powiem, żeś wcale nie Węgier, tylko węgrowata świnia, kiedy na nas z Niemcami sypiesz! Żebyś tak nie był miętkiego serca, tobym cię wziął i tu na tem miejscu dorznął. Wiesz teraz?

Szli ostro, z ciekawością, z przyjaźnią i pewnem specyjalnem uszanowaniem obserwując swych jeńców. Rafał nie czuł się dobrze. Było mu wciąż głupio i mdło. Nieprzyjemna senność ogarniała go, jak po bezmyślnej pijatyce. Głowę miał ciężką, a w rękach i nogach ogień.

Było już nieco po południu, kiedy wyszli z lasu i skierowali się na Sękocin. Trafili w wir wojska. Z za piaszczystych wzgórków około Lesznowoli i Łazów pokazywały się w lot i ginęły z oczu przednie strażę brygady generała Spatha. Okrążając las, przebiegały nawet Mokrawolę. Brygada generała Roźnieckiego z czterema działami stała nieruchomo pod Janczewicami, przy karczmie, zwanej Wygoda, na drodze z Falent do Lesznowoli. Lasy falenckie jęczały, jak rozkołysany dzwon od huku bitwy, od strzałów ręcznej broni i okrzyków Tyszkiewiczowskiej jazdy. Cały trakt warszawski przed Falentami zajęty był przez najrozmaitsze rodzaje broni. Szedł tamtędy w kolumnach, brnąc w tęgiem błocie po kolana, trzeci pułk fizylierów w kierunku Michałowic, inne wracały z pod Komorowa, czy Pęcic do Puchał. Latali do jazdy Roźnieckiego zbryzgani po czuby kit adjutanci. Co koń skoczy, przeleciał jakiś podoficer w kierunku Jaworowa. Wszystkie

wojska ustępowały przed idącym powoli konwojem. Całe bataliony spędzano w rowy z gościńca. Oficerowie, nawet wyższej rangi, salutowali.

Pierwszy to raz w życiu Rafał uczył, co jest sława. Dreszcz uniesienia, nieznanego mu dotąd, przeszedł po nim, jak po puszczy. Oczy zaćmiły się od szczęścia i dumy. Dałby się w sztuki porąbać, żywcem spalić, włóczyć końmi za ów tryumf, jakiego doznał na dwuwiorstowej przestrzeni między Sękocinem a Falentami. Sama wioska Falenty wolna była zupełnie od wojska. Las olszowy za nią i okolica zrujnowanego pałacu, grobla i droga, prowadząca do Raszyna — również. Dopiero około kościoła w Raszynie, a w domach jego z prawej strony gościńca, a osobliwie za kościołem, gdzie kilkuset chłopów sypało szaniec, było tak pełno, że ledwie się zdołali przecisnąć. Ustępowano i tu, ile można. Piechota wyciągała szyje, żeby zobaczyć niewolnika, jazda podsuwała się, oficerowie zachodzili drogę.

Wszyscy biegli w nadziei, że zobaczą pieszych pandurów z zaplatanymi warkoczykami koło uszu. Wszystko tu było w ruchu. Nie wiedziano, czy mała armia wyruszy dalej, na spotkanie nieprzyjaciela, czy zostanie w tem miejscu. Nikt nie umiał powiedzieć, gdzie umieścić rannych. W samym Raszynie miejsca nie starczyło, o Falentach nie mogło być mowy.

Nawinął się wreszcie chirurg i wziął Rafała w obroty. Jako pierwszym z oficerów rannym w tej okazji, zajął się w szczególny sposób. Wywiózł go o dwie wiorsty za Raszyn, w kierunku Warszawy, do Opaczy.

Wachmistrz tymczasem zabrał jeńców i powiódł do komendy swego pułku, żeby zdać raport generałowi, wręczyć mu raport i usłyszeć rozkazy.

Olbromski był znudzony, widocznie wskutek dużej utraty krwi. Obojętnie spoglądał na dwór w Opaczu, który mu chirurg wskazywał, i obojętnie słuchał zapewnień, że tu będzie mu stokroć lepiej, niż w szpitalu przewoźnym, założonym w oberży raszyńskiej. Dwór w Opaczu stał w niewielkim, pustym ogrodzie. Od strony drogi warszawskiej i pola otoczony był parkanem. Rafał zapamiętał sobie ten napół rozwalony parkan, który tu i ówdzie spróchniał i runął. Zarazem łączkę... Było mu lepiej i weselej na widok bielonego dworu. Coś jakby rodzinne gniazdo stanęło przed oczyma. Muślinowe firanki wisiały w oknach »na drugiej stronie«, gdzie zapewne musiała być rzadko otwierana bawialnia. Z podwórza wychylał się gołębnik. Widać było w głębi gumno, obdarte zabudowania i kupy nawozu, świeżo wyrzuconego i dymiącego, jak jałowiec ognisko. Wejście do domu zamknięte.

Na błotnistym gościńcu ciągnęły się linie bagażów i kotłowały wozy amunicyjne. Chirurg zсадził swego pacyenta z konia, pobiegł w podwórze i hukął tam, kogoś szukając. Rafał przez ten czas siedział na ganku i dumał. Polami przeciągały kolumny wojska. Daleko pod Jaworowem, w stronie Pasieczna, rysowały się we mgle wiosennej ruchome linie batalionów, idących pod komendą Jana Kamińskiego.

Nareszcie klucz zgrzytnął w zamku i ranny wprowadzony został do sieni. Chirurg z wrzaskiem wymyślał na jakiegoś człeczyne, ekonoma czy pod-

starościego, który z podełba, z odrazą przypatrywał się Rafałowi, wciąż pomlaskując wargami. Gdy mu kazano otwierać drzwi do najlepszego pokoju »na drugiej stronie«, ociągał się dopóty, aż go chirurg porwał za kołnierz.

W saloniku dziwnie pustym, jakby z niego dopiero co wywieziono sprzęty, było powietrze mocno stęchłe. Za pierwszym pokojem stała otworem stancyjka wygodniej urządzona. Znalazło się tam łóżko z pościelą zupełnie czystą, z atłasową kołdrą, miękkimi piernatami i stosem haftowanych poduszek.

— O, to właśnie! Tego nam brakowało! — ucieszył się lekarz. — Tu podporucznikowi będzie lepiej...

— Ja tu nikogo nie puszczę! — zgrzytnął ów burgrabia.

— Nie puścisz, wasan?

— Nie puszczę. To jest łóżko samej pani dziedziczki. — Mam rozkaz *strictissime* zaraz to łóżko wywieźć.

— To ja *strictissime* kasuję tamten rozkaz.

— Ehe...

— Rwij mi acan po gorącą wodę na dużej, czystej misce. Żeby mi za dwa pacierze była w tem miejscu! — wypalił dobroczyńca Rafała, chwytając tamtego za ramię po raz wtóry i otwierając nim drzwi na oścież.

Z sieni dał się słyszeć głos bynajmniej nie pokorny:

— Ja idę, ale wy, młokosy, popamiętacie!

— Konia odwiąż od płota! Zaprowadź go do stajni! owsa mu daj pełny żłób! Słyszałeś?...

— A jakże, słyszałem... — mruknął tamten w kącie sieni.

Wkrótce Rafał został opatrzony przez chirurga. Nacierpiał się niemało przy sondowaniu i myciu rany, ale się i pocieszył, gdy go lekarz zapewnił, że ostrze huzarskiej broni niezbyt wiele przecięło więzów. Ześliznęło się jakoby po kościach i naszarpało tylko niemało mięsa na boku i pod pachą. Obandażowany i spokojny ułan legł w puchu. Chirurg nakazał spokój i przy pożegnaniu obiecał odwiedziny swe naza jutrz rano.

Dzień zwolna rozproszył się i w nocy utonął. Nikt nie przyszedł, żeby zapalić światło. Rafał nie miał o to pretensyi: prawdziwie wypoczywał w zacisznej alkowie.

Było mu dobrze nad wszelki wyraz. Myśli przyjemne i wesołe schodziły się do niego i bawiły u węgłowia, niby goście pożądani, niby kształty ulubione i najprzyjemniejsze, niby zapachy znajomych kwiatów z dawnych lat, z rodzonych okolic. Najtrudniejszych spraw swojego życia, najbardziej przykrych wypadków pierwszy raz od tylu czasów zażądał wolą ku sobie i oglądał je wszystkie w promieniach radosnego spokoju ducha. Ośmielił się wejść bez trwogi w Tatry, przebyć znane drogi, z uśmiechem półlitości a półdrwiny kroczyć na skalne zręby. Zajrzał w przezroczyste, błękitne i litworowe jeziora. Usłyszał z lubością szum potoku, napełniający doliny, aż do szczytu zbójeckich okien krzesanicy. Ogarnął go łagodny śmiech i pobłażliwa litość nad wszystkim. Nawet dźwięk tamtego imienia nie przerażał już duszy. Melodyjne sylaby,

nie, raczej krople cichych łez, jedna złączona z drugą, z trzecią... Patrzą z ciemności tej izby modre źrenice... Ale nic już nie ujrzą, nic a nic.

— Co mnie i tobie, niewiasto? — pyta się jej z dobrotliwą mądrością życie. — Tyś już jest popiół, nie tylko jako ciało i krew, nie tylko jako piękność, nie tylko jako wspomnienie żywe piękności, ale popiół, jako uczucie, a jam jest młodość, siła i żądza. Nic nie trwa wiecznie. Ostatni jeszcze przyjdzie wiatr i ostatnią garstkę popiołu uczuć w nicość rozwieje.

Odsunął się od tych myśli, jak od znajomych, którymi się już nacieszył dowoli. Przeszedł do innych. Ach, to on, mistrz de With! Ujrzał wyraźnie wielką figurę, korpus, głowę, oczy... Wspomniawszy sobie wkroczenie do Gdańska i ów blokhaus niezdobyty... Wspomniawszy wywalone podkopami mury, wyrwane okienka i wejście, a wreszcie ostatnią w ruinach walkę.

— »Major de With, pruski oficer piechoty«... — czyta z listy oficer, kiedy rannych z fortu wynoszą. Rafał widzi jeszcze twarz bladą, masę krwi w skudłanych, krętych włosach, przygasłe oczy. Oczy te patrzą weń, gdy rannego dowódcę blokhausu niosą natragungach. Patrzą weń uważnie, patrzą z dołu do góry. Spokojne, zimne, męzne oczy!

Ale oto skrzywienie odrączy maluje się w ustach i wielka głowa z niechęcią odwraca się na widok »brata«. Przymykają się powieki, żeby nie widzieć twarzy »ucznia«.

Mrok tej alkowy w Opaczy szeptać się zdaje: ciebie to poznał wtedy...

Zraniona dusza szarpie się w piersi Rafała. Buchają niczem nie zatamowane wyrzuty.

— Nie, nie, o tem jeszcze z uśmiechem marzyć nie sposób — marzy ranny, odsuwając od siebie widok trupa mistrza katedry, taki, jak go ujrzał w kostnicy nazajutrz po wzięciu Gdańska. Pali go teraz spokój tego trupa, urąga mu nieruchoma głowa i dumnie zaciśnięte usta...

Złudził go z tych marzeń niezwykle hałas.

Ktoś chodził po sieni ze światłem, głośno kłął, gadał, wreszcie wkroczył do sąsiedniej izby. Tu obejrzał z fukaniem wszystkie sprzęty, szturchał je i rzucał z miejsca na miejsce. Zbliżył się wielkim krokiem do łóżka. Rafał z wściekłością patrzył na tego natręta i miał właśnie zamiar wygnać go stąd, gdy oto spostrzegł jego odzienie i zamilkł. Ów oficer miał na sobie krótki granatowy fraczek ułański z generalskim na rabatach haftem, długie, amarantowe spodnie. Zdjął był rogatą czapkę z wysokiem, czarnem piórem, suto galonowaną i trzymał ją w ręce. Wznosząc wysoko łojową świeczkę w blaszanym lichtarzu, schylił się, sapiąc nad pierzynami.

— Dyabli cię tu przynieśli... — mruknął przez zęby.

Była to twarz długa, wygolona, o kolorze zrudziałego piaskowca. Zimne, jak lód, wypukłe oczy, obwieszone torbami powiek, patrzyły z pogardą i rozumem. Zaciśnięte usta, wąskie i surowe, zdało się, prze-mocą zatrzymują za zębami wyrazy znieważające. Ranny widział był już nieraz tę głowę z nosem grubym i długim, porzniętą fałdami, idącymi wzdłuż twarzy, ale teraz przypatrywał się jej w dwójnasób ciekawie. Generał stał nad nim ze świecą przez czas pewien i badał go przeszywającym wzrokiem. Potem raptownie od-

wrócił się i wyszedł do pierwszego pokoju. Tam, szurając stołkami i stolikiem, zasiadł nareszcie. Na jedynym stoliczku, jaki pozostał, rozłożył wielką mapę i, podparłszy głowę, pięściami, utonął w badaniu, czy rachunkach. Chwilami coś do siebie mruczał, to znowu coś zapisywał na kartkach pugilaresu.

Rafał nie mógł już myśleć o spaniu. Miał przed oczyma pełgający krąg światła, czarną, zwichrzoną, kędzierzawą czuprynę generała i olbrzymi cień jego głowy na przeciwległej ścianie. Był pewien, że lada chwila wyrzuci go z tych piernatów. Wcale go nie martwiła ta pewność, był bowiem dość wypoczęty i wesół. Rana nie sprawiała mu wielkiej przykrości, a ogólna ociężałość zupełnie przeszła.

Generał studyował swoją mapę więcej, niż godzinę. Ukończywszy, widać, jakieś obliczenia, mapę złożył, zamknął notes, rozparł się na stoliku łokciami, złożył głowę na rękę... Drzemał tak przez czas pewien, ale gdy sen na dobre morzyć go zaczął, wstał i ociężałymi ruchy zaczął szukać miejsca, gdzieby się mógł wyciągnąć.

Nie było gdzie, chyba na ziemi. Zsunął dwa krzywe krzeselka, ale nie zdołał zmieścić się na nich. Raptem odwrócił głowę i patrzył w ciemny pokój Rafałów. Po chwili wszedł tam. Omackiem znalazł chorego, odsunął go do samej ściany i położył się na połowie łóżka.

Rafał z uszanowaniem odsunął się do ściany i ustępował kołdry.

— Nie potrzeba! — mruknął Sokolnicki. — Leż wasan, kiedy ci dobrze. Mówił mi chirurg, że cię ranił. Gdzie to?

— Mam ranę w boku.

— Pytam się: w jakiej potrzebie? Chirurg niech się pieści twoją raną, nie ja!

— Pod Nadarzynem. To jest...

— Co jest?

— To jest pod lasem Helenowskim.

— Więc gdzież ostatecznie? Bo Nadarzyn to miejscina, a las to las.

— Pod lasem, panie generale.

— Godność wasana? — mruknął już przez sen.

Rafał wymienił swe nazwisko.

— Był kadet Olbromski w rycerskiej szkole, a potem oficer za Rzeczypospolitej.

— Brat mój starszy.

— Aha!... — ziewnął generał.

W tej samej chwili zachrapał na cały dwór. Głowa jego leżała na brzegu poduszki, ogromna, długa, kudłata. Olbromski nie spuszczał z niej oka — i w tak dziwnej pozycji przeleżał, a właściwie przesiedział ze dwie godziny. Świeczka, zostawiona w pierwszym pokoju, dopaliła się i zgasała.

Twarda jeszcze była noc, kiedy się dał słyszeć głuchy tętent kilku koni. Słyszać było kroki osób, niecierpliwie chodzących dookoła ścian dworu i głośnie rozmowę. Dobijano się do okien, szukano drzwi. Na pewien czas wszystko ucichło, a kiedy Rafał sądził, że przybysze już się oddalili, drzwi do pierwszego pokoju otwały się i ktoś na cały głos zawołał:

— *Monsieur le général* Sokolnicki!

Śpiący generał ani drgnął. Olbromski zaczął go potrząsać, zrazu ostrożnie, potem coraz mocniej, aż wreszcie Sokolnicki zgrzytnął:

— Kto? Czego? Atakują?

— Generał Sokolnicki! — wołał głos w ciemności.

— *Vite, vite!*

Nareszcie rozespany porwał się na nogi. Zatoczył koło, przeciągnął się, aż w nim, zda się, wszystkie kości zatrzeszczały, i skrzesał ognia. Zapalono nową łoiówkę i nędzny jej blask oświecił kilka postaci, wchodzących do pierwszej stancyi. Byli to starsi oficerowie, zachłastani do ramion ciepłych płaszców i utyłtłani w błocie do kolan. Jednemu z nich podano krzesło. Gdy usiadł za świecą, twarzą naprzeciwko Rafała, rozłożono przed nim mapę, i ten sam głos, który wołał na Sokolnickiego, ozwał się znowu.

Generał siedzący zwracał na mówcę ciekawe i uważne spojrzenie. Kiedy niekiedy sekretnie ziewał. Był to wysoki mężczyzna, lat czterdziestu pięciu, sześciu, z twarzą tłustą, okrągłą i jeszcze piękną, choć już rozlaną i w policzkach obwisłą. Osobliwie piękne miał oczy: aksamitne, płomienne, pod szerokimi łukami brwi. Co chwila, pragnąc ukryć ziewanie, muskał pieszczotliwie małego wąsika. Pelletier wciąż wykladał po francusku swój pogląd.

— Co do mnie — rzekł książę Józef, zwracając się do Sokolnickiego — nie przestanę żałować, że nie poszedł wprost i gdzieś za Nadarzynem nie rzuciłem się na nich z całą siłą, jaka jest. Nie przestanę żałować! Tylko Chodkiewiczowski atak mógłby nam dać szanse zwycięstwa.

Sokolnicki uklonił się z obłudną zgodą na te słowa, z udanem współubolewaniem. Po chwili, rysując palcem na mapie długą linię, mówił:

— Chociaż z drugiej strony te błota i rudawiska nie są do pogardzenia. Idą tak długim pasem i tak znakomicie nas bronią od osaczenia. Żaden szaniec nie oddałby tylu usług...

— Ach, dajże pokój!

— Proszę tylko spojrzeć. Za Jaworowem, niemal od Piaseczna zaczyna się nieprzebyta gać błotna, a idzie aż Bóg wie dokąd. Człowiek nie przebrnie tych moczarów, z wyjątkiem Raszyzna i Michałowic, koń nie zgruntuje, chyba za Pruszkowem i pod Piasecznem. Ku Piasecznu nie pójda z obawy przyparcia do Wisły. W Raszynie mamy szaniec, w Michałowicach...

— Ach, daj-że pokój! Stać nad tym rynsztokiem i czekać na los kraju, rozmyślając, w którym też miejscu nas obejdą i obskoczą...

— Mamy sumiennie rozstawione brygady konne aż do Błonia, do Woli i do Piaseczna. Obejść nas...

— Co to znaczy! Te brygady konne mogą nam tylko zwiastować, w którym miejscu przebyto bajora.

Młody, trzydziestoletni Francuz chwycił uchem obce mu dźwięki. Snadź coś rozumiał, bo kiedy niekiedy raptownie potakiwał. W pewnej chwili zaczął mówić prawie to samo, co Sokolnicki. Wywodził tak bez przerwy, aż do przybycia nowej osoby.

Był to Fiszer. Na jego widok książę wstał ze swego miejsca i, gorączkowo wyciągając rękę, mówił:

— Wciąż mię namawiają do oczekiwania w tej obmierzłej pozycji. Nawet Sokolnicki, którego zawsze trzeba *tenir par la basque*, żeby zbyt daleko nie poszedł. Co powiesz nowego, generale?

— Wracam z Michałowic. Zmarzłem... — rzekł mały generał, zacierając siarczyście ręce.

Po chwili dodał:

— Trafił mi się tam pewien *fugas Samios*...

— No, no? — zapytali słuchacze.

— Pewien Polaczek galicyjski zemknął ku nam lasami na Komorów, na Janki, Wolicę. Przyszedł o północy do Michałowic w ubraniu chłopca, tak zaciapany, że ledwie go było widać. Wziąłem go na dobre spytki, bom podejrzewałem, czy to czasem nie jakiś znawca, ale nie! — dobre człeczysko. Powiadał mi detale.

Fiszer zbliżył się o kilka kroków do stoliczka i mapy. Zimnem i jakby martwem okiem patrzył na nią. Wreszcie rzekł niby do siebie:

— Mało nas, bardzo mało. Wiecie wy, mości panowie? — jeden na czterech.

— To niemożliwe! — krzyknął Sokolnicki.

— Jeden na czterech! — powtórzył Fiszer. — Dziewięćdziesiąt cztery dział wyszło już z Nadarżyna. To znaczy: trzy działa na nasze jedno.

— Mówiłem, że iść naprzód... — zaczął książę Józef ze zmarszczonem czołem i zduszoną w głosie rozpaczą.

Po chwili zwrócił się do Fiszera z kategorycznem pytaniem:

— Co mówisz?

— No, teraz już iść za późno. Trzeba było nie puścić ich za Pilicę, napaść od Inowłodza, czy Czerwonej Karczmy. Teraz niema już o czym...

— Tylem zyskał, że mi Gartenberg rozpędził milicją w Rawie, zabrał kasę i magazyny. Mam raport.

Zapasy w Nowem Mieście... Zrabowane wszystko w Sadowicach, w Białej...

— Już teraz za Rawkę się nie wydalimy, boby nas w nią wegnali i utopili. Nawet Roźniecki musi się pilnować i, ustępując, iść na zachód, ku Komorowu, ku Helenowu, piaskami. A tu, mości księżę, miejsce jest dobre.

Pociągnął suchą ręką po wychudłej twarzy, przetarł blade oczy i mówił spokojnie:

— Gdyby tak na mnie, to stanąłbym w tem miejscu i biłbym się aż do śmierci.

Pelletier, usłyszawszy z ust Sokolnickiego wyłomaczenie słów szefa sztabu, machnął ręką z zadowoleniem i zaczął w tekę swoją zbierać papiery. Księżę siedział zamyślony i patrzył w płomień świecy. Fiszer mówił, zatopiony w sobie:

— Gdyby tak na mnie... Wyszedłbym za groblę z przednią strażą. Austryaki miejsca tego nie znają. Raszyn wygląda od Nadarzyna, jakoby wzgórek na tamtej równinie. Biliby w Falenty i w Puchały, nie przeczuwając, że w celu zdobycia Raszyna, trzeba przedewszystkiem zdobyć topiele Rawki. Topiele okryte olszyną tak szczelnie, że dopiero konający przekonają się, jak to tam zdradnie a głęboko. Falenty są, jak szpic. Chałupy tej wsi stanowią najdalsze *angles saillants* całej naszej pozycji. Trzeba tę wieś zająć, mocno obsadzić, utwierdzić się w niej, no i bić się na śmierć. Grobla to będzie drugi etap, a Raszyn trzeci. Armaty nasze z szanica za kościołem raszyńskim panują już nad groblą i mogą bić w olszynę.

Książę Poniatowski ocknął się i rzekł z uśmiechem:

— Panie generale brygady, zdaje mi się, że to do ciebie pito, mówiąc o walce w Falentach...

— Jestem gotów... — odpowiedział Sokolnicki z ukłonem.

— Tak, tak, on zawsze gotów, kiedy mowa, żeby lecieć naprzód... — mówił Fiszer.

— A więc — decydował Poniatowski — generał Biegański z trzecim pułkiem piechoty i czterema armatami stoi w Michałowicach i broni tamtejszych suchych przejść pode dworem, między trzema stawami. Kamieński stoi w Jaworowie z dwoma batalionami ósmego i drugim batalionem pierwszego pułku. Ma 6 armat. Pan generał dziś jeszcze o świcie zajmiesz Falenty Małe i Duże, pałac, las olszowy, drogi i groblę. Wszak znasz te miejsca?

— Znam.

— Jakież wypadłoby wziąć bataliony? — zwrócił się książę do szefa sztabu.

Fiszer wydobył z portfelu spisy i obadwaj z Pelletierem zagłębili się w dociekanie. Wkrótce szef czytał:

— Pierwszy batalion pierwszego pułku piechoty, pierwszy batalion ósmego pułku, świeżo przybyły z Modlina pod wodzą Godebskiego, jeden batalion szóstego pułku. Bateria młodego Sołtyka.

Sokolnicki słuchał wyprostowany. Książę liczył na palcach, kiedy Fiszer wyczytywał z papieru.

— Masz tedy, panie generale, czternaście kompanii fizylierskich, dwie grenadyerów, dwie wołyżę-

rów. Razem dwa tysiące pięćset chłopów. Sześć armat. Możesz się tego bronić.

— Osobliwie, że będę miał staw i bagna za sobą, a do ustąpienia w razie porażki groblę... — mówił Sokolnicki z ironiczną przechwałą.

— Więcej dać nie można... — mruczał Fiszer. — Gdybyście byli otoczeni i wzięci w niewolę, Raszyn zostałaby bez obrony.

— No, do bitwy tak zaraz nie przyjdzie. Austriacy nie decydują się zbyt szybko... — mówił książę. — Znam ich przecie. Co do grobli... to zapewne... Ale będziemy was wspierali. My tymczasem jeszcze podsypimy nasz zakop raszyński. Chciałbym go przeciągnąć za drogę warszawską ku Michałowicom i nad staw raszyński, w drugą stronę. Ufortyfikujmy kościół, mur kościelny i domostwa żydowskie, skoro już tu koniecznie bronić się mamy.

Sokolnicki usiadł przy stole i za dyktandem Fiszera oraz Pelletiera pisał rozkaz dzienny. Książę podpisał go i zaraz wyszedł, prędko żegnając obecnych. Za nim Pelletier. Fiszer zebrał swoje papiery, naciągnął płaszcz na ramiona i miał się również ku wyjściu. Już we drzwiach stojąc, zwrócił się do generała brygady ze słowem:

— Szczęść Boże!

— Daj Panie Boże! — odrzekł brygadyer.

Po wyjściu generałów zawrócił co tchu do łóżka, na którym Rafał siedział w kucki, słuchając wszystkiego.

— Nie śpisz wasan? — mruknął Sokolnicki.

— Nie śpię, panie generale.

- I nie masz zamiaru umierać?
- Ani myślę.
- A jakże się ma twoja tkliwa rana?
- Wcale dobrze.
- Teraz będziesz spał, czy nie?
- Nie będę spał, panie generale.
- Napewno?
- Napewno, panie generale.

— Słuchaj-że rycerzu. Rozkazy do marszu wyda szef sztabu, a ja się zdrzemnę jeszcze do świtu. Pojmujesz, co mówię? Zdrzemnę się do świtu. Jak tylko zaczniesz szarżyć, obudzisz mnie. Obudzisz?

- Obudzę, panie generale.
- Namysł się. Bo gdybyś miał zasnąć...
- Obudzę, panie generale!

Sokolnicki rzucił się na łóżko, Rafał postanowił korzystać ze sposobności i robić karierę. Rzekł tedy śmiało:

- Panie generale, racz mię wysłuchać.
- Tylko prędzaj, prędzaj!
- Pozwól mi towarzyszyć sobie w tej ekspedycji.

- W charakterze?
- W charakterze... w charakterze...
- Prędzaj!

— W charakterze... poprostu podporucznika *à la suite*.

— Nie mam do tego prawa i nie znam takiej rangi. Jestem tylko generałem brygady, a ty rannym oficerem. Jak zostanę naczelnym wodzem *in partibus infidelium*, nie zapomnę, żeśmy spali pod jedną kołdrą.

— Jestem już zdrów, a nie wiem, gdzie jest mój szwadron. Pono za Rawką. Pozwoli mi pan generał być w tej batalii przy sobie bez żadnej rangi aż do chwili, kiedy znajdę swoją komendę.

— Dobrze. Obudź skoro świt, a teraz milcz z łaski swojej i... niech cię wszyscy dyabli!

Za chwilę chrapał.

Skoro tylko ciemne rano dało widzieć szyby okienka w dużym pokoju, Rafał przelazł przez śpiącego snem kamiennym i jak umiał, jak mógł najprędzej, wdział swój uniform. Munduru nie zdołał zapiąć żadną miarą wskutek grubych powijaków bandaża, którym miał opasane zebra. Zaczął targać generała za ramię.

— Kto? Czego? — wściekał się rozespany.

— Generale, dnieje!

— Idź, bo ubiję!

— Generale, nie dam już spać ani chwili.

Dnieje!

Widząc, że słowami nie poradzi, użył siły. Sokolnicki rozwarł wreszcie ogromne powieki i kłął na czem świat stoi. Jeszcze niezupełnie rozbudzony pytał:

— Czy atakują?

— Atakują, atakują!

Ocknął się wreszcie i siadł na łóżku. Za chwilę otrząsnął się i porwał na nogi.

— No, chwałaż Bogu i za tę kruszynkę snu! U kaduka! Ja się już nigdy w życiu porządnie nie wyśpię. A no! Zaczynamy!

— Pan generał raczy mi pozwolić, żebym mu towarzyszył?

— Prawda, coś mi wasan w tej materyi gadaleś.
Cóż ja mam z tobą zrobić?

— Jako zwyczajny widz...

— Niema widzów w bitwach. A ja ci powiem
sub rosa, że my nie na *bal paré* idziemy za tę grobelkę.
Gdzie twój pułk stoi?

— Właśnie tego nie wiem.

— To się dowiedz i kwita!

— Panie generale!

— Zaraz... Umiesz po niemiecku?

— Umiem.

— Ale czy napewno?

— Umiem, panie generale.

— No dobrze. Będiesz mi potrzebny, jako tłó-
macz... w razie pojmania, uważasz, niewolnika. Ale cze-
góż łąsisz rozpięty, jak mamka?

— Bandaż.

— Bandaż... Pokaż-no się. To szósty pułk. Z pierw-
szej formacyi. Pod Tczewem byłeś?

— Byłem.

— Pod Gdańskiem?

— Byłem, panie generale.

— Jako »widz«?

— Właściwie...

— Rozumiem! To wiedz, że ja cię kurować nie
będę. Możesz przy mnie być i rób, jak ci się podoba.
Olbromski. Pamiętam tamtego! Zaczny był oficyrerek,
choć mazgaj i sentymentalista. No, w drogę!

Wyszli na świat. Ciemne były jeszcze pola. Pła-
ską otchłanią słały się na wschód i na zachód. W stro-
nie Jaworowa, na wodach szeroko rozlanych, na sta-

wach niecił się słaby brzask. Przejmujące zimno szło z nizin Rawki od strony południowej.

Rafał skoczył w podwórze i po chwili gwałtownego kołatania wynalazł ludzi, a ci mu w mig podali osiodłanego »Bratka«. Generał kazał dla siebie zaprządz szkapę do małej bryczulki. Wkrótce jechał do Raszyna, powożony przez brudnego parobka. Olbromski konno towarzyszył mu z boku.

Zdała już, na gościńcu i w obrębie szanica, przed kościołem raszyńskim, spostrzegli równe linie wojska, stojącego w szyku. Rogate, czarne czapki z orłami i jednakie pompony, krótkie kurtki z białymi plastronami, białe spodnie, kamasze i ciżmy tworzyły długie rysy w ciemności. Tabor armat i wozów formował za plebanią, nad stawem, u jego niskiego wybrzeża, ciemne i chropawe wzgórze. Na prawo i na lewo od drogi, w polu, między Opaczą a Raszynem, bieleły namioty. Gdzieś tam wałęsał się jeszcze dym gasnącego ogniska. Przy drodze, wzdłuż doliny, stały na koniach pikiety ułańskie z chorągiewkami w futerałach, z pistoletem na pogotowiu, nieruchome, błękitne we mgle i ciszy. Rafała ogarnął dawno nieuczuwany lęk i smutek wśród tego snu wojska. Czekał z niecierpliwością na alarm, wystrzał...

Ale cisza była nieprzerwana. Mgły nad stawem kłębić się poczęły i błakać. Czarne zamajaczyły w nich olchy, wierzby...

Sokolnicki siedział w wózekczku i bardziej do siebie, niż do słuchacza, mówił:

— Toż to bateria artylerii konnej, Sołtyka... Nie prawdaż? Cztery armaty ośmioletowe, dwa granatniki

sześciocalowe. Sześć wozów do tej baterii, sto koni, powiedzmy, sto cztery konie. Na prawo cóż to tam śpi w tych wściekle białych namiotach?

— Sasi, panie generale.

— Masz słuszność, Sasi. Trzy bataliony, 150 huzarów. Dwanaście armat. A tamte ku Michałowicom działa... Widzisz? To kompania młodych frantów, Ostrowskiego i Włodzia Poteckiego.

Wózek wolno brnął w kałużach i koleinach bagnistej drogi warszawskiej. Nie dojeżdżając do szanca, Sokolnicki zlął z bryczki. Trzy bataliony, ujrzawszy go, uformowały się.

Wypadli z szeregów adjutanci i, salutując, okrążyli generała. Pułkownicy — Godebski, Małachowski, Sierawski, dowódcy tych batalionów na ten dzień 19 kwietnia, dosiedli koni i zajęli swe miejsca. Zabrzmiął rozkaz, trzykroć powtórzony. Mignęły oficerskie szpady, jak jedna. Linia bojowa wraz sprezentowała broń. Sokolnicki wyprostował się. Twardym krokiem szedł zwolna przed wyciągniętym frontem. Mijając pułkownika Godebskiego, który szlachetnem męstwem, krwią, ranami zdobył swe szlify we włoskich i niemieckich wojnach, pozdrowił go rycerskiem spojrzeniem i ukłonem wodza. Mijając pułkownika Małachowskiego, który dowodził braćmi we Włoszech, na oceanie, na wyspie, który widział wszystko od początku do końca i z San Domingo powrócił, pozdrowił go ukłonem wodza, który był razem ukłonem czci. Mijając pułkownika Sierawskiego, który przebył, podobnie jak tamci dwaj, wszystką z żołnierzem dolę niedolę, pozdrowił go rycerskiem spojrzeniem i ukłonem wodza. Przyprowadzono mu ko-

nia. Siadł nań ciężko. W milczeniu przez chwil kilka patrzył w głąb batalionów.

Już zorza ze słońca, wstającego daleko, spływała na wody stawu Raszyńska. Granatowe fale lelejały się cudnie i, melodyjnie chlupając, tańczyły dokoła badyłów suchych trzcin. Żywym płomieniem z głębin przezroczystej wody wybiegły jasne pędy tataraku. Było tak cicho, że wojsko słyszało daleki szelest suchych zeszłorocznych szuwarów.

Gorzko, żałobnie, smutno szumiały. Ich jasno-żółte, złotawe liście, dotykając się wzajem, szerzyły w pustce ni to skrzeczenie, ni to śpiew. Chwiały się ostre kity nad głębią. Mnóstwo z nich wiatr już obiał, wicher obdarł, a granatowa fala przyniosła aż do grobli i ułożyła na jej krawędzi w równe, zygzakowate mogiły.

Z gąszczów oczeretu raz wraz wypływały dzikie kaczki, kołysały się na modrych falach. Kurki wodne pokrzykiwały w gęstwinie. Nad dalekimi błotami Jaworowa tuman stał gęsty.

Po drugiej stronie grobli wyłaniało się z mroku bajoro, jeszcze nie okryte trawą. Zeschły chwast błotny, rude chrósty rokicin i ciemnobrunatne olchy z czerwonymi dziuplami zaścielały niski rozdół, przerznięty przez strumień, który sączył się z upustu w przeciwnym końcu grobli, od strony Falent. Grobowy, zimny wyziew wstawał z tego podziemia, jakoby widmo. Wyciągniętymi rękoma, które w siebie wchodzi i wychodzą, obejmował stojące rycerstwo. Schylał ku nim potworną głowę i mroźne usta przyciskał do czerstwych policzków młodości.

Sokolnicki noga za nogą podjechał do batalionu,

prowadzonego przez pułkownika Godebskiego. Rzucił półgłosny rozkaz:

— Przez groblę — naprzód!

Szefowie dwu batalionów obocznych po prawej i lewej stronie kazali zejść półplutonami, batalionowi na prawej stronie w lewo, a batalionowi na lewej stronie — w prawo. Jednocześnie batalion Godebskiego zaszedł półplutonami w lewo i w prawo. Dwa półplutony, stojące na drodze między kościołem a murowanymi domami, gdzie mieścił się sztab główny, ruszyły naprzód na podwójny odstęp półplutonu. Ujrzawszy, że przewodni zajęli swe miejsca na prawem i lewem skrzydle półplutonów w pierwszym ich szeregu, generał Sokolnicki zakomenderował do skutecznienia:

— Kolumna — naprzód!

Szefowie powtórzyli rozkaz. Sokolnicki zwrócił konia z rozkazem:

— Marsz!

Gdy powtórzony gruchnął ten rozkaz, półplutony stojące u wejścia na groblę pomaszzerowały naprzód krokiem taktowym. Kiedy ostatni z nich wszedł między dwa rzędy drzew, Roman Sołtyk, kapitan komendant parku artyleryi, przeznaczonego do przedniej straży, rzucił rozkaz:

— Baczość! Na prawo do boju. Przewodni na prawo. Marsz!

Jezdni kanonierowie puścili konie. Ciężko zabuchał śpiż. Głowy, wyloty, czopy, puste komory, zielone łoża, przodkary i koła dudniły potwornie w ciszy porankowej. Jęknęła do głębi pod kopytami wstrząśnięta ziemia. Pnie i konary drzew dzikich, z jednej i drugiej

strony obrastające groblę, zadrżały, jakoby w ciemność bojaźni wtrącone.

Sokolnicki noga za nogą jechał zdala od wszystkich, sam. Przed oczyma jego po prawej i lewej ręce rozwierały się dwie niziny: staw i błota za groblą. W uszach mu szumiał przykry szelest trzcin. Spokojnie z pod nasuniętych powiek patrzyły kamienne oczy. Na wargi wyszedł jad wrodzonego śmiechu. Przymknął wtedy oczy i myślał:

— Ja to was wiodę w to miejsce zgniłe, ja to was wiodę...

Ja to waszymi trupami zapełnię te niziny...

Rozkazuj wodzu! Słucha twój podkomendny. Nie było cię, wodzu, przy dalekich sprawach nad rzeką Padus, nad rzeką Tyber, nad rzeką Ren, nad jeziorami Włoch, w wąwozach Tyrolu, w czeluściach Szwajcar. Spałeś w puchu za onych dni, wodzu nasz. Żegnajcie, żegnajcie, młode moje lata! Ty stary szwedzki okopie pod Grodnem, gdzie młodymi trudami związał pięć tysięcy faszyn, trzy tysiące upłócił kosztów, dwa tysiące płotów — nadarmo. — Gdzie moje kwatermistrzostwo ramię w ramię z Sułkowskim... Bądź pozdrowiony, cieniu...

Zwiesił głowę. Ręce oparł na kuli. Mgły snują się w oczach, cienie snują się w myślach.

— Warszawa... Pod Toruniem, pod Sochaczewem, pod Drzewicą, pod Radoszycami... Samotna, długa noc. Cisza. I widok w Kownie przysięgi!

Kiedyż to ja cię wyrąbię, ziemio!

Kiedyż ty przyjdiesz, dniu mojej władzy, początku mojej pozgonnej chwały?

Ale, o Boże mój, upokórz serce...

Daj mi w tym dniu rozkaz, poczęty w mądrości, żebym jego szańcem zasłonił bracią. Daj mi radę w najgorszej chwili. Daj mi męstwo ostatniej godziny, kiedy popłoch rozpędza żołnierzy, jak zgrają dzieci.

Odwróć ode mnie śmierć... Zmiłuj się, Panie!

Któryś mię wywiódł z pod Offenbach i Bergen, z pod gradu kul pod Hohenlinden, z pod paszcz u Salzburga, z pomiędzy bagnetów nad Innem, nad Aachem, któryś mię ratował pod Stolpą, pod Heyburz, w dziele frydlandzkim...

Ty, coś mię krzepił w przejściu alpejskim, kiedy byłem sam jeden niezłomny wódz, kiedy odeszli wszyscy okrom Fiszera, kiedy tysiąc wiernych żołnierzy szło bez butów, dwa tysiące napoły boso, połowa legii nie miała koszul, a dwa tysiące były bez ubrania.

Dałeś mi łaskę walki na tych zagonach...

Zachowaj ramię me, wspomóż serce!

Ale, o Wszechmogący, jeśli Twa woła...

Daj mi śmierć Żółkiewskiego...

Który widzisz duszę moją w tej minucie aż do samego dna...

Druga kompania artyleryjska konna przebyła całą długość grobli, minęła upust i zstąpiła w płaszczyznę.

Rafał dał wówczas koniowi ostrogę i ruszył z pod Raszyna naprzód, wymijając za groblą całe wojsko. Podjechał do dowódcy. Sokolnicki w przelocie rzucił nań okiem i, nie patrząc, wydał rozkaz:

— Jedź waćpan do wsi Falent Wielkich, o pół wiorsty za folwarkiem leżących przy drodze nadarzyńskiej. Idzie w te tropy kompania piesza. Każesz babom

i dzieciom wynieść się ze wsi co tchu. Każda może zabrać ze sobą wszystek żywy dobytek. Chłopów co do jednego zatrzymasz. Żeby mi żaden nie uszedł. Za cztery pacierze spalę wieś ze szczętem. To im powiedz. Wszystko masz wykonać natychmiast.

Odkomenderowana kompania grenadyerów w bermycach z białymi kordonami, o szlifie czerwonej z włóczkową torsadą — ruszyła błotnistą drogą za pałac falencki. Wyszła z bagnisk porośłych olchami i znalazła się u wylotu wioski. Dwadzieścia siedlisk stało tu po obu dwu stronach odwiecznej, grzązkiej drogi, prostą linią biegnącej w kierunku lasów i najbliższej wsi — Laski. We mgle widać było drzewa następnej — Janczewic.

Rafał wypuścił konia. Za chwilę był w środku wsi.

Ludność Falent obudzona ze snu, wyległa z chat. Były to wszystko domostwa drewniane, mazurskie, białe, pod słomianemi strzechy. Od dwu blisko lat posiadając prawo »przenieść się w obręb Księstwa Warszawskiego tam, gdzie jego dobra wola będzie« — wieśniak falencki pozostał przecie na miejscu. Z za płotów, z za węgłów, z ciemnych sionek wyglądał teraz na wojsko maszerujące.

Olbromski donośnym krzykiem począł zwoływać chłopów do siebie. Zbliźali się lękliwie, niechętnie, noga za nogą.

Kiedy ich zawiadomił w formie jak najbardziej stanowczej, ordynarnej i rozstrzygającej, że baby i dzieci mają co ducha uciekać ze wsi, rozległ się straszny popłoch, jęk, płacz, zawodzenie. Jak z pod ziemi wyrosłe, zjawiły się u jego strzemion kudłate, napół odziane w wełniaki brudne wiedźmy, dzieci z kołtuniastemi

czuprynami, wstrętmi, schorzali starcy. Wszystko to skamlało jednym głosem:

— Zmiłuj się!...

Wyrwał pałasz, precz ich nim odegnał i ukazał schylone bagnety kompanii pieszej.

— Która teraz, we dwa pacierze, nie wywiedzie dobytku, nie wypędzi gadziny, to już straci na zawsze. Za cztery pacierze wieś będzie podpalona ze czterech rogów i pójdzie z dymem.

Rzucili się wszyscy do obór, do stajenek, do chlewów. W mgnieniu oka napełniła się ulica. Ryczały krowy, rżały konie, kwiczały świny, gdały kury, gęgały gęsi. Wśród przekleństw i okrutnych wyklinań chłopskich, przeraźliwych, jak sama chłopska tyłowieczna niewola, wśród modlitw, zaklęć, prośb, ciągnięto na powrózkach krowiny-żywicielki, pędzono prosięta z pieczołowitością, jakoby dzieciątka rodzone, zaganiano ze szlochem koguty, kaczęta, gęsi. Rafał patrzył w ten obraz przygasłym okiem. Oto kobiecina z najbliższej chaty, zawiązawszy w płachtę na plecy jedno dziecko płaczące, drugie dźwiga w kołysce. Łka, zanosi się od chłopskiej, od zwierzęcej rozpacz. Pojechał środkiem wsi i obnażonym pałaszem dawał na prawo i na lewo znaki pośpiechu. Widział w pierwszym na prawo siedlisku silnego chłopa, jak w portkach i koszuli, wprost ze suu, z paździorami słomy w kosmatym łbie wyrzucał przeze drzwi graty, statek, ławy, kosy, widły, garnki, zczerniałe od dymu i brudu święte obrazy, jak wyrzwał rozpaczliwie ze ściany zabita głucho gwoździemi ramę pełną przepalonych szybek i niósł ją dokądś w pole, niby najdroższy skarb. Ujrzał w drugiej cha-

cie bosc dziecko, wyrzucone pode drzwi. Chore było na jakieś krosty. Wyrwane z legowiska, drżało, oparłszy się plecami o zmurszały słupek płotu. Przyciskając kolano do kolana, przestępowało z nogi na nogę w fioletowem błocie gnojówki. Zamglony, zadymiony od gorączki wzrok jego skierował się na Rafała. Spalone usta wydawały nieznośny dźwięk. Na progu innej chaty stare babsko z nieustannym jękiem pakowało pierze w rozdartą pierzynę, co chwila chwytając się oburącz za ogłupiałą głowę. Tam chłop biegał w dyrdy za wioskę, wynosząc swe bety, tam wytaczano beczułki z kapustą, wynoszono worki, zdzierano co nowsze poszycia ze strzech i wiązano je w snopki.

Kiedy wypędzono już sprzężaj i gadzinę, wyniesiono z chałup, co tylko się dało, chłopci zaczęli rozgradzać płoty, wyrывать kolki, wrzeciądze, zawiasy...

Kompania piesza przeszła wzdłuż ulicę wioski. Oficer, prowadzący ją, zabronił chłopom ruszać się z miejsca. Każdemu polecono mieć w ręce rydel, łopatę, widły, siekierę.

Uszykowani w szereg czekali. Tłum bab, dzieci, zwierząt i ptactwa eskortował odrębny patrol, wydzielony z kompanii, w kierunku Falent Małych przy drodze ku Piasecznu. Był już dzień jasny, kiedy szlochający gwar oddalać się zaczął i wolno zacichł. Na drodze, w kałużach rozmazanych przez wojska leżały resztki gratów, włóczyły się korowody pierza. Tam i sam wędrowała zdziwiona, osierociała kura. Połamane płotki przed chatami odkryły lechy ugracowane już i zasiane w ogródkach.

Rafał przeleciał jeszcze raz wzdłuż całej wsi, zaj-

rzał to tu, to tam i w skok wrócił do dowódcy. So-kołnicki tymczasem rozmieścił już był swe siły. W le-sie olszowym, który długim smugiem ciągnął się od Falent Małych, zasłaniał dwór i folwark, przedzierał go od Falent Dużych i sięgał aż do wsi Puchały, po-stawił batalion fizyliarów Godebskiego. Część tego ba-talionu przeznaczył do zajęcia Falent Dużych czyli Wielkich, wsi sztorcem wysuniętej w pole. Między wsią Falenty Małe a przecinającą je drogą do Piaseczna, oraz wsią Falenty Duże, na czele folwarku, a jakoby u podstawy opustoszałej wioski, postawił batalion szó-stego pułku pod Sierawskim i batalion Kazimierza Ma-lachowskiego. Batalionowi pierwszej linii, broniącej lasu z pola, od strony Nadarzyna i bliższego Sękocina, przydał dwie haubice i dwa wozy z konnymi kanonie-rami, czyli trzecią sekcję siły artyleryjskiej. Cztery działa Sołtyka umieścił obok drogi raszyńsko-falenckiej, między dwoma ramionami wojsk swoich na suchym wzgórk u a w taki sposób, że miały przed wylotami otwarte pole i dostęp do wsi. Za armatami miał twardy dostęp do grobli i schodzące się w tem miejscu drogi do Piaseczna, do Janczewic i do Nadarzyna.

Dwie armaty mogły być w każdej chwili przy-lączone do któregośkolwiek z batalionów. Wozy dostat-kowe stały w pobliżu, o dwieście kilkadziesiąt kroków, pod zasłoną drzew. Bliżej, o jakie sto kroków, były na drodze wozy prochowe, a o trzydzieści kroków — za-budowania folwarku.

— Wypędzeni? — zapytał generał z daleka jadą-cego ułana.

— Według rozkazu.

Sokolnicki na czele kilku plutonów udał się sam do wioski. Skoro tylko piechota weszła w jej ulicę, otrzymała rozkaz złożenia broni w kozły i zabrania się do roboty. Pod kierunkiem oficerów żołnierze, a pod kierunkiem żołnierzy chłopci zdzierali co tchu słomiane strzechy i kłóc obdartą wynosili zdala za wioskę. Tam ją układali rzędem na polu dla przysypania ziemią i utworzenia przedpiersia. Kiedy krokwie wszystkich chat były ze słomy огоłocone, kazano chłopom nosić na pułapy nawóz przygotowany na rolę, obficie zlewać go wodą i krowieńcem z gnojówek. Po upływie godziny usilnej pracy wszystkie polepy i powały grubo okryte zostały grząskim nawozem. Wówczas wnoszono tam wyrwane drzwi, szafy, ławy, beczki i tworzone z nich schrony i kryjówki dla strzelców. Jednocześnie rozgrodzono wszystkie płoty, tworzące przede wsią zwarte opłotki, i wycięto drzewa, które mogłyby nieprzyjacielowi służyć za osłonę w polu. Na południowym krańcu wsi, a jeszcze w jej obrębie chłopci pod bagnem kopali co tchu dwa szerokie a głębokie doły na całą rozległość drogi.

Wysipaną z nich gliną okrywano ułożoną słomę i tworzone naprędce przykopę ziemną. W owe doły wprowadzono po osie drabiniaste wozy, naładowane kamieniami, graciwem, gnojem i dobrze zasypane ziemią. Ścięte grube sokory z za wioski, zbite na krzyż klocami, wkopywano w ziemię w miejsca próżne. Przestrzeń między nimi gorliwie zapełniano faszyną, ziemią, gnojem, opłotkami, wyrwanymi z przed chat wewnątrz wioski, żeby przejść i pośpiesznego ruchu nie tamowały.

W przejściach między jedną chatą a drugą, pomiędzy gęsto zabudowanemi stodołami, sypano również fosy, wybierano rowy, stawiano za nimi podwójne palisady, wkopywano zasieki z przyciesi i belek. Niektóre chałupy zostały rozebrane zupełnie z tego względu, że stały nieco na osobności i nie mogły być włączone do umocnionego obszaru.

Kiedy koniec południowy wsi z pola był już nieco oszańcowany, Sokolnicki użył dziesięciu kompanii żołnierskich do zniszczenia drogi w kierunku Nadarzyna. Zrównano precz w polach rowy, przykopy, płoty, ścięto wszystkie drzewa. Pozostałe ośm kompanii zapędzone zostały do innej roboty. Ponieważ od zatkania wejść, a osobliwie południowego, do wsi zostało jeszcze nieco dylów, belek i wyrwanych wrotni, kazano je opierać o ściany wysuniętych chałup i okładać z zewnątrz bardzo grubo mokrym nawozem. Rozbierano wciąż jeszcze niektóre stodoły, umacniano miejsca co słabsze, podpierano z zewnątrz zasieki i sypano, sypano ziemię bez końca.

Batalion pułku szóstego pod komendą legionisty Sierawskiego, stojący najbliżej Małych Falent i grobli, okryty był lasem najszczelniej, to też ten batalion pracował najciężej około umocnienia wioski.

Było już popołudnie, kiedy przygotowania do odporu zostały jako tako uskutecznione. Żołnierze od dźwigania ziemi, nawozu na chłopskich noszach, belek i ciężarów byli zbłoceni, zgrzani, brudni, a nade wszystko zgłodnieli. Dano sygnał na spoczynek. Pozwolono zjeść posiłek. Właśnie wiara siadła na ziemi i zabrała się do mantelzaków i manierek, kiedy polem

po głęboko miękkich zagonach przypadł w galopie oficer z jazdy Roźnieckiego. Szybki zdał raport dowódcy i co koń skoczy pognął na Puchały ku Michałowicom. Sokolnicki spokojnie posilał się kromką chleba i kawałkiem zimnego mięsiwa. Poszukał Olbromskiego i rzekł do niego:

— Jedź waćpan brzegiem olszyny i bajorów aż ku Puchałom. Będzie tam droga, prowadząca na cmentarz. Obejdź cmentarz z tamtej strony i wysuń się ile tylko można najdalej w szczere pola, na owe nieznaczące wzgórki naprost Raszyna. Patrz stamtąd pilnie na wsze strony, a osobliwie w kierunku na Laski, na Janczewice, Lesznówolę. Skoro coś ciekawego zobaczysz, leć ku mnie z raportem.

Rafał puścił konia we wskazanym kierunku i wkrótce był za cmentarzem. Grunt tam był lżejszy, przypiaskowy. Rola nie lgnęła już, lecz nawet zlekka pyliła. Koń szedł po niej ostrą ryścą, a w jeźdźcu biła, jak śpiżowy, przepiętny dzwon na trwogę, rozkosz życia.

Siły w nim wszystkie wzmogły się i podniosły. Czuł w sobie ową rozkosz szczególną, podnieconą aż do najwyższej kresy, rozkosz niebezpieczeństwa i zniszczenia, jak na widok pożaru w ciemną noc, który obejmie drewnianą wieś, słomiane, zwarte jej strzechy i oszałałych ludzi. Niby to jest żal, strach, boleść, a w rzeczy radość niesłychana. Jęk ludzki podaje duszy skrzydła, krzyk rozpaczy podjudza ją, jak wicher ptaka, a widok wysokich, krwistych kłębow dymu szelmowsko ją zaspokaja.

Pod karczmą, zwaną Wygoda, na drodze do Janczewic, tak samo, jak i dnia poprzedzającego, stała

konnica Roźnieckiego. Część jej można było jeszcze dostrzedz pod lasem Nadarzyńskim, za Sękocinem. Nie widząc żadnego w tej jeździe ruchu i wyczekawszy sporą chwilę, Rafał posunął się dalej, żeby z płaskiego wzniesienia szerzej okiem sięgnąć. W tej samej chwili konnica polska zaczęła wolno, wolno rozsuwać się szwadronami i cofać w kierunku Sokołowa, Komorowa, Pęcic. Dalekie barwy grały w cudnem słońcu kwietniowym, w gęstym oparze wysychających ról. Raptem dymiące się słupy drgnęły, jakoby wpół nożem przecięte. Ogromny, błękitny kłęb wypadł z nad szwadronów uchodzących i wraz po nim cudnodźwięczny huk przeleciał nad okolicą, niby drżący okrzyk. Rafał roześmiał się wesoło. Zawołał prawie z rozkoszą:

— Aha! Nareszcie!

Drugi huk, trzeci. Potem dwa prawie jednocześnie.

— No! No! — wyzywał je kawaler. — Bij, bij!

Jak na zawołanie runęły: raz, dwa, trzy, cztery! Chwila ciszy — i znowu, a coraz częściej. Słupy błękitnego dymu i cudnie okrągłe, albo wydłużone jego obręcze wzniosły się ociężale w stronę Lesznowoli. Linie jazdy polskiej łamały się szybko, łączyły ze sobą i, wciąż ustępując, szły miarowo w kierunku Pęcic. Olbromski ujrzał Wygodę opuszczoną, w płaskich polach. Wyteżył w tamtą stronę wzrok i w dalekich oparach ujrzał szarawe, ruchome chmury. Zupełnie jakby bardzo daleki las, porznięty w poręby, zbliżał się polami.

— Idą... — wyszeptał.

Serce w nim zadygotało na widok nieprzejrzaných mas. Brzmienie słów bez sensu i związku pły-

wało koło uszu. Oczy nie mogły się dość napatrzeć. Nogi zdrętwiały tak dalece, że nie mógł trącić konia ostrogą.

Pozostał na tem polu dopóty, aż konnica Roźnieckiego oddaliła się i stała w oczach także wędrownym, szarym lasem. Strzały armatnie ucichły. Tylko owe linie stawały się coraz bardziej jawnymi. Widział już dokładnie płonące linią migotliwą rzędy bagnetów, ruchy nóg, barwy... Jeźdźcy wysunęli się naprzód z pomiędzy kolumn. Zrazu można było rozpoznać jedynie maść koni, wkrótce ukazały się barwy huzarów pałatyńskich z kompaniami pandurów, z dwoma skrzydłami kajzer-huzarów pod wodzą generała Schauroth'a, a wreszcie brygadę generała Speth'a. Wszystka jazda ostrym cwałem sunęła ku Wygodzie.

Rafał spał »Bratka« ostrogami i co koń skoczy poleciał prosto ku olszynie. Zdumionemi oczyma szukał batalionów. Nie widział ich nigdzie. Dopiero przed samemi zaroślami ujrzał wyprostowane linie pośród drzew... W Falentach również nie było nikogo. Całe miejsce stało w pustce i ciszy. Ani jednego człowieka... Dziwnie bolesny żal tknął jeźdźca... Koń jego leciał po strатовanej, dziurawej od kopyt roli, do kolan zapadając w glinę. Na drodze błotnistej między drzewami w pobliżu pałacu i rezerwy Sierawskiego stał na koniu Sokolnicki. Trzymał przy oczach perspektywę polową. Nie zwrócił na Olbromskiego uwagi, gdy ten stanął przed nim, z mistrzostwem i potężną siłą osadziwszy konia. Koń ów chwytał dech ze świstem, a oficer był w poście. Czuł, że rana pod pachą i na boku krwawi, że krew idzie w bandaż obficie. Był tak szczęśliwy...

Obok odprzodkowanych armat stali kanonierowie i pomocnicy, twarzami zwrócenii do swych dział. Pierwsi dwaj pomocnicy równo z wylotem, drudzy dwaj równo z osią, kanonierowie naprost grona, trzecia para pomocników równo z osią przodkary, czwarta para o krok dalej w stronę dyszla i piąta o krok dalej. Jedenasty pomocnik stał z prawej strony przy samym końcu dyszla. Nieruchome konie od armat i wozów, zwrócone w kierunku Raszyna, strzygły uszami. Zapalone powrozy lontów tliły się w ręku kanonierów żywymi, mocnymi, kończystymi stożkami.

— Widziałeś waćpan naszą konnaicę? — zapytał Sokolnicki głosem grubym, beczelnym w tej ciszy i oczekiwaniu.

— Widziałem, generale.

— W którym miejscu?

— Około karczmy, w miejscu rozstania się dróg, później w polu, gdy uchodziła na Sokołów...

— Wszystka odstąpiła?

— Tak jest, panie generale.

Sokolnicki przesunął lunetę w innym kierunku. Po chwili przytrzymał ją silniej, wreszcie odjął od oczu i złożył. Twarz jego była zamazana, jakby przemarzła. Cmoknął ustami... Oczy leniwie wlokły się po dziwacznej karykaturze wioski Falent, po rowach, zasiękach, wilczych dołach, naprędce tu i ówdzie w ziemi wydartych i zarzuconych chróstem... Przeszły na zaczajonych w lasku żołnierzy ósmego pułku, pierwszy raz do boju wiedzionych, szły po linii starych, pruskich karabinów z rozkołatanemi skałkami...

Jak grom, runął w ciszę strzał armatni. Za pierw-

szym huknęło ich z dziesięć odrazu. Drzewa zatrzęsły się całymi pniami aż do korzeni, zadygotały ich nagie gałęzie i delikatne baze, jakoby piastki wylękłego dziecka. Z Raszyna wybuchła naraz kanonada wszystkich dwunastu dział saskich Dyherrn'a, szwadronu artylerii Antoniego Ostrowskiego i kompanii Włodzimierza Potockiego.

Sokolnicki skinął brwiami na Rafała i obadwaj ruszyli środkiem drogi ku Falentom. W linii międzydrzewnej, idącej przez groblę wprost na Raszyn, widzieli tyralierów polskich, czyhających na samem wybrzeżu bagna. Dym z Raszyna wywalał się już nad jasne wody stawu i ciężkiem cielskiem wpelzał między trzciny.

— Spróbuję teraz leżeć wprost przez błoto, na Raszyn z pola... Nie znają drogi... — mówił Sokolnicki, otrzepując szpicrutą bryzgi błota ze spodni i ciżmów. — Przekonają się, że nie przeleżą, bo to głęboko, a wtedy runą na nas w Falenty. Cóż ty w tej zabawie myślisz robić, mości ułanie? Skończyła się już twoja rola...

Pomimo straszliwego huk, Rafał słyszał te wesoło drwiące słowa. Nogi pod nim drżały, jak wczoraj, kiedy to osłabł w lesie nadarzyńskim. Serce waliło z niepowstrzymaną siłą... Tchu nie mógł złapać... Błysnęły białe zęby generała.

— Boisz się, kiedy strzelają nie do ciebie. Nie lubisz tego? Cóż to będzie, jeśli zapolują na twoje łydy?

— Nie boję się, generale! — krzyknął dumnie i hardo.

— A widzę.

Trzaskający łośkot karabinowy wyrывał się z pomiędzy grzmotu armat; huczał coraz bliżej i bliżej, wzmagał się i potężniał tuż w dymie. Sokolnicki dzwignął się na strzemionach, przeciągnął ramiona...

W tej samej chwili na zakręcie drogi ukazał się adjutant i, salutując w biegu, ukazywał pole przed wioską.

Generał, nie czekając na jego słowo, polecił:

— Plutonami!

Zjechali obaj z drogi wolno, noga za nogą zbliżyli się do batalionu Godebskiego. Wnet usłyszeli komendę:

— Dwoma szeregami!

— Pluton!

— Tuj!

— Cel!

— Pal!

Runęły pociski batalionowe.

Za chwilę dokoła jeźdźców warknęły kule austriackie zdaleka idące, ścinając gałęzie olch i gwiżdżąc przeciągle po wodach. Sokolnicki wjechał w szeregi fizylierów i wesoło, głośno zaczął sam komenderować, trzaskając w powietrzu szpicrutą.

— Nabij!

— Do ładunku!

— Odgryź ładunek!

— W rurę!

— Za stempel!

— Przybij!

— Stempel na miejsce!

-- Plutonami!

— Cel! Pal!

Wrzynał się swym koniem coraz głębiej między szeregi rogatych czapek aż ku przodowi batalionu i po-brzeżu lasku. Rafał, zostawszy w tyle, widział go owia-nego błękitnym dymem i, pomimo strzałów huczących, słyszał wciąż skróconą komendę:

— Nabij!

— Dwa!

— Trzy!

— Cztery!

— Cel! Pal!

Rafał był w stanie niesłychanego podniecenia, ale już nie drżał tak całym ciałem, jak przed chwilą. Mor-dowała go tylko jedna myśl: czemu nie ma w ręku karabina? Mieć karabin! Brać go do nogi, nabijać, wznosić, na oko i znowu, znowu, bez końca. Stać w szeregu! Słyszeć rozkaz tego jaśnie wielmożnego głosu, jak gdyby rozkaz rodzzonego ojca: dwa, trzy, cztery!...

Wtem jedno z drzew w lasku olszowym zaskrzy-piało, jakby je niewidzialna siła zacięła do rdzenia u ziemi toporem. W tej samej chwili, w rzadkie bagno palnął ciężar kuli działowej, rozdarł je i wyrzucił w górę dwiema bryzgającymi skibami, jakoby dwie potworne wargi. Tuż w pobliżu Rafała przeleciał potężny ziew powietrza i pocisk z jękiem grzmotnął w groblę, wy-walając w niej dziurę.

Koń ułana trwożnie zadreptał na miejscu, stulił uszy i zatargał łbem.

W dymie, daleko, w polach, przez które nieda-wno leciał jego koń, Rafał ujrzał naprost siebie zio-

nące ognie i wybuchy kłębow dymu. Ognie poziome i dymy, ognie i dymy. Po każdym ogniu — słyszał huk tłukący tępo w ziemię, jakby w nią waliła olbrzymia stępa.

Chaos otoczył mu głowę. Huk ze wszech stron...

Zbliża się, zbliża. Widziało się, że za otaczającym go laskiem ziemia raz wraz pęka i że z jej głębokiej calizny wywala się ogień i dym.

Serce uspokoiło się i miejsce trwogi zajęło zdumienie. Ciekawość: co też z tego może wyniknąć? co się jeszcze stać może? — zagłuszyła wszystko. Naokół waliły się w bagno olchy ścięte kulami.

Niewidzialne siły ciskały konary, gałęzie, odszczypty, a nawet całe drzewa. W szeregach ciągle rozlega się jęk tak straszny, jakby kogoś zarzynano nożem. Dym zasłaniał linie piechoty. Rafał, chcąc wszystko lepiej widzieć, tknął konia ostrogą i podjechał do armat.

Kapitan komendant leniwym krokiem przechadzał się od dział do działu, które były ustawione o ośmnaście kroków jedno od drugiego. Naczelnicy sekcji stali przy przodkarach między jedną armatą a drugą.

Oficer od wozów i ogniomistrze czekali na skinienie kapitana komendanta. W oddali stały osiodłane konie kanonierów i naczelników sekcyjnych.

Z dymu wyjechał niespodziewanie Sokolnicki. Wyszukał oczyma Sołtyka i dał mu rozkaz:

— Ognia!

Sołtyk grzmiącym głosem zawołał na swoich:

— Baczość!

Każdy drugi pomocnik lewy uderzył lont o lewe

ramię dla strząśnięcia ostrza popiołu, przeniósł go w wyciągniętej ręce o cztery cale przy końcu śladu prochowego...

— Pal!

Dotknęli lontami podsypki — i cofnęli się w swoje luki. Cztery działa wstrząsły się i skoczyły w tył. Dym osłonił ich chmurą. Rafał słyszał tylko wokoło siebie komendy:

— Nabij!

— Za wycior!

— Przytkaj zapał!

— Po nabój!

I znowu:

— Wytrzyj!

— Za stempel!

I znowu:

— Przybij!

— Pocisk w działo!

Młody jakiś oficer z twarzą surową i natchnioną, z okiem zimnem, schylał się nad dioptrą.

— Na cel!

— Pal!

Migały w dymie wyciory, głowy kanonierów w rogatych czapkach, obsługujących działa, złote hafty i akselbanty oficerów w zielonych mundurach, drągi, uzbrojenia — i ognie. W to miejsce zaraz skierowały się kule austriackie dwunastu armat przedniej straży generała Mohra. Od huku (gdyż i dwa granatniki polskie przy batalionie Godebskiego bić zaczęły) nastał w uszach jednostajny dźwięk — jakby człowiek latał w rozkołysanym dzwonie. Bałwany dymu gęstniały wciąż, stały

się z niebieskich bure, pełne sadzy prochowej, która dusiła i wyżerała oczy. Znieruchomiały jeźdźcie nie poruszał ani ręką, ani nogą. Słyszał wokoło wołania i krzyki straszne. Nic jednak, nic nie mogło zepchnąć go z miejsca.

Znagła jakiś żołnierz w bermycy z białymi kordonami znalazł się u jego strzemienia i wzniosł na niego oczy przeraźliwe, tak dziko wywrócone, że Rafał ocknął się, jak ze snu. Tamten pchnął go kołbą karabinu i weгнаł między konie artyleryi. Jeden z artylerzystów w rozpiętym mundurze, z pod którego ukazywała się skrwawiona aksamitna kamizelka, wrzasnął na niego, inny podniósł szablę. Rafał zdarł swego konia i stępa pojechał na prawo, ale tuż o kilka kroków koń jego potknął się na leżących ludziach.

Olbromski schylił się, żeby przez mrok dymu zobaczyć, co to za jedni, gdy wtem koń jego skoczył, cisnął się całym korpusem jakby przerażony okropnością widoku. Chrapnął, jak ongi zdychająca »Baśka«, wspiął się dęba i z wysoka runął na przednie kolana. Rafał wyrwał nogi ze strzemion i zlaźł na ziemię. Koń jego drżał cały. Kłęby jego kurczyły się, skóra wytężała na nich. Pyskiem chwycił ziemię, a jęzorem lizał naokół przestwór. Wtedy dopiero Rafał zobaczył, że ze zwierzęcia wypływają wnętrzności i krew się wali. Odszedł stamtąd i, nie wiedząc zgoła, w jakim posuwa się kierunku, brnął przed siebie. Za chwilę znalazł się w szeregach wołyżerów. Uderzyły jego oczy znane mu barwy: żółte kołnierze, żółto-zielone szlify i zielone piórka na czapkach.

Stali w bagnie prawie po kolana. Nabijali bez ko-

menidy. Strzelali. Rafał potykał się na kępach, pniakach, gałęziach, wlaził na ciała zabitych i, gnany siłą ciekawości, przeciskał się naprzód. Twarzy niczyjej nie widział. Tak doszedł do plutonów, które były się prawie na oko. Działo się to o kilkadziesiąt kroków przed nim. Dym nie pozwalał nic widzieć. Przy każdym cięższym drzewie czał się człowiek, nabijał, strzelał, nabijał, strzelał.

Rafał chwycił karabin, leżący na ziemi, i stał w szeregu.

— Równaj się! — krzyczał wciąż młody oficerek, usiłując sformować tu kolumnę i ruszyć z nią naprzód.

Starania jego szły na marne. Ludzie walili się co chwila. Kule rznąły, jak grad. Z pomiędzy drzew wynurzyli się żołnierze o twarzach bladych, z wystraszonemi oczyma. Były to bataliony Wukasowicza pod dowództwem pułkownika barona Pabelkoveny. Zwartym szeregiem, ile było można wśród drzew, walili naprzód. Rafał w osłupieniu patrzył na ich wysokie czapy i skrzyżowane na piersiach białe pasy.

— Toż u pioruna oni... — tyle zdołał pomyśleć.

Na widok wrogów żołnierze batalionu Godebskiego chwycili broń i rzucili się naprzód. Rafał ogarnięty szaleństwem szedł z nimi.

Napadli na piechotę Wukasowicza z chłopską furją. Kłuli bez sztuki wojennej, po chamsku, bagnietem, bili kolbami...

Rafał, nie umiejący robić bronią, chwycił starą pruską landarę za koniec lufy i zaczął pracować co siły w ramionach. Za nim to samo uczynili inni. Widząc koło siebie kupę, jęł nie komenderować, lecz przewo-

dzić, jako szlachcic chłopom na pożarze: — A bij-że!
A dyć to Niemcy! A nie dajta się! — Wbijali się w szeregi, najeżone skrwawionymi bagnietami, rzucali się na lufy, ociekające krwią.

Krótko trwało ich męstwo. Za chwilę musieli ustąpić. Żołnierz austriacki szedł na nich z wyniosłości w nizinę, szedł kolumną, liczącą trzy tysiące chłopów, zwartą i grubą. Były to bataliony Weidenfelda, batalion Dawidowicza i pułk siedmiogrodzko-wołoski.

Woltyżerowie uchodzili, brnąc coraz głębiej w bajora, odbijając się, odstrzeliwując, trupami zaściełając pole. Austriacy wbijali się w lasek olszowy potężną masą i zagarniali cały. Fizyliery polskie szły w tył coraz bezładniej. Panika padała na nich zwolna, jak rzęsy a stale wzmagający się deszcz. Darmo szablami oficerowie pędzili do boju. Nadaremnie z gołą szpadą w ręce parł ich swym koniem Godebski...

Rafał znalazł się w truchlejącym tłoku, zbitym w masę, gniotącym człek człeka. W pas brnęli w rudawicy ku grobli stawu, swarzając się już między sobą. Kiedy wydostał się na twardsze miejsce i przetaił oczy, ujrzał przed sobą szlak ku grobli, na którym stał niedawno z generałem. Teraz walił się nań zdemoralizowany batalion. Wprędce napełnili te miejsca, chargocząc, gadając, w kupę zbici. Armaty huczały przed nimi. Kule bluzgały po wodach stawu i kosiły żółte trzciny.

Wtem od strony Raszyna pędem nadciągnął hufiec jezdny. Przewodził mu książę Józef.

Za nim jechał Pelletier i kilkunastu adjutantów Rafał poznał ich wszystkich oczyma, nie myśląc wcale

o tem, kogo widzi. Baczył tylko na to, żeby nie być zepchniętym do stawu.

— Anizetka, Szpilka... — myślał, przypatrując się im przez małą chwilę.

Księżę mierzył rozgromiony batalion ognistemi oczyma. Żołnierze, widząc go, poczęli się opamiętywać, jako tako formować i zwracać ku olszynie. Wódz zsiadł z konia i, nie wyjmując z ust krótkiej fajeczki *brûle-gueule*, stanął pośród żołnierzy. Od pierwszego z brzegu wziął z rąk karabin i zawołał:

— Za mną, bracia!

Żołnierze wydarli się masą z gęstego błota i ruszyli, jak jeden. Wpadli na piechurów austriackich z furją, z wściekłością, z szaleństwem, tak nagle, jakby wyrośli z ziemi, czy wypadli z zasadzki. Księżę szedł w szeregu, walcząc jak prosty żołnierz. Nigdy furja bojowa nie była wścieklejsza. Pierwsze szeregi austriackie wgniotły się w następujące i wdeptywały je w bagno. Nie było miejsca na bitwę. Kto był na placu, musiał zginąć. Sami oficerowie austriaccy, żeby zyskać miejsce, musieli wydać tylnym szeregom kolumny rozkaz odstąpienia. W kilka chwil, lasek olszowy został zdobyty aż do wioski. Tam także wrzała straszna walka. Austriacy wdzierali się na oszańcowane chałupy, zdobywali każdą piędź ziemi, każdy rów, zasiek. Z góry, z pułapów, z za desek, z za węglów, z dziur, szczelin razili ich nieustanny grad kul. Ale już z trzech stron, od Puchał, z pola i od strony Jaworowa wioska była osaczona. Cały drugi pułk piechoty szedł na nią głębokim szykiem.

Rwano już deski rękoma, rujnowano zasięki, wy-

ciągano dyle. Księżę Józef wezwał przez adjutanta Krasieńskiego pierwszy batalion pierwszego pułku, który pospołu z artylerją strzelał bez przerwy, i dwunastu kompaniami natarł na oblegających wioskę. Szedł w pierwszym szeregu porucznik Skrzynecki. W ciągu kilku minut, oblegający zostali wypędzeni bagnetem i wyrzuceni w pole. Zarazem trzy lekkie armaty, przyprowadzone do Falent z Raszyna, wzmożyły ogień artyleryjski. Fizyliery, zamknięte w wiosce, którymi kierował sam Sokolnicki, pozdrowiły księcia okrzykami chwały.

On siadł na koń i, otoczony swym sztabem, przejeżdżał wśród szeregów. Teraz rezerwa wysunęła się naprzód, dziewięć dział stanęło razem i poczęły z pod dworu w Falentach bić nieszczędnie.

Księżę cofnął się do głównego swego stanowiska w Raszynie. Gdy zwolna jechał przez groblę, kule świślały koło niego, jak grad. Sokolnicki polecił umocnić pod ogniem nieprzyjacielskim zburzone oszańcowanie Falent i formował znowu swoje trzy bataliony, żeby, w myśl tej samej co rano zasady, szczeni żołnierza. Ale kiedy to spełnił i kiedy infanterya austryacka cofnęła się w pola sypnął się na jego piechotę i artyleryę grad kul sześciofuntowych.

To nadchodzący korpus armii austryackiej, a mianowicie pierwsza jego brygada pod generałem von Civalard i Pflacher wzmocniła przednie straże Mohra. Walily teraz dwadzieścia i cztery armaty, sześć nowych batalionów przyłączyło swój ogień do dawnych pięciu. Odpowiadało im dziewięć tylko armat. Rafał był w ich pobliżu. Słyszał hurgot taczających się, spracowanych

dział. Cała bateria wiła się teraz w kurczach śmiertelnej pracy, miotała, jak skorpion w środku ognia. Ułan drżał nie jak na początku bitwy, ale jak wówczas, gdy szukał zabitej Heleny. Wrzaski rannych, jęki, wołania o pomoc, płacz i skomlenie zabiły jego duszę. Ściskając sobie głowę, słaniał się z miejsca na miejsce. Ktoś z artylerzystów kazał mu nosić wiadrem wodę, więc ją przydźwigał kilkakroć. Kiedy po raz trzeci biegł do zalewiska w olszynie, tuż o kilkanaście kroków od niego wyleciał w powietrze kieszon prochowy. Słup ognia porwał w górę i roztrzaskał o ziemię zielone złomy, zabite konie, rozrzucił koła, postronki, chomąta. W ogniu ludzie poparzeni jęczeli. Jeszcze Olbromski nie zdążył nabrać wody w wiadro, kiedy wybuchnął drugi wóz. Za chwilę trzeci... Jakiś kanonier w dymie krzychał:

— Granatnik zбиты na ziemię!

Straszny trzask granatów rozlegał się w tem miejscu. Wyrwana ziemia, lecąc w wybuchu powietrza, grzmotnęła Rafała w plecy i rzuciła w błoto stratowanej drogi.

W głuchem półomdleniu leżał, wciągając w płuca wolniejsze od dymu przy samej ziemi powietrze.

Coraz bliższe wybuchy dymu z kilku i kilkunastu naraz strzałów odtrąciły bataliony polskie. I oto zagnała ucichły. Lecz w tejże samej chwili wyszły z kłębow burzej sadzy nieprzejrzone szeregi piechoty.

Lasek od strony Puchał znowu dostał się w ich posiadanie. W pobliżu drogi wrzała walka na bagnety.

Sokolnicki, w ciągu całej bitwy kryjący żołnierza za lichemi osłonami, i teraz połowę swej siły wtłoczył

do zabarykadowanej wioski. Rezerwę krył między nią a dworem, a batalion Godebskiego w lesie. Artylerję trzymał wciąż na drodze i całą baczność zwrócił na obronę i bezpieczne posiadanie odwrotu przez groblę. Cały teraz nacisk artylerji austriackiej wywarł się na wioskę. Kiedy piechota Mohra powtórnie wdzieraa się do głębi lasku, targając bagnietami piechurów Godebskiego, armaty austriackie poza plecami tej piechoty zwrócone zostały paszczami na wschód. prostopadle do Wielkich Falent i poczęły bić w resztki siedlisk wieśniaczych.

Rafał trafił tam właśnie pospołu z kolumnami, zostającemi pod wodzą Sierawskiego.

Gruchnęła w tłumie wieść, że Godebski usunięty został z pola z raną śmiertelną i że go cnotliwy Fiszer zastąpił.

Nie wiedzieć kiedy, wraz z tłumem znalazł się ułan między stodołami. Odetchnął. Nie było tu takiej ulewy pocisków. Do czasu... Na powalach chat, w stodołach, za wyrwanemi wrótniami siedzieli, stali, klęczeli i leżeli żołnierze, odpierając strzałami szturm infanterji austriackiej, uderzającej na wioskę z południa. Jeszcze starczyło na pewien czas ładunków. Każdy żołnierz wypalił ich po sześćdziesiąt. Gdy kule armatnie rozwaliły którą stodołę, powyciągały z węglów jej belki, wywały przyciesi, wyrwały z ziemi słupy, żołnierze przenosili się kupą do drugiej, do trzeciej, włączili na wierzch obdartych chat i bili znowu. Sokolnicki formował sam partye. Był wciąż na środku drogi wioskowej i dyrygował obroną. Widział stamtąd przez tylne, północne, odsłonięte przejście swą świeżo złożoną rezerwę, do

czego znowu powrócił, i artylerję. Pewna partya żołnierzy nosiła wciąż wodę w konwiach, wiadrach, luso-fach i zalewała wzniecone pożary. To tu, to tam buchał ogień. Gdy artylerja, wystawiona na ogień, cofać się zaczęła za pałac, ku grobli, cała siła dwudziestu czterech armat napastniczych buchnęła w Falenty.

Piekielny zaczął się ogień.

Belki, krokwie, łaty trzeszczały i łamały się, dały na szczapy i wióry. Ściany wyginały się i waliły na ziemię, jak długie. Od pożaru ratował mokry gnój i ziemia... Tworzyła się kupa ruin drewnianych, zlanych krowieńcem, stos spiętrzony wywróconych domostw. Za nim stawali wnet żołnierze i razili jeszcze wroga, stojącego w polu i sunącego wciąż naprzód z południa i wschodu.

Rafał podjął karabin zabitego grenadyera, przypasał jego ładownicę i, zachyliwszy się pod sterzącą ścianę, zaczął nabijać i walić. Dzika żądza w nim biła, jak ten nabój w rozpalonej lufie. Zapomniał, gdzie jest i co się z nim przytrafia. Chwilami mu się zdało, że bije w kufę wilka w śnieżnym parowie i ma wszcepione w piersi jego pazury.

Słyszał głos Sokolnickiego zachrypty:

— Podsypuj, bracie, podsypuj! Ładunków nie gub! Mocno przybij! Nie żałuj! A zasie, pludry! Tuś to przywędrował, niemiecki ryju! Twoja tu ziemia, złodzieju? Bij, braciszku, jeden z drugim, nie żałuj!

To tu, to tam, wzmagał się wrzask niebezpieczeństwa, okrzyk rozpacz. Zaczęły padać w wioskę, a raczej w zdruzgotane jej gnaty, pionące bomby moździerzowe. Bomby te w chwili pęknięcia na ziemi, albo

w powietrzu, miotały ogień we wszystkich kierunkach. Były to wielkie, wydrążone kule z żelaza, napełnione prochem. Miały w sobie otwory, zabite czopami, długimi blisko na ćwierć łokcia, w których mieściły się tuleje, napełnione materyałami palnemi.

Ogień obejmował stosy drzewa, mundury żywych i zabitych. Zalewano go, duszono nawozem, ale bomby, zaprawne sztucznymi ogniami, szły coraz gęściej, jakoby stada ognistych ptaków. Zapalała się i gasła wioska Falenty w stu naraz miejscach. Szerokie żagle płomienia widać było na przodzie i w tyle ponad głowami i u stóp. Kule ośmioletowe łamały resztki rumowia.

Sokolnicki wyjął okrągły zegarek, rozejrzał się wokoło. Wymarł pięściami oczy, pełne piachu, dymu, sadzy. Odsapnął z głębi piersi. Strzepnął palcami. Była blisko godzina piąta po południu. Najbliższemu z oficerów, rzekł z cicha, nad uchem:

— Batalion w tył... prawem skrzydłem... Marsz...

Woltyżerowie wynurzyli się z ognia i dymów. Byli czarni, okopceni, z tłącymi się mundurami. Przez północne wyjście z wioski tłoczyli się na drogę pod pałacem. Z trudem formowali oficerowie sekcyje i pancernowe rotę z boku armat.

Sołtyk, otrzymawszy rozkaz, wołał w dymie ochrypłym głosem:

— Bacność! Ognia w odwodzie! Półbateryami! Marsz!

Wozy dostatkowe wyszły na groblę pod osłoną dwu batalionów, zbitych w kupę i wypartych z olszowego lasu. Bataliony te wciąż szarpały się z nieprzy-

jacielem. Pierwsza półbateria, złożona z trzech armat i granatnika, wyszła z dymnej jaskini i przez zawady rannych, przez kupy zabitych, cofała się w tył, aż do linii wozów. Tam stanąwszy, przysposobiła się do dawania ognia. Druga półbateria, złożona z trzech dział, (gdy dwa zdemontowane i rozbite zostały na placu), z pośpiechem dążyła do pierwszej.

Huknęły jeszcze strzały... Armaty kolejno wchodziły na groblę. Za sprzchy, za osie i grona ciągnęli je żołnierze piechoty pospołu z rannymi końmi. Większość kanonierów czynnych padła pod kulami silnego nieprzyjaciela. Czerwone akselbanty zarumieniły drogę falencką. Zielone kurtki zasłały ją, jako wiosenna mura. Z koni ledwie połowa została.

Sokolnicki, uwiadomiony, że i Fiszer z ranami wyniesiony został za groblę, sformował zdziesiątkowany Godebskiego batalion. Stanął w szeregu i, niezlomną piersią zatarasowawszy dostęp, osłaniał odwrót armat. Żołnierze jego szli nie tylko przez groblę, ale i obok niej, wskroś bagien, po pas zanurzeni. Nieprzyjaciel walił się za nimi krok w krok, szedł w ich tropy tem samem bajorem. Tu, wśród pniaków, suchych chróstów, w zeszłorocznych kępach trzciny, zaczął się bój na śmierć i na życie. Ci, którzy szli groblą, wspierali walczących. Cały zastęp był skrwawiony, mokry i rudy od błota.

Rafał z innymi osłaniał armaty. Ziemia waliła się ogromnemi skibami z rozgniecionej grobli. Drzewa wjeżdżały w bagno Rawki, gdy koła armat wytłoczyły z grobli ich korzenie. Trzeba było co chwila wywlekać te koła z rozpadlin gruntu i z jam nagle powsta-

tych, pchać i dźwigać śpiże co tchu w piersi, a siły w ramionach.

Po wielkim trudzie dosięgli nareszcie twardego wybrzeża przed kuźnią raszyńską.

Stamtąd same już konie pociągnęły dalej działa. Spychając piechurów austriackich w bagno, łamiąc się z nimi oko za oko, ząb za ząb wychodziła na suszę piechota i dążyła pod kościółek.

Nieprzyjaciel przedzierał się tą samą drogą. Ale teraz wszystkie siły polskie miał przeciwko sobie. Dwanaście dział baterii saskiej, armaty Włodzimierza Potockiego i trzynasta kompania artylerii pieszej Ostrowskiego, stały na szanclu za kościołem, na polu od strony Michałowic i nad stawem od strony Jaworowa. Wszystkie paszczami zwróciły się na groblę. Żołnierz austriacki musiał przebyć wązki jej przesmyk. To też najcięższa tutaj wywiązała się walka.

Armatom polskim bardzo niewiele szkodziły baterie Mohra, Civalarda i innych, ustawione w nizinie falenckiej, za groblą. Tymczasem każdy pocisk polski, rzucony wzdłuż grobli z raszyńskiego wzgórka, wyrывał istne jaskinie w zwartych szeregach idącej piechoty.

Kościółek, otoczony czworobokiem muru, i domostwa z cegły przy placu kościelnym służyły za doskonałe schrony dla piechoty polskiej. Na grobli zwolna wyrastały wzgórza rzuconych śmiertelnym pokotem polskich chłopów z za Pilicy, Rusinów, Czechów, Słowaków, Węgrów, Cyganów, Wołochów...

Wodzowie polscy stanęli przy armatach. Książę Poniatowski chodził od jednej do drugiej pracowicie, zimno i umiejętnie celując. Co chwila słał adjutantów

w stronę Michałowic i w stronę Jaworowa, gdyż na obudwu tych punktach działa tego grzmiały. Wieści wciąż były pomyślne, nigdzie nieprzyjaciel błota nie przebył.

Już się wczesny, wiosenny wieczór nachylał, kiedy infanterya Wukasowicza przez wzgórza zabitych na grobli wtargnęła na brzeg raszyński. Ale potężne natarcie batalionów Sokolnickiego, wypoczywających za kościołem, zepchnęło ją znowu z grobli i wzgórza. Z podwójną mocą zaczęły pracować armaty, dym zasłonił wodę jasnego stawu, groblę, drzewa i biedną przydrożną osadę.

Noc zapadała, a wciąż jeszcze wyziewały śmierć zdyszane i rozpalone śpiże. Dopiero, gdy ciemność nastąpiła zupełna, wolno, wolno, przestały szczeleć.

Dogasała łuna nad zgłiszczami Falent. Jęki wieczorny powiew niósł z grobli, z bagien, z wybrzeża. Mgła biała, pełznąca powoli z nad suchych trzcin, powłóczyła te głosy śmierci, niby całun dobrotliwy.

Na grobli trupem leży dwa tysiące Austryaków, a tysiąc z górą naszych skonało w falenckiej olszynie.

Noc już była głęboka, gdy Rafał wydostał się z walczących glidów w potarganym mundurze, bez czapki, mokry aż do ramion. Szedł naoslep, przez zorane pola w stronę Opaczy. Zdawało mu się, że tam jeszcze znajdzie swe wczorajsze legowisko. W Raszy nie było gdzie postawić nóg, nietylko przytulić głowy. Widział, odchodząc, jak do kościoła i domostw znoszono rannych. Na polach przy drodze pokotem składano trupy.

Olbromski cały był w ogniu.

Szarpała go wczorajsza rana. Teraz dopiero czuł stłuczenia od pchnięć bagneta. Płomienie miał w oczach i w głowie, a jednak zimno go trzęsło. Wlókł w sobie śmiertelne cierpienie, dźwigał w zamkniętych oczach widok całego tego pola, miał w ramionach ruchome kupy ciał na grobli...

W WARSZAWIE.

Po nocy, spędzonej w pustej szopie na żydowskim przedmieściu Warszawy, a w pobliżu szubienicy miejskiej, Rafał ocknął się nadedniem. Szopa stała zdala od drogi, usłyszał jednak szcęk i turkot idących armat, taborów, piechoty. Wylaźł ze swego legowiska i dopytał się u idących piechurów, że to nasi odступują na całej linii. Ogarnęło go tępe zdumienie. Kiedy na początku tej nocy odchodził z Raszyna, cała armia kipiała od dumy z odniesionego zwycięstwa. Teraz ze wszystką swoją siłą uchodziła z placu! Jakże straszliwie dudniły armaty na tej nocnej drodze odwrotu! Jakże ciężki, znużony i grobowy był krok ustępującego żołnierza!

— Sasi uszli! — tłumaczono Rafałowi z szeregów.

— Niemiec Niemcu brat!

— Podłe psy saskie! ze środka bitwy w tył poszły...

— Tysiąc dwieście głów, stu pięćdziesięciu huzarów, dwanaście armat, wszystkie swoje trzy bataliony zebrali w kupę i uszli...

Rafał wmieszał się w szeregi i pociągnął z nimi. Po drodze rozpytywał się wciąż o brygadę Sokolnickiego. Dopiero rankiem powziął wiadomość, że ten generał mianowany został naczelnikiem lewego skrzydła i że osłania niziny Powiśla od strony Wilanowa za Czerniakowskimi i Mokotowskimi rogatkami. Olbromski z małym oddziałem piechoty, który brnął samopas, powlókł się za okopami w tamtym kierunku.

O świcie dał się słyszeć daleki ogień tyralierski. Przemknął w rannej mgłę jakiś oddziałek konny i zjechał w nizinę wilanowską. Na wzgórzu w okolicach Mokotowa zaczęła Rafała straż gwardyi obywatelskiej i z wielkimi ceremoniami powiodła do oficera, komenderującego wartą. Stary ów wiarus na pytania Rafała o generała Sokolnickiego nic pewnego powiedzieć nie chciał i kazał mu czekać w obozie gwardyi, na skraju Łazienkowskiego parku. Wyrosło tam istne miasteczko, wzniesione poprzedniego wieczora. Ze stołów, drzwi, okiennic, ławek i stołków pobudowali obrońcy miasta rodzaj chat, szałasów, namiotów, a przede wszystkim kuczek. Spali w tych schroniskach, nie tylko sami, ale i ich rodziny, które przyniosły im zapasy i napoje. W chwili, gdy Rafał nadszedł, gwardya już była wstała, przebudzona nadzwyczaj niedelikatnie przez pułkownika Łubieńskiego i jego adjutanta Rokickiego.

Dowódcy ustawiali w szyku bojowym rozespanych mieszczan, gdyż od strony Piaseczna słyhać było coraz bliżej strzały karabinowe. Rafał zatrzymał się w jednym z przygodnych szałasów, usiadł tam w kucki pod nakryciem drzwi, wyrwanych skądś z zawiasami, i za-

padł w stan drzemania. Po dniu wczorajszym miał wciąż jeszcze huk w głowie. Z krótkiego snu wyrwało go silne targnięcie za ramię. Jakiś nieznany mu oficer budził go i wołał do generała.

Sokolnicki stał niedaleko na koniu. Był schlastany bryłami gliny do galonów i kity na czapce. Ciżmów i amarantowych spodni nie widać było pod błotem. Twarz miał czarną i posępną od znużenia. Koń jego cały był w pianach. Para szła z niego.

Gdy Rafał przybiegł do strzemięcia z ukłonem, generał zażartował:

— Tak to się sprawiasz, panie adjutancie? Po szafasach tej babskiej piechoty muszę cię szukać! Co za czapkę masz na głowie?

— Panie generale... czapka spadła na grobli, gdyśmy dygowali armaty. Podjąłem pierwszą z brzegu na szosie, w nocy. A konia mi zabito koło Falent. Jestem niezdrowszy...

— Ech, piecuchy! czy dostałeś co nowego w lasku?

— Zdaje mi się, że mię szturchano, ale dokładnie nie wiem gdzie i kiedy...

— Cóż myślisz robić?

— Muszę poszukać schronienia, bo mi trudno stać na nogach.

— No, radź sobie, jak umiesz.

— Panie generale...

— Czegóż jeszcze!

— Czy, gdybym wyzdrowiał, mogę mieć nadzieję służby pod jego rozkazami?

Sokolnicki pomyślał przez chwilę, obejrzał go od stóp do głowy i rzekł niechętnie:

— Możesz zgłosić się do mnie. Tylko nie piechotą. Pomyśl o dobrym koniu i lepszym uniformie. Może się znajdzie dla ciebie miejsce adjutanta.

Rafał podziękował mu ukłonem i spojrzeniem. Generał w tłumie oficerów popędził w kierunku Mokotowa.

Olbromski ze zdziwieniem dowiedział się, że to już popołudnie. Mówiono w szeregach gwardyi o zawieszeniu broni. Nie mając tu co czynić, strudzony ułan poszedł wprost przez park Łazienkowski ku miastu. Minął noga za nogą dolne aleje, wszedł na górną i obok drewnianych domków brnął po błocie. Często przystawał, opierał się o drzewa. Kiedy wszedł w miasto, był tak osłabiony, że wciąż przysiadł na ziemi. Wspominał sobie to głód, to pragnienie, ale przede wszystkim miał w oczach i myśli wczorajsze pole. Blizko trzy dni nie jadł.

Kiedy ostatni raz dźwignął się z ziemi i podniósł oczy, ujrzał przed sobą żelazną kratę ogrodu, przerzucone przez nią suche jeszcze, poplątane badyle dzikiego wina, a w głębi ogrodu front pałacyku i balkon. Stały naprzeciwko jego oczu drzwi zamknięte, okna z zapuszczonemi firankami, kamienne schody z lewej strony balkonu, byliny zeszłorocznych kwiatów na klombach...

Wsparł się pierściami i ramieniem na tępych grotach żelaznej balustrady ogrodzenia i patrzył uważnie w to miejsce. Tu za lustrzanemi drzwiami rozlegał się szelest sukni Heleny de With. Tu szemrały pod atłasowemi stopy małe ziarenka piasku, zanesione przez wiatr na gładkie skrzyżale z marmuru, gdy zstępowała

cicho, jak duch. Prawdaż to, o mocny Boże, że już jej nie ma?... Serce tłukło się o żelazne kraty, przy których biło niegdyś w oczekiwaniu. Żelazne szczeble okryła ruda rdza. Rygiel furtki był zasunięty, na ścieżce leżały badyle i czarne liście. Na szybach, na stopniach ganku, za nieruchomemi firankami gniło niezblągane i niezłomne milczenie.

Ulicami ciągnęły podwody chłopskie, zwożące do Warszawy w gnojnicach i drabinkach rannych z pod Raszyna i z pod Piaseczna. Gdy szpitale były już przepełnione, mieszkańcy zabierali do swoich domów nie-szczęśliwych, odstawionych częstokroć bez żadnego opatrzenia, w opłakanym stanie.

Jakiś oddziałek gwardyi spostrzegł Rafała, przytulonego do kraty ogrodu, i zabrał go ze sobą. Ranny poszedł bez oporu. Na pytanie, czy nie ma w Warszawie rodziny, krewnych, znajomych, nie umiał odpowiedzieć, przytłoczony mocą ostatniego wzruszenia. Ale wreszcie przypomniawszy sobie dom księcia Gintułta i prosząc, żeby go tam odprowadzono.

Brama pałacowa była otwarta, a na podwórzu stało kilkanaście chłopskich furmanek. Chude konięta chrupały obrok w torbach i siano w półkoszkach tuż pod oknami. Główne wejście, dawniej szczelnie zawsze zamknięte, teraz rozwarte było naścieżaj. Rozmaici ubodzy ludkowie wchodzili i wychodzili tamtędy. Kiedy dwaj gwardziści wprowadzili Rafała do przedsionka, na ich spotkanie wyszedł stary kamerdyner z Grudna. Nie poznał wcale Rafała i zajął się nim z ledwie ukrywaną niechęcią.

W salonach dolnych i w przepysznej bibliotece

stały teraz łóżka, łóżka i łóżka, jak w szpitalu, a na nich stękali ranni. Ciche, wykwintne pokoiki, zamienione na sale operacyjne, zalane były kałużami krwi, pełne straszliwych krzyków ludzi operowanych na trzeźwo, wijących się w konwulsjach pod piłką i lancetem. W innych dogasali z jękiem konający. Kilku młodych chirurgów w krwawych koszulach uwijało się między łózkami. Za nimi nosił wodę w miskach, ręczniki, gąbki, przyrządy operacyjne stary, napół oślepy Andrzej. Rafał widział to wszystko, jakby we śnie. Posadzony na krześle w jednym z przyległych pokojów, oparł głowę o ścianę i śnił na jawie o pustym domu Heleny de With.

Wiosenne słońce płonęło. Potok światła wlewał się do ogrodu. Długa uliczka wysychała w tym blasku i dymiła się od wiosennego, przedwieczornego czadu.

— Oto jeszcze jeden ranny... — wyszeptał jakiś głos we drzwiach pokoju.

Rafał dzwignął ciężką głowę i skierował oczy w to miejsce. We drzwiach stał książę Gintułt. Ranny poznał go bardziej po wzruszeniu całego swego ciała, po drżeniu serca, po dreszczu rąk i nóg, niż zamgłonym wzrokiem. Książę zmienił się prawie do niepoznanienia. Ciemno szara twarz porznięta była brózdami, oczy skryły się pod osłoną powiek. Zęby powypadały, a ostatni z nich sterczał zabawnie na przodzie.

Książę Gintułt zbliżył się do Rafała i długo patrzył nań z odcieniem zdumienia.

— Przecie to jest Rafuś Olbromski... — rzekł wreszcie z cicha do swego starego sługi.

Andrzej chwilę łypał oczyma, zanim zdołał wyksztusić:

— Ale co też to książę pan!... — Przecież to jakiś oficer.

Rafał dźwignął się ze swego miejsca i wyciągnął do księcia rękę.

— Rafuś! na miły Bóg... Więc i ty między wo-
jaki? No, chwałaż Bogu, żeś żywy i żeś się pod ten
dach dostał. Andrzejku! żywo, żywo dajcież mu osobny
pokój, ten, w którym mieszkał swego czasu.

Ranny znalazł się wkrótce w dawnym swem łóżku.
Chirurg opatrzył jego starą ranę nanowo, przemył
oczyścić i zalepił świeżo otrzymane pchnięcia, kazał
mu dać posiłek i ułożyć do snu.

Rafał ocknął się dopiero nazajutrz rano. Okna
były już półuchylone. Stary Andrzej w swych pan-
toflach z żółtej skóry, bezdźwięcznie sprzątał w pokoju.

Rafał czuł się daleko lepiej. Miał wprawdzie jesz-
cze ból głowy, ale już ani śladu wczorajszego ucisku.
Andrzej patrzył na niego uważnemi oczyma i zginał
sztywny kark w łaskawym ukłonie. Wkrótce nadszedł
książę z chirurgiem. Kiedy ostatni opatrywał rany, Gin-
tułt siadł w nogach Rafałowego posłania i przypatry-
wał się obojętnie tym czynnościom. Chirurg wnet wy-
szedł, oznajmując, że chory za dwa, trzy dni będzie
mógł wstać z łóżka.

— Cieszę się — rzekł Gintułt — że nie jesteś ciężej
chory, gdyż w takim razie musielibyśmy się zaraz rozstać.

Rafał nie zrozumiał.

— Będę zmuszony wyjechać z Warszawy,—ciągnął
książę— a chciałbym mieć w tobie towarzysza podróży

— Niestety, jestem teraz skrepowany służbą żołnierską. Skoro tylko wyzdrowieję, muszę się udać do obozu.

— Tam właśnie i ja podążę.

— Księżę pan wstępuje do wojska?

— Aha.

— Jakże się cieszę!

— Nie masz czego... Ja nie z chęci walczenia z Austryakami idę do obozu. Powinienbyś mnie rozumieć. Idę spełnić powinność... Nie wiem, czy z tobą mogę mówić jeszcze, jak dawniej. Postąpiłeś ze mną tak dziwnie... wyjechałeś bez słowa oznajmienia.

Olbromski posępnie milczał.

— Przyszedłem tutaj nie po to, żeby ci robić jakiegokolwiek wymówki. Bóg z tobą. Rad jestem, że wracasz do zdrowia.

— Nie mogę wypowiedzieć w tej chwili wszystkiego, co mię skłoniło wówczas do nagłego wyjazdu—to tylko wyznać jestem zdolny...

— Nie trudź się.

— Ojciec mię wezwał...

Gintuł uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Ojciec pisał tu do mnie po twym wyjeździe, zasięgając wiadomości, gdzie jesteś.

Rafał zamilkł. I księżę siedział w milczeniu.

Po jakimś dopiero czasie rzekł:

— Nieraz wspominaliśmy cię z mistrzem katedry...

— Czy przebywa tutaj major de With? — spytał beczelnie Olbromski.

Księżę podniósł na niego blade oczy i rzucił wzgardliwe słówko:

— Nie.

— Gdzież jest?

— Przed Bogiem. Mistrz katedry zginął.

— Walcząc z nami!

— Jeżeli wiedziałeś o tem, to dlaczego trudzisz mnie i siebie nizkiem kłamstwem?

— W jakim celu książę pan udaje się do obozu?—
wykrętnie spytał Rafał.

— W celu przypatrywania się, jak to mam zwyczaj, biegowi rzeczy ludzkich.

— Dziwny cel... W chwili nieszczęścia kraju...—
mówił Rafał ze spuszczonemi oczyma.

— Tak sądzisz?

— Wczoraj byłem w bitwie. Widziałem, że tam
niema miejsca na badanie rzeczy ludzkich.

— Niema?

— Można tam przynieść duszę swą i ciało z wiarą
w skuteczność boju. Wtedy się jest potrzebnym. Ktoby
szedł po to, żeby patrzeć, jak inni umierają...

— Jeśli mię pamięć nie myli, można dostrzedz
jeszcze jedno miejsce w bitwie, właśnie dla siebie.

— Nie rozumiem.

— Bo też złym byłeś uczniem, twardego byłeś
karku i zmysłowych oczu.

— Dziś jestem żołnierzem i za jedyną cnotę uznaję
i wyznaję niezłomne męstwo.

— Mówisz też, jak żołdak.

— Każdy dziś człowiek na tej ziemi powinien
być żołnierzem. Widziałem, jak generał Sokolnicki po
żołniersku stał piersią całą naprzeciwko wroga.

— Widzisz, bracie, ja jestem ten, który o wszyst-

kiem i o tem męstwie Sokolnickiego chce mieć swój własny sąd, wyważony z sumienia.

— Nie, pora na to.

— Mnie zawsze pora.

— Nie! teraz pora iść na wały! Kto żyje! Czynić co każą.

Ksiązę spochmurniał. Zaćmiła się jego twarz. Rzekł, wstając ze swego miejsca:

— Nie pora już na to, co tak ordynarnie zalecasz mi, mój rycerzu, ale tylko z tego względu, że podpisano konwencję: Warszawa będzie ustąpiona Austryakom.

— Kto podpisał!? — krzyknął Rafał, wyskakując z łóżka.

— Leż spokojnie.

— Za krew, co bluznęła z tysiąca kilkuset piersi na drodze raszyńskiej — ustąpienie!

— Leż spokojnie. Już wojska nasze idą na Pragę.

— Więc jestem jeniec?!

— Ranni w potrzebie raszyńskiej mają prawo po wyleczeniu się iść do swych brygad. Gdy się wyliżesz, pójdziemy obadwaj. A po drodze jeszcze ze sobą porozmawiamy. Teraz masz jeszcze gorączkowe w gębie i może dlatego brutalne słowa, a ja tego nie znoszę.

— Raczy ksiązę przebaczyć...

— Nie jestem wcale obrażony, aczkolwiek lubię prowadzić roztrząsania bez krzyku.

— Kiedyż stąd wyjedziemy?

— Jak tylko i ty i twoi kamraci, a przynajmniej pewna ich garstka, będzie mogła stać na nogach.

— Czy nie wiadomo księciu, gdzie się obraca generał Sokolnicki?

— Poszedł już na Pragę.

— Czy Austriacy są już mieście?

— Nie, jeszcze ich niema. Zapewne w tych dniach wejdą. Konwencja jest zaszczytna i, ile ja wnosić mogę słabym rozumem ze wszystkiego, nadzwyczajnie dla nas zyskowna.

— Jakże to?

— Masa wojska cesarskiego uwięziona została w stolicy, a nasz żołnierz wyruszy w pole...

R A D A.

Nim upłynęło zawieszenie broni, rankiem dnia dwudziestego trzeciego kwietnia książę Gintułt schodził ze wzgórz Dynasowskich w towarzystwie Rafała dla przeprawienia się za Wisłę.

Ulice, przez które dążyli, były puste, a okna pozamykane okiennicami. Już most na pontonach na przeciwko ulicy Bednarskiej był zwinięty, a i same krypy z materiałem wojskowym wyprawiane w dół rzeki. Mieli tedy przebyć Wisłę łodzią. Gintułt zatrzymał się u stóp wzgórza i wodził okiem po swym pałacu, który zostawił na łasce obcego rządu i kilku starych lokajów, pełen chorych oficerów i żołnierzy. Nie było tam już miejsca dla niego, gdyż liczba rannych trzystu dochodziła.

— Zdaje się, — rzekł z cicha do Rafała — że już więcej nie zobaczę tego domu. Praga nie jest objęta konwencją. Łatwo przewidzieć, że nastąpi bombardowanie Warszawy przez Pragę i Pragi przez Warszawę. Urodziłem się pod tym dachem, tam jest moja biblioteka, zbiory, pamiątki... Żegnaj, stara chato...

Rafał usiłował skleić coś pocieszającego, ale książę machnął ręką. Zeszli ku rzece i zdążyli jej wybrzeżem, pustkami ulicy Dobrej, aż do rogu Bednarskiej. Obmurowany kanał wodny, sięgający od Wisły w głąb ulicy Dobrej, dziwacznie teraz wyglądał po zdjęciu pontonów. Tłukły się w nim łodzie przewoźników, wrzaskliwie zapraszających do jazdy za wodę. Książę i Rafał siedli w jedną z nich i wkrótce stanęli na tamtym brzegu. W okopach pełno było wojska. Rewidowano i sprawdzano tożsamość osób przybyszów z za Wisły, ciągniono ich do jakichś władz na ulicy Olszowej, które nie mogły sobie dać rady i nie wiedziały, jak się właściwie zachowywać.

Po załatwieniu formalności wyszli z dusznych izdebek w drewnianych barakach, gdzie ludzie dusili się, czekając na swoją kolej, i poczęli szukać wyjścia z obrębu okopów. Szli tedy w ulicę Brukowaną, prostopadłą do Wisły, ale trzeba było stamtąd cofnąć się, gdyż zabrnęli w kąt narożnikowy trzeciej lunety. Żołnierz-wartownik wskazał im właściwą drogę, która prowadziła między dwoma skrzydłami koszar wojskowych, zdążała do szyi drugiego biretu, stamtąd szła na prawo i wychodziła w stronę ratusza, oraz rogatek Brudzieńskich. Wydostawszy się z obrębu szanca przedmostowego, Gintuł przystanął na przecięciu dróg i patrzył na fortyfikacje. Zrazu twarz jego była senna i bezsłowna, znudzona i skrzepla w smutku. Ale oto wzrok mu się ożywił.

— A wiesz ty, — rzekł szeptem, jakby się bał, że ich ktoś może podsłuchać — że to jest wcale godny szaneczyk! Na miły Bóg... Widzisz ty tamten biret środ-

kowy, ostrzem zwrócony w rogatkę Ząbkowską? To tęga sztuka. Albo i tamta luneta zwrócona ku rogatom Gołędzinowskim i drodze do Nowego Dworu. Właściwie to ona jedna, sierota, i ku Warszawie się zwraca. Któżby pomyślał, że taki los ci padnie, nieboże, przeciwko matce Warszawie dziób swój i pazury nastawiać...

Zawrócił się na lewo w kierunku trzeciej reduty, zamykającej dostęp od ulicy Sprzecznej i rogatek Grochowskich. Z ożywieniem pośpieszył wielkimi krokami w stronę Saskiej Kępy i rozpatrywał szaniec nad łąką obok drogi, okop na samej Kępie za promem łąchy tuż nad Wisłą, a obok drogi do młyna wodnego. Oglądał teraz uważnie i szczegółowo skarpy nasypów idących ponad Wisłą od szanica przedmostowego aż do zagięcia łąchy. Wrócił potem na drogę i siedł w zamysleniu, kierując się ku klasztorowi Bernardynów. W pewnej chwili zapytał:

— Czy nie wiesz czasem, jakie są szanice za rogatką Grochowską?

— Nie wiem.

— Pamiętam z dawnych czasów... Szedł tam nasyp od Kamionek, przecinał drogę okuniewską i w pobliżu traktu do Radzymina kończył się tęgim parkanem.

— Nie wiem tego.

— Szkoda, że niemożemy zobaczyć na własne oczy, czy są jakie działa w tamtej stronie, naprost Targówka. Ale niema już czasu. Śpieszmy się!

Wielkimi kroki minęli klasztor bernardyński i weszli w ulicę Szeroką. Tłoczyło się tu mnóstwo furmanek, bud przekupniów, brnęła lekka piechota wołyżer-

ska. Książę najał furmankę, nie pytając się o cenę. Wsiedli i przez rogatki Gołędzinowskie wyjechali pod szaniec przedrogatkowy. Droga okrążała go kołem z prawej strony, to też książę mógł dobrze onejrzeć nasypy, równie jak głęboką fosę wodną, która szła od szanieca do Wisły.

— Tęga księża rogatywka... — mówił napół do siebie. — Niczego... Nie myślałem, żeby tutaj takich prac dokonano... Chłopiec! — zawołał na woźnicę — jedź-no mi żywo, śpiesz się...

Wózek potoczył się traktem do Nowego Dworu. Na prawo widać było przed rogatką Ząbkowską jeszcze dwa w polu szaniece, oddzielnie jeden od drugiego, rzucone naprost żydowskiego cmentarza. Mgła jeszcze stała nad nizinami, nad łąkami, szła z wód, z zalewisk, z szeroko wyciągniętych ramion Wisły. Wózek szybko pomykał za wojskiem, którego straż przednia zostawała pod rozkazami Sokolnickiego. Dopędził wojska o jakie dwie mile od Pragi, na połowie drogi z Warszawy do Modlina. Bagaże szły przodem pod eskortą trzystu ludzi. Piechota miała żywności na dni cztery, po sześćdziesiąt ostrych ładunków i pod dwie skałki. Żołnierze wyszli z okopów Pragi o ciemnej nocy. Teraz w marszu, prowadzącym w trójkąt między Wisłę, Bug i ujście Narwi, bez wiadomości dokąd i po co idą, sarkali omal nie głośno.

Brygada Sokolnickiego składała się z trzech regimentów: dwunastego, ósmego, szóstego. Generał Kamieniecki na czele regimentów: pierwszego, drugiego i trzeciego, dawał straż odwodową. Artylerja, przywiązana do batalionów, szła w szyku bojowym, każda

sztuka za swym batalionem. Awangarda i aryergarda szły o pięćset kroków tylko oddalone od kolumny. Co kwadrans dawano wojsku krótki spoczynek i wprowadzano je dalej a dalej forsownym krokiem. Bagaże miały rozkaz nie wkraczać do fortyfikacyi Modlina, lecz wyjść poza nie od strony Płocka i tam zatrzymać się w jednej linii. Furmanka, wioząca księcia Gintuła, dostała się między markietanów, z których każdy miał numer, dający mu prawo do dwu wozów. Wnet piesi i jadący markietanie, oraz markietanki, zaczęli sarkać i odwoływać się do dywizyjnego wagenmajstra, ażeby usunął nową podwodę za kolumnę wojska. Po rekomendacyi udało się przecie Rafałowi i księciu pozostać w kolumnie i zawiązać rozmowę z oficerami. Nikt z nich nie rozumiał celu tego marszu. Przewidywali tylko, że zamknąć się przyjdzie w fortocy. Zniechęcenie było ogólne. Po południu czoło kolumny zbliżyło się do Modlina, ale bryczka książęca długo musiała pozostać na miejscu.

Generał brygady Biegański odłamywał z kolumny swojej jeden batalion dla pilnowania mostu, który właśnie z łyżew warszawskich przytwierdzono kotwicami i zaściełano pomostem. Rafał powziął wiadomość, że generał Sokolnicki wskazuje brygadam miejsce ich w obozie, cała bowiem piechota otrzymała rozkaz obozowania militarnie z zachowaniem wszelkich ostrożności wojennych. Po długiej przerwie otwarła się wreszcie droga i książę Gintuł powziął wiadomość o miejscu pobytu sztabu. Tam kazał jechać.

Zbliżając się traktem do Starego Modlina, spotkali jadącego w gronie kilku oficerów różnego stopnia ge-

nerała Niemojewskiego. Stary legionista przypatrzył się dobrze księciu i zagadnął go z konia:

— Jakiem to prawem, mości księżę, na moje podwórko?

— Także to szerokie zatoczyło płoty? Aż po Modlin?

— Tak jest! Musicie z waszych Galicyów chodzić do nas w Wielkopolskę, chcący wytchnąć. Do kogo księżę?

— Mam interes do kogoś z naczelników.

— Może aż do samego wodza?

— A pewnie, że i do niego przyjdzie dotrzeć.

— Nie wiem, czy się to uda, bo właśnie zdążam na radę wojenną.

— Och, to nie mam po co się śpieszyć...

— Osobliwie, jeśli sprawa prywatnej natury.

— Prywatnej nie prywatnej, ale osobista. Chcę dać, co mam ze sobą, na formację szpitalów wojskowych, lepiej urządzonych, niżem to widział w Warszawie po akcji rasyńskiej. A nadto...

— Jeślibym mógł pomódz...

Generał podjechał bliżej do bryczki. Rafał wysiadł z niej i szedł ścieżką nad rowem. Księżę z generałem rozmawiali z cicha:

— Mam tu za Świdrem, w Galicyi — mówił księżę — parę wiosek. Byłoby tam łatwo utworzyć jaki batalion, a może i pułk nienajgorszy, gdyby tylko jakiś oddział przekradł się za kordon i zwołał lud młody. Chciałem właśnie rady zasięgnąć...

— Brawo, panie bracie! Cho-cho... Idziemy z tem do wodza. Także nam gadajcie, Galicyanie!

— Dobrze waćpanu dworować sobie z naszej galicyjskiej niedoli, gdy masz dom i wioskę pod bokiem.

Wkrótce wjechali w opłotki wsi i zatrzymali się przed murowaną oberżą. Zaledwie Niemojewski otworzył drzwi, posłyszeli w sąsiedniej stancyi gwar żywej rozmowy. Książę chciał zatrzymać się w pierwszej izbie, ale Niemojewski pociągnął go ze sobą i przedstawił zgromadzonym. Mało kto zwrócił na to uwagę. Widać było od rzutu oka, że na tem posiedzeniu musi być powzięta decyzja zasadnicza. Wszystkie twarze były pełne niepokoju, skupienia i ciekawości, dochodzącej aż do granic trwogi. Książę Poniatowski, wtłoczony na małą kanapkę za okrągłym stołem, zwijał i rozkręcał dłonią arkusz papieru. Obok wysoko zasłanego łóżka stał Zajączek, z przesadną, umyślnie podkreślaną służbistością nie zajmując miejsca, nie ośmielając się usiąść. W kącie pokoju od ściany do ściany chodził olbrzymi Dąbrowski.

Wielka twarz jego, długi, mięsisty, pałkowaty nos, wygolone wargi grubych ust, każdy muskuł drgał i kurczył się od wewnętrznych wzruszeń. Wielka ręka niecierpliwie wicherzyła i tak już nastroszone włosy. Sapał, przystawał, oglądał zebranych oczyma i znowu zaczynał chodzić w swoim kącie. Pod ścianą stali ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma Sokolnicki, Biegański, dalej Kamiński, Kamieniecki, Fiszer, Piotrowski, Hebdowski, Grabowski, Woyczyński, Izidor Krasieński, Różniecki, Hauke.

Kiedy Niemojewski z Gintultem wszedł do pokoju, Dąbrowski przypatrzył się gościowi i rzekł półgłosem:

— Gdzie ja go widziałem?...

Książę uklonił mu się zdala. Stary generał po kiwał ku niemu głową i mruczał do siebie:

— Aha, już wiem... Zestarzeliśmy się, mości panie, od tamtych czasów w Weronie, kiedyś to mię tradował o szkapy Aleksandra Macedończyka...

Wszyscy zwrócili na przybyszów spojrzenia, w których malowała się myśl nie o tem wcale, na co patrzą:

— Mości książę! — rzekł Niemojewski do naczelnego wodza — idąc tutaj, spotkałem księcia Gintuła. Ma on zamiar ufundować pułk jazdy na swój koszt wyłącznie. Sądziłem, że wasza książęca mość raczy przyjać...

— Cieszę się niewymownie z ofiarności obywatelskiej waćpana. Ale czas nie po temu...

Po chwili, jakby dla naprawienia tego, co powiedział, dorzucił:

— Służyliśmy pod dawnymi znakami, nie prawdaż? Przypominam sobie...

Gintuł skłonił się zdala.

— Racz, mości książę, zająć miejsce. Mamy tu radzić o dalszych naszych krokach. Może nam podasz myśl szczęśliwą...

Gintuł zatrzymał się u drzwi i głębokiem spojrzeniem, pełnem miłości i żalu, oglądał tych ludzi.

— Tak tedy — rzekł wódz naczelny — raczcie, waćpanowie, dać radę, co dalej czynimy.

To mówiąc, podniósł spłoszone oczy przedewszystkiem na Zajączka. Wyraz antypaty, dochodzącej do najwyższych granic, wyrывał się z tych oczu. Wyraz dumy i wzgardy drgał w każdej sylabie słów:

— Proszę przedewszystkiem o zdanie ichmość panów generałów dywizyi.

Zaległ milczenie.

— To, co przedstawiłem, nie jest mojem własnem widzimisię — ciągnął jeszcze książę Józef. — Ja osobiście gotów jestem na wszystko. Kazałem Hornowskiemu walić przedewszystkiem mój dom »pod blachą« jeśli przyjdzie do bombardowania Warszawy.

Wyraz jadowitego szyderstwa przewinał się po wązkich wargach Zajączka.

— Sądzę, — rzekł ten naczelnik dywizyi — że nie przyjdzie aż do takiej klęski ostatecznej...

— Jak bombardowanie Warszawy... — wtrącił Fiszer, pragnąc, widocznie, złagodzić sens słów starego zawistnika.

— Jak zburzenie pałacu »pod blachą...« — wyrębał Zajączek, zwracając się ku Fiszerowi z tym samym uśmiechem, zmazanym w jadowitej złości.

Wódz zniósł to spokojnie. Blady z ran Fiszer rzekł dalej:

— Dłaczego sądzisz, generale, że nie przyjdzie do tego?

— Tak sądzą. Strzały z Pragi na Warszawę weгнаłyby Austryaków w biedę nie lepszą od pamiętnej z przed lat piętnastu. To też nie zaczną oni strzelać na Pragę. Ale cóż mi z tego, że zatrzymamy tę fortecę i skraweczek ziemi? Gdzież się tu podzić? Z czego wyżywić żołnierza? Prusaki nad karkiem, tych trzydzieści tysięcy z górą, miasto zajęte, popłoch, a cesarz o setki mil. Jesteśmy, jak łacha przed przyływem.

— To wiemy, ale jakiż wniosek? — rzekł oschle książę Poniatowski.

— Moje zdanie jest takie: zebrać wszystkie siły co do nogi w hufiec, przejść Wisłę i forsownym marszem dążyć przez Śląsk cieszyński do Saksonii. Złączyć się z cesarzem i czynić, co rozkaże. Oto wszystko

— Księstwa tak porzucić nie mamy prawa! — wtrącił Fiszer porywczo. — Cóż pomyśli sobie mieszkaniec? Po jednej bitwie, po odstąpieniu Warszawy precz uchodzimy z kraju!...

— Mnie przedewszystkiem wcale nie obchodzi zdanie mieszkańca, — odrzekł Zajączek — tylko moje zdanie, to znaczy racja wojskowa. Jestem generałem cesarza, nie mam prawa zmarnować wojska, które mi powierzył, a tu mogę je tylko zmarnować.

Szmer niechęci wionął po zgromadzeniu.

— Tak, tak, tak! Ja powtarzam tę samą myśl: jestem generałem cesarskim i tylko cesarskim...

— A waćpan co radzisz czynić? — zwrócił się książę Józef do Fiszera, widocznie pragnąc przerwać potok słów Zajączka.

— Prędzejbym wolał zamknąć się w fortcach i czekać. Jest Modlin, Głogowa, Gdańsk, Kistrzyń. W każdej z tych fortec jest garść naszego żołnierza. Możemy się bronić miesiącami.

— O głodzie — wtrącił Zajączek, zapisując coś w swoim notesie.

— Wolałbym bronić się o głodzie, niż ujść z kraju. Ja znam się z głodem, więc wiem, co mówię!

— To też waćpan możesz się głodzić do woli, ale nie masz prawa głodzić żołnierza. Kiedy mówię

o wyjściu z kraju, to w tej chwili żywią nadzieję powrotu, mając cesarza na czele armii. Nie uciec kę do radzam, tylko wyjście z pułapki, manewr wojenny. Sami tu nic nie zbudujemy. Stracimy tylko te garstkę naszych rekrutów, działka, i na tem nasz haniebny koniec.

— Widzieliśmy wszyscy tych rekrutów w boju... — zaczął książę Józef.

— Cokolwiek książę pan raczy powiedzieć na pochwałę tych, powtarzam kantonistów, to tylko powinno zachęcać do wykonania mego planu. Złożymy ich tu kupami znowu w jakim Raszynie i znowu zawrzemy zaszczytny akt złożenia na kupę pruskich karabinów. Powtarzam: to nie nasz żołnierz, tylko posiłkowy, więc cesarski.

Książę był blady, jak papier, który trzymał w ręce. Generałowie milczeli, ale znać było, że większość podziela zdanie Zajączka, albo nie ma żadnego. Po długiej i ciężkiej ciszy mówca rzekł łagodniej:

— Ja tu zresztą słyszałem, oprócz swego, jedno tylko zdanie, Fiszera. Radbym wysłuchać innych opinii

— Sądziłbym, — zaczął mówić generał Kamieniecki — że moglibyśmy posunąć się ku granicom litewskim i czekać tam sprzymierzeńca.

— Słyszymy o obywatelach galicyjskich, gotowych złożyć nowe pułki... — wtrącił Sokolnicki.

— To ostatnie jest szczególnie pocieszającą nowiną. Nieprzyjaciół rozsiadł się w naszej stolicy, a my werbujemy pułki za jego kordonem, w jego kraju, pod jego okiem. To przynajmniej po poisku! — sztydził Zajączek.

— Rzeczywiście, że to po polsku! — ozwał się z kąta Dąbrowski grubym, chrapliwym głosem. — Tak robił stary Czarniecki: Ty, Rakoczeńku, do mnie, na moje śmiecie, to ja, Rakoczeńku, do ciebie! A tu jeszcze nie na cudze, inospanku, tylko na swoje własne.

Wszyscy spojrzeli ku starcowi i wlepili oczy w jego oblicze.

— »Ja« -- to znaczy ów pułk jeszcze niesformowany za cudzą granicą... Czarniecki!... — mruknął Zajączek, bokiem zwrócony do antagonisty i nie patrząc na niego.

— »Ja« — to znaczy my wszyscy, żołnierze, jak tu jesteśmy!

— Zbyt to dla mnie enigmatyczne.

— To jasne, jak słońce. Waćpan widzisz ten plan od czterech dni, bo ślepy by go nie widział, ale po zwyczaju z pychy macisz w głowach i sumieniach...

— Mości panie! — zapienił się Zajączek, szarpiąc ręką szpadę.

— Żebyśmy nie zapomnieli, żeś między nami rangą najstarszy — ciągnął Dąbrowski. — Pamiętamy.

— Jestem rangą najstarszy, to niewątpliwa. Nie dlatego jednak podałem zdrową i jedyną radę, tylko dla pospolitego dobra. Niech książę Ferdynand pójdzie na ziemie pruskie i pobudzi Wszechniemce — co wtedy? Kto będzie bronił ludu, o którego mniemania tak wam chodzi? Rozdepcą go wtedy i w obcy nam naród obróć.

— To samo mogliby zrobić bez chodzenia we Wszechniemce, gdybyśmy, stosownie do rady waścinej szli marszem... w tropy Dyherrn'a.

— Jam już wszystko powiedział. Teraz słuchajcie rozkazów.

Dąbrowski przez chwilę milczał. Potem ciężkimi krokami bezwiednie wyszedł ku środkowi izby. Olbrzymie jego ciało ledwie się mieściło w ciasnym wojskowym uniformie. Ciężko westchnął. Obejrzał płomieniami oczu twarze generałów i rzekł:

— Moja rada jest taka: nie ustąpić! Ani piędzi. Owszem — napaść!

— Dobra rada...—żgnął go szyderstwem Zajączek.

— Napaść co tchu, nim przekroczą Wisłę. Jeszcze jej nigdzie nie przeszli. Mostu nie mają. Jeśli tedy ją przejdą, to w bród, albo na krypach, to znaczy garstką. Tę zgnieść napaścią. Nim most zbudują, przejść Świder i całą siłą zagarniać Galicyę po prawej stronie Wisły, aż do jej źródła. Możemy po drodze zetknąć się z cesarzem i księcia Ferdynanda wziąć we dwie kluby. Całą Galicyę skrzyknąć i podnieść. Nasza to ziemia rodzona. Od wieków... Na głos twoich kroków, wodzu, cała się zatrząsie po szczyt karpacki. Z tym żołnierzem, który stał nad błotem raszyńskim... Mocny Boże! widziałem przecie temi staremi oczyma, co już nie na jedno patrzyły... Idź w kraj nie jako oficer, lecz jako zwiastun!

— Prawdę powiedział! — jak jeden krzyknęli generałowie.

Poniatowski po tych słowach wstał i oczy jego zaszklily się łzami rycerskiego uniesienia. Wszyscy zbliżyli się ku Dąbrowskiemu. Twarze ogniem gorzały.

— Za wygraną bitwę obstoi takie słowo! — rzekł twardo Sokolnicki.

— Pójdzież z nami, generale! — mówił, wyciągając rękę wódz naczelny.

— Nie — odpowiedział twórca legionów. — Szczere wyznam, co w sercu: stary jestem i do słuchania rozkazu ciężki. Rogata dusza — to darmo. Co robię, to robię sam ze siebie i wtedy dopiero z ramienia. Takim już warchoł. Na tem mi życie zeszło. Oto, mości ksiązę, daj mi rozkaz. Tego usłucham. Każ wsiąść na bryczkę i jechać w Poznańskie. Moja to dziedzina. Nim dojdiesz do Krakowa, ja ci z nad Gopła tłum Mazurą przywiodę..

SZANIEC.

Drobny deszcz siał bez przerwy na zieloną już nizinę Wisły. Sosnowe lasy zapachniały wiosennym oparem. Brzoza miękką i lotną mgiełką się zdała między sosnami Mazowsza. Bataliony dwunastego pułku piechoty pod wodzą pułkownika Weyssenhoffa, drugi pułk jazdy i dwa działą artylerji konnej, wszystko pod władzą naczelną Sokolnickiego, chykiem a lekko dybały z pod okopów Pragi na Świder. Kolumna ta, która bagnetem pułku Weyssenhoffa zdobyła wioskę Grochów, najeżoną austriackimi działami, wyszedłszy z Radzymina 29 kwietnia, prawie bez przerwy szła forsownym marszem wzdłuż Wisły, starodawną drogą na Gocław, Lasy, Zerzeń, Miedzeszyn, Falenicę i Świdry Dalsze. Lasy były puste, piaski zdeptane przez ustępującego Austriaka, porzniete od kół armatnich. Nikt nie wiedział, jaką siłę nieprzyjaciel przerzucił na prawy brzeg Wisły, czy miał gotowy most, czy tylko przewiózł część wojska na krypach. Chłopi z Falenicy nie umieli nic powiedzieć. Po wiórach świeżych, gęsto w rzece płynących, rybacy nadbrzeżni wnosili, że most chyba

gdzieś w górze budują. Jeden z przewoźników, któremu udało się dotrzeć do tamtego brzegu, przywiózł wiadomość, że Niemcy zabrali z Warszawy cieślów, ilu znaleźli, i wszystkich pognali do Góry Kalwaryi. Wspominał także, jakoby pewien zdrajca Prusak wydał skład drzewa obrobionego na Szulcu, ale te wiadomości były mętne i trąciły plotką. Na równych i jałowych piaskach, których jeszcze trawa nie okryła, w pobliżu Zagoździa strwożeni wieśniacy zeznawali, że Niemce dopiero co przeszły w stronę Świdrów i że coś musiały spalić po drodze, bo dym walił z pomiędzy drzew. Ile na to pozwalały siły koni, ciągnących w piachu armaty, Sokolnicki pośpieszał w marszu.

Z rana 1 maja ujrzeli wynurzające się z jednolitych sosnowych borów olbrzymie sokory Nadświrdza, dalekie piaski, wody Wisły, zamglone smugi drzew tamtego brzegu, pod Zawadami, Kępą Oborską i dalej aż pod Oborkami, Jeziorną, Łęgiem, po Gassy i Czerwidło, tonące w oddaleniu. Wkrótce stanęli nad brzegiem Świdra. Po wiosennym roztopie jeszcze woda nie opadła. Wartko bulgotała między pniami olch, w cieniu kilkusetletnich sosen, wrastających w wydmy piasków i w cieniu topoli nadwiślańskich. Stanąwszy już nad rzeką w pobliżu jej ujścia do Wisły, naprzeciwko wioski Świdry Małe, które leżały po tamtej już stronie a więc w ówczesnej Galicyi, zobaczyli przed sobą most dopiero co spalony. Pale jego były jeszcze czerwonymi słownikami i kurzyły się obficie. Wieśniacy ze Świdrów stali na wzgórku obok swoich chat ze słomianymi strzechy i przypatrywali się w milczeniu. Ani jeden się nie ruszył, pomimo że ich wzywano znakami i krzy-

kiem. Na błoniach z tamtej strony rzeki zieleniły się już pędy wierzbowe i pastuch, doglądający krów, wesoło wygrywał na fujarce. Przywołano go nad brzeg, żeby pokazał, gdzie tu woda najpłytsza. Prąd leciał wartko, lecz widać było piasek na dnie. Żołnierze zzuwali wesoło ciżmy, kamasze i, zawinawszy pantalone, szli w bród za przewodem pastucha. Ciężko było z przeprawą armat, ale je przeciągnięto bez szwanku i wywleczono z wody. Za mostem droga szła wciąż lasem w stronę Karczewia. Kolumna wytechnęła w Świdrach, oraz na okolicznych wydmuchach litego piasku. Radość była powszechna z tego tytułu, że stare wierzbki już zieleńią, że się włamano w granice Galicyi i że pastuch tak po swojsku wycina na ligawce. Chłopi miejscowi odpowiedzieli dowódcy całą historię spalenia mostu i przemarszu Austryaków do Karczewia, nie potrafili tylko objaśnić, gdzie istnieje przewóz na Wiśle. Około południa Sokolnicki ruszył w pochód. Żołnierze szli rażno. Pikiety nie dawały żadnego znaku alarmującego. Wyszedszy z lasu na piaski, wyniesione ponad Wisłę, które otaczają Karczew zanurzony w tem sypkiem morzu, nie dostrzegali nigdzie nieprzyjaciela. Gdyby nie zbyt wyraźne ślady armat, konnicy i piechoty, Sokolnicki skłonnyby był do przypuszczenia, że nieprzyjacieli czyha w zasadzce, gdzieś w lasach otwockich, daleko, szeroko, jak oko sięgnąć zdoła rozciągniętych. Dopiero zbliżywszy się pod same domy Karczewia i zajmawszy pozycję na piaszczystych wzniesieniach poza Kępą Nadbrzeską spostrzegli wojska austriackie, przeprowadzające się za Wisłę na krypcach. Chłopi, wezwani z Nadbrzezia i Kępy, zeznali, że cała siła austriacka

która przysła była z za Świdra, teraz przeprawiała się właśnie. Sokolnicki odłamał od swej kolumny szwadron jazdy, dwie kompanie piechoty i rzucił się w nizinę wiślaną. Główna siła jego wojska zajmowała Karczew. Łęgi nadwiślańskie, okryte już runią wiosenną, cudowny wystawiały widok. Kwiat jary je ubarwił. Iwina przydrożna wypuściła z pniów jasne różgi. Rozlana struga Jagodna tworzyła modre jeziorka i pasmugi świetliste, po których wiosenny wietrzyk chwiał i przeganiał śliczne fale. Gdy wojsko weszło w wieś, nadziwić się nie mogło jej krasie. Jakże ta Kępa odmienna była od swoich siostrzyć na płaskowyżu piaszczystem, które stały o wiorstę! Tłusta ziemia, przesiąknięta wilgocią, czarowała tu nieobliczalnem mnóstwem roślin i pachniała kwiatami. Z urodzajnej nad miarę gleby strzelały w niebo drzewa, jak z baśni, rozrastały się sady owocowe, tworząc jeden ogród tak zwarty, że wśród niego ledwo się mogła przecisnąć wioskowa ulica. Obfitość wikliny podała wieśniakom sposób wygrodzenia dróg, ścieżek, ogródków, gumien i sadów. Każde siedlisko było, jak świat odrębny. Bielone chaty świeciły się między rozkwitającymi drzewami. Zamożność, chłopskie bogactwo wiało z każdego kąta, dobytek przewalał się przez próg i płot. Po zawrociu stali parobcy, jak dęby, dziewczęta, jak łanie, lud oswojony z hukiem wylewów Wisły, z grozą i niebezpieczeństwem.

Dopiero tedy przeszły Niemce. Koła ich armat i wozów rznąły się po osie w glinie bezdennej a rozmokłej na żur. Jeszcze leżały w poprzek żerdzie, koły, drągi, pawęzy, którymi podważali z bajora swe statki. Jeszcze ciekły bryzgi błota, rozpierzchłego po ścianach

domostw. Kiedy Rafał, jako adjutant generała brygady wyjechał przy jego boku w ciemną ulicę, utworzoną przez rozrósłe różgi i pławiny wierzb, cały oddział, idący przed nimi, huknął z nagłą pieśń. Jak łoskoty piorunu, rozlegała się między ścianami chat:

»Fortuna się do nas śmieje,
Głosi szczęście i nadzieję,
A w wyraźnem objawieniu
Pobłyskuje promień w cieniu.

Już załona spada z góry,
Niebo jasne, znikły chmury,
Widać na wielkiej przestrzeni,
Iż się ziemia znów zieleni...»

Ulica zawróciła w dół, ku Wiśle. Znać tu było jeszcze ślady wiosennego wylewu. Na gałązkach śliwin i grusz dyndały kłaki zeschniętego szuwara. Na przyźbach i przyciesiach znać było ślady ilowatych fal. Opar szedł z rozkopanych lech, gdzie już tkwiły czarne listki rozsady. Wkrótce z ciemnej i pogiętej uliczki wydostali się jeźdźcy dwójkami na zbocze wału, wysypanego przez Nadbrzeżian. W dole tańczącemi baniami mknęła Wisła. Ziemia była zdeptana, brzeg poobrywany od statków, które niedawno spychano z mokrego wału. Chłopi zbiegli się i pokazywali miejsce ku Dębowej, przez które przewiozła się piechota. Dalej za wsią, naprost Czerwidła, leżącego z przeciwnej strony, wskazywano płaskie miejsce, z którego wsiadła konnica i wtoczono sześć dział. Sokolnicki nastawił perspektywę i długo patrzył w górę rzeki. Nie było na niej widać mostu aż do miejsca, gdzie się zaczynało kołano rzeczne pod Czer-

skiem, wklęsłe z lewej strony. We mgle błękitniały drzewa Starego Otwocka i baszty marszałkowskiego zamku, wynurzające się z koron. Generał pozdrowił chłopów na pożegnanie i chyżo wyjechał z Nadbrzezia na wzgórek od strony pastwisk i Zagórnego Otwocka. W skok powracano z innej strony do Karczewia.

W tym samym czasie nadchodziły z północnej strony rotę piesze i konne. Była to kolumna generała Dąbrowskiego, nadciągającego z Okuniewa. Stary wódz prowadził trzy bataliony pułku Sierawskiego i trzy szwadrony ułańskie Dziewanowskiego. Rafał zdała poznał swe barwy. Na błotnistym rynku zjechali się dowódcy. Wszystkie ulice miasteczka, wszystkie jej domki drewniane zajęło wojsko. Nie było tu obszerniejszego budynku, gdzieby się większa kompania oficerów pomieścić mogła. Ruszono na plebanję. Dąbrowski niedługo wypoczywał. Komendę nad przyprowadzoną kolumną oddał Sokolnickiemu, a sam kazał przysposobić sobie konie do odjazdu w Poznańskie. Pułkownicy i szefowie z żalem go żegnali. Posiliwszy się, czem było można, Dąbrowski kazał wystąpić wszystkiej sile żołnierskiej i przemówił kilka wyrazów na cześć dowódcy Sokolnickiego. Wojsko odpowiedziało mu pieśnią na jego cześć i wieczną chwałę. Stary wódz zdjął czapkę i słuchał z pochyloną głową. Zaraz potem odjechał.

Noc się zbliżała. Konnicy kazano zostać w Karczewiu. Część piechoty stanęła obozem w Otwocku Zagórnym, a część w Otwocku Wielkim.

Obozy obstawiono pilnie placówkami. Od placówek wykomenderowano wedety, a między nimi wy-

stawiono podsłuchy. Starszyzna rozlokowała się w pałacu i zabudowaniach otwockich. Rafał znalazł pomieszczenie w sąsiedztwie swego dowódcy. Miał spać w małym narożnym pokoiku na górze, którego okno wychodziło wprost w korony lip. Ściany tam były malowane przez niepośledniego artystę, sprzęty wykwintne. Pałac, od lat niezamieszkały, miał w sobie coś z rozpuszty saskiej, wszystek się w niej począł i do niej należał. Rafał nie mógł usnąć. Wstał w nocy i na palcach poszedł do parku. Drobną deszcz szemrał po liściach. Ulice parku wąskie, dzikie, napół zarosłe, pełne były mgieł, które chodziły z miejsca na miejsce. To wstawały, jak widma, to nagle przed idącym nikły, jak cienie trwożliwe. Słownik daleko świstał swe pierwsze, krótkie, niewymowne pieśni. Młody szedł za jego głosem i w którąkolwiek zmierzał stronę, zawsze dochodził do głębokich i szerokich wód. Stanął w jednym miejscu nad płaszczyzną wodną, zastępującą drogę. Drzewa olbrzymimi konarami ginęły w mrokach i słabo odbijały się w toni. Zdawało się, że za Wisły kiedy niekiedy nadlatywały krzyki pikiet austriackich, rozciągających się od Warszawy aż do Góry. I oto, gdy natężonem uchem wojaka wsłuchiwał się w te zdradzieckie echa i wciągał je wilczemi nozdrzami do mściwej piersi, rzuciło się nań wspomnienie. Ścisnęło mu serce boleścią nie do zniesienia, jakoby piastka dziecka. Coś poczęło się czołgać za nim... Szło zaczajone za drzewami, wyciągając ręce.

Przez krótkie chwile mniemał, że jest w Grudnie i że wałęsa się w tamtejszym parku. Ale te płochliwe złudzenia znikwały zupełnie, jak mgły nocne. Ani już

ładu dawnych, czynnych wzruszeń, co rozpychały serce...

Wszystko przesiąkło ociężałą mądrością, każde wzruszenie z nieznośnym trudem przedostawało się przez igielne ucho rozsądku.

Szedł zadumany nad sprawami życia, zatopiony w sobie, pośród mokrych mgieł, między wilgotnymi krzewy, pośród gąszczów, szeleszczących zcicha od drobnego deszczu. Zrobiło się tak ciemno, że bliskość wody rozpoznawał jedynie nozdrzami, a pałacu nie mógł przed sobą dojrzeć. Poblądziwszy w ciemności, wyszedł za most, między zabudowania folwarku. Nie spodzianie tuż obok niego rozległ się w mroku natarczywy głos:

— Kto idzie? Stój! Daj hasło?

Była to pierwsza pikietta obozowa. Dał hasło, parol — i został przepuszczony. Senny i nieswój szedł jeszcze drogą czas jakiś, gdy wtem posłyszał tętent i zgiełkliwe głosy od strony placówek. Nastawił ciekawie ucha. W tym rozstroju nocnym z chęcią usłyszałby zapowiedź jakiejkolwiek awantury. Zawiodły go jednak nadzieje: był to konny goniec z pismem do generała od pułkownika piątego pułku jazdy. Trafił on na wysuniętą wedetę i był prowadzony z ostrożnościami po groblach i około upustu przez żołnierzy podsłuchu do oficera, komenderującego placówką. Rafał poszedł za nimi zdala i słyszał całą sprawę. Kiedy goniec zlął z konia w pianach, dymiącego, schłastanego błotem, i ledwie wyprostował gnaty, dano znać do kwatery.

Za chwilę wołano już do generała. Rafał wsunął

się do pałacowego przedsionka, gdzie Sokolnicki w płaszczu czekał przy świeczce łojowej, przylepionej do krawędzi mozaikowego stoliczka. Skoro tylko oficer wszedł i wyciągnął się przed dowódcą, generał zażądał pisma. Przeczytał je od rzutu oka i zagadnął od dawcę:

— Czy byłeś waćpan pod Ostrówkiem?

— Tak jest, panie generale.

— Wczoraj?

— Wczoraj nad wieczorem.

— Z której strony: z naszej, czy z góry rzeki?

— Poszliśmy podjazdem wpoprzek traktu z Pogorzełi ku Kępie Warszawickiej, w górę rzeki. Zdała postrzegaliśmy łyżwy, wolno ciągnięte przez flisów linami na naszym brzegu. Kapitan mojego szwadronu dał rozkazy. Zaczailiśmy się w kępach łozy, i gdy chłopcy ku nam podeszli, wzięliśmy ich żywcem. Musieli wywlec łyżwy na brzeg. Każda z nich miała po pięciu ludzi obsługi.

— Ile ich było?

— Cztery. Miały długości po 18 stóp, a po 5 stóp szerokości. Były drewniane, obite blachą.

— Tak. Co zrobiliście z niemi?

— Zrąbaliśmy na drzazgi.

— Co dalej?

— Żołnierze i dwaj oficerowie, którzy na krypach konwojowali te mostołodzie, dali do nas kilka strzałów, ale zobaczywszy siłę, rzucili się ku tamtemu brzegowi i po piaskach wyszli na suszę.

— Czy nie udało się wam widzieć mostu?

— Mostu — nie. Szaniec widziałem.

— Widziałeś waćpan! Kiedy i jakim sposobem?

— Nad samym wieczorem wykonaliśmy rekonesans zarówno od strony Kosumców, jak i od Kępy Glinieckiej.

— Więc most budują naprzeciw Góry?

— Tak jest. Między Górą a Ostrówkiem.

— Ten Ostrówek leży w samej nizinie Wisły?

— W nizinie, ale na brzegu dość wysokim.

— Ten brzeg wysoki daleko być może od szyi szanica?

— Trudno mi powiedzieć...

— Czy nie wiesz waćpan, bo tego w liście nie znajduję, jaki może być *relief* przedpiersia tego szanica?

— Co do mnie... Nie mogę odpowiedzieć, panie generale...

— Czy to jest *rédi*an, barkan, czy *bonnet de prêtre*?

Oficer, nowozaciężny szlachcic, tęgi, widać, jeździec i szermierz, ale nowicyusz w rzeczy wojskowej, począł wykreślać ręką na powietrzu jakieś figury. Nie wiele z tego można było zrozumieć. Sokolnicki siadł przy stoliku i zaczął pośpiesznie pisać list do naczelnego wodza. Przerywał często pisanie i wolnymi krokami chodził tam i z powrotem. W pewnej chwili kazał Rafałowi z ułańskiego pułku wybrać kuryera, któryby natychmiast gnał do Okuniewa. Ledwie list skończył i dołączył do niego raport Turny, goniec był już gotów. Generał wyszedł do niego, sam obejrzał konia i broń. Za chwilę ułan z kopyta ruszył w drogę. Ciemno jeszcze było na dworze, mgła gęsta nad całą niziną otwocką, ale śniady brzask rozniecał się już nad lasami. Z obozu słyszał się komendy i pieśni. Wnet piechota wyciągnęła starym traktem na Otrowiec, So-

biekursk, Kępę Gliniecką ku Dziecinowu. Szedł na-
przód pluton saperów, dwie kompanie wołyżerskie
Weyssenhoffa i dwa szwadrony szóstego pułku jazdy.
Ten oddział tworzył czoło kolumny. Dalej maszerowały
kompanie fizylierskie dwunastego pułku, z artylerią
do niego przywiązaną. Dwie kompanie grenadyerów
i szwadron jazdy zamykały kolumnę.

Piąty pułk strzelców konnych pod dowództwem
Kazimierza Turny, już poprzedniego dnia szeroką sie-
cią rozciągnięty, przeniknął lasy w kierunku dróg na
Tabor, Podbiel, dotarł do Osiecka, Pogorzeli i War-
szewic. Ślady tego przejścia malowały się w opowia-
daniach pastuchów, chodzących za bydłem. Mówiono
wciąż o jakimś wojsku, które lasami powędrowało ku
rzece. Na odwieczarz mała armia ściągnęła do Dzieci-
nowa i stanęła obozem militarnym, zajmując trzydzieści
kilkę domów i błonie za wsią. Zdawało się być wie-
życzkę drewnianego kościołka w Ostrówku i kępy drzew
otaczające kilkanaście chat tej wioski. Za nią, od strony
Kępy Glinieckiej, w niewielkiej odległości od brzegu
rzecznego, rudziały surowe linie szańca. Sokolnicki
wziawszy ze sobą kilku oficerów, wyjechał ze wsi i pu-
ścił się na oględziny miejsca.

— Jeszcze go nie zdążyli darnią odziać... To do-
bra wróżba... — mruknął do siebie.

Jechał zwolna, trzymając lunetę przy oczach. Kiedy
na chwilę odjął szkła, rzekł do towarzyszków:

— Miał Turno rację. Nie widzę palisad przy
skarpie. Chybaby je bili przy przeciwskałkach, żeby
nam utrudnić wyrąbanie. Może zresztą biorą teraz wil-
cze doły w rowach i w nie pale biją. Zobaczymy...

Ruszyli cwałem po błoni, zaśłanem cudną trawą. Wieś Ostrówek oddaliła im się w oczach od Wisły i szaniec ostrym dziobem wysunął się w pole ku Glin-
kom. Generał powstrzymał swego konia i gołem okiem mierzył przedpiersia. Szyja mu się wtedy wyciągnęła, nos zaostrzył, ścięły usta, a oczy miały ogień. Miał w sobie coś z drapieżnego ptaka.

— Barkanik... — szepnął z szyderskim uśmiechem.

Zamilkł i znowu rył nasypy ziemi pociskami krwawych oczu.

Długo to trwało. Oficerowie, wyprostowani na swych siedłach, bez ruchu czekali. Rzekł, odwracając się do nich:

— Mogą mieć wewnątrz naprędce zrobiony blokhaus. Wtedy trzeba będzie kłaść się pod nim stosami trupów, jak 1807 roku pod Gdańskiem...

Rafał, słysząc te słowa, ujrzał blokhaus pod Gdańskiem i twarz majora de With, ale z taką obojętnością, jakby mu się wspomniał sztych kolorowany, wyobrażający tę scenę.

— Oni tymczasem — ciągnął generał — mogliby most kończyć.

Zwrócił znowu szkła na szaniec i gwarzył do siebie:

— Kąt narożnikowy ma z dziewięćdziesiąt stopni. Czoła długie, barki mocne kryją. Musimy ten szaniec im wydrzeć i most zniszczyć, chociażby nas to miało dyabło kosztować. Jeśli tego dziś nie zrobimy, jutro most skończą, przejdą na naszą stronę, otoczą nas i rozdepcą na miazgę. Rów nie broniony, bez palisad, stoki bez darni. Jak wiadomo, wycinki przed narożnikiem frontowym i przed narożnikami ramiennymi ogo-

łoczone są z ognia. Powinno nam ludzi wystarczyć. Jeśli most nie jest skończony, to nie może być w tym baranie więcej nad jeden pułk. Dziś mamy drugi maja. Życie musimy postawić na kartę, żeby dzień jutrzejszy święcić na szczycie tego szanca.

— Dziś tedy w nocy... — rzekł ktoś z boku.

— Proszę o milczenie aż do chwili rozkazu... — rzekł dowódca, nie odwracając głowy. — Sądziłem, że ujrzymy przed sobą linijkę dwuramienników, albo biret. Mieli przecie czas i ludzi, w swoim są państwie...

Zwrócił konia i pomknął z towarzyszami ku Glin-
kom, a nawet ku Kępie Glinieckiej. Zmrok zapadał. Krwawa łuna świeciła na wodzie Wisły, widocznej zdala. W tem świetle, jak na dłoni, widać było setki ludzi, pracujących około szanca z taczkami, wycinających rzezakami darnię, zatrudnionych przy okolceniach spadków i, jak białe mrówki, rojących się w fosach. Przez chwilę wszyscy w milczeniu przypatrywali się temu obrazowi i odczuwali ścisnienie serca na widok tego ludu, który nastawiał rodzinną ziemię przeciwko rodakom.

Powracając do obozu, generał powziął wiadomość, że ujęto kilkadziesiąt wozów z konwojem służby leśnej, wiozących z poręb obrobione pale, dyle, deski, żerdzie. Byli to chłopcy z Kępy Glinieckiej. Z niemałą radością otrzymali pozwolenie składania łupu na stos i umykali do domów ze sprzężajem. Sokolnicki kazał zatrzymać forsterów i gajowych i polecił badać ich w kwestyi szanca. Niewiele powziął wiadomości ponad to, co sam wiedział, gdyż furmanki zatrzymywały się przed krytymi drogami szanca i tam składały budulec.

Miał siadać w chłopskiej chacie do wieczery,

a wojsko już ją spożywało, kiedy od wart dano znać, że nadjeżdża wyższy oficer z kwatery głównej. Sokolnicki wyszedł naprzeciw i spostrzegł Pelletier'a. Francuz był stłuczony na siodle, gdyż bez odpoczynku pędził z kompanią jazdy wprost z Okuniewa, ale jeszcze stopy nie postawił na ziemi, a już pytał:

— Czy zaczynamy?

— Naturalnie.

— A szaniec?

— Widziałem. To luneta.

— A most?

— Mam wszelkie szanse, że nie jest skończony.

— No, to dawajcie co do jedzenia. Mam rozkaz

wodza...

— Trzymania mię za poły...

— Rozumie się.

— Ale my idziemy razem?

— Rozumie się.

Pelletier rzucił się na koguta, wychudłego na przednówku w kątach pańszczyźnianego podwórka, którego upitraził naprędce kucharz generała brygady. W trakcie łamania gnatów kura zębami rzucał półprawy pół-pytania:

— Posłaćby parlamentarza z żądaniem poddania szanica?

— Po co? na co?

— Żeby zobaczyć, czy most skończony.

— Jakże on to zobaczy?

— Może zmiarkować z byle czego. Musimy działać ostrożnie. Wódz miał wiadomość z Warszawy, że dwanaście tysięcy Austryaków gdzieś przeszło Wisłę.

— Jeżeli ją przeszli, to tak daleko, że dziś mię we dwa ognie nie wezmą.

— Most, most!

— Cztery pontony wzięte.

— Posłałbym parlamentarza... Nic na tem nie stracimy, jeśli się akcja o godzinę opóźni.

Sokolnicki rozmyślał przez chwilę, a później kazał wezwać do siebie kapitana Siemiątkowskiego. Gdy ten stanął przed nim, ujął go pod rękę i zaczął w ciemności chodzić po drodze tam i z powrotem, o czemś go pouczając.

Wkrótce kapitan znikł w mroku. Upłynął od tej chwili może kwadrans czasu, kiedy w nizinie Powiśla dał się słyszeć głos dwu bębnow, bijących bez przerwy. Głos ten leciał do obozu po rosie, ale się szybko od niego oddalał. Pelletier kończył właśnie swą ucztę, gdy usłyszał takt pierwszy. Podniósł tedy głowę, skinął oczyma i rzekł:

— Dziękuję.

Później zapatrzył się w płomień świecy. Sokolnicki wyszedł z izby, gdzie mieszkał, i wkroczył między szeregi. Żołnierze spoczywali jeszcze, ale, słysząc łoskot bębnow, bijących w ciemności, czuli, że to ich do boju wzywa ten srogi głos.

Milczenie legło na obóz, jak ciemna noc. Każdy człowiek spojrzał przez ciemność i przez milczenie w życie swoje, w dalekie miejsca rodzinne. Głuchy żal i ciężki smutek wszystkie ku ziemi nachylił głowy. Generał szedł między szeregi, tak samo milczący, jak oni wszyscy, tak samo ze zwieszoną głową. I w jego sercu odbił się łoskot bębnow, jak dźwięk brył ziemi,

lecących na trumnę. Coraz ciszej, coraz ciszej, coraz ciszej...

Wtem od jednego razu łoskot zamilkł.

Sokolnicki odwrócił się twarzą w stronę Ostrówka. Patrzył w mrok i czekał. Tak samo dzwignął głowę naród wojska. Krew odpłynęła od serc i na swój posterunek wróciło codzienne męstwo.

We wszystkich wsiach okolicznych było ciemno. Ani jednego światłka! Dopiero nieskończenie daleko, gdzieś za Wisłą tliły się światła zamglone i długimi iglicami odbijały w wodzie. Około godziny dziesiątej dały się słyszeć głosy nadciągającego pułku Sierawskiego.

Pułk ten stanął obozem, ale pod bronią. Wykomenderowane były straże i łańcuch podsłuchów wyciągnięty. Każda kompania wyznaczyła czwartą część swoich ludzi do wsi okolicznych po drzewo, słomę i wodę, ale tymczasem wstrzymywano ich wyjście. Całkowite trzy bataliony musiały spocząć z bronią w ręku. Za pułkiem ciągnęły dwie podwozy, zajęte pod medykamenty i chirurgi. Lekkich armat Sołtyka, zapowiedzianych przez generała Pelletier'a, nie było widać. Minęła godzina dziesiąta, kwadrans, pół godziny, trzy kwadransy wreszcie jedenasta. Sokolnicki chodził, jak sztyldwach, na końcu wsi. Gdy przy świetle zatlonej hubki zobaczył godzinę na zegarku, raptownie zmobilizował swą małą armię. Przybyły pułk Sierawskiego wysunął za wieś i rozdzielił na trzy części. Batalion Bogusławskiego, pierwszy, postawił na lewym skrzydle; batalion drugi pod Sierawskim wyprawił w stronę Gliniek, a po środku umieścił batalion Blumera za wsią

Ostrówek. Miała to być pierwsza linia. W drugiej uszykował się pułk Weyssenhoffa z czterema armatami polowemi. Piąty pułk strzelców konnych, ściągnięty sztafetami na miejsce, rozpostarł się, jak włók, i miał postępować za infanterją dla obsaczenia szanca. Te przygotowania zajęły z górą godzinę czasu. Było po północy, kiedy nareszcie rozległy się daleko głosy bębnow. Zrazu zdawało się, że biją wciąż w tem samem miejscu, ale wkrótce wojsko rozróżniło zbliżanie się ich dwugłosu. Było tak ciemno, że wracający kapitan Siemiatkowski wpadł na pierwsze sekcy Bogusławskiego. Natychmiast stawiono go przed generałami.

— A więc? — zapytał Sokolnicki po francusku, macając ręką w ciemności szlifę parlamentarza.

— Zażądałem, generale, w twojem imieniu podania szanca.

— Odmowa?

— Tak jest.

— Z kim mówiłeś?

— Z dowódcą pułku imienia Latour-Baillet, pułkownikiem Czerwinkiem.

— Jakiś Czech-pobratymiec?

— Zapewne. Mówiłem z nim po francusku.

— Opowiedz ze szczegółami.

— Kiedy zbliżyliśmy się do szanca, na głos naszych bębnow wyszedł i otoczył nas oddział pieszy. Doboszów zostawiono w polu pod silną strażą, a mnie oficer dowodzący zawiązał oczy i pod strażą zaprowadził w przykopy.

— Jakie było wejście? czy po skoku kurtyny?

— Nie. Ile wnosić mogę, siedłem przez otwór

w przedpiersiu, zastawiony z wnętrza poprzecznicą. Rękoma dotknętem baryery. Szyldwach nas przepuszczał.

— Cóż dalej?

— Prowadzono mię umyślnie to tu, to tam, żeby mi w głowie zamącić. Wyprowadzony zostałem z przeciwnnej strony.

— Tak samo przez otwór, czy może przechodziłeś waćpan ławę dla działa?

— Nie.

— Dalej.

— Skoro rozwiązano mi oczy, byłem w namiocie. Stał przede mną tęgi starszy oficer. Był to właśnie pułkownik Czerwinek. Wyłożyłem mu twoje, generale zlecenie po francusku, a kiedy zaczął do mnie mówić po niemiecku, odparłem, że nie rozumiem ani jednego wyrazu. Kilkakroć usiłował zagadnąć jeszcze po niemiecku, ale robiłem wówczas jak najgłupszą minę i powtarzałem z naciskiem, że nie rozumiem. Wtedy zaczął łamaną francuszczyzną podrwiwać sobie z naszego żądania, mówił mi o nadzwyczajnej wielkości szanca, o jego budowie, nieznanej nam wcale. Słyszałem nieustający huk siekier i młotów. Kończą, widać, most z nadzwyczajną forszą. W pewnej chwili pułkownik rzekł nieznacznie do podkomendnego oficera po niemiecku, żeby między kryptami wybrać łódkę niewielką dla pięciu żołnierzy i oficera, który powiezie raport do Góry. Wtedy już wiedziałem, że mostu całego niema, skoro muszą do Kalwaryi przeprawiać się łodzią.

Sokolnicki ścisnął mówiącego za ramię i coś mruknął na jego pochwałę.

— Pojechali tedy do Góry Łódką, a ja siedziałem w owym namiocie. Pułkownik bawił mię rozmową. Chwalił Warszawę. Wkrótce potem przyszło do tego namiotu kilkunastu oficerów. Wszyscy mówili po francusku nie tylko ze mną, ale i między sobą. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że i ze zwierzchnikami swoimi również po francusku się porozumiewają, a po niemiecku wcale nie umieją. Są to ludzie wykwintni, robią wrażenie panów, przebranych za oficerów. Wdali się ze mną w rozmowę. Skoro tylko zacząłem się przysłuchiwać głosom pracy w szańcu, podnosili umyślnie rozmaite kwestye i tworzyli hałas, żeby zmącić moje wrażenia. Słyszałem jednak, że w szańcu i za jego szyją wre robota ciesielska. Po jedenastej dopiero posłany oficer wrócił z rozkazem na piśmie. Pułkownik Czerwinek przeczytał je i rzekł mi, że powierzonego posterunku potrafi bronić do ostatka. Grono owych oficerów, których mam za jakichś cudzoziemców, przyjęło jego decyzję okrzykami. Śmieli się szyderczo, kiedy mię wyprowadzono. Znalazłem się znowu między mymi doboszami. Warta nas odprowadziła o jakie dwa tysiące kroków.

— Dzielnieś się waćpan sprawił... — rzekł pośpiesznie Sokolnicki.

Zaraz wykręcił się i wezwał do siebie pułkownika Sierawskiego. Za chwilę szef lewego, czyli pierwszego batalionu cicho zakomenderował:

— Pierwszy batalion — naprzód, do boju! Marsz!

— Drugi batalion!

— Trzeci batalion! — brzmiały komendy w ciemności.

Pułek ruszył w nizinę z trzech stron wsi Ostrówka

i bez szelestu prawie, podwójnym krokiem zdązał w mroku.

O kilkadziesiąt kroków za kolumną Sierawskiego jechał na koniu Sokolnicki. Rafał widział przed sobą jego czarną, pochyloną figurę, ledwo wynurzającą się z nocy. Za sobą słyszał jękliwy, szelestny w płytkich wodach krok koni, świst kół armatnich, rznących mokrą ziemię. Gdzieś w głębi miał za sobą pochód pułku Weyssenhoffa. W pewnej chwili generał skierował swego konia na prawo i wraz z Rafałem pojechał za prawem skrzydłem batalionu prawego, który wciskał się w przestrzeń między Kępą Gliniecką a Ostrówkiem.

Chłód powiał od blizkiej rzeki. Usłyszeli w ciemności wyraźny łoskot siekier i młotów na rzece. Wparłszy w mrok oczy, ujrzeli poprzez łoży ostre płomyki światła, lśniące na wodzie. Generał wstrzymał konia i szepnął do Rafała:

— Czy widzisz szaniec?

Olbromski rozpoznawał go już oddawna na tle bardzo słabej łuny światła, wychodzącego z za przedpiersiów i ramion barkanu. Wskazał wodzowi linię na horyzoncie.

Natarli końmi na szeregi żołnierzy i w najgłębszej ciszy, powstrzymując oddech, skradali się dalej. Wkrótce szaniec począł czarną linią wyrastać przed nimi. Jeszcze chwila i dał się słyszeć szmer, zbiorowe słowo, podobne do szumu wiatru:

— Rowy...

Sokolnicki zatrzymał konia i rzekł do Rafała:

— Stój przy mnie.

Słychać było, jak wiatr szeleszcze w zaroślach

nadwodnych, dalekie echa rozmów ludzi, pracujących na moście... Rafał był znużony poprzednią bezsennością i całodziennym marszem. Miał słuch bardzo wyczulony i pewien w sobie obmierzły niepokój. Zdawało mu się chwilami, że jeszcze błądzi w parku otwockim i marzy o zmarłych. Ale nie wiedział prawie, o kim myśli i kogo wspomina. Oto zdala, zdala, z za Wisły doleciał wrzask austriackich placówek: *Wer da!* Głos ten wiał nad wodą, znikał w nocy, tonął w sercu ścierpłym, pełnem gniewu i zemsty:

— Och, żeby prędzej!

Szeleszczą łązy, świszczą na wietrze, jakoby bąbyle na dawnym cmentarzu, w rodzinnych stronach Wargi, nie wiedząc, poszeptują:

— Wieczny odpoczynek...

Wtem z przeraźliwym łoskotem runął werbel doboszów całego pułku, zgromadzonych przy trzecim batalionie, który przedostawszy się przez wieś Ostrówek, stanął już pod kątem narożnikowym szanca.

— Hura! — ryknął batalion Blumera.

— Na szaniec! — zakomenderował Sokolnicki.

Sam zsiadł z konia i, prowadząc go za uzdę, doszedł aż do rowu. Wojsko zginęło im z oczu. Słyszeli salwy strzałów z narożników i czoł szanca, bijące w napastniczy batalion tyralierski, który wciąż krzyczał, bił w bębny i strzelał. Jak ciemna fala, nadpłynęła z tyłu część pułku Weyssenhoffa. Sokolnicki zatrzymał jednego żołnierza z linii i kazał mu pilnować swego konia. Sam stanął w szeregu między żołnierzami i ruszył naprzód. Olbromski dotrzymywał mu kroku. Wpadli po ciemku w przedrów, na sześć stóp głęboki, walili się w doły,

grzęźli w rozmiękłych kupach ziemi, która wraz z nimi zjeżdżała w jakieś dziury, najeżone palami, w trójgran zaciosanymi.

— Co tchu naprzód! — wołał ktoś w ciemności. — Tu mogą być pozakładane *fugassy*, miny prochowe...

Żołnierze czołgali się po glinie i zarabiali w niej do pasa. W pewnem miejscu leżały wkopane w stok szańca zasięki z drzew, ściętych u samego odziemka, i wszystkiemi gałęziami w dół zwrócone. Były to jakby potworne łapy i pazury, spychające w jamy na dole, włożące między żebra, gotowe do chwytania za gardziel. Kiedy zdeptali gałęzie i wdarli się nad nie, uderzyli pierściami w krótkie kołki ostro zaciosane. Ale nareszcie pokonali i te szykany. Usłyszeli przed sobą wrzawę, łoskot broni, przeraźliwe krzyki, klątwy i jęki. W pewnej chwili Olbromski znalazł się wraz z innymi na wierzchołku szańca. W słabem świetle latarni płonących niżej ujrzał śmiertelny bój. Bagnety w siwym blasku migotały. Ludzie skłębili się w bezkształtną masę. Obadwa bataliony Sierawskiego walczyły już w głębi szańca. Austriacy stali oparci o jakąś niską, drewnianą budowlę. Przebiegając obok lawetowego działka, stojącego na barbecie, ujrzano kanoniera austriackiego, jak młotem wbijał ogromny bretnal w zapal, a za chwilę począł bić stemplem wewnątrz kanału w celu zagięcia szpica bretnala i zagwożdżenia działka. Rafałowi wydała się tak podłą ta jego czynność, że skoczył ku niemu ze szpadą. Tamten podniósł głowę i w świetle latarni Olbromski ujrzał twarz jakby natchnioną, pełną świętej grozy i unie-

sienia. Szpada jego rozszarpała mundur Austryaka. W tej samej chwili tłum nadbiegających piechurów Weyssenhoffa roztrząsł kanoniera na bagnietach, rozwalil mu głowę, przebił piersi, brzuch, boki, plecy... Rafał poskoczył ku miejscu bitwy pod barakami. Zwarty, podwójny, a za chwilę potrójny szereg żgał Austryaków bagnietem. Bronili się po bohatersku. Formując trójkąt, oparty o budynek podstawą, działali z szaloną furią. Natarcia niewprawnych rekrutów polskich niweczyli potężną sztuką i kładli ich pokotem, wałem, jak szaniec między sobą a nowymi szeregami napastujących. Żołnierze polscy, patrząc na ów trójkąt niezwalczony, poczęli stronić od tego miejsca. Właśnie zjawił się w szanicy generał Pelletier. Długo stał bezczynnie, wpatrując się w walczących. Sokolnicki spostrzegł, że część pułku Sierawskiego cofa się ku szyi szanicy. Zwołał tedy ludzi i biegł z nimi na tamtych. Pelletier poskoczył ku niemu i rzekł, wskazując na męźnych:

— Weź ich żywcem generale...

— Czemuż to żywcem?

— To moi rodacy, emigranci, nieprzejednani...

— Cóż oni tu robią?

— Protestują przeciwko straceniu ostatniego Kapeta.

Szary przedświt rozniecił się i dał widzieć obraz morderczej bitwy. Klin arystokratów francuskich topniał pod bagnietami Maćków polskich, ale i ostatni z walczących zachowali zimną krew i niezłomne bohaterstwo. Jakiś ich oficer ze wzgardą w skrzywionych ustach komenderował po francusku, dopóki nie

runął pod ciosami. Zalany krwią, zawalony umierającymi szaniec został zdobyty. Dwa tysiące jeńców złożyły broń. Generał Schaueroth umknął na krypie do Góry, żeby stamtąd bić ze wszystkich armat w zdobywców pod Ostrówkiem.

W STARYM DWORZE.

Kiedy w pierwszych dniach czerwca generał Schau-
roth przeszedł z lewego na prawy brzeg Wisły pod
Połańcem, oraz pod Niekuszą, Rafał Olbromski znajdo-
wał się przypadkowo w tłumie oficerów sztabu księcia
Poniatowskiego. Był wysłany przez generała Sokolnic-
kiego ze szczegółowym raportem o wyprawie kawale-
ryjskiej pod Różki, o działaniach w polu na północ od
Sandomierza pod folwarkiem Kruków i pod Mąkoszynem.

Dnia dziewiątego czerwca nastąpiła potyczka pod
Mielcem. Wojska księcia Józefa musiały cofnąć się wobec
przemagających sił Austryaków i przekroczyć Wisłokę.
Rzeka ta, dobrze Rafałowi znana, wyschła była teraz
zupełnie i nie mogła stanowić przeszkody w przeprawie
nieprzyjaciela. Rzucano też pośpiesznie wydłużoną smugę
jej piachu i kamieni.

Było południe chimurnego dnia, kiedy tłum ele-
gantów sztabowych, w którym znajdował się Rafał, wy-
jechał z lasów nadbrzeżnych, w półkrąg otaczających
Stokłosy. Dalekie krajobrazy leśne już niebieściały pod

pogodę, choć pasma najbliższe wciąż jeszcze nasyczone były wilgotnym, granatowym tumanem. Cała ziemia, odziana we zboża, stała się mokra i miększa od fali. W brózdach lśniła jeszcze zmulona woda. Wąskie, polne drogi, które innego dnia ledwieby oko wytropić zdołało między łanami zbóż, srebrzyły się teraz od pasmugów zlewnej wody. Deszcz ustał. Obłoki bure, pełne w sobie białych jam i dołów, ciężko zwisając, wlokły się stronami. Głębokie, stubarwne, przemokłe trawy łąk zanosły się po tym deszczu od kwiatów.

Gromadka oficerska jechała, gwarząc o wypadkach dnia. Rafał, niewiele tutaj znający osób i nie mający udziału w akcji, ani żadnego określonego charakteru po załatwieniu zlecenia, kłusował obojętnie z boku drogi. Ujrzał zdala Stokłosy... Ponieważ tam być nie mógł, przepatrywał jeno zmiany w zasiewach pól, w koronach drzew, w barwach płotów i dachów. Na zakręcie drogi, pod wzgórkim, zdało mu się rzucić okiem na prawo — i oto ujrzał tuż tuż samego, we własnej osobie Szczepana Trepkę. »Pan poseł« jechał na koniu pełną drożyną-miedzą ku gościńcowi. Koń pod nim stał właściwie na miejscu, o tyle tylko przebierając nogami, żeby się wydawało, jako jeździec nie patrzy beczynnienie, jako za swoją dąży sprawą. Rafał znał doskonale ów wyraz twarzy zubożniały, półsmutny, półszydlerczy i owo niby to tępe gapiostwo prostaka... Serce w nim uderzyło na widok zgarbionej figury w zgrzebnym kitlu, w grubych butach, na widok twarzy szarej, zestarzałej, surowej i smutnej. Nie wytrzymał. Pchnął konia ostrogami przez szeroki rów, w młode zboże, pod wzgórek. Sadząc skokami, zaśpiewał przejmująco, z serca:

»Ledwie twoje spotkam oczy,
Nim postrzegę, żem widziany,
Już się na bok wzrok twój toczy
I martwe przebiega ściany...«

Trepka wsadził głowę jeszcze bardziej w ramiona i wstrzymał konia. Patrzył z podełba. Nawet poznawszy już w oficerze towarzysza, nie zmienił wyrazu twarzy. Ukłonił mu się kapeluszną z wyrazem pokornej a chytrej grzeczności.

— Pan poseł nie poznaje, widzę, starych przyjaciół!...

— Ale gdzie tam... ale gdzie tam... — mamrotał Trepka z uprzejmem, z uniżonem pochlebstwem.

— Przecie to widać...

— Krótki mam wzrok, nie mogę dojrzeć odrazu.

— Na wzwiady pan poseł wyjeżdżasz, siły narodowe z za żyta lustrujesz... Kto cię wie?... Z nieprzyjacielem może trzymasz...

— Cicho-no, cicho, mości Olbromski... kapitanie...

— Czemuż to cicho ma być porucznik Olbromski?

— Głośno krzykniesz, poruczniku, i pojedziesz na bystrym koniu... A mnie tu mogą powiesić... W tropy twoje przyjdzie na tę samą miedzę jużci ten nieprzyjaciół. Ja zaś nie mogę od niego uciec na bystrym koniu. Muszę, widzisz, pozostać.

— A przyjdzie ten nieprzyjaciół do ciebie, przyjdzie i to niezadługo.

— Widzisz — ha! Przyjdzie...

— Ależ cię przecie nie zjedzą!

— Zjeść nie zjedzą, ale z dymem puścić mogą dwór, gumno, chałupy...

— Wiecznie się strachasz o to, co być może...

— Wiecznie się stracham...

— Istne się z ciebie strachajło zrobiło, panie pośle!

— Bardzo mię za młodu, widzisz, strasz yli, to też na starość jakby znalazł. Nie jedn egom stracha za życia widział, piękny wojaku... I taki teraz tchórz ze mnie.

— A toż nie doda ci ducha? Stary przyjacielu, patrzaj-no!

Z lasu wszystkimi, zda się, jego międzydrzewnymi przestworami wypływać poczęło wojsko siły odwodowej księcia. Piechota szła szybko, sfornym marszem w bród trawami łąk, w pas zbożami pól. Szeroką drogą migotliwie sunął wąż konnicy. Grały na słońcu barwy wielorakie, a splótłszy się z kolorami pól, tworzyły obraz zachwycający. Trepka stał na koniu prawie na szczycie wzgórk a i patrzył w owo cudnobarwne zdarzenie. Rafał na mocy starego przyzwyczajenia nie ważył się przerywać jego zadumy. Wspomni ał sobie, jak to jesienią przed laty patrzali na inny pochód. Chciał wcisnąć między myśli przyjaciela słowo przypomnienia o tamtej chwili, słowo żywiącej otuchy. Trepka przeczuł niejako jego zamiar. Uśmiechnął się gorzko, gorzko, gorzko. Pokiwa ł głową... Zapytał nagle:

— To i Sandomierz oddacie, czy jak?

— Jakto oddamy?!—wrzasnął na niego grubiańsko młody. — Żeby kije z nieba leciały, żeby w kupę gruzów miało się zapaść całe miasto! Jednej cegły nie da im darmo Sokolnicki! Aby on nie da! Wziął garścią swoją, zdobył i garścią zatrzyma!

— Pewnie, że należałoby trzymać to to aż do skutku... Miejsce bogate. »Bram cztery ułomki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki...«

Rafała przeszył do szpiku kości gniew. Teraz poczuł, jak innym już jest człowiekiem, jak się wyzwolił z libertyńskich formułek myślenia tego dziwaka. Czuł, że ma wyobrażenie całości, kiedy ten wciąż się zajmuje ulubionym sobie ułamkiem. Walki, widziane pod murami Sandomierza, szturm, bombardowanie własnymi armatami starych kościołów, prace ziemne po zdobyciu miasta — wszystko to, jak wielki skarb duszy, ukazało mu się odrazu. Zamilkł i razem z Trepką ruszył cwałem za oficerskim orszakiem, który zmierzał w stronę Olszyny.

— Czyż to do Olszyny jedziemy? — spytał po drodze.

— Pono. Spotkałem tu w polu konnego, który leciał do miasteczka po sprawunki. We dworze, u starego Cedry księżę dowódcę stanął kwaterą... No, chwilowo, bo *periculum in mora*. Obiad stary Cedro wydaje dla sztabu. Aby jeno między pieczysem a leguminą dyabli Schaurotha nie nadali w czarno-żółtym sosie! Powinieneś być na tej uczcie, mości poruczniku. Po pańsku występuje stary. Chce się pokazać, choć łydki pod nim pewnie drżą, choć grubo ryzykuje...

— Jedziesz tam przecie?

— Jadę, jako domowy jegomości pana Cedry...

Spojrzał dawnymi, drwiącemi oczyma, zaśmiał się w głos rubasznie:

— Na miły Bóg! — oficer z ciebie najsroźszego kalibru, Olbromski Rafale! Co za koń! co za statura! Wyglancowali cię, wyszwarcowali... Nie byłeś dawniej taki szczwany... Daleko zajedziesz! No to i dobrze.

— A cóż waszmość myślisz? Obadwaj my z Krzysz-

tofem na ludzi wyszli. Światem rządźmy! zamiast tu z wami wśród kup nawozu rządy sprawować...

Ledwie inię Krzysztofa padło, stary Trepka zmarszczył się i zmarniał w sobie. Stał się z niego w krótkiej chwili zgrzybiały safandula. Jechał na swym wierzchowcu zgarbiony z obwisłemi rękoma.

— Krzysztofa powiadasz?...

Machnął prętem w powietrzu raz, drugi. Wskazał nim coś w polu. Potem w drugiej stronie, a gdy odwrócił się ku towarzyszowi, ukazał mu twarz niemal zdziecinniałą.

— Niema Krzysia... — wypowiedział zcicha, jak gdyby sekret żałosny.

— No, tu go niema, bo jest we świecie. Wojuje.

— Wojuje...

— Mielście też od niego jakie wieści?

— Pisał z Paryża listek jeden, a potem nic już, ani słowa. Przysłali tu gazetę francuską z wiadomością, że pułk jego w Hiszpanii. I tyle wiemy...

Wjechali w szeroką brzozową aleję, prowadzącą do dworu. Stare pnie, spodem czarne, wyżej śnieżno-białe, pręgowane, jak marmur, nasunęły się przed oczy, niby wierzeje gościnnie rozwarłe, niby sienie. Prawie niepochwytne szum zwieszonych liści wieścił dumę o tem, czego nic nie wyjawia, krom niego, o uczuciach minionych. Ujechali już kilkaset kroków tą aleją w milczeniu.

Rafał obejrzał się poza siebie... Miał złudzenie, półzłudzenie, niejasną sensacyę cielesną, że zdala ktoś jeszcze pędzi na koniu w cwał...

Nie chciałby tego przed sobą wyznać, że ma na myśli Krzysztofa. Było mu przykro i obmierzłe tem się

zajmować. Wylot alei, jakoby okno półokrągłe u góry, otwierał się w pola rozległe. Ciemniejaca w łąkach wielkim płatem pszenica tworzyła tam obraz niezrównany. Zaczęli, chcąc nie chcąc, przebąkiwać o zbożu, o urodzajach, o deszczach i, rozprawiając, jak dwaj hreczko-sieje, sąsiadujący o miedzę, których nie zgoła oprócz urodzaju wsianego zboża nie obchodzi, wjechali na dziedziniec dworski. Jakże się zmienił! Pełen był koni pod siodłem wojennem, zlekka tylko odpopręgowanych, pełen żołnierzy, obiadowanych po kątach z pośpiechem, pełen żołdeckiego krzyku. Okna we dworze pootwierane, drzwi na ganek szeroko rozwarte... Słuchać było muzykę, śpiew, oklaski. Służba lokajska i żołnierze ordynansowi wbiegali i wybiegali ze dworu.

Obiad, naprędce podany dla księcia i jego świty, już się był skończył. Wódz z kilku generałami był w ogrodowej altanie, gdzie toczono jakąś naradę. Młodzi oficerowie napełnili wielki salon i przyległe pokoiki. Kiedy Trepka, prowadząc pod rękę Rafała, wchodził na ganek, ozwały się znowu tony starego pantaleonu. Pan poseł puścił towarzysza do salonu, a sam na palcach przeszedł sionkami wpoprzek dworu na taras, z którego zstępowało się do ogrodu. Odchodząc z pośpiechem, wskazywał gościom swój kostium arcy gospodarski i srodze zachlapane buty. Rafał wsunął się do salonu. Powiedział oczyma po zgromadzonych.

Jeden z młodszych oficerków grał. Panna Mery stała obok instrumentu. To samo pochylenie głowy, ten sam wyraz twarzy. Oczy przymknięte... Podniosła głowę i zaczęła śpiewać:

*»La nuit tomboit dans prairie,
L'Echo dormoit dans le vallon,
Près du ruisseau chantoit Amélie...«*

Nie było to śpiewanie podlotka, które był słyszał przed laty, lecz piękny głos młodej, zażywej i silnej kobiety. Powiodła uroczemi oczyma po zgromadzeniu mężczyzn. Widać było radość życia, siłę serca i żądzę szczęścia we wzroku tym, słyszać ją było w śpiewie. Ta pieśń skarżyła się przed całym pokrewnym światem młodości, jakoby przed sądem przenikliwym, znającym istotę rzeczy i pełnym sprawiedliwości, na pustkę i smutek tego domu, na gorycz lat młodych a samotnych. Skarżyła się nie słowem, lecz dźwiękiem samym, szeregiem przedziwnych, muzycznych akcentów, a całe grono młodzieńcze słuchało jej w skupieniu ducha. Ani jeden ze słuchaczy nie został obojętny na te przejmujące skargi, na te samotne głosy i okrzyki. Ale oto coś zadrzało w melodii tej piosenki, zakołysały się tony od najwyższego uniesienia... Rafał podniósł oczy i ujrzał wbite w siebie dwie brylantowe strzały oczu panny Mery. Uczuł z rozkoszą, że to jego właśnie wita i pozdrawia dawna piosenka tem najwyższem uniesieniem... Uśmiech radości, woniejący blask szczęścia kwitł na ustach śpiewaczki.

W chwilę potem zdarzyło się Rafałowi spojrzeć na prawo. Tam, wśród kilku najwykwintniejszych socyuszów księcia, siedział stary pan Cedro. Nie zmieniły go prawie lata ubiegłe. Ta sama piękna starcza twarz, ten sam wykwintny ruch głowy, ułożenie rąk i nóg. Siedział w fotelu z wdziękiem lekkiego dandysa, uśmiechał się tkliwie, lub łąskawie, sztywnie i foremnie trzymał korpus

i nogi. Spojrzenie, zarazem pobłażliwe i wyniosłe, padało na gości z pańskich oczu. Ale oto przy dźwiękach radosnych piosenki, gdy wszystkie westchnienia młodości jej szlakiem uleciały, stare wargi zaczęły się rozciągać wszerek, jak guma rozdartej piłki, nos zetknął się prawie ze śpiczastą brodą, powieki zwisły i nabiegły krwią. Nie drgnęły ręce, ozdobnie złożone na poręczach, nie poruszyły się skrzyżowane nogi, tylko z pod powiek zaczęły kapać na kolana łyzy piołunowe, wielkie krople żałości. Nikt na nie uwagi nie zwrócił, prócz Rafała. Po skończeniu śpiewu rozległy się frenetyczne oklaski i prośby o nową piosenkę. Kiedy panna Mery, na pozór wzdragając się i wymawiając, szukała nut w tece, stary pan Cedro wysunął się z tłumu.

Szedł omackiem, grzecznie uśmiechnięty, nikogo nie widząc. Przemknął się wśród zgromadzonych z ukłonami na prawo i lewo, nie wiedzieć do kogo skierowanymi, i wyszedł na taras ogrodowy. Tam zatoczył się bezwładnie na ławkę. Podniósł oczy i spostrzegł siedzącego Trepkę.

— Ach, to waćpan!... — wysyczał ze wściekłością, z nienawiścią, przebijającą, jak pchnięcie nożem w serce.

— Jużci ja...

— Dziecko mi zabrałeś! Zgubiłeś mi mędrkowaniem syna!

— Uspokój się, panie, uspokój.

— Tylu ich tu przyjechało, tylu naszło! Pełen dom... Zdrowi, rumiani, weseli. A jego niemasz! Krzysia niema... Kazałem ich wszystkich godnie przyjąć na jego cześć, ale cóż mi z tego?... Krzysia niema...

— Przyjdzie i on.

Starzec podniósł oczy splakane. Pokorne pytanie, jakoby ubogiego chłopca, który się doprasza łaski, słowa — odpowiedzi od możnego dziedzica, od jaśnie pana, wypełzło z warg:

— Kiedyż przyjedzie?

— Przyjdzie taki czas, nadejdzie taki dzień, schyli się ku nam taka błogosławiona godzina, że przyjedzie niespodziewanie, czerstwy i wesół.

— Skądże to wiesz?

— Tylu ich idzie na wojnę i tylu wraca... Czemużby on, najlepszy z pomiędzy wszystkich, nie miał powrócić?

— Tyle wiesz! Jużem to sobie tysiąc tysięcy razy mówił i przegadywał po nocach, jużem w siebie stokroć wmawiał to wszystko. Czekam i czekam...

Słyszając, że ktoś z pokojów nauchodzi, zeszli z balkonu na ulicę ogrodową i wlekli się obaj, ramieniem o ramię oparci. Tuż za szpalerem i płotem z tarniny kołysał się ów łąn pszeniczny, bardzo rozległy; wiatr już po nim ciemne smugi przeganiał, a po gałęziach brzóz wzdychał i smutne szumy przeciągał. Wypłókana od zlewy gliniasta ulica ogrodu była twarda i niemal sucha. Nogi obudwu idących stukały po niej, jak po deskach. Przyszedłszy do końca szpaleru, stary Cedro powiódł oczyma i ręką po widzialnych obszarach zboża, po drzewach sadu, których gałęzie gięły się już od owocowych zawiązków, i począł bezsilnie narzekać:

— Wszystko to jego, wszystko to miał... Dla niego rośnie to zboże, dla niego dojrzewają owoce, pachną kwiaty... Jego ta glina, ten wiatr, ten szum... Cała ta ziemia na niego czeka, dziedzina pradziadowska... Czegóż jeszcze chciał? Czego poleciał szukać?..

— Pojechał szukać — mówił Trepka z uśmiechem dobrotliwym i nauczającym — ziemi innej, nie mojej ani twojej, tylko naszej, gminnej, gromadzkiej. Młodemu śni się ta wielka ziemia, która do nikogo nie należy, staremu śni się mała, która należy tylko do niego... Choćby też najmniejsza, byle dla niego tylko... Aż przyjdzie taki wiek w życiu człowieka, że go już żadna nie ęci.

— Tyś to go wywiódł z mojego domu temi prze-mądrzałemi głupstwami! tyś go podmówił do buntu! — nanowo zaczął uzalać się Cedro.

— Nie jam go podmawiał, tylko ocknienie, przebudzenie, siła żywota. Jam winien, że go nie wstrzymałem, to prawda. Ale go nie wstrzymywałem, to wyznaję.

— Wiedziałem, żeś to ty sprawił! Ty, nie kto inny! Czemuś go nie związał słowami, skoro taki wpływ na niego sobie wyrobiłeś? Gdybyż choć bił się tutaj, jak ci oto, którzy mój dom napelnili weselem... Ale gdzież on jest? co czyni?

— Nie wstrzymywałem, — mówił Trepka cicho, napoły do słuchacza, a właściwie do siebie — bom nie mógł. Straciłem świadomość rzeczy. Nic już teraz nie wiem... Nic nie wiem! Zawiodły mię wszystkie lekarstwa, wszystkie nadzieje rozbiły się i oszukały duszę. Widziałem spodlenie wszystkich instynktów, powolne znikanie zmysłu plemiennego bytu. Poczucie hańby zżarło mię całego. Wspomnij, jak z pruskich banków brali pieniądze na ziemię, wiedząc, że ją zaprzędają na wieki. Niemiec drwił z nas czynami, instytucjami, pobudzaniem do rozpusty. Za pięćdziesiąt lat nogi-by polskiej w tych Prusiech Południowych nie było: chłopów-by zniemczyli szkołami, kulturą, szlachtę wysadzili z ziemi

licytacyami, miasta zalali przemysłem i handiem. Młodzież złażdaczała, gałgaństwo i głupota padły na cały naród, jak morowe powietrze... — zaczął szeptać staremu do ucha tak, żeby nikt nie słyszał.

— Co mi ty bajesz! co opowiadasz! Kłamstwa to twoje...

— A w tej Galicyi...

— Przestań!

— Trzeba było ratować. Honor plemienny za jaką-bądź cenę musiał się obudzić. Wolałbym, żeby zamiast uprowadzenia Krzysztofa ucięto mi tę rękę, tę nogę, ale musiałem, przyjacielu, podmawiać, żeby szedł.

Zstępowali w dół, w najniższą część ogrodu, ramieniem o ramię oparci, ze zwieszonemi głowami, szepcząc do siebie wciąż starcze pogawędki — pociechy, zgrzybiali obadwaj, starzy i bezsilni od smutku.

— Na cóż mi się to wszystko zda w mojej niedoli?... — mamrotał Cedro.

— Musiało, co lepsze, ocknąć się i rzucić w krwawą kąpiel. Mógł-że to on spać w domu i władać kawałkiem ziemi? Przypomnij sobie jego duszę... On, Krzysztof! Pomyśl-że tylko... On, Krzysztof!

SANDOMIERZ.

Rafał Olbromski zdołał dnia 9 czerwca w sam czas dotrzeć do Nadbrzezia i przeprawić się przez pokład na mostolodziach do Sandomierza. Nazajutrz rano cały most sprzątnięto, a baterję szafca przedmostowego ku Trześni zburzono ze szczerem. Z natury swego stanowiska, jako adjutant trzeci generała Sokolnickiego, Rafał musiał ciągle przebiegać Sandomierz i jego cały obwód uzbrojony w najrozmaitszych kierunkach. Stary Sandomierz!... Znał go przecie od lat dzieciennych równie dobrze, równie szczegółowo jak ogród i gumno w Tarninach. Gnał tedy konno to na góry Pieprzowe, gdzie przy sypaniu okopów wyrzucano z ziemi urny staropogańskie ze słowiańskiego zgliszcza, to na pola folwarku kapitułnego Kamienia; za chwilę co koń skoczy pędził z rozkazami w stronę zachodnią, do fortalicyów zamku, i dalej w stronę Rajeckiego folwarku na Krakówce, w stronę Chwałek i Strochcic, to znowu ku Lenarczycom i Kobiernikom, by wkrótce rzucić pocztowemu cugle konia i na piechotę zdążać już to ku baszcie nad Rybitwami, już ku posterunkom umocnionym za

klasztorem św. Jakóba, za kościołem św. Pawła, św. Józefa i św. Michała, czyli klasztorem Benedyktynek. Ów trójkąt, który tworzyły powyżej wymienione kościoły,łączony z miastem przepaścistymi wąwozami, stanowił punkt najbardziej umacniany. Nad ostatecznem ufortyfikowaniem tych miejsc pracował pod rozkazami generała dowódcy książę Gintułt. Przyprowadził on ze sobą do Sandomierza batalion ludzi, których w swoich przeważnie majątkach zgromadził z tamtej strony Wisły. Ludzie ci nie byli dotychczas uzbrojeni, ani umundurowani należycie, wzięto ich tak, jak stali, w wieśniaczych odzieniakach. Książę sam nimi dowodził, ale nie jako oficer, gdyż do wojska nie wstąpił, tylko jako cywilny inżynier i dozorca. Teraz przy umacnianiu Sandomierza »batalion« Gintułtowski osobiwie się przydał. Za jego to staraniem i nieprzerwaną saperską pracą wzniesiono szańce naokoło miasta, które stworzyły przednią straż obrony wewnętrznej. Kościoły i klasztory zamiejskie były wciągnięte do tej linii obronnej, a ich cmentarze, dzwonnice, wieże i mury do odporu umocowane. Parowy, stromo ścięte, stanowiły niezrównany systemat dróg krytych do komunikacyi z szanćami świętego Jakóba, na górze Świętopawelskiej, świętego Józefa i benedyktyńskim. Szańce odpolne poza tymi kościołami i przedmieściem Opatowskiem podsypyano wysoko, a nadto, dla nadania im pozoru jeszcze bardziej straszego, odziano w puste beczki, które przysypano ziemią. Stodoły folwarczaków Psalterzyskich w tych stronach pourządzano do obrony w ten sposób, że wewnątrz nich wydzwignięto świetnie zamaskowane ziemne przedpiersia, które dawały możność uporczywej obrony. Podobnie wszystkie

klasztory były wewnątrz przemienione w warownie. W samym mieście kierował robotami generał Sokolnicki. Starożytny mur obwodowy dopełniał nieustannie, a wyłomy w nim nie dō naprawienia zastąpił palanką. Poza murem bito jeszcze palisady w spadek góry, wciągano na pozycye austriackie ośmnastofuntowe armaty.

Książę Gintuł osobliwą pieczę darzył jeden z klasztorów zamiejskich, a mianowicie kościół i klasztor świętego Jakóba. Wznosząc w tamtej stronie, od zamku aż po drogę opatowską, owe wysunięte *ouvrages extérieurs*, w czasie dozorowania swych chłopów, długie godziny trawił na kontemplacyi odwiecznych romańskich murów kościoła, jego ceglanych ścian, pokrytych sześćsetletnią patyną czasu. Rozkopując tak do głębi ziemię tych pagórków, pokrytą młodemmi zbożami, gdzie drzewiej, przed wieki, na początku stało miasto Sandomierz, trafiano wciąż na ślady wałów, murowanych fos, resztki palisad. Może to były wały sypane przeciw Tatarom przez wójta sandomierskiego Witkona i wojewodę Derśława z Obręczny... Rydel kopacza odwałał zapadłe wejścia do lochów. W ich głębokości i mroku szarzały wzgórza kostne.

Byłyż to jaskinie, w które przywiodła Tatarów mężna Halina, córka Piotra Krempy, i gdzie śmiercią zginęła dla ocalenia ojczystego miasta?... Ludzie sandomierscy oglądali ze czcią owe popioły zgasyłych pokoleń, dumając sobie i zgadując nadaremnie, czyje też są. Któż bo mógł zgadnąć? Byłyż to kości Jadźwingów, czy Tatarów, Litwy czy Rusi, Szwedów, czy Niemców?... Nie było czasu na szanowanie podziemnych cmentarzysk. Sypano stare kości wraz z ziemią górną na nowe szańce...

Tylko ksiązę Gintułt, po skończeniu dziennych robót, sam, w nocy, obwiązany sznurem, puszczał się często-kroć w owe podziemne chodniki. Znajdował szczególną rozkosz w dotykaniu się ręką, w obejmowaniu trwożliwą żrenicą sennego popiołu przeszłości. Łudził się dobrowolnie, postępując w mroki podziemia, wiedziony przez ruchliwy krąg światła, przez bojaźliwą smugę pochodni, że przepatruje tajemne szlaki śmierci i bada przyszłe dzieje zgasłego człowieka... Rozkosz znajdował w tych złudach. Stawał się w głębi lochów sam dla siebie niezupełnie zrozumiały, był sam dla siebie napoty człowiekiem, półduchem i dochodził do stanu złudzenia utraty zmysłów. Za dnia, wśród najpilniejszej pracy, wsłuchiwał się bardzo ciekawie w pogwary ludku o tych lochach, w gadki o przejściach podziemnych, w legendy przysypane gruzem ciemnoty, zarosłe chwastem i darnią powszedniego dnia, podobnie jak same lochy. Zwolna wytworzyło się w jego sercu łaskawe przyzwolenie na prawdziwość światła, które tylekroć w ciemne noce widzieli ludzie nad kościołem świętego Jakóba. Ksiązę śmiał się dobrotliwie, radośnie i szczerze, słuchając, jak to pułkownik szwedzki uciekał co tchu z klasztoru, ujrawszy o północy światłość jarzącą, co wychodziła z okien, i usłyszawszy śpiew nadziemski czterdziestu sześciu Dominikanów z Sadokiem na czele, zamordowanych przed pięciu z górą secinami lat. Powiadał sobie wówczas w duchu, że przecie nie masz nic na tej ziemi sprawiedliwszego od wyroku baśni cudownej... Jakże głęboką, jak zrosłą z ziemią wydawała mu się powieść o wiecznym śpiewie, o wiekuistej wigilii nocnej w tej świątyni, gdzie się modlili za życia wymordowani!...

Órnszałe mury dominikańskie poczęły promienieć dla księcia przeczystą światłością, niematerialnem jaśnieniem, które otacza cnotę męstwa, honor przysięgi dotrzymanej i grób męczeński. Między jego duszą a owym murem, stromo wystrzelającym ze szczytu wzgórką, między kopułą kaplicy - celi Jacka Odrowąża wyrosła w tym czasie jak gdyby żyła nierozzerwalna.

Nieraz Rafał zdybał tak księcia, siedzącego pod przykopą, na wystającym kawałku żerdzi, w miejscu, gdzie w trzynastym wieku istniały winnice dominikańskie, zapatrzonego w uroczy portal północny, w ozdobne łuki półkoliste okien, we floresy frontonu. Nietajne mu też były zabiegi, żeby ten klasztor osłonić najbardziej zarówno od nieprzyjacielskich pocisków, jak i od możliwego zbombardowania z miasta. Najwyższe tu powysypywano odkosy ziemi po wzgórkach i najwyżej powznoszono koszokopy. Wszystko to działo się pod ogniem bombardowania i napałów, jak całodzienna kano-
nada 27 maja, siedmiogodzinna nocna z 4 na 5-ty czerwca, trzygodzinna popołudniowa 6-go czerwca. Po powrocie swoim z za Wisły, Rafał rzadziej widywał księcia. Przebywał wciąż przy generale. Obserwował dnia dwunastego czerwca z kopuły kolegiackiego kościoła przebieg bitwy na Dąbrowie, we Wrzawach i pod Gorzycami — wysiadywał na dachu kolegium jezuickiego w dymnikach, tak dobrze sobie znanych, wypatrując stanowisko Austryaków pod Dębiną i cofanie się wojsk naszych pod Rachów. Czuwanie po nocach, dni na siodle bez pożywienia i chwili odpoczynku zmarnowały adjutanta. To też w nocy z 15 na 16 czerwca, kiedy toczyły się narady z przysłanym parlamentarzem, postanowił wypaść

się należycie. Dopadł jakiejś stancyjki w domu księżym, stojącym w głębi podwórza. Całe to domostwo było spróchniałe i bardzo stare, to też mieszkańcy dawno z niego uciekli. Olbromski rzucił się w ubraniu na łóżko napotkane i głośno zachrapał. Ale przed północą zbudził go wściekły łoskot. Przez otwarte okno widać było mnóstwo kul ognistych, puszczonej na Sandomierz z Nadbrzezia, z Zarzykowic i poburzonych szanów. Kule te śmigały, jak race w dzień godowy, z hukiem pękały w powietrzu, miotając ogień na wsze strony. Napół rozbudzony oficer usłyszał tuż gdzieś za ścianą wrzaski na trwogę. Trzeba było wstać. Dźwigał się właśnie z łóżka, kiedy mu przed oczyma wybuchnął olbrzymi żagiel ognia. Pożar w podwórzu! Palił się jakiś śpichlerz, czy lamus o kilkanaście kroków od okna.

— Pana Saniewskiego lamus gore! — wrzeszczały oszalałe głosy.

Kiedy Rafał wybiegł z domostwa, już dach je okrywający stał w ogniu. Wiatr wionął i oto płomieniste jęzory musnęły dachy połaci domów w ulicy Panny Maryi. Stare, wyschłe, poczerniałe, powyginane, różnokształtne dachy zajmowały się jeden po drugim zcicha, posłusznie i uroczyście. Wszystkie ich załamania, okapy, wyglądy, dymniki i dziury widać było teraz, jak lica nieboszczyka szczególnie wyostrzone, wydatne i oczywiste. Tyle lat osłaniały skupione, ubogie życie ludzkie od słońca i wichrów! Teraz same, w jednej chwili wydane na żup, ginęły od śmierci nagłej i równie strasznej, jak ludzka. Potok ognia skakał z dachu na dach, przelewał się z jednej pochyłości na drugą. Gdzieniedzie tylko mknął z podwórza człowiek struchlały. Gdzieniedzie

wybuchął płacz i wnet nacichał, jakby przez ogień pożarty. Krzyk tam i sam, a po nim cisza śmiertelna, bardziej przeraźliwa od krzyku. Trzask w niej słysząc wszechmocnego pożaru... Szelest płomieni, jakoby łamanie kości żywych przez obcęgi kata, jakoby czynienie wyroku tyrana. Rafałowi niewymowny żal serce w pierśsiach zatargał. Dziecięce i młode lata spędził pod osłoną tych starych podsieni, tych wielkich, czarnych dachów, zrosłych w jedno, podobnych do siodła i przełęcz górskich... Teraz oto przed jego oczyma wszystkie bezsilnie konały. Zdjął czapkę i gorzko, jak dziecko, wzdychał. Ale przecie ocknął się w mig.

Spojrzy, aliści pożar straszliwym zagonem sięga do kamienicy Saula Dziordźiego Greka. Poskoczył w rynek. Ujrzał w pobliżu ratusza tłum żołnierzy polskich, wywłóczących sikawki. Garstka mieszczan w koszulach i portkach na bosaka łaźła po rynku, lamentując i rwąc włosy. W mgnieniu oka Rafał ich zaprzął do roboty. Kazał przynieść drabiny i zarówno żołnierzy, jak łyków popędził na dach narożnego domostwa, zwanego Wójcikowszczyzną, z rozkazem odarcia go z gontów. Ściany poczęto łać wodą z sikawek, żeby nie puścić ognia w rynek. Teraz wszystek motłoch począł krzyczeć i powtarzać:

— Nie puścić ognia w rynek!

— Łać ściany! Rąbać wszystkie chlewy i stajnie od Wójcikowszczyzny!

Zatrzeszczały pod siekierami stare parkany, daszki i przyciesie, w ziemię wrosłe. Cała już połać na wzgórzu wraz z tyłami gorzała, jak żywy stos. Perzyna stamtąd poszła, jak śnieg. Żar straszny. Granaty poczną bić coraz gęściej w płomienie. Na ludzi padła wraz z tą pe-

rzyną i trzaskiem brandkuglów trwoga śmiertelna, popłoch paniczny. Mieszczanie uciekali od własnych domów, ode drzwi mieszkań, z rąk żołnierzy, chroniąc się do piwnic i murowanych kościołów. A i sami żołnierze chyłkiem pomykali za mury. Opuszczony od wszystkich Rafał zaniechał ratunku. Idąc w kierunku kolegiaty, usłyszał nagle szczególny wśród tego zgiełku i trzasku dźwięk. Przystanął, leniwie pytając siebie: co też to być może?... Nierychło pojął, że stary zegar, strącony kulami wraz ze szczytem wieży kolegiackiej, leciał przez powietrze. Posępny był rumor śmierci tego miernika czasu. Dzwoniły przez chwilę jego rozsypane koła po miedzianym dachu kościelnym, charczały i klekotały rozbite sprężyny i wagi, aż w powszechnej ruinie zapadły w nicłość. Przez kopułę kolegiaty dym począł buchać z granatów, które do kruchty i w środek nawy popadały. Szeroka łuna rozpostarła się nad plebaniami świętego Pawła, które stanęły w ogniu, nad Krakowskim Przedmieściem, gdzie płonęły rzędy podmiejskich chałupek, nad folwarkiem klasztoru Panien Benedyktynek, nad świeżo wystawionym folwarkiem miejskim.

Rozlegał się co chwila krzyk, że gore browar na Czwartaku po-jezuickim, że pali się płomieniem cały folwark na przedmieściu Zawichostskim za sadzawką benedyktyńską, że płonie wielka szopa cegielni kapi-tulnej...

Widno się zrobiło na górze sandomierskiej, jak w biały dzień. W dali, pod łuną sterczały czarne widma spalonego w pierwszym szturmie kościoła Reformatów i czerniały popieliska świętego Wojciecha. Dymy białymi zwojami osłoniły miasto i począły magać się ponad

czubami kościołów. Ludzie z rynków, z uliczek, z mieszkań, z powierzchni ziemskiej poznikali. Wchłonęły ich głębokie piwnice, lochy i chodniki, podziemne miasto trwogi.

Była już blisko pierwsza po północy, kiedy ozwały się armaty austriackie na lewym brzegu Wisły, jednocześnie z trzech stron. Olbromski poszedł z rynku w parów północny. Wiedział, że tam znajdzie swego dowódcę. Istotnie Sokolnicki wydawał w tem miejscu rozkazy. W chwili, gdy Rafał zbliżał się, ryknęły z zamku i od bramy Krakowskiej ośmnastotuntowe działa, zdobyte na Austryakach, a teraz wymierzone w ich kolumny, idące Jagiellońską drogą na baterię drugą i trzecią, czyli na zamek i bramę. Rafał otrzymał rozkaz przyniesienia wiadomości z baterii czwartej, to jest od kościoła świętego Pawła.

Na przecięciu parowów spotkał dwie kompanie grenadyerskie, pod wodzą pułkownika Weyssenhoffa, pędzące w cwał na wzgórze Świętopawelskie. Pobiegł z nimi i trafił w wir najzaciekłej bitwy. Kolumna nieprzyjacielska, którą odepchnięto od wzgórza *Salve Regina*, przeszła rozdołem Piszczeli pod narożniki oszańcowania kościoła świętego Pawła. Szef batalionu Białkowski z dwiema kompaniami pułku dwunastego wytrzymał tam atak, broniąc się zaciekle. Z prawego boku baterii, na wale opalisadowanym były armaty, kierowane przez porucznika Bileckiego i podporucznika Tykła. Ale już jeden z granatników został zdobyty i zagwożdżony, palisady narożnika wyrąbane siekierami, kanonierowie wykłóci bagnetem, a cała trzecia i czwarta kolumna austriacka wdzierała się na nasypy. Grenadyerowie Weyssenhoffa

uszykowali się w kolumnę na kościelnym cmentarzu. Z cicha otwarli bramę. Zwarty ich zastęp wyszedł pod wyłom i czekał tam z nastawionym bagnetem. Ledwie piechury austriackie zdążyły rzucić okiem na wnętrze szanca, grenadyerowie rzucili się na nich z zacięciem męstwem. Powstała mordercza bitwa na nasypach i w fosach. Zrazu umiejscowiona w wyłomie baterii czwartej, stopniowo rozciągnęła się w obie strony za kościół świętego Jakóba i aż do klasztoru Benedyktynek. Trzy silne kolumny austriackie, a więc jakie pięć tysięcy ludzi, spitych gorzałką, kilkakroć już dopadały tego ostatniego klasztoru, aż wreszcie zdobyły go wraz z czterema armatami.

Folwarki, szopy, stodoły, chaty palące się naokoło miasta, pożar olbrzymi w śródmieściu, dawały widzieć jak na dłoni wszystko, co się dzieje.

Rafał pracował wraz z innymi oficerami przy armatach baterii czwartej aż do momentu zupełnego odepchnięcia napadu. Widząc, że pozycja na teraz jest bezpieczna, skierował się wielkimi krokami w wąwóz świętego Jakóba, ażeby generałowi zdać sprawę. Gdy przebiegał obok kościoła, ktoś go zawołał po imieniu. To ksiązę Gintułt stał przy portalu i kiwał na niego ręką. Bujne płomienie, buchające z miasta, oświeślały kościół. Cień od figury Gintułta, ruchomy, olbrzymi i długi, pływał po całej olbrzymiej ścianie, padał na stojące młodego jęczmienia, który tuż za murem bujnie się plenił. Wewnątrz kościoła stali zaczajeni chłopcy Gintułta, ścisnąwszy gwery austriackie, nabite austriackimi ładunkami, niedawno wydobytymi z ratusza.

— Dokąd idziesz? — krzyknął ksiązę.

— Do generała.

— Z dobrą wieścią?

— Z`dobrą.

— Pamiętaj, pamiętaj, żeby mi świętego Jakóba szanował!

— Cóż ja mogę...

— Pamiętaj, pamiętaj!...

Rafał, nie słuchając dalej, pobiegł w parów, skręcił na lewo i dążył w górę między pachnącymi ogrodami, między domkami, przyczepionymi do góry, jak gniazda jaskółcze. Znalazł generała przy baterii głównej. Sokolnicki wydał właśnie rozkaz:

— Bić w klasztor Benedyktynek na wyłom!

Wielkie armaty walowe poczęły miotać kule w klasztor i ogród kościelny, w mury cmentarza i dzwonnice, zdobyte przez Austryaków. W tej samej chwili nadbiegli oficerowie przybocznicy z doniesieniem, że silne kolumny atakują miasto od strony Zawichosta, że szturmują całą przestrzeń od murów klasztornych Maryi Magdaleny aż do zamku, że ciągną zarówno samem wybrzeżem Wisły, jak i szczytem gór Pieprzowych.

Zaledwie Rafał wybiegł z parowu na jaśnię, generał obcesowo zapytał:

— Bateria czwarta?

— Trzyma się.

— Co tam?

— Oficerowie rychtują działa i strzelają, bo kanonierów wybito. Pułkownik sam pracuje, twarz ma spaloną od prochu.

— Święty Jakób?

— Nasz.

— Czy oblegany?

— W tej chwili jeszcze nie. Ale z zachodniej strony lada chwila...

— Biegnij tam i zachęć do wytrwania! To klucz naszych wąwozów. Dasz mi znać, ale dopiero w takiej chwili, gdyby się nie mogli żadną miarą utrzymać. Pomocy im dać nie mogę, ani jednego człowieka. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Gdyby się żadną miarą utrzymać nie mogli niechaj wszyscy uchodzą wraz, co do nogi, a ja rudere natychmiast zburzę ze szczętem i Austryaków pod nią pochowam.

— Świętego Jakóba! — zawołał Rafał, przypominawszy sobie zlecenie książęce.

Ale generał już go nie słuchał. Cały był pochłonięty ekspedycją kapitana Czajkowskiego na czele kompanii trzeciego pułku dla odebrania ogrodów i murów Panien Benedyktynek, kapitana Szymanieckiego na czele pięćdziesięciu ochotników dla zdobycia karczmy za bramą Opatowską i adjutanta swego, Jordana, ze stu ludźmi na baterię szóstą i siódmą.

Przybiegłszy na miejsce wskazane, Rafał zastał już wśród obrońców zamieszanie. Piechota austriacka, łąszy się po okrągłym pagórku od strony Wisły i starej Krakowskiej bramy murowanej, usiłowała zdobyć szanice, jeszcze przez generała Eggermana sypane. Kompania pułku dwunastego, ukryta za nasypem, biła się już z napastnikami na bagnety. Niewyćwiczeni chłopci Gintuła, poumieszczani w oknach i korytarzach klasztoru, na poddaszach i w dymnikach, na wieży i za murem, strzelali, ile wlaźło.

Sam księżę, nie mając żadnej broni, z łaską w ręku przechadzał się między tłumem, udzielając rad i wskazówek nie tylko żołnierzom, ale i oficerom. Ruchy jego były zgorączkowane, słowa gwałtowne i nieopatrzone. Wchodził w środek szeregów, krzyczał, łajał, rozkazywał. Kiedy Olbromski przebiegał obwód umocniony w poszukiwaniu dowódcy oddziału, któremu by zakomunikował rozkazy generała, jakiś oficer pociągnął go za połę i, wskazując księcia, mówił:

— Czy nie mógłbyś, panie adjutancie, zabrać ze sobą tego Don Kichota?

— Równie dobrze waćpan możesz go zabrać, gdzie wola...

— Łazi tu i rozporządza się, jak ekonom. Jeszcze mu kto przez omyłkę w łeb strzeli.

— Gdzie ja go wezmę?

— Zamknij go w kapiicy św. Jacka.

— To go sobie waćpan zamykaj!

Najbardziej napastowany był wysunięty narożnik szanicy. Żołnierze austriacy wdarli się już nań masą, postrącali puste beczki i powyrywali pale. Garstka żołnierzy polskich zmagala się z nimi ze wszech sił, ale nie była zdolna odtrącić naporu masy. Oficerowie wiedzieli, że tego miejsca nie utrzymają bez pomocy.

Tymczasem adjutant generała przyniósł im wiadomość, że pomocy nie otrzymają. Księżę Gintuł skoczył w stracony wyłom i podniecał żołnierzy krzykiem do oporu. Tak pchając ich pięściami do czynu i faktycznie dowodząc, zagraadzał drogę. Widząc, że spracowani żołnierze nie są już zdolni dotrzymywać placu, chwycił z ziemi karabin i w gronie kilkunastu wołyżerów po-

skoczył w fatalny kąt. Zwarli się tam bagnietem z piechurami Schöcklera. Z początku cofnięto się przed ich wilczymi susami, ale chwilę trwała niepewność. Gintułt pośliznął się na ruchomych glinach i runął na twarz w rów za wałem. W mgnieniu oka rzuciło się na niego z dziesięciu chłopów, żeby go żywcem pojmać. Ale się nie dał. Wstał w błocie rowu na kolana i gołemi rękoma zaczął się szarpać z pijanem żołdactwem. Krzyczał o ratunek, widząc, że kilku żołnierzy, co mu na pomoc skoczyli, broni się pod nasypem. Ale i tamci wnet zostali przez tłum obezwładnieni. Wtedy opanowała go śmiertelna podnieta. Huknął pierwszego z brzegu draba między oczy, w piersi drugiego. Targnął się z kupy całą siłą. Nie dał rady. Powtórnie runął w błoto rowu, na wznak, czując, że traci siły. Plunął w pysk najbliższemu, który go kadłubem swoim całkowicie przywalił. Charknął mu w ślepie:

— Prędzej morduj, chamie!

Ale oto ów żołdak garścią zasłania mu usta. Coś do niego szepce, coś sekretnie gada. Jaka się, jaka... Książę otwarł oczy. Nie może pochwycić tchu...

— Cichaj... cichaj... jaśnie panie... — szepce ów żołdak austriacki. — Nie waż się ruszać!

Gintułt przymknął oczy. Pękały mu zduszone piersi. Piorunem leciała myśl, szukając miejsca, czasu, wypadków, kiedy on widział tę gębę, słyszał ten głos. Znalazła wreszcie...

— Nie inaczej... Piotra Olbromskiego sekundant — cha-cha...

Naokoło szczęk karabinów, wrzask, tupot nóg... Depcą po nich, leżących w rowie, walą się w jamę zdo-

bytą. W szanclu krzyk, zgiełk, strzały, łomot pustych beczek, kamieni, padanie gruzu.

— Ktoś ty — wyjęczał ksiązę.

— Cichaj!

Mijały tak minuty długie, jak stulecia. W pewnej chwili, wysłuchawszy, że główna masa wojska wtargnęła do wnętrza szancla, Michcik dzwignął się z ziemi, obejmował wkoło i jednym szarpnięciem wywłókł księcia z rowu. Chyżym krokiem, nie nagabywani przez żołdaków, którzy pędzili na zdobycie szancla, pobiegli, poskoczyli obaj fosą zachodnią aż do końca murów klasztornych. Tam pochwyceni zostali przez chłopów Gintułta, zaczajonych w poprzecznym parowie. Wnet byli w ich tłumie. Ksiązę dał się poznać i niezwłocznie zeszedł z Michcikiem na dno wąwozu. Już w ten wąwóz z obwodu murów świętego Jakóba wywalał się tłum żołnierzy i chłopów pod parciem zdobywczej kolumny austriackiej. Nadaremnie usiłowali przedostać się do kościoła. Wir masy ludzkiej rozbitej i pędzonej, odepchnął ich w głąb rozpadliny.

Stamtąd słyszeli, co się dzieje... Oto środkiem tłumy biegł z gołą szpadą oficer komenderujący i szykował lud żołnierski w kolumnę, któraby weszła w obręb baterii czwartej świętego Pawła. Oficerowie młodszy, stosownie do rozkazu, opróżniali teraz mury klasztoru świętego Jakóba. Jednego z nich ksiązę zaczepił niezwłocznie w sposób ostry i wyzywający: czemu to zamiast ludzi pędzić na obronę starej świątyni, on ich właśnie stamtąd z takim męstwem wywłóczy? Oficer spojrzał na niego z góry i mruknął, żeby się odczepić:

— Kamień na kamieniu za godzinę z tych murów nie pozostanie. Jakże mam ludzi w nich trzymać!

— Czemuż to ma z tych murów kamień na kamieniu nie pozostać?

— Bo będą z naszych bateriów armatami zdruzgotane. Wzięły klasztor Austriacy, ale w nim zginą.

Książę, nie słuchając dłużej, pobiegł pędem ku górze. Michcik dążył za nim. Gdy tak Gintułt wbiegał po gliniastych stopniach, miał chwilę samowiedzy, że już raz spełniał coś podobnego, że fatalność nieunikniona czeka na niego u szczytu tej góry. Wiedział, że źle czyni sobie, czuł gorzki żal, że biedz musi... Ale gniew nie dał mu stanąć. Zwalany błotem, bez czapki, z rozwianym włosiem mijał baterie. Ludzie, stojący w milczeniu u armat i strzelnic, zwierzali sobie myśl, że musi być bardzo źle, że to, widać, zwiastun nieszczęścia. Książę dopadł miejsca generalskiego w tej właśnie chwili, kiedy wydane zostały rozkazy zburzenia starego kościoła, żeby z niego noga austriacka w wąwóz nie zesła.

Kanonierowie wyrzucali działa na łożach. Z zapalonymi lontami czekali na komendę ogniomistrzów. Sokolnicki stał bez ruchu z lunetą przy oczach i lustrował jeszcze kościół. Świątynia stała przed nim w łunie, blasku ognistym, zgrzybiała, straszna, jakoby grobowiec, na który niemasz dość potężnej siły, któraby go tknąć mogła. Oto przybiegł zdyszany adjutant Rafał Olbromski i zdawał sprawę, że wszystka siła wyszła z murów świętego Jakóba, że już jest w baterii »numer czwarty«, że tam ledwie i tych sił połączonych starczy do obrony, że opuszczone mury nieprzyjaciół zapełnił, że ciągnie działa w obręb klasztoru, aby stamtąd bić w Sandomierz. Generał skinął głową i złożył lunetę. Gintułt stanął przed nim.

— Czego? — krzyknął Sokolnicki.

— Święty Jakób ma być zburzony?

— Kto waści wzywał do mnie?

— Nikt mnie nie wzywał.

— A więc?...

— Przychodzę zapytać się...

— Pal! — rzekł Sokolnicki, odtrącając natręta.

Nim komenda została powtórzona, Gintułt schwytał generała za rękę, za ramię... Błagał go z krzykiem:

— Patrz! Świeci się cała...

Rozległ się pierwszy strzał.

-- Wstrzymaj rozkaz, generale! Zbierz wszystkie siły, uderz na tę pozycję, jeszcze ją wydrzesz!

— Nie mam sił żadnych... — mruknął generał, oszołomiony napaścią.

— Masz pięć tysięcy ludzi!

— Idź precz, człowieku!

Huknął strzał drugi i trzeci.

— Święte popioły rujnujesz i depcesz... Czyliż nie widzisz, co zburzą te kule! Patrz!

— Widzę nie gorzej od waści. Ale zburzę święte popioły dla ocalenia żywego miasta. Słyszałeś?

— Nie zburzysz!

Nowe rozległy się strzały. Gintułt chwycił Sokolnickiego za piersi, krzycząc, żeby kazał zaprzestać. Oficerowie przyboczni oderwali go siłą i odepchnęli. Wtedy w męcie bezrozumnej skoczył ku armatom, wydarł z rąk kanoniera lont zapalony i cisnął go na ziemię. Oniemiały żołnierz stał bez ruchu. Księżę przypadł do drugiego... Ale oto oficer sekcyjny pchnął go szpadą w piersi. Żołnierze odtrącili rozszalałego wyciorami. Jęknęły armaty od strzałów.

— Żołnierze! -- krzyczał Gintułt, leżący na ziemi -- nie słuchajcie tego rozkazu! Żołnierze, żołnierze...

Huk wystrzałów był mu odpowiedzią. Wtedy książę zebrał ostatek sił i zawołał z całej mocy cielesnej i ze wszystkiej mocy ducha:

— Do mnie, dzieci wdowy!

Rafał Olbromski usłyszał ten okrzyk, jak trzask piorunu. Straszna trwoga włosy mu zjeżyła na głowie. Ujrzał w duszy swej moc przysięgi na ten okrzyk i pętlę jej czarodziejstwa uczuł na sobie. Bez tchu, z bielmem na oczach wyrwał pałasz z pochwy i przyskoczył do księcia. Ten spojrzał na niego półmartwemi oczyma i rozkazał:

— Wydrzyj im lonty i zgaś! Nie daj świętych popiołów!

Rafał rzucił się na kanoniera i wyrwał mu lont z ręki. Rzucił się na drugiego i wyrwał mu lont z ręki. Skoczył ku trzeciemu, ale w tej chwili runął na ziemię, powalony ciosami szabel i pięści.

Kiedy po jakimś czasie przyszedł do siebie, spostrzegł, że leży pod murem, w wąskiej uliczce, która prowadziła na sandomierski rynek. Obok niego leżał skrwawiony książę. Kilku żołnierzy przebiegło tamtędy. Dał się słyszeć łoskot strzałów karabinowych, trzask dalekiego pożaru... Ktoś podłożył ręce pod głowę Rafała, dźwignął go z ziemi i posadził na kamieniu. Schyliła się nad nim twarz jednego z kolegów. Człowiek ten szepce z pośpiechem:

— Uchodź stąd! Skryj się co tchu! Za chwilę będziesz rozstrzelany, jeśli nie ujdiesz. Już cię szukają... Umykaj!

Rafał zrozumiał tę radę. Powiódł oczyma po ziemi. To księżę Gintułt... Nad nim pochyła się i twarz mu wodą ociera żołnierz austriacki. Cóż to ma znaczyć?... Po chwili ów żołnierz bierze księcia na bary, zadaje go sobie na plecy, jego samego ciągnie za rękaw. Idą wraz, biegną... Pożar przed nimi. Olbrzymie zgłiszczą rodzą biały dym i lotne perzyny... Idą, jak we śnie, między domy spalone już do przyciesi, między stosy główni kopających. Z gór Pieprzowych biją w miasto armaty, z za Wisły padają wciąż brandkugle, z pól sandomierskich puszczone świszczą nad miastem pociski. Wokoło nigdzie żywego człowieka... Rafał, a za nim żołnierz, niosący księcia, biegną w podskokach, rozglądają się, lustrują miejsce. Zawrócili w jakiś brukowany dziedziniec, czy na cmentarz kościelny, którego po spaleniu okolicznych budowli nie było sposobu rozpoznać. Przyszli naoslep do okrągłego ogrójca, czy kostnicy w głębi długiego podwórza. Pchnęli drzwi, zawarte na zardzewiałą klamkę, i po schodach napoły zburzonych zbiegli w głąb ciemnego lochu. Ujrzeni w podziemiu tem skupionych ludzi. Kobiety, siedzące w kucki nad kołyskami, powitały ich krzykiem przerażenia, dzieci kryły się po kątach. Michcik dał im znak ręką, żeby milczały. Rozejrzawszy się w mroku, ujrzał dalszy ciąg tego podziemnego korytarza. Tam poszli. Zagradzały im drogę kupy kamienia, zwalonego ze sklepień. Szli chyłkiem przez duszne otwory, przez szerokie jaskinie, przez bramy i ciasne korytarze, w gęstym mroku. Aż oto w jednym miejscu przyjmie ich światło! Zimne, czystsze powietrze... Ujrzeni w górze sklepienia zakratowane okienko. Strudzony żołnierz złożył księcia na

ziemi. Ściągnął ze siebie zwinięty płaszcz i rzucił go na mokre pokłady gliny, odpasał broń... Gintułka ułożył na płaszczu, Rafała obok. Sam usiadł w kącie.

Książę zwolna przychodził do siebie. Ciężko dyszał i kaszlał, bezsilnie rzuzał. Olbromski rozejrzał się wkoło. Zrazu widział tylko szarą, jakby posiwiąłą gęstwinę mroku. Ze szpary okiennej padała jednolita smuga półblasku, w dole rozpraszala się i nicestwiała. Ale gdy oczy przywykły do mroku, dojrzał w głębi jakoby wzgórze szare, jakoby kopiec pochyły...

Wstał ze swego miejsca i podszedł bliżej. Wielka w głębi pieczara była zavalona kośćmi ludzkimi. Nikłe światło dawało widzieć czoła czaszek i kości policzków. Po ustach uśmiechniętych boleśnie wiodło nici półjasne, ukazywało skurczone palce i bojowo wyciągnięte piszczele rąk. Zadrzał przychodzień, bo mu się zdało, że góra kości śmieje się z niego w ciszy...

NAROŻNA IZBA.

W nocy 30 czerwca, po zupełnem opuszczeniu Sandomierza przez Austryaków, którzy go na mocy kapitulacyi 19 czerwca posiedli, Rafał Olbromski, książę Gintułt i żołnierz Michcik cichaczem wymknęli się z miasta. Właśnie mieli je zająć kozacy, przeprawiający się na łodziach z za Wisły. Michcik, przebrany w mundur ułana Dziewanowskiego, zdobył gdzieś w mieście koniachabetę i wystarał się o lepszego dla Rafała. Ułański płaszcz, związany między kulbakami koni, służył za łożę dla ciężko chorego księcia. Wyjeżdżali nad ranem przez Krakowską bramę. Dość już było światła, żeby Rafał mógł dojrzeć, co się stało z miastem. Ani śladu palisad! Wszystko zrównane z ziemią i spalone na stosach. Doły i rowy, pracowicie pokopane, zawalone, szanćów ani śladu. Przez chwilę czuł w sobie gniew, gniew najbardziej ludzki, na widok ogromnej pracy, zniweczonej bez śladu. Ale zmiażdżył go w sobie młotem potężnej myśli:

— Teraz do Tarnin!

W skok zjechali z góry. W mieście bezpańskiem, bezbronnem i spalonym nikt ich tej nocy o hasło nie

pytał. Zorza ranna, szerząca się nad rozdołem Wisły, dawała widzieć zgliszcza wszędy, ziemię zjeżdżoną armatami, stratowane zboża. Pomknęli ku Samborcowi co pary w koniach, żeby przed jasnym dniem wjechać między pola, w wąwozy. Słońce wschodziło, kiedy za Goryczanami wzięli się na prawo w wąwozik i wjechali w mylne i wąskie drogi. W dali, w dali na wzgórzu widać było Tarniny. Konie jeźdźców weszły w koleje i ocierały się bokami. Wyżej przytroczyli płaszczy i podnieśli chorego. Twarz miał koloru ziemi, oczy szkliste. Słowa bez związku snuły się w jego poczerniałych wargach. Rafał marzył, jak o szczęściu, żeby nareszcie, bez szwanku dopaść do domu. W Sandomierzu nie było gdzie trzymać rannego. Szpitale pełne były oficerów i żołnierzy, w prywatnych domach panowała nędza i trwoga. Przylgnęło zresztą do nich obudwu jakieś echo podejrzenia, które towarzyszyło każdemu ich krokowi. W ciągu straszliwych dni kapitulacyi, wyjścia sił polskich w stronę Zawichosta i panowania austriackiego w mieście, Rafał zgłębiał swoje położenie. Jakże się to stało, że z oficera pełnego nadziei, stojącego u szczytu powodzenia, przeistoczył się niemal w zdrajcę, w podkomendnego, który niweczy samowolnie rozkazy swego generała? Jakże się to stać mogło, że, zamiast krzyża zasługi, zarobił sobie dobrowolnie na sąd polowy i prawdopodobnie na haniebną śmierć? Sam to uczynił, o dziwo... Wraca oto znowu w progi domowe nie jak zwycięzca i bohater, o czym tyle lat marzył, lecz jako wymazany z list pułkowych... Sam to uczynił... Myślał o tem, patrząc na zboża rodzinne, falujące jak daleko oko sięgnie, na niwy sandomierskiej pszenicy, czarne, zroszone... Skowrończy

chór dzwonił pod niebem... Mgły poranne wstawały z parowów.

Za Chóbrzanami wzięli się w lewo ku Koprzywnicy. Z prawej i lewej strony drogi zboża były pogniecione, wbite w ziemię przez pułki konnicy, idącej pod Połaniec. Z nadzwyczajną pieczołowitością jeźdźcy zbadali lasek sosnowy na wzgórzu, czy w nim aby nie czai się patrol austriacki. Ale las był pusty, pełen tylko woni żywicznej, błękitnej mgły i poświstu zięb. Co siły w koniach, zjechali w dolinę Koprzywianki i zbliżyli się do miejsca. Ogród rodzinny przed oczyma Rafała! Cały w gęstym obłoku... Środkiem jego biegnie w dół, po zboczu góry aleja wiśni łutowek. Wszystka rubinowa od niezmiernej masy owocu, wszystka skąpana w barwie, nad wszelkie słowo uroczej. Wilgi wykrzykują w gęstwinach starych wiśni o spękanej korze, o liściu miękkim i miłym, jak włosy kobiece, sroki i wrony na szczytach drzew wyjadają już pracowicie od wczesnego rana, nim ludzie na dobre się zbudzą, niezrównany owoc. Cień jeszcze w sadzie, czad od tysiąca nocnych zapachów, mrok pod okapami wielkich jabłonek, przy pniach grusz, których owoce już ciągną gałęzie ku ziemi. Chmiel dziki wyrósł bujnie, nieznanym oczom Rafała dziwaczny przybysz, rozwlókł się po zmurszałych balasach płotu i zarzuca nici swe na gałęzie sąsiedniej jodły. Dzikie drzewa wyrosły na podziw. Młody modrzew buja wierzchołkiem w lazurze nieba, a lśniące liście klonu, ciemne liście włoskiego orzecha poranny wiatr przegina. Z głębi, z rozdołu zapachniały grzędy truskawek. Tam, jeszcze dalej, gęstwina malin nieprzebyta, wielki jałowiec, urwisko i czub starego brzostu...

Szybko wjechali po wzgórzu, obok dwu wypróchniałych siostrzyc-wierzb na dziedziniec. Już w ganku siedział na drewnianym zydelku stary pan Olbromski w swej wyszarzanej bekieszy i odwiecznej rogatywce. Ujrawszy znagła jeźdźców, zerwał się na równe nogi z najoczywistszym zamiarem wykonania przezornej rejterady. Ale już było za późno. Zstępował tedy ze stopni z brwią namarszczoną, zły i srogi. Czapkę na głowie ręką miętosił, niby to z gotowością do ukłonu. Piorunem oka przeszywał przybyszów. Ale naraz w zgrzybiałej, jakoby pleśnią pokrytej twarzy coś błysnie... Kurcz stuli usta... Szłocha starzec na piersi synowskiej, jak dziecko...

Krzyk powstał w całym domu. Poczęły wychylać się kobiece figury, wyległa służba. Oto matka... Staruszka, babinka, ledwie ją można poznać... Twarz cała w zmarszczkach i fałdach, oczy wypełzłe ledwie patrzą. Zofka! Ogromna kobieta, napół ubrana, przy nadziei w jakimś miesiącu.

Wszyscy ledwie mieli czas ochłonać z uniesienia na widok Rafała, a już w zdumieniu słuchali wieści, że mają dać gościnę rannemu księciu Gintułtowi. Gwałt powstał w całym domu, bieganie, znoszenie pościeli do izby narożnej, niegdyś Rafałowej, wołanie służby i rwetes nie do opisania. Na dworze przy koniach, za progiem został jeno sam Michcik. Odziany w mundur ułana, zabitego na sandomierskim placu, wyglądał jak stary wiarus. Oczy jego niespokojnie oblatywały okolice, pola, wąwozy. Księcia wniesiono do izdebki i ułożono na czystej, wysoko zaślanej pościeli. Otwarte okno wpuściło do stancyi woń różaną. On leżał z przymkniętymi oczyma,

napół przytomny, patrzący w jeden kąt. Czoło miał jednostajnie, nieodmiennie zmarszczone, jakby nad tą samą wciąż myślą głęboko, głęboko się biedził. Dawno nie golony, siwiejący zarost oblókł wargi, policzki, podbródek i uczynił z niego starca.

Wszyscy wyszli w nadziei, że chory będzie spał. Chciano niby obmyślić dla tak wielkiego gościa posiłek jak najlepszy, najbardziej leczniczy; chciano powziąć wiadomość o wszystkim naraz, a w gruncie rzeczy usiłowano tylko bez przeszkody patrzeć w Rafała. Staruszkowie obścapiли syna z dwu stron, zagarnęli pod światło okna. Wycierają do sucha oczy, żeby jak najlepiej widzieć, nastawiają ogłuchłe uszy, żeby zaś czego ze słów nie uronić... Drepcą na miejscu, podglądają...

Tymczasem Zofka minęła powtórnie w sposób sekretny sieni, prowadzącą do izby rannego. Uchyliła drzwi, zajrzała przez szczelinę. Leżał tak samo ze zmarszczonem czołem, z zagryzioną wargą, wszystek w jedną jakąś myśl okuty, jak w kajdany. Wsunęła się za drzwi bez szelestu, wtuliła w kąt wedle pieca. Patrzy weń, patrzy, napatrzeć się nie może... Przed rokiem wydali ją za mąż za konkurenta, za przyjezdnego kawalera, za sąsiada, który stanowił dla niej partyę. Myśli sobie teraz o tem. Była narzeczoną, uszyli jej wyprawę, sprawili huczne wesele z muzyką i tańcami, był ślub, oczepiny, przenosiny. Wszystko, jak sen. Teraz jest w ciąży... I dopiero w takiej chwili zjawia się przed nią jej »książę«... Tenże to jest człowiek, którego we snach i radosnych jawach dziewiczych widywała? Toż to jest marzenie jej spełnione? Księżę leży w tej izbie, gdzie tylekroć o nim po nocach śniła.

Czemuż stało się tak właśnie, a nie inaczej?...

Wtem struchlała ze wstydu! Zmarszczki żelazne na jego czole zaczęły się rozchodzić, rozpływać, jak chmury od łagodnego wiatru pod słońcem. Uśmiech, niby jutrzeńka daleka, zajaśniał na ustach i twarz rozwidnił. Tylko oczy zostały szkliste i nic nie widzące. W całym obliczu odbiło się ukojenie, spłynęła na nie łaska ciszy i błogosławiony chryzmat pociechy. Zgrabiałe, bezwładne ręce zsuwają się ku sobie, palce jednej dłoni zaplotą bez sił na palce drugiej... Obiedwie przycisną piersi, ciężko dyszące. Usta szepcą wyrazy, które w ucho Zofki padają wyraźnie, jasno, kwieciście. Zda się jej przez chwilę, że rozumie wszystko, co szeptają do siebie te wargi, że to już dawno słyszała, że wie doskonale...

Powtórzył te słowa, powtórzył drugi raz i jeszcze:

*»ad Rosam per Crucem,
ad Crucem per Rosam!
In ea, in eis
gemmatu8 resurgam...«*

Przytuliła się do ściany i przemieniła w cień nie wiedzący, a przecie wierny aż do ostatniego kroku...

Wtem poza domem rozległ się przeraźliwy krzyk. Zofka buchnęła we drzwi. Rafał biegł na dwór, wdziewając po drodze czapkę i zapinając rzemieńne pasy uzbrojenia. Michcik wskazywał w oddali, po drugiej stronie rozdołu Koprzywianki austryacką konnicę i piechotę, które wolno zmierzały w tę stronę. Skoczyli obadwaj do koni. Ale zarówno koń Rafała, jak Michcika, był zgrzany, robił bokami i dymił się jeszcze z trudu. Stary Olbromski dęptał za synem, przynaglając go do

pośpiechu. Oczy starca padły na zbiedzone konie obu-
dru jeźdźców. Coś począł krzyczeć... Pobiegł nagle ku
stajni, rozkazując:

— Michcik! Michcik! Dawaj tu szkapy... Żywo!

Obadwaj z Rafałem pośpieszyli za starcem. On
tymczasem trzęsącemi się rękoma rozwarł drzwi sta-
jenne takim ruchem, jakby ze siebie wyrывał wnętr-
zości. Wołał:

— Wałacha gniadego pod panicza! Sobie tę siwą
klacz zabieraj! Żywo! Nie stój! Tyś to mi syna Piotra
zratował... Przepinaj siodło... Żywo! już ich widać...

Michcik okiełznał przepyszne konie, wyhodowane
pod pańskim okiem, w ciemności, wypielegnowane na
chlebie i owsie, a chabety, na których przybyli, wpro-
wadził w grudze. Rafał zapinał popręgi. Za chwilę sie-
dzieli w siodłach.

Wparli ostrogi w boki biegunów.

— Michcik! — krzyczy jeszcze starzec: — Bóg-że
ci zapłaci... Broń mi chłopca!...

Usłyszeli za sobą dziadowskie łkanie, ujrzeni wy-
ciągnięte z ganku ręce.

Wypadli z podwórza olbrzymimi susami w wąwo-
zik kole cmentarza, stamtąd na płaszczyznę i w zielone,
jasne, szerokie pola. Ku Klimontowu! W konie! Lecą,
jak ów ranny wicher na skrzydłach wiatronogich koni,
ścigani dalekim krzykiem austriackim... Aby jeno do
lasów górskich! aby jeno do lasów!

POD ŁYSICĄ.

Po stracie miejsca przy boku generała Sokolnickiego wskutek zejść podczas szturm Sandomierza, Rafał powrócił, jak niepyszny, do swego pułku i na dawne miejsce. Tylko dzięki szybkości wypadków, jak kapitulacya i wymarsz załogi sandomierskiej do Puław, udało mu się wyjść niepostrzeżenie z całej afery bez sądu, degradacyi i gorszych następstw.

W dniu 4-ym lipca, kiedy wszystkie siły polskie wyruszyły z Radomia na południe w ślad za ustępującym nieprzyjacielem, Olbromski na czele kilkudziesięciu ułanów ze swego szwadronu szedł na szpicy przedniej straży kawaleryjskiej w Świętokrzyskie góry od strony Kunowa. Minął szybko Bodzentyn, przez który dopiero co przeciągnęła znaczna siła austriacka, i wkroczył ostrożnie w lasy. Zrazu wziął się na prawo przez wieś Psary, ażeby uniknąć głównego gościńca, gdzie mógł łatwo zetknąć się z maruderami Mondeta. Chłopi okoliczni zawiadomili go, że wojsko austriackie poszło gościńcem i, że zabiegając mu drogę z poza góry Strawczanej, tem łatwiej może się zetknąć z siłami i być za-

skoczonym w lesie. Ruszył tedy wolnym gościńcem wprost na Wzorki i Świętą Katarzynę.

Mżył letni deszczyk - kapuśniaczek. Chłodne łąki w smugach i gozdach leśnych jeszcze nie były pokoszone całkowicie. Dopiero gdzieś gdzieś pachniało siano przewiędłe. Jeszcze się stały po łąkach najczarowniejsze leśne smółki, kosańce, jaskółki i koniczyzny. Śniade dymy rzadkich, dzystych obłoków wałęsały się nisko po lasach, po łańcuchu gór, po puszczy zbójeckiej. Łysica rozwinęła przed jadącym oddziałkiem żołnierzy swoją granatową delię, utkaną jasnymi kępami buków. Tam i sam wzbijały się ku górze powłóczyste smugi chmur, jakoby dech żywy, idący w niebo ze świętych buków. Ciągnęły się blisko mokre tumany między konarami przedawnych jodeł, ukazując zdumionym oczom ich tytaniczne kolumny i rozpostarty ponad niemi czarny strop z koron wielkolasu. Im bardziej się zbliżali do góry, tem bardziej pachniała knieja. Stanęła przed oczyma jej głębia wewnętrzna, jej gleba dziwna pełna wypłókaných kamyków, porośłych rdzą, rudzizną i zielonkowątą pleśnią, jej pochyła górską ziemia, którą we władzę wzięły olbrzymie korzenie. Naokoło stanęły odziemki jodłowe, pokryte barwą przyćmionego srebra. Z północnej strony zwisały na każdym kożuchy mchów twardych i suchych o barwie jaspisu, kosmate i potargane brody a kłaki. W wilgotnym wietrze zachodnim zagrały szerokie igły, spławów, rozkołysały się chwianiem rytmicznym, poczęły przeginać ogromne piętra gałęzi, a szyszki wzniesione do góry wylały tajemnicę swej woni. Zięby po gęstwinach poświstywały...

Oddziałek konny wyminął leśnictwo na Wzorkach,

wioskę tejże nazwy leśną, zbudowaną w głębi puszczy, siedlisko ludzi krzepkich, jak jodły, i twardych jak buki. Grunt był ku górze coraz twardszy, złożony z krwawego, łamliwego kamyka. Ukazał się w ciemnicy jodłowej wyniosły, czworograniasty słup wieży klasztoru i białe jego mury. Tuż za kuźnią i za gospodą klasztorną był wysoki parkan ogrodu. Olbromski zaczął za murowanicą oberży i kuźni, stojącemi naprzeciwko siebie, część swego oddziału i podzielił go na dwie partye. Jednej kazał iść dalej drogą aż przed kościółek, a sam na czele drugiej postanowił zbadać niepostrzeżenie dziedzińce klasztorne, czy w nich niema Austryaków. Zsiadł z konia i to samo kazał uczynić dziesiątkowi jeźdźców. Jedenasty został przy koniach ukryty za oberżą. Na dany znak przez trębacza miał z końmi w las uciekać na lewo, aż do wskazanej polanki. Rafał na czele swoich przeskoczył przez wysoki z daszkiem parkan tuż za oberżą i znalazł się w ogrodzie. Gdy tam wszedł, opuściła go chęć patrolowania, badania, poszukiwań... Stanął w cichej altanie z dzikich drzew na końcu ogrodu i na chwilę dał wolność duszy. Ujrzał jak gdyby dzieciństwo swoje, snił o sobie widomy na jawie sen. Był tu w tym ogrodzie małym dzieckiem, a wszystko, wszystko doskonale zapamiętał... Strumień świętego Franciszka, który jest głównym rodzicem Czarnej Nidy, biegnie przez ogród z gwałtem swych małych wód, z siłą i gniewem małych pian. Tam oto spada srebrzystym snopem z drewnianej rynny, wprawionej w ogrodowy mur, tu dudni, jak gdyby wpadał w głębinę pustej stągwi, tam z szelestem i szemraniem biegnie przez ogród pod białymi mostkami, pomiędzy korzenie śliwin i grusz, które słodkie jego

wody wypijają. Dopadł drugiego muru i znowu ujęty w rynnę, wyciosaną w półpniu świerkowym, puszczony został na wolność.

Z pomiędzy drzew, w wylotach owocowych alejek widniały białe mury. To, co niegdyś tak uderzyło wyobraźnię dziecięcą niezwykłością swoją, uderzało i dziś z tą samą siłą...

Klasztor! Z podziwem, zdumieniem i dawnym lękiem patrzył na owo zniszczone wspomnienie dzieciństwa. Te same szare skarpy rozkręcone, wyrażające niesłychany wysił, moc, chłopskie podszadzenie się ze wszej potęgi. Te same kamienie, co od zwietrzenia już to stały się czarne i okryte rdzą, jak żelazo, już, zlaśowane, powlekły się białą, niezniszczalną polewą i stały podobne do kafła wiecznotrwałego. Nad skarpami ściany żłunne i wysokie, z małemi pod dachem oknami. Zła myśl nieci uśmiech, kiedy się дума mimowoli nad owym celem, który kazał okienka zakonnie umieszczać tak wysoko. Zła myśl przewija się i, sama siebie zawstydzając, chyłkiem wbiega kędyś w gęste zastępy owocowych drzew, między rabaty kwiatowe, gdzie wysmukłe lilie o strzępiastych i rozprysłych płatkach kielichów, o brunatnych pylnikach i lepkiem, żółtawym soku, wylewają odór czystości. Plamy wilgotne w narożnikach muru, niby cień wiecznie obecny czyha na białość wapiennych ścian, podobnie, jak szyderstwo czyha na zachwyt, podobnie, jak tłusta drwina czyha na dziewiczość uniesienia. Blaszane rynny przy dachu, przyrząd tak niezwykły w tych stronach... Albowiem w tych stronach nieznane jest jeszcze nic, co by było wymysłem ku udogodnieniu życia. Wszystko tu jest

jeszcze, jak za Chrobrego króla, jak za króla Krzywoustą, albo Mnicha. Pierwszy tu obraz domu murowanego z kamienia przyniosły mniszki za Bodzanty, kościelnego księcia i łowcy, miłośnika tych puszczy dzikich. Drogę, która w te miejsca prowadzi, mniszkom należy zawdzięczyć i cudny sad w dzikim boru, na kamienistym, zimnym gruncie. Im należy zawdzięczyć okrzesanie wioskowego ludu po siołach, tępienie przez szeregi wieków świętokrzyskiego zbrojstwa, im założenie pierwszych sadów przy leśnych izbach, uprawę warzyw po lechach, naukę tkania szmat z wełny i haftowania lnianych chust.

Żołnierze przebiegli prędko ogród i wydostali się na obszerny dziedziniec. Stajnie klasztorne i podwórza były puste, ale wzdłuż płotu znać było ślady popasu konnicy. Na środku jeszcze się tliły ogniska obozowe. Schwytali w stajni parobka i powzięli szybką wiadomość, że w nocy, nad samym rankiem stało w klasztorze wojsko niemieckie piesze i konne, że oficerowie kazali sobie dać jeść w refektarzu, a potem wszystko poszło ku Kielcom, ino gdzieś po drodze tego strzelały.

Zbadawszy wszystko dokładnie, Rafał poszedł na spotkanie drugiej połowy swych sił, która miała czekać przed kościołem. Zmierzał przez wirydarzyk między murem odpolnym a ścianą kościoła. Gruszki tam rosły, osłonięte od wiatru, i wygrzewały się w ciepłym zaciszu. Biała brzoza uderzała długimi splotami gałęzi w żelazne pręty kościelnego okienka. A okienko, okienko... Wydłubane w murze niewiarogodnej grubości, półokrągłe u góry, zaplecione tarniną kraty. Istna strzelnica przeciwko Jadźwingom...

Nagle wspomnienie oblało duszę... Toż przez to okienko wdarł się ciemną nocą złodziej-świętokradca, kraty porozginał i wyrwał, złupał nożem spróchniałą szafkę cyboryum i ukradł kielich złoty. Drżą jeszcze w uszach straszliwe sylaby słów kapelana, kiedy w niedzielny dzień stoi na niskiej ambonie i opowiada ludowi z górskich wsi o tem, co się stało w świątyni. Błady, ze zwieszoną na piersi głową, usta sobie stulą zakrywa... A stulą mu w rękę drży.

Lud wszystek wzdycha i szlocha. Gdy księżyna wskazał z drżeniem na okno i wyłamane kraty, wszystkie się oczy na to okno obróca, wybladłe milczenie zalega ciżbę. Oto rozwija sukienkę kielicha i pokazuje, że święte komunikanty złodziej w nią zawinął i na ołtarzu porzucił. Wtedy ów jęk i trwoga...

Lud pada na twarz i boi się wszystek, a grube mury kościoła w posadach swoich drżą. Któżby się zdziwił, ktożby wyrzekał, gdyby sklepienie zważyło się wówczas i wieża leżących przytłukła? A później a później... Kapelan po mszy wynosi monstrancję i intonuje pieśń, a sam przez świętą Hostyę patrzy w tłum. Jest głuchoniema wiara w tym tłumie, że w takiej chwili kapłan wszystkie zbrodnie ludzkie widzi jak na dłoni. Ale milczy, milczy aż do grobu. Widzi to w tej chwili człowieka, co kraty wyłamał i święte komunikanty w sukience od kielicha rzucił, widzi go jasno przed sobą, ale palcem wskazać nie może...

Serce struchlałego dziecka łomocze pod mundurem ułana i niewymowna trwoga żelaznemi obcęgami ścisnęła piersi, gdy wchodzi tłumem szumnym w progi kościoła. Jakże wydaje się niski i mały! jakże ubogi

i ciasny! Wszystko w nim z grubaśnego kamienia, mur wszędzie prostacki, krzywy.

Przy wejściu kropielnica, wydłubana w głazie kwarcytu. W głębi, pod amboną, pomnik rycerza śpiącego w zbroi, wykuty przed wiekami w pięknym, włoskim marmurze, a teraz pocziwie i pracowicie zabielony wapnem i zabielały rok rocznie z troskliwością na każde godne święta.

W miejscu szumnego napisu pod leżącą postacią rycerza znać w wapnie wgłębienia liter, co żadną miarą nie dały się zabielić... *Sic transit gloria mundi*...

W ołtarzu wyłożony posążek świętej Katarzyny, która trzyma w ręce koło swego męczeństwa i królewski miecz. Tak jej niegdyś tego złotego miecza zardościły dziecięce oczy!...

Nad ołtarzem znowu dwa okienka — strzelnice Fioletowy smutek osiadł na starych, zczerniałych obrazach. Słychać w ciszy jakowyś szept... Jest to może ćwierkanie piskląt w gniazdach jaskółczych, a może szelest owej brzozy, co o kraty kościelne włosy swe zielone czesze.

Żołnierze poklękali w środku kościoła, oficer siadł w ławce i zatonął w marzeniu, we wspomnieniach. Podniósł oczy — i drgnął. W szerokim oknie weneckiego kształtu, które z tajemniczych korytarzów klasztornych na kościół wychodzi, ujrzał trzy cienie. Głowy obramowane w kwadraty kwefów zakonnych, w białe z zewnątrz załamane koronetów okryte ciemnym suknem... Na piersiach złożone ręce. Oczy nieruchome... Bolesne, starcze, żółte twarze, jakoby widm z za świata...

Wstał ze swego miejsca i szybko wyszedł z kościoła. Rozkosz mu sprawiało dzwonienie szabli i ostróg, przepych ubioru wojennego w przeciwieństwie do zakonnej szarżyny i nędzy. Prędko zbiegł po szerokich stopniach między istnemi skałami białych podstaw wieży. Dał rozkaz do wsiadania i sam skoczył na siodło.

— Teraz — marzył — do Wyrw... Do wujaszka Nardzewskiego w gościnę, a potem dalej, na południe...

Pędząc na przedzie, powtarzał sobie ze ściśniętymi zębami wciąż jedno słowo, jak hasło:

— Jaz! Jaz!...

Skokiem wylecieli na gościniec z lasu Łysicy, na pierwsze wzgórze. Ale zaledwie Rafał rzucił okiem w nizinę, zdarł konia i stanął w miejscu, jak skamieniały. Z Wyrw wznoszą się w niebo słupy czarnego dymu! Dworu nie widać, dworu wcale niema, stodoł niema... Czerwone zgliszcze pełga kiedy niekiedy w tem miejscu między czarnemi koronami drzew. Oddział popędził przez pastwiska, przez łąki, przez płoty i wąwozy, co pary w koniach. Przypadli, jak wichura do wsi, w opłotki, na dziedziniec. Wszędzie pustka. Ani jednego człowieka. Ze dworu została tylko kupa zgliszcz, przyciesi opalonych, twardych głowni modrzewiowych i czarne rumowia piecowisk. W całej dziedzinie tylko murowany lamus ocalał. Ułany wpadły do wnętrza. Słyszać było stamtąd ich krzyk. Rafał poskoczył za nimi. Zatoczył się, jak pijany... Ujrzał Nardzewskiego na ziemi w krwawej kałuży, porąbanego szablami tak straszliwie, że z niego tylko ślad człowieka pozostał. Twarz była zmasakrowana, ra-

miona, piersi i ręce pocięte. Ale naokół w pustych sąsiedkach, na grubych dylach podłogi, przed progiem i za progiem, stały czarne strugi krwi. Stary szlachcic nie za darmo sprzedawał swe życie. Rafał przypadł ku niemu ze szlochaniem. Kazał go dźwignąć żołnierzom i wynieść na dwór. Trup już był ostygł. W ręce ścisnął jeszcze swój cudnie dziwerowany pistolet. Żołnierze przetrząśli lamus. Jeden z nich spostrzegł drabinę, wciągniętą pod dach na wiązanie krokwi. Wypatrzonego siedzącego w dymniku człowieka. Ściągnięty na dół, stawiony został przed oblicze oficera. Był to stary Nardzewskiego strzelec, Kacper. Długo się z podełba podejrzliwie przyglądał żołnierzom i oficerowi. Milczał zawzięcie.

— Co się tu stało? — krzyczał nań Olbromski.

— Pana zabili.

— Kto zabił?

— Wojsko.

— Jakie wojsko?

— Niemce.

— Kiedy?

— Dzisiaj rano. Przyszły od świętej Katarzyny.

Napchało ich się pełne podwórze, pełny dwór.

— Konnica, czy piechota?

— Była konnica, była i piechota.

— Jak się to stało?

— Kazały wielmożnemu panu, żeby natychmiast śpichlerz otwierał, stodoły to samo, żeby im od śpiżarni klucze dawał! Zarazem poznał, że źle. Pan na mnie kiwnął palcem i raz, dwa kazał przez zęby, żeby leciał we wieś po chłopach. Niech mi, pada, kto

żyje, idzie na pomoc z cepami, z widłami, z siekierą. Ja we drzwi, a tu, słyszę, tych oficerów pan skłął, zmaścił słowem i kazał im, żeby natychmiast precz szły ze dwora!

— Poszli?

— Ale!... poszli! Jakem od sołtysa przez sadek do dworu przyleciał, to już szły na niego ze siablami. Pan wielmożny już wtedy w swoją najgorszą złość weszedł. Uskoczył do malej stancyi i drzwi za sobą zaparł. Dopiero łap za pistolety, za dubeltówkę i przez sadek do lamusa. Mnie kazał wynieść torby z prochem to samo do onego. Wszystkie te oficerzy za nami! Zatrzaśliśmy drzwi... Pan mi powiada: — Leż w dymnik i bij z góry! Poszedłem i układałem ta nie jednego. Tymczasem drzwi wywaliły. Nie miał się chudziak kady oprzeć...

— Toś go nie mógł bronić, łajdaku!

— Dy ja go bronił, chyła wlażło...

— A wieś?

— Wyszły chłopcy z chałup, nawet niektóre leciały obces, ale jak do nich wycelowali rzędem, skryły się, psu braty, po zapłociu, a potem w nogi. Ja tu spojrzę bez dziurę w dachu: — dym! Stodoły się palą, ze dwora dym wali! Jezusie, Marya... Ino tego śpichlerza nie mogły podkurzyć... Jak już pan nie zipał, powywłóczyli trupy swoich kamratów za próg, zakopali w dół i poszli ku Kielcom.

— Gdzie leżą?

— Wszystkich za lamusem pogrzebli.

Rafał bezmyślnie poszedł w tę stronę. Ujrzał przed sobą ziemię świeżo narzuconą, wysoki okrągły kopiec.

W GRUZACH.

Zadaniem partyi ułanów pod wodzą kapitana Fijałkowskiego, idącej pod Calatayud i Saragosę w drugiej połowie grudnia 1809 roku, było zniszczenie band gerylasów w Aragonii. Partyzant Porliera, zwany Marquesito, przeciął był wszystkie drogi i przesmyki pirenejskie, tamował komunikację wojsk francuskich, przejmował pocztę i unicestwiał wszelkie dostawy. Młody Cedro, który do tej wyprawy należał, ciekawie zdążał ku starej Saldubie. Okolice z północnej strony Burviedro lubił wspominać, jak rodzinne. Piękne w tych wawozach przeżył czasy. I teraz, w deszcz, wśród wiatru i okrutnej słoty, szedł wesoło, jak niegdyś. Najbliższym celem marszu była już Saragosa. Wyglądał jej z załamań drogi, wlepiął oczy we mgłę. Wreszcie stary Gajkoś mruknął z drugiego szeregu:

— Widać już, widać tamtę juchę.

— Doprawdy? A czegoż to, stary, tak nią poniewierasz?

— Jucha to jest, panie podporuczniku! Ile tam naszego narodu zepsuły za pierwszego oblężenia! Ile tam złotego kołnierza ziemia zeżarła, a teraz woda gnoi.

— No, i Hiszpanów niemało!

— A co mnie Hiszpanie! Mało ich to? Naszych garsteczka. Gdzie jednego ubędzie, tam ci już dziura na zawsze. Czemże to ją zatkać? Ich kupa zginie, zaraz druga kupa w to miejsce wyrasta.

Po chwili dodał tajemniczym szeptem:

— Paniczu, mnie się widzi, że ja wykrył prawdę.

— No?

— Ony, choć to i chrześcijanie są i katoliki prawowierne, ale nie może inaczej być, tylko, musi, to są Żydy chrzczone.

— Cóż ty pleciesz?

— Sprawiedliwie! Nieraz ja już trupy ich rewidował na placu. Jużci tegom nie napotkał, żeby były oczywiste Żydy, bo już snadź za ojców wychrzczone. Dawne wychrzty, jednym słowem. Nawet mi jeden Francuzina z woltyżerów w Toledo gwarzył, jak to tam z nimi było, tylko żem nie mógł wszystkiego wyrozumieć, bo prędko kłapał. Skądby zaś tyle tych geryłaków być mogło, żeby się z Żydów nie wywodziły?

Od Xalonu popędzili na wschód pampeluńską drogą, pragnąc zobaczyć, co też się stało? W dolinie nad Ebrem, między oliwami, w pustych niegdyś domach widać już było mieszkańców. Za klasztorem otwarł się przed nimi widok, bo w całej prawie dolinie drzewa były wycięte. Pniaki tylko sterczały. Dopiero na podgórzach z tej i tamtej strony rzeki szarzały liście. Już przed zamczyskiem inkwizycyi dopadli robót ziemnych, wpoprzek przecinających drogę, co prowadzi do kościoła Kapucynów. Te niezmierne prace teraz były już puste i porzucne. Gdzieniegdzie tylko po nich

wałęsał się szyldwach francuski. Wzięli się w górę i przez pola, skacząc wpoprzek rowów, dosięgli Huerby. Był na niej w jednym miejscu rzucony w górze most. Tędy wydostali się na drogę do Belchite, prowadzącą wprost do bramy Engracia. W zdumieniu i bojaźni cały oddział stanął bez rozkazu. Droga ta, jak wszystkie inne, jak droga z Monte Torrero do świętego Józefa i jak szosa walencka, była po trzykroć przerznięta paralelami, nieprzerwanie idącymi aż ponad Ebro. Stojąc na górze, widzieli olbrzymie prace oblężnicze francuskie. Naprost przed sobą mieli szanice przedmostowe na Huerbie, które zakrywały cały dalszy widok. Na prawej ręce, dookoła klasztoru świętego Józefa, rysowały się zazębienia, gzygzaki, waryackie, napozór, poplątania linii aproszów, podobne do znaków przebiegu gorączki na karcie historii choroby. Jedna linia tych przykopów biegła w dół, stosując się prawie do zagięcia Huerby, druga szła do niej równolegle, później wypaczała się w rozciągnięte, rozszalałe zęby, przeskoczyła Huerbę i straszliwym znakiem ryła się w złotodajnych niwach na wschodzie, aż pod sam klasztor świętej Moniki. Gdzie oko padło, widać było drogi kryte, szlaki koszokopów, zagiówki, ganki naróżne... Dalej jeszcze sięgała linia drugiej równoległej, niezbyt gzygzakowata, zakończona baterią, z której sześć armat biło swego czasu na most i przedmieścia zarzeczne. Podobną figurę krętych rowów i powyginanych nasypów przedstawiały za rzeką Ebro roboty ziemne od wchodu przedmieścia. Wszystko to leżało teraz zaniedbanem pustkowiem, mokło na deszczu jesiennym. Cała ta ziemia była jeszcze żółta, wywrócona

trzewiami do góry. Dumne klasztory przysiadły. Ze świętego Józefa zostały jeno baszty i dziurawe ściany...

Ułani w milczeniu szli górą na wschód aż do samej rzeki. Dopiero tamtędy wjechali w miasto. Widok, który ich spotkał, gdy wpuszczeni przez sztyd-wachów francuskich zbliżyli się do bramy *de Sol*, przeszedł wszystko, co sobie mogli wyobrazić. Ziemia zryta przez forty obronne hiszpańskie za klasztorem świętego Augustyna, porwana w strzępy przez zdradzieckie ich fugasy, odlupane przez kule armatnie powleczenia z cegły, domy spalone, straszne pustki mieszkań, od których oderwały się frontowe ściany, sufity zwisłe ponad pustką pokojów, dachy zakłęsłe... Mijając uniwersytet, widzieli ogromne wyłomy w murach biblioteki, spowodowane przez wybuchy min prochowych. Przez te kanały i pęknięcia murów wywalała się na ulicę rzeka książek. Ulica Cosso była od min i kontr-min porwana. Ułani jechali groźnym zastępem z czapkami na ucho, ze zmarszczoną brwią. Kiedy przybyli przed wylot ulicy Engracia, kapitan Fijałkowski, pod pozorem trudności przebycia terenu i pod pozorem konieczności rozpytania się o rezydencję komendanta placu, kazał oddziałowi stanąć. W gruncie rzeczy chciał się pospołu z towarzyszami przypatrzeć.

Ulica Engracia — znikła. Na jej miejscu wznosiły się góry fantastyczne, coś jakby widok z wyżyny lodowca Rodanu na łańcuchy Alp berneńskich. Klasztor Franciszkanów, roztrzęsiony minami, które cały obszar jego posiadłości aż poza ogrody, aż do klasztoru świętego Tomasza i z drugiej strony do kościoła San Diego objęły strasznem ramieniem, leżał wyrwany z węglów,

zepchnięty z przyciesi, zdruzgotany na szczapy i drzazgi. Szpital obłąkanych, klasztor Panien Jerozolimskich i wszystkie domy dzielnicy aż do uliczki Recogidas stanowiły nieprzejrane zwalisko. Tu i owdzie sterczała jeszcze samotna ściana. Tkwiły w niej belki, wisiały okna, resztki drzwi... Gdzieniegdzie wznosiły się niewymownie posępne skupienia murów z których narożniki wyrwano minami. Trudno było odgadnąć, do czego służyły ich węgly i sklepienia. Stały teraz przed oczyma jak trupy gnijące. Z całej tej otchłani zniszczenia biła woń trupów, których nikt nie pogrzebał. Rozłożone w upały letnie wznosiły teraz z gruzów powitanie i cześć zwycięzcom.

Cedro wykręcił się na siodle, o bok wsparł rękę i patrzył w zwaliska. Nie przychodziła mu do głowy nijaka myśl. Ani jedno wspomnienie nie wałęsało się w pamięci. Trzymał go w żelaznych klubach fizyczny zachwyt. Osłupiałemi oczyma włókł się z miejsca na miejsce, utwierdzając w sobie pewność, że to jednak spełnione zostało z potęgą. Wywalili z gruntu tyłe mury, jak klasztor franciszkański! Rozsypali w drobny pył gązzy, złożone przed wiekami! Strzaskali to, co przetrwało wszystkich emirów maurytańskich, wszystkich *justiz'ów* i królów Kastylii! Zmiażdżyli dumę Aragonów. Urok potęgi zniszczenia, piękno okrutnej władzy powiało ku niemu z tej dzikiej pustyni. Wojenna дума podźwignęła się w nim na widok leżących gmachów.

— Upokorzyłeś się, Saragoso... — pomyślał w głębi siebie. — Złożyłeś broń u nogi obcych przychodniów. Nie stoisz wreszcie przed oczyma ze starodawnym

krzykiem wolności — *avi fuerza!* — z hasłem odwiecznych, a niezliczonych rokoszów twoich. Niezwyciężona, *siempre eroica* — spodlałaś i ty! Leżysz nareszcie w gruzach, a gardziel twoja w pętlicy...

Wysłany po rozkazy *maréchal des logis* wrócił z rozkazem udania się na kwaterę do skasowanego klasztoru świętego Tomasza. Oddział ruszył tam niezwłocznie i rozłożył się po pańskę w obszernych refektarzach i licznych celach. Wyborowe stajnie pomieściły wszystkie konie. Oficerowie i żołnierze poszli wnet spać, od tylu czasów po raz pierwszy bezpiecznie i spokojnie.

O zmroku Cedro nabił swe pistolety, wysoko przypiął szablę i sam jeden poszedł w miasto. Bił deszcz, wicher ze świstem i wyciem leciał ulicami. Bramy były pozamykane, sienie puste. Tylko gdzieś przesuwiał się człowiek, z uszami i oczyma zawinięty w opończę. Biały płaszcz, który był Krzysztof przypadkowo zarzucił, zwracał uwagę tych nielicznych przechodniów. Ten i ów z nich stanął w biegu i wiódł oczyma białą postać. Charczące słowo, jakoby zgrzyt ostrza puginału, który z pochwy wyciągnąć się nie da dla zakrzepłej na nim w rdzę krwi — goniło go wskroś mroku:

— *Carajo!*

Ułan nie zwracał na te głosy uwagi i nie raczył skierować głowy, by dostrzedz, kto nań w ciemności szceka.

Szedł, zawinięty w swój płaszcz, zadumany. Wiedział w marzeniu Olszynę i Stokłosy, dom rodzinny, ojca, Mery i Trepkę. Przywiózł im gościa z dalekiego

Południa. Widział Mery i nieznajomą doncellę, jak rozmawiają w dzień letni pod cieniem wielkich brzoź, których długie korytarze wychodzą w pola zbożowe, w łąny żywiące. Azali spodoba się jej kraj północny, azali powita sercem życzliwem ubogi rozdół Wisłoki? Przyjmiesz-że go sercem, dziecino Aragonii? Zrozumiesz-że szept pól żytnich, szelest pożółkłych zagonów owsianych, szum tamecznego lasu i plusk cichy tamtejszej wody? Pojmie-ż ona senniejszą a mglistą równinę wymowę? Przyniesie między tamtych ludzi ogień i niezłomną dumę, złączy duszę swoją rozpaloną i wzniosłą z ciszą i spokojnością słowiańską. Ona to będzie żarem i zapalem pod strzechą olszańską! Widział chwilę powitania, prowadził z Trepką rozkoszne spory o tego gościa nowego w Stokłosach. Cha-cha! przewidziałeś dobrze, stary polityku... Przywiozę ci niespodziankę z obcych krajów. Konne polowania z chartami... Pędził w marzeniu polem jesiennem obok niej, słyszał wiatr ścigający się z lotnymi końmi. O, przezroczyście, niezgłębione oczy! o róże jasne tamtej nocy!

Szedł obkoczony przez marzenia, napół wiedząc, że zdąża ku miejscu, które był zdobywał półtora roku temu. Wszedł w uliczki, pod prostym kątem załamujące się w kierunku klasztoru Franciszkanów. Minął jedną z nich, drugą i wstąpił w trzecią. Nigdzie tu światła nie było, nigdzie śladu ludzkiego życia. Krzysztof tak doskonale poznał odległość od rogu tej ulicy do wejścia w ciemną sień domu w dniu bitwy, że teraz wyczuł ją nieświadomie. Musiał wyciągać ręce, pragnąc dotknąć murów po przeciwległej stronie ulicy. Ale kiedy zaczął iść w tamtym kierunku, potknął się

i uderzył piersiami, kolanem i wreszcie czołem o gruzy. Chropawe, bezkształtne bryły i złomy muru, kupy cegieł otoczyły go ze wszech stron. Dotykał rękoma zwalisk oślizgłych od deszczu i mokrych żwirów. Nogi jego wykręcały się w ostrych zębach kamieni, jakby schwyte w żelaza, kolana tłukły się i zbijały o ustawione urwiska. Wstępował coraz wyżej na górę zrujnowaną, na poszarpane zburzyszcze. Szedł zrazu naprzód, potem na prawo i, mocując się z gruzami, laźł jeszcze kilkadziesiąt kroków. Zapadał w doły, wpełzał na stracone mury, zlatywał w szczeliny, padał na twarz w głębokie jamy, aż wreszcie obszedł w różnych kierunkach tę dzielnicę całą, do Cosso. Wtedy, spracowany ciałem i duchem, zwałił się między kamienie, powiedziawszy sobie, że nic tu już niema. Spadła nań zupełna, dawniejsza obojętność. Czuł tylko spracowanie się ciała i duszy, znużenie i odrzę. Zrzadka rozlegał się w nim śmiech rozczarowania, śmiech nieznośny i przeklęty. Któż wie, myślał obojętnie, leżąc bez ruchu na osypiskach wapna, może tu ona gdzieś pod mną gnije? Może, gdyby rękoma piach ten rozgrzebać, trafiłoby się na jej zmiażdżonego trupa. Deszcz spływa między skruszone cegły, między zzieleniały piaskowiec. Kapie brudna woda w jej oczy, rozwarte od wielkiego przerażenia... Zatopiony w sobie, nie czuł siekącego deszczu, nie słyszał wycia wiatru. Ale oto uderzyły go szczególne dźwięki. Zbudził się jak ze snu twardego. Czuł wstrząśnienie ziemi, na której leżał, jakoby dreszcz gruzów i zwalisk. Leniwie podniósł głowę. W pobliżu, gdzieś obok, za urwiskiem ścian słychać było ciężkie łomotanie żelaznych drągów i ciosy kilofa. Krzysztof

słuchał tego przez czas pewien, a później zapomniał że się rozlegają. Przyszedł do wniosku, że to nędznicy, obdzierający trupy, rozkopują zwaliska — i na tem poprzestał. Leżał tak samo.

Tymczasem ciężkie kroki, szczęk drąga i szepty rozmowy poczęły zbliżać się w jego stronę. Wtedy gniew go dźwignął z ziemi. W nieprzejrzanym mroku nocy zamajaczyło kilka ciemnych figur. Krzysztof wyciągnął z za pasa pistolet, odwiódł go i czekał znieruchomiały.

Ludzie nocni szli wolno, zgrzytając po kamieniach podkutymi podeszwami. Poznał z rozległości łoskotu, że jest ich co najmniej pięciu w obrębie zwalisk. W kupie szło trzech. Dojrzawszy, widzieć, jego płaszczy, stanęli. Wszczęła się cisza. Wicher tylko kwiczał, latając po złomach. Wtem prędki błysk ślepej latarni, jak gzygzak piorunu, padł na figurę Cedry. Wtedy on podniósł pistolet i rzekł spokojnie po francusku:

— Kto tu jest?

Milczenie.

Po chwili drugi, pośpieszny błysk latarni obleciał przestrzeń za Krzysztofem, z prawej strony i z lewej, jakoby gończy pies, szukający, czy są poplecznicy. Jednocześnie ciemne figury rozpierzchły się i rozplynęły w mroku w ten sposób, że białą figurę ułana osaczyły ze wszech stron. On wziął na cel pierwszy z brzegu czarny cień, który zdołał uchwycić oczyma. Parękroć razy sprawdził kierunek i szarpnął cyngiel. Echo strzału runęło w rozwalone mury, jak pocisk armatni. Cedro wyrwał drugi pistolet z za pasa. W lewą

garść ujął szablę. Słyszał obok siebie i za sobą skoki po jęczących kamieniach. Żelazny drąg dosięgnął go i wymacał. Wtedy, odwróciwszy się, Cedro nagle strzelił, przystawiwszy lufę niemal do piersi człowieka, który go chwycił rękoma. Tamten runął na wznak z jękiem śmiertelnym. Krzysztof skoczył przez niego, tnąc szablą, którą w prawą dłoń chwycił, na prawo, na lewo, w tył i naprzód. Nogi jego wyłamywały się i spadały z kamieni. Walił się na kolana, na ręce, zrywał i odskakiwał od wrogów, którzy go dosięgali. Gruzy, po których uciekał, nie miały końca. Stał się z nich straszliwy labirynt zaułków, ścian, izb i dołów! W jednym z takich Cedro stanął. Czuł po zmienionym głosie wiatru, że się znajduje w ruinach jakiegoś domu. Oparty plecami o resztkę komina, czatował na napastników.

Przyszło z nich dwu w to miejsce i zaświecili mu wprost w ślepie latarnią. Przez jedno мгновение żrenicy widział straszliwe ich twarze. Skoczył susem na obu i ciął oślep pałaszem ze wszystkich sił, czując, że nadeszła okrutna godzina. Ramię jego miotło piorunowe ciosy, krzyżowe i sztychem. Tamci bili weń drągami z góry, żeby od jednego ciosu łeb mu rozwalić. Jeden z nich wrzasnął przeraźliwie i ustał w walce, ale drugi zadawał razy okropne. Krzysztof czuł jego chrapliwy oddech i odór jego ciała. Idąc za głosem, skoczył na niego tygrysim rzutem, chcąc zadać cios w piersi. Obadwaj runęli na ziemię. Na śmierć dusząc się rękoma i zmagając, tarzali się po kamieniach. Raz Krzysztof był na wierzchu, drugi raz tamten. Głowy ich prały w głązy, zęby wszczepiały się w ubrania,

targając je kęsami, ręce, jak żelazne kły, szukały nawzajem gardzieli. Hiszpan był chłop gruby i żelaznej mocy, to też Cedro nie mógł mu sprostać. Ratowała go zwinność i młodość. Wyrывał się co chwila, wyslizgał z okrutnych objęć, rzucał od nowa do gardła ruchami pędzyszy od myśli. Bronił się wciąż, szalenie napadając. Czuł jednak, że nie da rady. Śmiertelny pot go oblał.

Rozpacz rozdarła mózg. Przez mgnienie oka decydował: — wyrwać się i uciekać co sił! Targnął się, wygiął w krzyżu i oderwał. Ale tamten poczuł jego niemoc. Klęczeli teraz obaj na ziemi z twarzą przy twarzy i chwilę czekali na śmierć słabszego. Hiszpan nabrał w piersi tchu i rzucił się pierwszy na Cedrę odrazu całym ciałem. Rękoma chciwemi dosięgł jego szyi. W tym to momencie, tarzając się w konwulsyach, zlecieli obaj w jakąś wąską czeluść. Toczyli się po stromych schodach, dusząc się i żrąc wzajem. Na dnie, gdzie przeraźliwy fetor trupów stał nieruchomo, Krzysztof wydarł się z rąk zbira. Odruchem, czuciem świeżego tchu, trafił w czeluść schodów i we dwu, trzech susach dopadł powietrza. W tej samej chwili schylił się i porwał z ziemi olbrzymią bryłę, którą stopami potracił, a kolanem poznał, jako ruchomą. Wzniósł ją oburącz ponad głowę, siłą nie swoją, lecz jakoby sześciu ludzi, i z chichotem szczęścia od jednego zamacchu cisnął nieomylnie w otwór schodowy. Usłyszał westchnienie — śmierć, stęknienie, koniec, urwany szloch. Wtedy drugą bryłę w to samo miejsce, trzecią, czwartą! Szukał po ziemi coraz większych, nieudźwignionych i nadludzką, oszalałą siłą miotał je z wściekłym po-

śpiechem w czarny otwór. Widział teraz ów otwór oczyma, jakoby w biały dzień. Nie miał zgoła wiadomości o tem, gdzie jest i co robi. Rypał nagiemi rękoma przëmokłe skiby muru i walił je w dół wciąż, bez końca, spychał rozpękłe gruzy kolanami.

POSTERUNEK.

W ciągu zimy kompania kapitana Fijałkowskiego czyniła wielokrotne wyprawy z Saragosy. Zazwyczaj kapitan zostawał w mieście z częścią oddziału, a na wyprawę szła partya pod wodzą porucznika, albo jednego z dwu podporuczników. Czasami znowu kompania dzieliła się na kilka części, nad któremi brali dowództwo obsługujący ją czterej wachmistrze, wachmistrz starszy, ośmiu kaprali, a nawet dwaj trębacze. Tym sposobem pilnowano dróg, prowadzących z gór do Saragosy.

Jedne z tych małych partyi chadzały drogą pampeluńską i dolinami do niej przyległemi, inne wzdół rzeki Gallego, jeszcze inne na wschód południowy drogą walencką, ku sinemu morzu, na Fuentes de Ebro, przecinając kanał królewski na la Puebla de Híjar, na San Per, do Alcaniz i stamtąd aż pod Monroyo. Wracali z tych wypraw poranieni, zestrzelani nieraz potężnie od gerylasów, zbici na siodłach, zniszczeni od wichru i deszczu. Krzysztof Cedro przez czas dosyć długi nie brał udziału w akcyi ze względu na fatalny

stan zdrowia. Kości miał potłuczone, płuca i wątrobę jakby odbite drągami.

Był dręczony od smutków i tęsknot. Łaził po Saragosie w samotności zupełnej, zry i zapamiętały. Kiedy go towarzysze dawnych wypraw i zabaw rycerskich pytali, co z sobą wyrabia i czemu się dziwaczy, mówił im krótko a węzłowato, jako jest kuszony od dyabła i że zмага się z nim w opustoszałych kościołach, w ruinach klasztorów i w gruzach ludzkich domów. Na wiosnę, pierwszych dni marca, gdy w zwaliskach puściły się trawy, a radosny krzew zdrzewi-stracza-wistaryi, barwę nieba południowego wsysający w gruzły i torebki swych kwiatów, osłaniać począł zręby murów, przerzucać przez nie ręce swoje, gdy z ziemi pełnej trupów, poduszonych w piwnicach, zgasyłych z morowej zarazy, trysnęły bujne różgi drzewa miłosnego cercis, gdy wybuchały niesłychane kępy fiołków, hyacyntów o tysiącu barw, lilii i tulipanów, Krzysztof ocknął się, zażądał wyznaczenia do czynu i na czele podjazdu uszedł w góry. Miał pod sobą jego wachmistrzowską mość Gajkosa i dwudziestu chłopów. Wskazano mu kierunek zgoła nowy. Mieli dotrzeć aż do przesmyków górskich, wiodących w stronę francuską, pod Valée d'Aran w środkowych Pireneach. Przejścia te ogarnione były przez siły powstańcze. Należało je wysledzić, zbadać i, jeśli to możliwe, drogi oczyścić. Szli z początku wielkimi marszami wprost na północ, do Monzon, następnie do Barbastro. Trzeciego dnia znaleźli się już w bezdrożach górskich około Puente Montagnana ponad rzeczką Noguera, dopływem Ebra z północy. Skończyły się poszarpane grzbiety pagór-

ków wapiennych, osypiska gipsu, płone łąwy i wyniosłości, przesiąkłe solą. Wązkie *barrancos*, szczeliny tak puste, że nie było w nich drzewa, krzaka, kępy ziela, wzniosły się w górę na płaskowzgórzu kraju Sobrarbe, między górnym biegiem rzeki Cinca i Noguera. Dosięgli tu wiatru i nawału chmur. Odetchnęli zimnem, ale wilgotniejszym powietrzem.

W wąwozach, które minęli, w owych ciasnych przepaściach, wązkich od osypisk zwątlącej skały, było cicho i duszno. Wiatr tam nie dolatał, martwe powietrze stało nieruchomo, jak w zapartej izbie. W górzystej krainie, na którą teraz wstąpili, częściej trafiało się ludzkie mieszkanie. Były to przeważnie chaty pasterskie z lasującego się kamienia, połączone z zagrodami dla kóz i krów. Kiedy niekiedy trafiały się domostwa okazalsze przemysłników zawodowych, ludzi górskich.

Tam i sam, w miejscach najbardziej dogodnych do uprawy ogrodu, warzyw i pola, widać było gruzy osad i folwarków maurytańskich, od chwili wygnania przed wiekami morysków tak już pokryte bluszczami i trawą, że trudno je było odróżnić od zburzonych siedzisk hidalgów-rozbójników. Ułani nie spotykali w tych stronach ludzi na swej drodze. Długo nieraz musieli czatować, nim zdołali pojmać w chacie mieszkańca i wydobyć od niego zeznanie. Jedni z tych jeńców nielicznych byli zakamieniali, nieprzystępni i niezdobyci w uporze swoim, zupełnie jak góry Pirenejskie; woleli konać w męczarniach, niż wyznać słowo o miejscu pobytu bandy powstańczej; woleli dać się spalić na wolnym ogniu, niż wyjaśnić, gdzie się zakręca albo

rozwidła drożyna, po której dążono. Trafiali się jednak i ludzie łakomi na grosz, albo jowialni i dobroduszni, za niuch dobrej tabaki wyjawiający wieść pożądaną, najczęściej zresztą niedołęźnie wymyśloną, niepotrzebną, albo fałszywą. Trafiali się politycy trzeźwi i przewidywacze nieomylni, zawsze uznający siłę i władzę tego, kto jej posiada najwięcej. Byli i podli zdrajcy. Ci przychodzili sami, niewzywani. chyłkiem, w godzinie nocy i mroku, wiedli niedostępnymi szlakami i wydawali na śmierć bezpiecznie śpiących rodaków. W godzinie nocy i mroku brali za to zapłatę i znikali w szczelinach górskich.

Niedościgłym inkwizytorem i badaczem co się zowie, był Gajkoś. Umiał tak zadawać pytania i tak je popierać argumentami, że niezwłocznie okazywało się, co zacz jest człowiek. Po dwu, trzech »sposobach« już było wiadomo, czy należy kawalera ogieniaszkiem przypiec, czyli też ze słowiańską gościnnością uczęstować hiszpańskiem winem. Gajkoś władał nawet językiem, wprawdzie nie hiszpańskim, ale z inkwizytorsko-aragońskim. Jego bełkot, rzecz dziwna, był zrozumiały dla jeńców wszelkiego usposobienia charakteru i temperamentu, jak powszechnie wiadomy kodeks. Wyprawami dowodził sam Krzysztof. Chodzili najczęściej gęsiego, jeden za drugim, zestrachane konie ciągnąc za uzdy po zupełnych bezdrożach, upłazami, gdzie sypki miał leciał z pod stopy w głuche przepaście. Skradali się przy blasku księżyca i w najciemniejsze noce, czynili napaści rankami i z wieczora na obozy i wędrownie partye.

Po długich trudach całej niemal wiosny udało

się Krzysztofowi odegnąć bandy od przesmyków i szlaków górskich, otworzyć łańcuch kresów pocztowych przez góry dla armii generała Suchet'a. Nareszcie oddziałek uwolniony został z tych miejsc dyabelskich i otrzymał rozkaz przywrócenia komunikacyi, również przez gerylasów przeciętej, z załogami francuskimi na południu, w łańcuchach iberyjskich, za Ebrem. Prawie tedy z Valée d'Aran poszli na południe, na Leridę, doliną rzeki Serge de Mequinenzy. Tu dłuższy czas wśród wojsk francuskich wychnąwszy, pomaszerowali nową drogą, którą generał Suchet budował właśnie, w celu oblężenia Tortozy. Szybkimi marszami weszli w dolinę rzeki Algas, a stamtąd, idąc wciąż górami, minęli Monroyo. Celem ich drogi była Morella, forteczka w górach, gdzie z dwiema secinami ludzi brocił się przed zbuntowaną okolicą kapitan Wyganowski. Krzysztof miał przełamać niemałe trudności, nim się ku zameczkowi Morelli zbliżyć zdołał. Wsie, fermy, folwarki okoliczne, jak oto: Bellestar, Chiva, Rosel, Trayguera, Tordelella, Mata, Herbes itd., były zbuntowane i w stanie wojny. Oddziałek ułański musiał się zwijać, jak skorpion, otoczony żarzewiem, żeby nie uległ doszczętnemu zduszeniu przez wielkie siły. Prawie tedy nie sypiali w ciągłym marszu. Od miejsca do miejsca lecieli zazwyczaj galopem, żeby napadać niespodzianie i nie dać się gerylasom spostrzedz, ilu ich jest naprawdę.

Nareszcie, po długich jazdach naprzód i w tył, jednego dnia o zmroku dosięgli bram Morelli. Radość to była istotna, kiedy ujrzeni się w towarzystwie dwustu piechurów z nad Wisły i pod tkliwą strażą ich

karabinów. Cedro powitał Wyganowskiego, jak rodzonnego brata. Kapitan był jeszcze bardziej zawiędły, niż w Saragosie.

Twarz jego w marszach i na wietrze zczerniała i zeschła. Wydatne kości policzków i szczęk nadawały jej wyraz grozy i surowości nieubłaganej.

Uśmiech anielskiego uradowania, który na ustach zmartwychwstał na widok młodego Cedry, był czemś nad wyraz dziwnem i niespodziewanem w tej twarzy srogiej. Podobnie w sposób niezwykle brzmiał głos jego, gdy przyszło witać i rozmieszczać przybyszów. Ale za chwilę już postawa i brzmienie głosu wróciły do dawnej sztywności.

Kapitan Wyganowski zajmował w zamku Morelli małą izbę narożną z oknami, wychodzącemi we dwie strony świata. Widać było stamtąd miasteczko, u stóp góry rozłożone, i drogi do niego prowadzące. Kapitan miał tu łóżko, stolicek i dwa krzesła. Kazał zaraz wnieść do tej izby drugą pościel i zaczął gościć młokosa. Krzątał się po kątach, przygotowując strawę, wycierał szklanki, znosił jakieś przybory. Cedro przypatrywał mu się z pod oka, leżąc na tapczanie.

Wyganowski rzekł:

— Ktoś mi tu mówił, tfy! na psa urok, że cię w potyczce ubili. Na szczęście kłamstwo.

— Niezupełnie. Było mi trzy ćwierci do śmierci.

— No, żartuj zdrów! Wyglądasz, jak koń andaluzyjski, dobrze pasiony kukurydzą.

— Kula mię durch przeszła.

— Kula — to głupstwo. To jakby cię febryczny dreszcz przeszedł.

— Nie radzę takich dreszczów...

— Miałem ja je w sobie.

— Co? Dreszcze?

— Co to gadać! Wiesz ty? — rzekł nagle, zwracając się twarzą do słuchacza: — ja już nie mogę wytrzymać!

— Czego?

— Tego życia.

— Cóż znowu za sentymentalizm!

— Mówię, jak żołnierz żołnierzowi, na honor ci niesplamiony przysięgam, że śmierć-by mi była miłsza...

— Dlaczego?

— Życie mi tu zmierzło do cna — oto dlaczego!

— Ależ dlaczego?

— Nie mogę wytrzymać tej służby. Nie mogę! Zarznęło mię to, zadusiło. Ja nie poto do wojska poszedł, żeby hiszpańskich chłopów żywcem palić, wsie całe z babami i dziećmi do nogi wytracać, miasta uśmierzać ogniem i mieczem. Szczerze ci mówię, że duszą iestem po ich stronie.

— To źle!

— To też dwa lata temu zażądałem dymisyi. Jak poszła moja prośba, tak do tej pory nie wraca. Cesarz wojuje w Austryi, siedzi w Paryżu, a dla mnie abszytu jak niema tak niema. Tymczasem muszę przeciw su-mieniu, przeciw własnemu pałaszowi służyć. Biję się z samym sobą, wojuję ze swoim własnym rozumem. Sto tysięcy razy szedłem oślep na zginienie, żeby raz nie być już podłym ludzkim pachołkiem!... To mię omija! Teraz już dłużej nie mogę!

— Czy kapitan chcesz wracać do kraju?

Wyganowski prędko przełknął powietrze.

— Czy ja do kraju?... Tak, ja... do kraju... — wyszeptał suchemi wargami.

Wszedł oficer służbowy z raportem o rozmieszczeniu w zamku koni ułańskich. Wyganowski rozmawiał z nim już głosem tak ostrym, nieubłagany i twardym, jakby to innego człowieka był dźwięk mowy. Po załatwieniu formalności i wyjściu oficera wrócił do poprzedniego wątku:

— Spadłeś mi, jak z nieba! Sam nawet nie wiesz, jak wielką mógłbyś mi oddać usługę.

— Jestem gotów do każdej.

— Ba! Jeśli się zdarzy, że pójdziesz stąd w stronę właściwą. Jaka jest dalsza twoja marszruta?

— Mam przejść drogę do Tortozy, dać wieść o tobie i innych po drodze załogach. Potem wracam do Saragosa i do pułku.

— Do Tortozy, do sztabu Suchet'a!... — wołał z radością Wyganowski.

— O cóż idzie?

— Bracie! Przecież tam może być dla mnie od dawien dawna dymisya i leży w jakiej kancelarii. Komunikacye nasze z Francją były tak długo zerwane... Mówiłeś, że kresy pocztowe zostały dzięki twoim staraniom nawiązane... Może właśnie nadeszła.

— W takim razie ruszam jutro.

Wyganowski rozpostarł ramiona i zaśmiał się w głos, jak dziecko. Ale za chwilę był już sobą.

— Żartujesz, braciszku! Gdzieżbym cię mógł stąd puścić bez wypoczynku.

— Jutro jadę. Byłem się dziś wyspał z żołnierzami. Konie wytchną...

Mówił to już prawie we śnie pogrążony, choć widział jeszcze Wyganowskiego twarz bladą. Spał, jak kłoda, aż do południa następnego dnia. Obudził go straszliwy upał lipcowy, buchający do izby oknami. Cedro siadł na posłaniu rzeźki i zdrów, silny, rzeczywiście, jak andaluzyjski rumak. Z rozkoszą myślał o przygodach, które go czekają jutro, pojutrze, nim się do Tortozy przedostać potrafi. Wszedł Wyganowski. Już we drzwiach mówił:

— No, ale ten twój Gajkoś! Jabym go, szelmę, pierwszego przypiekać kazał. Jeżeli to prawda, co on tam moim Wickom rozpowiada...

— Cóż takiego? — śmiał się Krzysztóf.

— Wyszedłem na lustrację zamku i zastałem już wszystkich przy butlach. Pyszne rzeczy, bo nie oni jego, lecz on ich podejmuje: ma on ze sobą przednie wino.

— O, to wiadomo...

— Minę ma, jak byk, przeznaczony na arenę w Burgos. Takiego kwiatka jużem dawno między naszymi nie widział. Siedzi sam wśród moich piechurów, ssie dym z cybucha, kiedy niekiedy pociągając tęgie łyki z kubka, a właściwie z półkwarcia. Gdy zaczyna mówić, dym cedzi mu się przez wiechy wąsów i okrąża czerwony nochal. A zakwitł mu różnobarwnie na drogich winach — ani słowa.

— Życie mi uratował.

— Gdzie?

— Pod Burviedro. Byłem stratowany na śmierć.

Fonia mojego złapał w biegu, gdym przestrelony zleciał z siodła...

— Przeklęte wszystkie te bitwy, te wsie i miasta! — krzyknął Wyganowski, chodząc po izbie. — Alboż to i ja nie mam pod swoją komendą zbirów, siepaczów, morderców, a przecież ich szczędzę i cenię bo ci najlepiej umieją... Najpewniej ci właśnie wywioda z nieszczęścia, w razie obskoczenia. Co my tu robimy do pioruna! Ty długo tu jeszcze myślisz przebywać?

— Dopóki mi nie każą iść gdzieindziej. To chyba jasne. Może się przecie wojna skończy.

— Ta wojna nigdy się nie skończy. Jestem żołnierzem od tylu lat, więc wiem, jaką wojnę można skończyć i kiedy. Napoleon nie cofnie przecie oręża przed gerylasami, boby całą swoją sławę postradał, a pobić ten lud — bajki wierutne! Przeszedłem z tą szpadą niemało świata, widziałem ludy walczące. Nie można ich pobić, bo mają za sobą rację i entuzjazm. To mówiłem w oczy wszystkim moim zwierzchnikom, kiedym uzasadniał żądanie dymisyi.

— Można by z równą słusnością dowodzić, że wcale racyi nie mają.

— A to ciekawe!

— Więc tak nadzwyczajnie powinni bronić inkwizycyi, nietykalności praw feudałów, dóbr klasztornych i tej dynastyi Burbońskiej! Toż przeciwko tej samej dynastyi bronił się Aragon, Katalonia i Walencya zębami i pazurami sto lat temu, w wojnie o następstwo hiszpańskie. Jak dziś gwałtem chcą mieć nad sobą Ferdynanda VII, czy Karola IV, obu Burbonów, tak wów-

czas na gwałt chciało im się Karola, Austryaka, przeciwko Burbonom. Ciemny naród. Myśmy takie idee kilkaset lat temu przeżyli. Ktoby się u nas chciał bić z duszy za takie czy inne następstwo? Pomyśl tylko...

— A ty się za kogo bijesz? — zadrwił krwawo kapitan.

Cedro przyskoczył do niego z okrzykiem:

— Ja się biję z duszy za kraj!

— No, powiadaj-że sobie w dalszym ciągu tę dewizę przed sobą i Panem Bogiem. Ja już nie chcę. Ja idę.

Po chwili mówił z wypiekami na twarzy:

— Taki plan uknułem dzisiejszej nocy. Kiedy stąd będziesz ze swymi ludźmi wychodził, dam ci przewodnika, Hiszpana. Zrobi mu się mundur podobny do waszego, żeby go zaś nie poznali rodacy. Dam mu swego konia. Powiedzie was pewnym, najbliższym i zupełnie bezpiecznym szlakiem do Tortozy.

— Cóż to za człowiek? Żeby mię tylko nie sprzedał za jakie srebrniki. Bom widział już takich między nimi, co się to Francuzów trzymają dla zysku, ale zarazem i od swoich radzi biorą.

— Człowiek najpewniejszy! Głowę ci za niego ręcę. Doświadczyłem jego wierności w stu okazyach. Hiszpan to prawdziwy, ale szalawiła i wolnomyślnik. Stąd ma pasyę do Francuzów. Wierzy, że z pomocą francuską prędzej w kraju zakwitną urządzenia nowoczesne. Nie myśl, żeby to był płatny zdrajca. Mówię, że to Hiszpan, ale ma kulturę wyższą, więc go fanatyzm chłopów, mnichów i przemytników nie zadawała. Doświadczył ode mnie wielekroć dobrodziejstw. Nie

jedno życie ode mnie wyprosił. Całym miasteczkom i całym wsiom na jego słowo przepuszczałem. Chce mi się teraz wielką przysługą odwdzińczyć. Dasz mu w rękę dymisję, jeśli nadeszła, — i nic więcej. On mi ją przyniesie.

Mówiąc to, wsparł ręce na ramionach Cedry i uśmiechał się z głębi duszy.

— Dobrze — powiedział Krzysztof: — spełnię to wszystko. A jakże myślisz stąd się wydostać? Boć sam jeden nie wyjdiesz, a oddział, ile wiem, musi tu jeszcze długo wartować, aż do rozkazu.

— Tak, aż do rozkazu. Ten sam człowiek, don José, wywiedzie i mnie. Ma on już dla nas obudwu przygotowane paszporty generałów hiszpańskich Villacampy i Barsoncourta na przejście do Tortozy. Zwierzyłem mu się z całej duszy swojej. Pojął mię, jak brat rodzony.

— Ha, skoro tak, to dawaj go żywo. Dziś na noc idę.

— Co znowu? — wzdragał się Wyganowski obłudnie.

— Chcę i ja być coś wart w twoich oczach. Dobrze się swego czasu przespał u Panien Jerozolimskich pod strażą tej szpady.

— Chodź ze mną do kraju... — zagadnął cicho Wyganowski.

— Nigdy! Wołaj tego człowieka.

Kapitan skinął głową i wyszedł. Cedro udał się do swoich ludzi z rozkazami:

— Konie tego paść, broje trzymać w pogotowiu, o zmroku marsz — marsz!

Westchnęli jeno posępnie i --- bywaj! do koni.

Nad wieczorem tego dnia zjawił się Hiszpan. Był wysoki, zwinny i silny. Mówił niezłe po francusku. Cedro wszczął z nim rozmowę i badał go pilnie oczyma. Nie ufając sobie, powiódł go do Gajkosia i po polsku powiedział wachmistrzowi, kto to jest i co ma za mi-
syę. Gajkoś go »uważał« z pod oka, nim począł rozmawiać. Nie przyszedł jednak do złych wniosków. Rzekł tylko, że chłop musi być silny, więc go trza mieć między kćmami i na oku.

Don José wdział mundur jednego z ułanów, a tamten został w ubiorze stajennym. Ciemnym wieczorem ruszyli za bramę. Na odjezdnem Wyganowski prosił na wszystko Krzysztofa, żeby nań czekał w Tortozie, jeśli dymisya nadeszła. Cedro przyrzekł.

D Y M I S Y A.

Kilka dni już Krzysztof oczekiwał w Tortozie na przybycie Wyganowskiego. Dymisya, która leżała w kancelaryi generała Chłopickiego, wręczona została Hiszpanowi, a ten, przebrany w ludowe suknie, poniósł ją natychmiast do Morelli. Cedro pod różnymi pozorami, jak leczenie koni, reparacye siodeł i t. d., przedłużał swój pobyt w okopach generała Suchet'a. Ale dzieńznaczony mu do wymarszu zbliżał się szybko. Z wyżyn La Roqueta widać było miasteczko Tortozę, rozłożone na samym brzegu rzeki Ebro. Tuż za niem ciągnął się łańcuch gór skalistych, jałowych i wysokich. W pobliżu klasztoru Jezuitów, gdzie stał batalion trzeci polski i batalion pułku sto piętnastego, widać było szaniece francuskie, otaczające miasto. Dokoła rozciągał się pas nieużytków, z którym dziwnie harmonizował widok zamku w środku miasta, widok silnie obmurowanego fortu de las Tenaxas, oraz bram: Mostowej, del Rastro, i posępnych bastyonów: świętego Jana, świętego Krzyża, karmelickiego i t. d. Daleko na wschód wysuwał się stary fort d'Orléans. W tamtej

stronie, za rzeką, stały dwa bataliony polskie pułku drugiego, dokąd powinienby był skierować swe kroki Wyganowski dla zameldowania się po przybyciu. To też Cedro codziennie jeździł w tę stronę, wymijając paralele, idące ze wschodu po obu dwu stronach rzeki. Piątego dnia pobytu swego pod Tortozą, zrana, kiedy spał w kwaterze polnej przyjaciela Rybałtowskiego na la Roquette, zbudzono go nagle wieścią, że Wyganowski przybył. Cedro porwał się z pościeli i co prędzej począł wdziwać odzienie. Ale ten, co mu wiadomość przyniósł, dorzucił:

— Przybył kapitan Wyganowski, ale go ktoś pod obozem drugiego pułku zamordował.

Krzysztof skoczył, jak pchnięty nożem. Oniemiał. Upadł na posłanie swe i leżał bez ruchu, słuchając rozmów, przypuszczeń, wniosków.

Nierychło, jak przez sen, włożył mundur, przypasał szablę, zarzucił płaszcz i pojechał za Ebro. W pobliżu obozu pułku drugiego zobaczył kilku żołnierzy wśród pola. Po wzgórkach wieszały się tutaj zarośla agawy i dzikie krzewy krępli. W dali stały nagie, splekane góry. Już się upał sierpniowego dnia zaczął. Słońce przepalało nawskroś żółte piaski nadrzecza, ogniem trawiło usychające pod skałami rośliny. Na błyszczącym piasku leżał nagi zupełnie Wyganowskiego trup.

Gdy Cedro skoczył z konia i przypadł ku niemu, ujrzał dwa ciosy sztyletu, czy noża, zadane w serce na wylot, ręką nieomylną. Morderca zdarł z ofiary swojej suknie hiszpańskie i rzucił je niedaleko, między krzewy. Czynił to w takim widocznie pośpiechu, że

ściągnawszy koszulę przez głowę, zostawił ręce trupa wyprostowane w górę. Te nagie ręce bezbronne i bezsilne, ciśnięte równolegle jedna do drugiej wzdłuż głowy, zdały się wołać na Krzysztofa z ziemi. Roje moskitów, much i drobnych, ledwie widzialnych robaczków szaro-zielonych, z brzękiem krążyły już nad zwłokami, wpijały się w zaschłą krew rany. Słońce płomienne już wydobywać zaczęło z trupa woń śmierci

Ten i ów z wiarusów zakopcił fajkę i splunął. Pomedytowali, pogwarzyli o dziwnem zdarzeniu i odeszli. Cedro został sam. Przy głowie zmarłego leżał głaz. Ułan siadł na nim, łokcie sparł na kolanach, głowę na dłoniach i patrzył w twarz przyjaciela. Czasami jego oczy wałęsały się to tu, to tam. Wyschły piach, sypki i lotny, przepalony na łokieć, zdeptany obcasami nóg, które się prężą śmiertelnie. Tu walczyli ze sobą. Tu go napadł niespodzianie. Tu mu cios zadał. Tu go włókł, żeby pohańbić przed oczyma całego wojska. Tu z niego zdzierał szmaty pokoju...

— Don José... — wyszeptały usta.

Serce załomotało, jak jastrząb zgłodzony i straszliwy. Gniew pognał krew. Ale zwolna ją uciszyła gorycz myśli. Zamknęło się serce i dusza znowu stanęła przed obliczem tego trupa. Niewymowny upał przepalał ciało, że było gorące, jak ów piasek pod stopami. Trup cuchnął.

Krzysztof wstał i wielkimi krokami poszedł w stronę obozowiska pułku drugiego. Stanąwszy tam, znalazł bataliony, szykujące się do bitwy. Wyszedł przed front i gromkim głosem zwrócił się do oficerów i żołnierzy,

żeby pomścili śmierć towarzysza i żeby poszli pogrześć jego nagi trup. Wołał:

— Już go słońce żre, żołnierze, już go porwało w pazury. Leży sam jeden przed wami wszystkimi, a nad nim słońce niezbłagane. Nie zlituje się nad nim słońce i ognia swego nie przygasi. Piach pod nim płonie od żaru. Krew się już wzdyma i skórę rozsadza. Komar i mucha ssie jego krew sprawiedliwą. Idźcież mu dół wykopać, żołnierzowi żołnierze! Cześć mu bratnią oddajcie!

Z szeregów odpowiedział mu głos:

— Cześć mu sam oddaj. I dół mu sam wykop. Już on nie żołnierz i nie towarzysz. Przypatrz się dobrze. Całymi batalionami idziemy w bitwę tej godziny, a on dla siebie jednego zwolnienie wyprosił. Sprawiedliwie mu uczynił los! Niechaj gnieje podeskwarem.

Uderzyły bębny. Bataliony, wykręciwszy się sekcjami w prawo, twardym krokiem poszły wraz, w kierunku fortu orleańskiego. Widać było wielki ich, żelazny szyk, błysk karabinów. Wkrótce ich pył drogi i kurzawa dymu zasłoniła.

Krzysztof wrócił do przyjaciela. Wyciągnął z pochwy szablę swą i koniec jej twardo zanurzył w głębokość rany, zadanej sztyletem. Siadł na kamieniu i gadał do trupa:

— Taki to jest nasz Roncevalles, towarzyszu...

Nadszedł czas, że wstał z miejsca i począł wygrzebywać w lotnym piasku dół grobowy. Zrazu nagiemni rękoma, potem znalezionym ułamkiem czerepa granatu. Tęgo się zgrzał, dobrze spracował, nim nad

wieczorem wybrał dół na chłopa. Złożył tam zwłoki. Wyciągnięte ręce skrzyżował na piersiach. Zasypał towarzysza gorącą hiszpańską ziemią, śpiewając sobie i jemu pieśń pożegnalną, pieśń bez wyrazów, pieśń samotną.

DOM.

W urzędzie regentowskim kieleckim od dawien dawna leżał złożony testament szlachcica Nardzewskiego. Według brzmienia tego aktu, dziedzic Wyrw całe ruchome i nieruchome mienie swoje zapisywał na własność siostrzeńcowi swemu, Olbromskiemu.

Skończyła się wojna krajowa roku dziewiątego, i ułan w mizernym stopniu porucznika miał z Krakowa powracać na leże ze swym pułkiem. Aliści kolega Jarzyski, który w Kieleckiem jakiemiś dobrami administrował, zetknąwszy się z nim, obwieścił mu radosną nowinę. Rafał co prędzej wziął z wojska dymisyę i pośpieszył do Kielc. Urzędowe otwarcie testamentu ziściło wszystkie jego nadzieje. Był samowładnym dziedzicem. Wiedział o tem wprawdzie, że z folwarku została tylko ziemia niezaorana i trocha płotów, że chłopci, uwolnieni z pańszczyzny, nie podtrzymają już teraz najmizerniejszego bytu... Mimo to ochotnie pośpieszył na miejsce. A gdy raz wkroczył w te góry, to już i został.

W tym czasie do Tarnin sprowadził się mąż Zofki

i łączywie objął gospodarstwo, niby to chwilowo, niby to dla ulżenia staremu. Rafał przeczuwał, że tylko ze srogimi walkami mógłby nową rodzinę z Tarnin wysadzić. To też usiłował wydobyć jedynie stamtąd, co można, i nie kwapił się do domu.

W Wyrwach początkowo mieszkał w czworaku, który po drugiej stronie sadzawki ocalał z austriackiej pożogi. Wyporządził sobie w końcu tego domostwa stancyjkę i dwie zimy przepędził w niej znośnie. Wszystek teraz poszedł w myśliwstwo. Strzelec Kacper i Michcik, którego z wojska do Wyrw zabrał, stanowili dwór: Kacper jako strzelec, a Michcik jako kucharz, szatny i doradca. W rok po osiedleniu się już Rafał wznosił stodoły o murowanych słupach, gontem kryte, wysokie, odbudował stajnie, obory i do porządku przywiódł śpichlerz. Następnego roku ufundował nową groblę z upustem na palach bitych i odrestaurował młyn, a wreszcie od wiosny trzeciego roku budował dla siebie dom.

Domek był z modrzewia i wielkiej jodły. Oddawna wszystek sprzężaj zwoził zimową porą z Łysicy, Bukowej i Strawczanej góry olbrzymie tramy modrzewia, buku i jodły.

Obrobione z nich przyciesi i belki schły w porze letniej pod osobną wystawą. Z Klonowa zwieziono jędrne gonty, w Bodzentynie stolarz dopasowywał już okna i drzwi. Przez całe lato słyhać było łoskot siekier, a już w lipcu zrąb dworu z wiązaniem belek, krokwi i łąt bielił się na okolicę. Rafał przeżył duszą całe to budowanie. Sam każde z drzew, czasu wypraw myśliwskich, obejrzał i wybrał na górach. Był przy

ściągnięciu go z wyżyny na chłopskich barkach, przy zwożeniu pod wystawę na rozworach. Był przy rozplątaniu każdej belki, przy oddzieleniu północnej jej części od twardziny południowej, każdy cios topora widział, każdy sęk, rdzeń i wypaść pomacał ręką. Całe dni wiosny i początku lata przepędzał wśród traczów i cieślów. Przywykł do tego, żeby mu się nogi plątały w miękkich i cienkich wstążkach heblowin, żeby ucho chwyciło szelest odciosanego toporem oszastu, ślizką melodyę hebla, dzwonienie dłota w jądro rdzenia modrzewiowego. Nie było przyciesi, którejby nie zbadał do cna rachunkiem, okiem i ręką. Gdy ściany z niezmiernych pniów wyrastały, cieszył się, jak dziecko. Nowe życie zakładał tu sobie, mocne ściany na kamiennem murowaniu fundował, zwierzał zrąb mocnemi belkami i niewzruszonym stragarzem na moc, na siłę przeciwko wiatrowi i wszystkim burzy. Sam rok i napis na tym stragarzu wydłubał. Nareszcie wyniosły dach z kupy rozrzuconych gontów i łat zaczął wyrastać. Jednocześnie z tą budową domu prowadzony był forsownie karczunek nieużytków, wydzieranie jałowców i wynoszenie kamieni. Coś z dążeń brata Piotra, nie tyle działaniem przykładu na rozum i wolę, ile mocą nieświadomego dziedzictwa, przylgnęło do młodego rolnika. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni kurzyły się w obszarach tak zwanych odpadków, po zboczach górskich kupy wydartego z ziemi jałowcu, który paliło wraz z pniakami jodeł. Oswobodzeni z niewoli, ale ubodzy zarobnicy darli z ziemi korzenie wielkich pniaków po świerkach, jodłach i bukach, które tam niegdyś szumiały. Wielkie wykroty, obwieszane kamie-

niami kwarcu, oplecionymi przez niezliczone korzenie, sterczały na każdej szerokości. Doły pod nimi zawalano ziemią i równano pracowicie. Dzieci i wyrostki zbierały niezliczone masy kamienia i wnosiły na przydrożne kamionki. Gleba tam była kamienista. Okrągły, siwy, twardy głaz leżał nie tylko na powierzchni, ale i pod cienką warstwą ziemi rodzajnej, którą okrywała trawa, mech, kwiatek leśny. Łysy jego czerep wyglądał z gruntu, gdziekolwiek rzucić było okiem, gdzie stąpnąć nogą. Kiedy poruszono glebę falistą po wykrotach, starganą kilofami w góry i doły, kamienie zdawały się wyłazić gronami, wyłuskiwać się, jak orzechy, rodzić w oczach i mnożyć, jak niezliczony owad. Pług, puszczonej pierwszy raz w nowinę, zgrzytał, skwierczał, wił się i prawdziwie walczył. Rwał korzenie, przecinał nadgniłe kije i rozrywał odwieczne legowiska głazów. Pierwsze skiby były krzywe, tam płytkie, tu sięgające za głęboko, aż do podgleby skalistej, rzucane w prawo i lewo. Ziemia nie dawała swego dziewictwa za darmo. Trzeba było rozedrzeć jej zrosłą caliznę, wyrwać tysiączne spojenia, rozplatać żyły, wyorać oporny kamień i z niemałym bólem krzyża odnieść daleko.

Nadeszło lato dwunastego roku.

Rafał w tym czasie, po zżęciu żyta, ku końcowi lipca, najusilniej karczował nowinę. Jeszcze stały płowiejącymi pasami owsy po polach. Był po starym lesie wielki szmat ziemi, otaczający szerokim ramieniem rozdół łąk, przez które płynęła rzeka. Niwa ta służyła aż dotąd za pastwisko. Wyrosły już na dawnych porębach nowe chrósty i młody lasanek, przeważnie liścia-

sty. Obok pniaka ściętego wysoko, który oblażł z kory, zbielał, jak kość, stwardniał i wysechł, można tam było spotkać gaje leszczynowe, zwarte ostępy grabiny z buczyną, młode dąbki, lśniące, jak spasione żrebce, najcudniejsze gęstwiny łąskie dzikich krzewów, kolczastych tarnin, które w drzewa porosły, tęgich sumaków, dzikich gruszek, głogów i jeżyn. W dawnych, zarosłych wykrotach, gdzie teraz gnieździła się wilgoć najdłużej, powysztrelały olbrzymie łodygi kwiatów, dudy łopianów, niezdobyte barykady dzikich malin i wielkich ostów. Cały ów »stary las« kopcił się teraz od ognisk przyduszanych nowemi wciąż warstwami gałęzi, badyłów, pniaków i korzeni. Ludzie w chłodku, przejętym od drobnego dżdżu, pracowali chętnie i żywo. Każdy rad był brać udział w tem dziwowisku, jakie miał przed oczyma. Nie będzie już starego lasu! Już po poziomki, po czarną jagodę, maliny, dziady, orzechy nie pójdziesz w stary las, nie bój się!

Rafał zakładał sobie wiele na uprawie tego łąnu. Miał zamiar siać z wiosną owies i paść nim stadninę, którą w myśli stale powiększał. Właśnie, siedząc na pniaku, ćmił z małej, glinianej fajeczki *tiutun* i rozmyślał o przyszłym stadzie. Zlekka przemókł od kołnierza i pleców, więc się zagrzewał fajeczką, wesołemi myślami i skurczeniem postawy. Dymy z ognisk wałęsały się przez pola już przetrzebione i niosły woń jałowcową po pierwszych skibach. Michcik, pracujący w pobliżu na równi z najemnikami, odchrząknął, wyprostował się... Coś mamrotał.

— Co gadasz? — spytał porucznik, nie wypuszczając z zębów fajeczki.

Melduję...

— Cóż meldujesz, stary Austriaku?

— Me... melduję... jako gość je... jedzie.

— Wściekłeś się, czy co? Do mnie gość jedzie?

— Widać ano, że z góry gość jedzie...

— Prawda! Ktoś jedzie. Bryka w trzy konie...

— Bryka nie... nie tutejsza... Bryka jak się pa-trzy... kra-kra-kowska...

— Prawda! Bryka krakowska... Konie wspaniałe...

Z góry, po wertepach drogi, po wybojach i ka-mieniach ostrożnie zjeżdżał zaprząg solidny. Zdawa wi-dać było, że wysoko schlastany jest błotem. Para ro-słych koni szła w dyszlu. Trzeci na przyprzążkę po-dreptywał luźno. W siedzeniu owinięty w burkę jechał podróżny. Rafał nie spuszczał go z oka. W pewnej chwili zakrzyknął:

— Ejże, Michcik, ejże! Czy to tylko nie pan Ce-dro do nas jedzie?

— Nie mogę odpowiedzieć, jako żem nigdy ta-kiego pana Cedra na oczy nie uświadczył.

— Ejże, Michcik!

Zbliżyła się bryka o staje, o dwa. Rafał stanął na pniaku. Podróżny, ujrawszy go, przyłożył szkła do oczu. Już teraz Olbromski nie wątpił. Jakże nie huknie ku niemu z całej piersi:

— Krzysztof! Krzysztof!

Podbiegli ku sobie i padli wzajem w ramiona bez słów.

Za chwilę Rafał siedział z przyjacielem na bryce, zdążając do dworu w Wyrwach. Michcikowi kazał wleźć na kozieł. Nie mógł się napatrzeć na Cedrę, który

z wysmukłego młodziana stał się mężczyzną muskularnym, o bujnym wosie, zadartym w górę, o ruchach porywczych, żołnierskich. Zaledwie z miejsca ruszyli, Rafał zaczął pytać:

— Skądże w tej chwili jedziesz, braciszku?

— Z domu.

— A dawnoś wrócił?

— Już w marcu pułk nasz przelaźł przez Pirenejskie góry. Z Francyi wyprzedziłem go dyliżansem...

— Kiedyżes do Olszyny przybył?

— Dopiero w czerwcu.

— Przez cały czas przy ojcu byłeś?

— Aż do tej chwili. Ledwiem się oto wydarł.

— Ależ wałacha masz, niech go pioruny! Cóż za koń! — nie mógł Rafał powstrzymać okrzyku, patrząc na żrebca, idącego przy koniach na przyprzążkę.

— Iberyjczyk... a jeszcze w Olszynie go paśli — skromnie wtrącił Cedro.

— Ależ koń!

— Musiałem dobrego konia wziąć na tak wielką wyprawę.

— Na jakąż to znowu wielką wyprawę?

Krzysztof popatrzał na niego z ukosa i rzekł:

— Na wielką wojnę.

— A no tak, rozumie się... — poprawił się Rafał. — Ja bo siedzę tak na ubocz...

— Rzeczywiście, tak się zaszyłeś, żem ledwo się dopytał.

— To ty idziesz znowu?

— Kpisz, bracie, czy o drogę pytasz? Już w końcu czerwca nasz piąty korpus przeszedł granicę.

— O niczem nie wiem. Siedzę tu, mówię ci, za górami, za lasami, ludzi prawie nie widzę... skądże mam?...

— To też po ciebie umyślnie zajechałem. Potężniem zboczył z radomskiego traktu.

— Bardzo... bardzo się cieszę... — nieszczercze mruczał Olbromski. — A jakże myślisz dalej? kiedy i dokąd ciągnąć?

— Jutro, rozumie się, w kierunku Puław na Lublin. Nasze wojska, jakem się w Kielcach dowiedział, poszły z Serocka, z Pultuska na Łomżę i Augustów pod Mir. Ale gdzie nasz pułk siódmy być może, ani wiem. Ty się dziś zbierzesz?

— Ja?! — krzyknął Rafał. — Czyś oszalał? Patrzaj-że, co ja tu mam do roboty! Dom stawiam!

— Dom stawiasz! — wybuchnął Cedro śmiechem tak wesołym i hucznym, że Rafała aż złość wzięła. Zarazem jednak wstyd go ogarnął.

— No, cóż ty myślisz! — zaperzył się — objąłem ziemię, muszę się raz wreszcie jąć pracy. Wiecznie będę bąki zbijał?

— Pracy się imasz, kiedy na wielką wojnę wszyscy idziemy? Siedmdziesiąt tysięcy naszych wyruszyło...

Olbromski mało nie płakał. Naraz go objął żal niewysłowiony tych nowin, pól, płotów... Spojrzał na dom, bielejący w oddali, między rozłożystemi drzewami.

— Kiedyż to ty chcesz jechać? — zawołał.

— Jak się tylko zbierzesz. Choćby jutro.

— Kiedy ja się zbiorę!... Ależ ja nie mam...

— Czego nie masz?

— Koni... — mruknął wymijająco.

— Moznaby wziąć *Samo... Samosiłka...* — wmieszał

się do rozmowy Michcik, czyniąc na koźle forenny półzwrot w tył.

— Milcz, głupi! Sobie bierz Samosiłka.

— Według... według rozkazu.

— Któż to jest? Twój koniuszy?— spytał Cedro.

— To jest taki Michcik, jeszcze brata Piotra famulus.

— To Michcik... — rzekł Cedro z uszanowaniem. — Słyszałem o tobie, bracie, dużo dobrego... — zwrócił się do żołnierza. — Pójdiesz i ty na wojnę?

— Skoro panicz...

— A cóżeś to w tych czasach porabiał?

— W austriackich glidach, przeciwko nam służył! — wtrącił Rafał, przejęty nagłą złością do Michcika.

— Do dyabła! — mruknął Cedro.

— Dopraszam się łaski pana porucznika... — począł bełkotać żołnierz — sześć razy dezer... dezertero... Kije brałem trzy razy, w kajdanach... pod sądem bywałem... Nie udało mi się do swoich dostać.

— Przeszedł na polską stronę dopiero pod Sandomierzem... — dodał Olbromski. — Teraz u mnie na folwarku burmistrzuje.

— Toś, Michcik, i strony swoje zdradził dla tego panicza?

— Trza było, bo karczunku tu dużo, a pan młody.

— No, i podoba ci się w tych górach?

— Niczego. Miejsce dosyć wesołe, ino...

— Ino co?

— Ino piachu, jak się patrzy, mało.

— Piachu mało?

— Kamienia dużo, a piachu, po prawdzie, mało.

— Więc ze mną na wielką wojnę obaj idźcie! — rzekł nagle Cedro, zmieniając przedmiot rozmowy. — Wielka to będzie wojna. Wojna nad wojnami.

— Już ci ja, według rozkazu pana porucznika... Jako że i *Samosiłka* pan mi przyobiegał pod siodło...

Rafał milczał posępnie. W pewnej chwili rzekł, nie patrząc na towarzysza:

— Idę i ja... do pioruna!

Już dom był blisko. Ledwie wysiedli, udali się zaraz do stajni oglądać konie i wybierać dla Rafała wierzchowca.

SŁOWO HONORU.

W okolicach Orszy, w połowie sierpnia, korpus pod rozkazami księcia Józefa Poniatowskiego złączył się z wielką armią.

Tam odbyła się rewia powszechna. Cedro i Rafał Olbromski spodziewali się ujrzeć cesarza. Ujrzeli go też w samej rzeczy. We mgle wietrznego ranka dostrzegli stojącego nieruchomie daleko, daleko, na urwistym brzegu. Za nim błyszczał barwami mundurów sztab i wyprężone, połyskliwe gwardye konne. Wojska, defilujące równiną w dole, ujrzawszy szarą kapotę i trójgraniasty kapelusz bez ozdób, wznosiły jednolite okrzyki, podobne do salw działobitni. Mijały pułki francuskie, holenderskie, włoskie, niemieckie, polskie... Wszystkie oczy skierowane były na ową niską, krępą postać szarego człowieka z ramionami wzniesionemi ku górze. Krzysztof Cedro nie spuszczał z niego wlepionych oczu. Widział oto spełniony na jawie swojego życia wielki sen. Dotrzymał cesarz słowa honoru, danego pod Madrytem najslabszemu ze swych żołnierzy, konającemu w polu kalece. Dla tego jednego słowa wielkie

pułki złączył, umundurował, wyżywił i poruszył. Sprzągł ze sobą obce narody... Cofnął się sztab. Podano bułanego araba. Cesarz siadł nań i zjechał ze wzgórza. Gwardye szły przed nim, świta za nim, i znowu gwardye. Pułki defilujące zatrzymały się na równinie, wyciągnęły w linie, kwadraty, podłużne kolumny. Jechał wolno przed wyprostowanymi frontami, wiodąc oczyma po liniach ludzkich, jakoby po nasypach martwej ziemi, po palisadach z drzewa, po rowach z kamienia. Twarz jego była zimna i obojętnie ponura, jak złom głazu. Spojrzenie oczu mijało twarze po twarzach, szło po spojrzeniach tysięcy, jako po martwym szlaku. Oczy straszliwe, w których gromady ludzkie przyuczone zostały widzieć jeno radość i gniew, były w tej chwili nijakie, obojętne, zasłonięte olbrzymiością myśli dalekich.

Ręka pociągnęła cugle konia i jakiś rozkaz padł z ust. Wstrzymał się cesarz. Podniósł oczy. Patrzy w pułk. Widzi każdą twarz, przechodzi kolejno jedną po drugiej. Spotkał wlepione w siebie oczy Krzysztofa Cedry, oczy skamieniałe z żołnierskiej wierności, oczy przysięgłe. Przez chwilę coś zamigotało w twardych źrenicach cesarskich, jak daleki błysk w burej, bezlicej, bezkształtnej chimurze. Wspomnienie stało się jasnym widzeniem rzeczywistości. Przelotny półsmutny uśmiech spłynął po granitowem obliczu...

K O N I E C.

